

BESTSELLER

KERSTIN GIER

MIĘDZY NARODOWY

ZIELEŃ SZMARAGDU



Literacki
EGMONT

MIŁOŚĆ, TAJEMNICA

PODRÓŻE W CZASIE, PRZYGODA

Kerstin Gier
Trylogia czasu – Część trzecia

ZIELEŃ SZMARAGDU

Prolog

Belgravia, Londyn

3 lipca 1912 roku

– Będzie paskudna blizna – oznajmił lekarz, opatrując Paulowi ranę.

Paul uśmiechnął się krzywo.

– Tak czy owak, lepsze to niż amputacja, którą prorokowała panna Panikara.

– Bardzo śmieszne – prychnęła Lucy. – Nie jestem panikarą, a ty... panie Głupku Lekkomysłny, nie rób sobie żartów! Dobrze wiesz, jak szybko takie rany mogą ulec zakażeniu, a wtedy trzeba by się cieszyć, że człowiek w ogóle przeżył w tych czasach: zero antybiotyków, a wszyscy lekarze to partacze i ignoranci!

– Och, wielkie dzięki – mruknął lekarz, smarując świeżo zszytą ranę brązową maścią.

Okropnie piekło i Paul z trudem powstrzymał się od grymasu. Miał tylko nadzieję, że nie poplamie eleganckiego szezlongu lady Tilney.

– To nie pana wina – powiedziała Lucy i Paul zauważył, że bardzo się starała być nieco miłsza, a nawet zmusiła się do uśmiechu. To był dość ponury uśmiech, ale liczyły się chęci.

– Jestem przekonany, że robi pan to co najlepsze – dodała.

– Doktor Harrison jest najlepszy – zapewniła lady Tilney.

– I jedyny... – mruknął Paul.

Nagle poczuł się niewiarygodnie zmęczony. W tym słodka-wym płynie, którym napoił go lekarz, musiał być jakiś środek nasenny.

– Przede wszystkim najbardziej dyskretny – uzupełnił doktor Harrison. Ramię Paula zniknęło pod śnieżnobiałym opatrunkiem. – I szczerze mówiąc, nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, że za osiemdziesiąt lat rany klute i cięte będzie się opatrywało inaczej, niż ja to zrobiłem.

Lucy wzięła głęboki wdech i Paul już się domyślał, co teraz nastąpi.

Kosmyk włosów wysunął jej się z upiętej wysoko fryzury, więc z bojową miną odgarnęła go za ucho.

– Hm, z grubsza rzecz biorąc, może i nie, ale jeśli bakterie... to są takie jednokomórkowe organizmy, które...

– Och, daj spokój, Lucy! – wpadł jej w słowo Paul. – Doktor Harrison doskonale wie, co to są bakterie!

Rana wciąż jeszcze straszliwie piekła, a jednocześnie czuł się tak wyczerpany, że najchętniej by się zdrzemnął. Ale to by jeszcze bardziej zdenerwowało Lucy. Choć jej błękitne oczy sypały gniewne iskry, Paul wiedział, że za gniewem kryje się troska i – co gorsza – strach. Ze względu na nią nie mógł dopuścić do tego, by zauważyła jego złe samopoczucie czy obawy. Spokojnie mówił więc dalej:

– Przecież to nie jest średniowiecze, tylko dwudziesty wiek, stulecie przełomowych odkryć. EKG nie jest już taką sensacją, od kilku lat lekarze znają także bakterie kiły i potrafią z nimi walczyć.

– No proszę, ktoś tu pilnie uważał na tajnych naukach. – Teraz Lucy wyglądała tak, jakby miała za chwilę wybuchnąć. –Twoje szczęście!

– A w zeszłym roku niejaka Maria Curie otrzymała Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii – dorzucił doktor Harrison.

– Zaraz, a co ona takiego wynalazła? Bombę atomową?

– Czasami jesteś przerażająco słabo wyedukowana. Maria Curie odkryła promie...

– Och, zamknij się! – Lucy skrzyżowała ręce na piersi, patrząc gniewnie na Paula. Nawet nie zauważyła karcącego spojrzenia lady Tilney. – Chwilowo daruj sobie te swoje wykłady! Mogłeś!

Już! Przecież! Nie! Żyć! Czy możesz mi łaskawie zdradzić, jak bez ciebie miałabym zapobiec katastrofie? – Nagle głos jej się załamał. – Jak miałabym dalej żyć bez ciebie?

– Przykro mi, księżniczko...

Nie miała pojęcia, jak bardzo było mu przykro.

– Phi! – prychnęła Lucy. – Daruj sobie tę żalosną minę zbitego psa!

– Zastanawianie się nad tym, co by było gdyby, to czysta strata czasu, moje dziecko – odezwała się lady Tilney, potrząsając głową. Pomogła

doktorowi Harrisonowi schować narzędzia do torby lekarskiej. – Wszystko dobrze się skończyło. Paul miał szczęście w nieszczęściu.

– Ale to, że mogło być jeszcze gorzej, wcale nie znaczy, że wszystko dobrze się skończyło! – krzyknęła Lucy. – Nic się dobrze nie skończyło, zupełnie nic! – Jej oczy napełniły się łzami, a

Paulowi na ten widok nieomal pękło serce. – Jesteśmy tu od trzech miesięcy i nie udało nam się zrealizować niczego, co zaplanowaliśmy, wręcz przeciwnie: tylko pogorszyliśmy sprawę.

Wreszcie mieliśmy w rękach te cholerne papiery i Paul tak po prostu oddał!

– Może odrobinę się pospieszyłem. – Głowa Paula opadła na poduszkę. – W tamtej chwili wydawało mi się, że postępuję słusznie. – A to dlatego, że właśnie w tamtej chwili poczuł, że śmierć jest cholernie blisko. Nie brakowało dużo, a ostrze szpady lorda Alastaira dopełniłoby dzieła. Tego jednak w żadnym razie nie mógł powiedzieć Lucy. – Jeśli Gideon stanie po naszej stronie, będziemy mieli jeszcze jakąś szansę. Gdy tylko przeczyta te papiery, zrozumie, o co nam chodzi.

Miał taką nadzieję.

– Sami dokładnie nie wiemy, co w nich jest. Może są tam zaszyfrowane wiadomości albo... och, przecież ty nawet nie wiesz, co w ogóle dałeś Gideonowi – powiedziała Lucy. – Lord Alastair mógł ci wcisnąć różne rzeczy: stare rachunki, listy miłosne, puste kartki.

Paulowi ta myśl przyszła do głowy już dawno, ale co się stało, to się nie odstanie.

– Czasami trzeba trochę zaufać losowi – mruknął, życząc sobie w duchu, by te słowa dotyczyły też jego.

Jeszcze bardziej niż podejrzenie, że być może przekazał Gideonowi bezwartościowe papierzyska, dręczyła go myśl, że chłopak mógł pójść z nimi prosto do hrabiego de Saint Germain. To by znaczyło, że Paul wypuścił z ręki jedyny atut. Gideon jednak wyznał, że kocha Gwendolyn, a sposób, w jaki to uczynił, był w pewnym sensie... przekonujący.

„On mi to obiecał” – chciał powiedzieć Paul, ale wydobył z siebie jedynie bezgłośny szept. A poza tym to i tak byłoby kłamstwo. Przecież w ogóle nie usłyszał odpowiedzi Gideona.

– Współpraca z Sojuszem Florenckim to był głupi pomysł –dobięł go głos Lucy.

Oczy mu się zamknęły. Nie wiedział, co zaaplikował mu doktor Harrison, ale działało błyskawicznie.

– Tak, wiem – mówiła dalej Lucy. – To był mój głupi pomysł. Powinniśmy byli wziąć sprawy w swoje ręce.

– Tylko że nie jesteście mordercami, dziecko – powiedziała lady Tilney.

– Czy pod względem moralnym to jakaś różnica: zabić samemu czy zlecić komuś zabójstwo? –

Lucy westchnęła ciężko i choć lady Tilney gwałtownie zaprzeczyła („Nie mów takich rzeczy, dziewczyno! Nie zleciliście nikomu zabójstwa, tylko przekazaliście parę informacji!”), jej głos nagle nabral żalostnej barwy. – Naprawdę wszystko zrobiliśmy nie tak, Paul. Przez te trzy miesiące zmarnowaliśmy masę czasu i pieniędzy lady Tilney, a poza tym wciągnęliśmy w tę sprawę zbyt wielu ludzi.

– To pieniądze lorda Tilneya – poprawiła ją lady Tilney. –Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, na co on wydaje pieniądze. Wyścigi konne i tancerki to najbardziej niewinne pozycje. W ogóle nie zauważy tej odrobiny, którą mu uszczknę dla dobra naszej sprawy. A jeśli nawet, to pewnie jest wystarczająco dobrze wychowany, by nie wspomnieć o tym ani słowem.

– A ja osobiście ogromnie bym żałował, gdybym nie został wciągnięty w tę sprawę – odezwał się doktor Harrison. – Moje życie zaczęło mnie już właśnie trochę nudzić. W końcu nie co dzień człowiek spotyka podróżników w czasie, którzy przybywają z przyszłości i wszystko wiedzą lepiej.

A tak między nami: styl rządzenia panów de Villiers i Pinkerton–Smythe aż się prosi o to, żeby się przeciw nim zbuntować.

– W rzeczy samej – zgodziła się lady Tilney. – Ten zarozumialec Jonathan zagroził swej żonie, że zamknie ją w domu, jeśli nie przestanie sympatyzować z sufrażystkami. Co będzie następne? – dorzuciła, naśladowując zrzędlawy męski głos. – Prawa wyborcze dla psów?

– No tak, w końcu dlatego mu pani zagroziła, że go spoliczkuje – przypomniał doktor Harrison. –

Nawiasem mówiąc, to się wydarzyło na popołudniowej herbatce, na której wcale się nie nudziłem.

– Ależ to w ogóle nie było tak. Powiedziałam tylko, że nie ręczę za to, co za chwilę zrobi moja prawica, jeśli dalej będzie wygłaszał takie bezsensowne opinie.

– Jeśli dalej będzie gadał takie głupoty, tak to dokładnie brzmiało – poprawił ją doktor Harrison. –

Pamiętam dobrze, bo zrobiło to na mnie ogromne wrażenie.

Lady Tilney roześmiała się i podała doktorowi rękę.

– Odprowadzę pana do drzwi, doktorze Harrison.

Paul próbował otworzyć oczy i podnieść się, żeby podziękować lekarzowi. Ale nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

– Brdz... dżk... – wymamrotał ostatkiem sił.

– Czego mu pan tam dodał, do diabła?! – zawołała Lucy za doktorem Harrisonem.

Odwrócił się w drzwiach.

–Tylko kilka kropel nalewki z morfiną. Zupełnie niewinnej! Pełnego oburzenia okrzyku Lucy Paul już nie usłyszał.

Kroniki Strażników

30 marca 1916 roku

Hasło dnia: Potius sero quam numquam (Lepiej późno niż nigdy)

Liwiusz

Ponieważ, jak donoszą źródła zbliżone do tajnych służb, w najbliższych dniach Londyn może się znowu spodziewać ataków eskadr niemieckich samolotów, postanowiliśmy natychmiast wprowadzić protokół bezpieczeństwa pierwszego stopnia. Chronografna czas nieokreślony zostanie umieszczony w archiwum, a lady Tilney, mój brat Jonathan i ja będziemy stamtąd poddawali się elapsji, aby ograniczyć czas, jaki trzeba temu poświęcić, do trzech godzin dziennie. Z tego pokoju podróże w czasie do XIX wieku nie powinny przysparzać żadnych problemów: nocą rzadko ktoś tam przebywa, a w

Kronikach nie ma ani słowa o wizycie z przyszłości, można zatem założyć, że nasza obecność nigdy nie zostanie zauważona. Tak jak należało tego oczekiwać, lady Tilney sprzeciwiła się zmianie utartych nawyków i jak sama powiedziała, nie zdołała „znaleźć żadnej logiki w naszych argumentach”, lecz na koniec musiała się podporządkować decyzji Wielkiego Mistrza. Czas wojny wymaga niekiedy wyjątkowych środków. Elapsja dziś po południu do roku 1851 przebiegła nadspodziewanie spokojnie, być może dlatego, że moja zapobiegliwa małżonka dała nam swój niezrównany keks, i dlatego, że pamiętając gorące debaty przy innych okazjach, unikaliśmy takich tematów jak prawa wyborcze dla kobiet. Lady Tilney żałowała wprawdzie, że nie możemy udać się do Hyde Parku na Wystawę Światową, ale ponieważ w pełni podzielaliśmy jej żal, rozmowa nie przerodziła się w spór. Proponując nam, byśmy od jutra zajęli sobie czas grą w pokera, zaprezentowała jednak ponownie swoją ekscentryczną naturę.

Pogoda na dzisiaj: lekka mżawka przy wiosennej temperaturze 16 stopni Celsjusza.

Raport: Timothy de Yilliers, Krąg Wewnętrzny

Rozdział I

Ostrze miecza było skierowane prosto w moje serce, a oczy mordercy przypominały czarne dziury grożące pochłonięciem wszystkiego, co tylko znajdzie się w ich pobliżu. Wiedziałam, że nie uda mi się uciec. Z trudem cofnęłam się o kilka kroków, ale mężczyzna natychmiast znów się do mnie przysunął.

– Zmiotę z oblicza tej ziemi wszystko, co niechciane jest przez Boga! Twoja krew zrosi ziemię!

Na końcu języka miałam przynajmniej dwie cięte riposty na to górnolotne rzeżenie (Zrosi ziemię?

Że co? Tu są same kafle!), ale zdjęta paniką nie zdołałam wykrztusić ani słowa. Ten człowiek nie wyglądał jak ktoś, kto potrafiłby docenić moje poczucie humoru. Ani jak ktoś, kto w ogóle je ma.

Chwiejąc się, postąpiłam jeszcze jeden krok w tył i oparłam się plecami o ścianę. Mój przeciwnik się zaśmiał. No dobra, może miał poczucie humoru, tylko trochę inne niż ja.

– Teraz umrzesz, demonie! – wykrzyknął i bez dalszych ceregieli zatopił miecz w moim sercu.

Podskoczyłam z krzykiem. Byłam cała spocona i bolało mnie serce, jakbym faktycznie została przeszyta ostrzem. Cóż za paskudny sen. Swoją drogą – czy powinno mnie to dziwić?

Wczorajsze przeżycia (i doświadczenia poprzednich dni) nie skłaniały do tego, by zagrzebać się z nimi pod kołderką i zasnąć snem sprawiedliwego. Raczej było tak, że niechciane myśli kłębiły mi się w głowie niczym wściekłe mięsożerne rośliny. Gideon tylko udawał. Tak naprawdę wcale mnie nie kocha.

„Zapewne nie musi robić niemal nic, a dziewczyny i tak za nim szaleją” – raz za razem słyszałam w myślach łagodny, głęboki głos hrabiego de Saint Germain. I jeszcze: „Nie ma nic bardziej przewidywalnego od reakcji zakochanej kobiety”.

Jasne, a jak reaguje kobieta, gdy dowiaduje się, że została okłamana i zmanipulowana? Wiadomo: godzinami wisi na telefonie z najlepszą

przyjaciółką, a potem siedzi bez snu w ciemnościach i zadaje sobie pytanie, dlaczego, u diabła, poleciała na tego typu, a jednocześnie z tęsknoty wypłakuje sobie oczy... no tak, bardzo przewidywalne.

Świejące cyfry budzika obok łóżka pokazywały 3.10, co znaczyło, że musiałam jednak usnąć i spałam nawet ponad dwie godziny. I ktoś – mama? – musiał wejść do pokoju i mnie przykryć, bo pamiętałam tylko, jak siedziałam na łóżku z podciągniętymi kolanami i przysłuchiwałam się, jak szybko, o wiele za szybko, bije moje serce.

Właściwie to dziwne, że złamane serce w ogóle jeszcze może bić.

– Mam wrażenie, że składa się z samych czerwonych szpiczastych odłamków, które rozcinają mnie wewnątrz, sprawiając, że się wykrwawiam – próbowałam przez telefon opisać Leslie stan mojego serca (no dobra, zabrzmiało równie patetycznie jak to, co rzeźił ten gość z mojego snu, ale czasami prawda jest taka... kiczowata).

– Wiem dokładnie, jak się czujesz – powiedziała ze współczuciem Leslie. – Kiedy Max ze mną zerwał, na początku myślałam, że umrę z bólu. Że wysiadą mi wszystkie narządy. Bo w tych różnych powiedzeniach jest trochę prawdy: miłość leży na wątrobie, paraliżuje, łamie serce, hm... odbija się czkawką... Ale po pierwsze: mija, po drugie: sprawa nie jest taka beznadziejna, jak ci się wydaje, a po trzecie: twoje serce nie jest ze szkła.

– Z kamienia, nie ze szkła. – Westchnęłam. – Moje serce jest kamieniem szlachetnym, który Gideon rozbił na tysiące kawałków, zupełnie tak jak w wizji cioci Maddy.

– Brzmi wprawdzie całkiem spoko, ale nie! W rzeczywistości serca są zrobione z całkiem innego materiału. Naprawdę, możesz mi wierzyć. – Leslie odchrząknęła, a jej głos przybrał wyjątkowo uroczystry ton, jakby chciała mi właśnie zdradzić największą tajemnicę w dziejach świata. – Chodzi o materiał znacznie bardziej plastyczny i nietłukący, który zawsze odzyskuje swój pierwotny kształt. Wykonany wedle tajnej receptury.

Jeszcze jedno chrząknięcie w celu podkręcenia napięcia. Mimo woli wstrzymałam oddech.

– Marcepan! – obwieściła Leslie.

– Marcepan? – Na chwilę przestałam chlipać i musiałam się uśmiechnąć.

– Tak, marcepan – śmiertelnie poważnie powtórzyła Leslie. – Taki dobry, z dużą ilością migdałów.

Omam nie parsknęłam śmiechem. Ale potem przypomniało mi się, że jestem najbardziej nieszczęśliwą dziewczyną na całym świecie.

– Jeśli tak jest – odrzekłam, pociągając nosem – to Gideon odgryzł mi kawałek serca. I oskubał je z całej czekolady. Nie widziałas, jak patrzył, kiedy... – przerwałam.

Leslie głośno westchnęła.

– Gwenny, przykro mi to mówić, ale twoje jęki nikomu na nic się nie zdadzą. Musisz przestać!

– Nie robię tego specjalnie – zapewniłam ją. – To moje wnętrze jęczy bez ustanku. W jednej chwili byłam najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, a potem on mi mówi, że...

– Okej, Gideon zachował się jak drań – wpadła mi w słowo Leslie. – Choć trudno zrozumieć dlaczego. Bo niby o co chodzi? Ze łatwiej kierować zakochaną dziewczyną? Ja bym powiedziała, że jest dokładnie odwrotnie. Zakochane dziewczyny są jak tykające bomby zegarowe. Nigdy nie wiadomo, co i kiedy robią. Moim zdaniem Gideon i jego przyjaciel hrabia szowinista grubo się mylą.

– Ja naprawdę myślałam, że on mnie kocha. A to, że tylko udawał, jest takie... – Wstrętne? Ohydne?

Chyba nie było słowa, które wystarczająco trafnie wyrażałoby moje uczucia.

– Och, kochanie! W innych okolicznościach, jeśli o mnie chodzi, mogłabyś się jeszcze całymi tygodniami oddawać rozpacz. Ale teraz po prostu nie możesz sobie na to pozwolić. Potrzebujesz sił do innych rzeczy. Na przykład, żeby przeżyć. – Głos Leslie brzmiał niezwykle surowo. – Więc weź się teraz z łaski swojej w garść!

– Xemerius też mi to mówił. Zanim się zerwał i zostawił mnie samą.

– Ten mały niewidzialny potworek ma rację! Musimy teraz zachować jasność umysłu i zebrać wszystkie fakty. Faj, a to co? Poczekaj, muszę otworzyć okno, Bertie puścił właśnie jednego z tych swoich obezwładniających bąków... niedobry pies! Na czym skończyłam? No właśnie,

musimy się dowiedzieć, co twój dziadek ukrył w waszym domu. – Teraz Leslie mówiła nieco łagodniejszym tonem. – Powiedziałabym, że Raphael okazał się całkiem pożyteczny. Może nie jest wcale taki głupi, jak wszyscy myślą.

– Chyba: jak ty myślisz. – Raphael był młodszym bratem Gideona i od niedawna chodził do naszej szkoły. Odkrył, że w zagadce, którą pozostawił mi dziadek, chodziło o współrzędne geograficzne.

One zaś prowadziły wprost do naszego domu. – Bardzo chciałabym wiedzieć, na ile Raphael orientuje się w tajemnicach Strażników i podróżach Gideona w czasie.

– Pewnie lepiej, niż można byłoby przypuszczać – powiedziała Leslie. – W każdym razie nie uwierzył w moją historyjkę, że w Londynie panuje właśnie moda na gry mistery. Ale był na tyle mądry, żeby o nic nie pytać... – Umilkła, a po chwili dodała: – Ma dość ładne oczy.

– Faktycznie.

Jego oczy były naprawdę ładne, co przypomniało mi o tym, że Gideon ma takie same. Zielone, okolone gęstymi ciemnymi rzęsami.

– Nie robi to na mnie jakiegokolwiek wrażenia, ja tylko stwierdzam fakt...

„Zakochałem się w tobie” – Gideon mówił to zupełnie poważnie, patrząc mi przy tym prosto w oczy. A ja gapiłam się na niego, wierząc w każde słowo. Łzy zaczęły mi znowu płynąć i prawie nie słyszałam, co mówi do mnie Leslie.

– ...ale mam nadzieję, że to długi list albo coś w rodzaju pamiętnika, w którym dziadek tłumaczy ci wszystko, co ukrywają przed tobą pozostali, i jeszcze trochę więcej. Nie musiałybyśmy już błądzić po omacku i mogłybyśmy przygotować prawdziwy plan.

Powinno się zabronić posiadania takich oczu. Albo należałoby uchwalić ustawę, zgodnie z którą chłopcy z takimi pięknymi oczami mogliby chodzić tylko w ciemnych okularach. Chyba że dla równowagi mieliby ogromne ośle uszy czy coś w tym stylu.

– Gwenny? Chyba znowu nie ryczysz, co? – Teraz głos Leslie zabrzmiał zupełnie jak głos panny

Counter, naszej nauczycielki geografii, kiedy się jej mówiło, że niestety zapomniało się zadania domowego. – Kochanie, to niedobrze! Musisz przestać dziurawić sobie pierś ostrzem tego dramatu!

Musimy...

– ...zachować zimną krew! Masz rację.

Choć kosztowało mnie to sporo wysiłku, spróbowałam przegnać z głowy wspomnienie oczu

Gideona i nadać mojemu tonowi odrobinę pewności. Po prostu byłam to winna Leslie. W końcu to ona, nikt inny, bez mrugnięcia okiem wspierała mnie od wielu dni. Dlatego, nim się rozłączyła, po prostu musiałam jej jeszcze powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że ją mam (choć zaczęłam przy tym znowu trochę płakać, ale tym razem ze wzruszenia).

– A co dopiero ja! – zapewniła mnie Leslie. – Jakież nudne byłoby moje życie bez ciebie.

Kiedy się rozłączyliśmy, dochodziła północ i przez kilka minut czułam się trochę lepiej, ale teraz, dziesięć po trzeciej, najchętniej znowu bym do niej zadzwoniła, żeby wszystko przerobić od nowa.

Z natury raczej nie jestem płaczliwa, ale po raz pierwszy w życiu byłam nieszczęśliwie zakochana.

To znaczy tak naprawdę nieszczęśliwie zakochana. Tak, że aż boli. Wszystko inne zeszło na dalszy plan. Nawet kwestia przeżycia stała się drugoplanowa. Bo szczerze mówiąc, myśl o śmierci wcale nie była w tym momencie aż tak niemiała. W końcu nie byłabym pierwsza, która umarła z nieszczęśliwej miłości. Znalazłabym się w doborowym towarzystwie: Mała Syrenka, Julia,

Pocahontas, Dama Kameliowa, madame Butterfly – a teraz także ja, Gwendolyn Shepherd. Plusem było to, że mogłabym sobie darować numer z ostrzem (dramatu), bo czułam się tak paskudnie, że na pewno zapadłabym na suchoty, a przecież taka śmierć jest znacznie bardziej malownicza.

Leżałabym w łóżku, blada niczym królewna Śnieżka, z włosami rozrzuconymi na poduszce, Gideon klęczałby obok mnie i gorzko żałował tego, co uczynił, podczas gdy ja szeptałabym swoje ostatnie słowa...

Ale najpierw musiałam pójść do łazienki.

Miętowa herbata z dużą ilością cukru i cytryny była w mojej rodzinie uniwersalnym lekiem na wszelkie troski; wypijałam jej cały dzbanek. Moja mama od razu, ledwie stanęłam w drzwiach, zauważyła, że nie czuję się

dobrze. To nie było wyjątkowe osiągnięcie, bo po tak długim płaczu miałam oczy jak królik albinos. Na pewno by mi nie uwierzyła, że w trakcie jazdy z kwatery głównej Strażników do domu musiałam w limuzynie kroić cebulę. Taką bowiem wymówkę zaproponował mi Xemerius.

– Czy ci przekłeci Strażnicy zrobili ci coś złego? Co się stało? – spytała, dokonując rzeczy wielkiej, to znaczy robiąc minę pełną współczucia i zarazem bezbrzeżnej wściekłości. – Zabiję Falka, jeśli...

– Nikt nie zrobił mi nic złego, mamó – pospieszyłam z wyjaśnieniem. –1 nic się nie stało.

– Uważaj, bo ci uwierzy! Czemu nie opowiedziałaś tego o cebuli? Ty mnie nigdy nie słuchasz. – Xemerius tupnął gniewnie aż zadudniło.

Był małym kamiennym demonem–gargulcem z dużymi uszami, skrzydłami nietoperza, długim, pokrytym łuskami, smoczym ogonem i parą niewielkich rogów na głowie przypominającej łeb kota.

Niestety, był tylko w połowie tak miły jak śliczny, i niestety, nikt oprócz mnie nie słyszał jego bezczelnych uwag i nie mógł mu się odpowiednio zrewanżować. To, że widziałam demonygargulce i inne duchy i że od wczesnego dzieciństwa mogłam z nimi rozmawiać, było, nawiasem mówiąc, tylko jedną z tych dziwacznych cech, z którymi musiałam nauczyć się żyć. Druga była jeszcze bardziej dziwaczna i sama wiedziałam o niej zaledwie od dwóch tygodni, a mianowicie należałam do – tajnego! – kręgu dwanaściorga podróżników w czasie i codziennie musiałam na kilka godzin przeskakiwać gdzieś w przeszłość. Właściwie to przekleństwo... tfu! – ten dar umiejętności przenoszenia się w czasie miała odziedziczyć moja kuzynka Charlotta, która nadawałaby się do tego znacznie bardziej, ale okazało się, że padło właśnie na mnie. W gruncie rzeczy powinnam była o tym wiedzieć od samego początku, bo to mnie zawsze trafiał się Czarny Piotruś, w sensie przenośnym. Kiedy ciągnęliśmy gwiazdkowe losy, zawsze dostawałam karteczkę z nazwiskiem nauczycielki (a co, na miłość boską, można kupić nauczycielce?), kiedy miałam bilety na koncert (lub właśnie czekałam na wyjazd na wspaniałe wakacje), na bank byłam chora, a kiedy zależało mi na tym, żeby wyglądać szczególnie dobrze, na czole wyskakiwał mi pryszcz wielkości trzeciego oka. Podróże w czasie trudno co prawda porównać z pryszczami i

mogą się one nawet wydawać czymś godnym pozazdroszczenia i zabawnym, ale wcale takie nie są. Są raczej uciążliwe, wykańczające nerwowo i niebezpieczne. Nie zapominajmy też o tym, że gdybym nie odziedziczyła tego idiotycznego daru, nigdy nie spotkałabym Gideona, co znaczyłoby, że moje serce – z marcepana czy nie – byłoby wciąż całe. Ten drań był mianowicie jednym z dwanaściorga podróżników w czasie. Jednym z nielicznych, którzy jeszcze żyli. Pozostałych można było spotkać tylko w przeszłości.

– Płakałaś – powiedziała rzeczowo mama.

– A widzisz! – zawołał Xemerius. – Teraz wyciśnie cię jak cytrynę, nie spuści z oka nawet na sekundę i nici z poszukiwań skarbu dzisiaj w nocy.

Miałam ochotę zrobić do niego minę, żeby pokazać, że dziś w nocy nie zamierzam szukać skarbu.

Czyli zachować się jak człowiek wobec niewidzialnych przyjaciół, gdy nie chce, żeby inni wzięli go za wariata, bo gada z powietrzem.

– Powiedz jej, że sprawdzałaś spray pieprzowy i przez pomyłkę prysnęłaś sobie w oczy – zaskrzeczało powietrze.

Byłam jednak za bardzo wyczerpana, by szukać wymówek. Spojrzałam na mamę załzawionymi oczami i spróbowałam po prostu powiedzieć jej prawdę. Oczywiście pomijając co nieco.

– To tylko... nie czuję się dobrze, bo... takie tam dziewczynskie sprawy, rozumiesz...

– Och, skarbie...

– Jak zadzwonię do Leslie, zaraz poczuję się lepiej.

Ku mojemu i Xemeriusa wielkiemu zdziwieniu mama zadowolila się tym wyjaśnieniem. Zaparzyła mi herbatę, postawiła dzbanek wraz z moją ulubioną filiżanką w groszki na nocnym stoliku, pogłaskała mnie po głowie, a potem zostawiła w spokoju. Obyło się nawet bez zwyczajowych komunikatów godzinowych („Gwen! Jest po dziesiątej, rozmawiasz już od czterdziestu minut! Przecież zobaczycie się jutro w szkole!"). Czasem naprawdę była najlepszą mamą na świecie.

Wzdychając, zwiesiłam nogi z łóżka, wstałam i powlokłam się w kierunku łazienki. Omiótł mnie chłodny podmuch.

– Xemerius? Jesteś tu? – spytałam półgłosem i wyciągnęłam rękę, szukając na ścianie kontaktu.

– To zależy. – Xemerius zwisał głową w dół z lampy w korytarzu i mrugał oślepiiony. – Tylko jeśli nie zmienisz się znowu w pokojową fontannę! – Jego głos stawał się wysoki i płaczliwy, kiedy mnie naśladował, i to niestety dość dobrze. „A potem on mi powiedział, nie masz pojęcia, o czym mówisz, i wtedy ja mu powiedziałam, tak albo nie, a on na to powiedział: tak, ale proszę cię, przestań płakać...”. – Westchnął teatralnie. – Dziewczyny są naprawdę najbardziej męczącym rodzajem ludzi, jaki istnieje. Zaraz po emerytowanych urzędnikach skarbowych, sprzedawczyniach w sklepie z pończochami i przewodniczącymi związków ogródków działkowych.

– Niczego ci nie zagwarantuję – szepnęłam, żeby nie obudzić reszty rodziny. – Najlepiej nie rozmawiajmy już–ty–wiesz—o–kim, bo w przeciwnym razie... hm... pokojowa fontanna znowu wytryśnie.

– I tak mnie trzęsie na sam dźwięk jego imienia. Zrobimy wreszcie coś sensownego? Na przykład poszukamy skarbu?

Sensowne byłoby może teraz pójście spać, ale niestety byłam znowu całkowicie rozbudzona.

– Jeśli o mnie chodzi, możemy zacząć szukać. Ale najpierw pójde pozbyć się herbaty.

– He?

Pokazałam na drzwi od łazienki.

– Aha – mruknął Xemerius. – To ja tu poczekam.

W łazienkowym lustrze wyglądałam znacznie lepiej, niż się tego spodziewałam. Niestety, nie było ani śladu suchot. Tylko powieki miałam odrobinę opuchnięte, jakbym nałożyła trochę za dużo różowego cienia.

– Gdzie właściwie byłeś przez cały ten czas, Xemeriusie? – zapytałam, wróciwszy na korytarz. –

Może przypadkiem u...

– U kogo? – Xemerius zrobił oburzoną minę. – Chyba nie pytasz mnie o tego, którego imienia nie wolno wymieniać?

– Hm, tak.

Bardzo chciałam wiedzieć, co dziś wieczorem robił Gideon. Jak tam jego ramię? A może z kimś o mnie rozmawiał? Na przykład w stylu: „To jedno wielkie nieporozumienie. Oczywiście, że kocham

Gwendolyn. Nigdy przed nią niczego nie udawałam”.

– Nie, nie, na to nie dam się nabrać. – Xemerius rozłożył skrzydła i sfrunął na podłogę. Siedząc przede mną, sięgał mi do kolan. – Ale to nie tak, że mnie całkiem nie było. Dokładnie rozejrzałam się po domu. Jeśli ktoś może znaleźć ten skarb, to tylko ja. Już choćby dlatego, że nikt z was nie potrafi przenikać przez ściany. Albo splądrować szuflad twojej babki tak, żeby go nie złapano.

– Bycie niewidzialnym musi przecież mieć także jakieś zalety – rzekłam, nie dodając już, że on w ogóle nic nie może splądrować, ponieważ swoimi pazurami nie jest w stanie otworzyć szuflady.

Żaden z duchów, jakie dotąd spotkałam, nie potrafił poruszać przedmiotów. Większości nie udawało się nawet wytworzyć chłodnego podmuchu. – Ale wiesz, że nie szukamy skarbu, tylko wskazówki mojego dziadka, która w jakiś sposób ma nam pomóc.

– Ten dom jest pełen rupieci, które naprawdę nadawałyby się na skarby. Nie mówiąc już o przeróżnych kryjówkach –ciągnął Xemerius niezrażony. – Niektóre ściany na pierwszym piętrze są podwójne, a między nimi znajdują się korytarze, tak wąskie, że z całą pewnością nie są przeznaczone dla ludzi o tłustych tyłkach.

– Naprawdę? – Takich korytarzy do tej pory nie odkryłam. –A jak się tam wchodzi?

– W większości pokoi drzwi po prostu zostały przykryte tapetą, ale jest wejście w szafie twojej ciotecznej babki, a także za tym potężnym bufetem w jadalni. I kolejne w bibliotece, klasycznie ukryte za regałem z książkami. Nawiasem mówiąc, z biblioteki jest przejście na schody prowadzące do mieszkania pana Bernharda i jeszcze jedno, na drugie piętro.

– To by wyjaśniało, dlaczego pan Bernhard zawsze po prostu wyrasta jak spod ziemi – mruknęłam.

– To nie wszystko. W głównym przewodzie kominowym przy ścianie przylegającej do posesji numer 83 jest drabina, po której można wspiąć się na dach. Z kuchni nie da się już tam przejść, komin został zamurowany, ale

w szafie na końcu korytarza na drugim piętrze jest kłapa, wystarczająco duża dla Świętego Mikołaja. Albo dla waszego niezwykłego lokaja.

– Albo dla kominiarza.

– A co dopiero piwnica! – Xemerius jakby nie słyszał mojej uwagi. – Czy wasi sąsiedzi wiedzą, że istnieje tajne wejście do ich domu? Tylko nie można bać się pajaków, jeśli się tam czegoś szuka.

– To lepiej poszukajmy gdzie indziej – powiedziałam szybko, zupełnie zapominając, że powinnam mówić szeptem

– Gdybyśmy wiedzieli, czego szukamy, byłoby oczywiście prościej. – Xemerius podrapał się tylną

łapą po brodzie. –A tak w gruncie rzeczy to może być wszystko: wypchany krokodyl w obzejdzie, butelka szkockiej za książkami w bibliotece, stos listów w tajnej szufladzie sekretarzyka twojej ciotecznej babki, skrzynka zamurowana w ścianie...

– Skrzynka zamurowana w ścianie? – przerwałam mu. –I co to jest obzejda?

– To taka przybudówka. – Xemerius wskazał głową. – Och, coś mi się zdaje, że obudziłaś brata.

Podniosłam wzrok. Mój dwunastoletni brat Nick stał w drzwiach swojego pokoju i obiema rękami czochrał sobie splątane rude włosy.

– Z kim ty gadasz, Gwenny?

– Jest środek nocy – szepnęłam. – Wracaj do łóżka, Nick. Rzucił mi niezdecydowane spojrzenie i dosłownie widziałam, jak z sekundy na sekundę opuszcza go senność.

– Co jest z tą skrzynką zamurowaną w ścianie?

– Chciałam... chciałam jej poszukać, ale zdaje mi się, że lepiej będzie poczekać, aż zrobi się jasno.

– Bzdura! – wtrącił Xemerius. – Widzę w ciemnościach jak... no, powiedzmy, jak sowa. A poza tym raczej trudno ci będzie przeszukać dom, kiedy wszyscy będą na nogach. Chyba że chcesz jeszcze więcej towarzystwa.

– Mam latarkę – oznajmił Nick. – A co jest w tej skrzynce?

– Tego nie wiem dokładnie. – Zastanowiłam się chwilę. –Możliwe, że coś od dziadka.

– Och! – Nick był coraz bardziej zaniepokojony. – A gdzie mniej więcej ukryta jest ta skrzynka?

Spojrzałam pytająco na Xemeriusa.

– Widziałem ją w bocznym tajnym korytarzu za tym tłustym gościem z bokobrodami, siedzącym na koniu – powiedział Xemerius. – Ale kto by ukrywał tajemnice... to znaczy skarby w nudnej skrzyni?

Moim zdaniem krokodyl jest o wiele bardziej obiecujący. Kto wie, czym go wypchano. Jestem za tym, żeby go rozciąć.

Ponieważ krokodyl i ja zawarliśmy już kiedyś znajomość, byłam temu przeciwna.

– Najpierw zajrzemy do skrzyni. Podwójna ściana to już brzmi dobrze.

– Nuuuuuuuuudy! – zaskrzeczał Xemerius. – Pewnie jeden z twoich przodków ukrył tam przed swoimi starymi tytoń do fajki... albo... – Najwyraźniej przyszła mu do głowy myśl, która go ożywiła, bo nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Albo poćwiartowane szczątki rozwiązłej pokojówki!

– Skrzynka znajduje się w tajnym korytarzu za obrazem ciotecznego praprapradziadka Hugh – wyjaśniłam Nickowi. –Ale...

– Skoczę po latarkę. – Mój brat zdążył się już odwrócić.

– Przecież nic się nie stanie, jeśli z nami pójdzie. – Xemerius rozłożył skrzydła. – Zrobię szybciotko kółeczko i sprawdzę, czy reszta rodziny śpi mocno i głęboko. Nie chcemy, żeby twoja wścibska ciotka dorwała nas, kiedy znajdziemy diamenty.

– Jakie diamenty?

– Raz pomyśl optymistycznie. – Xemerius już odlatywał z łopotem. – A co byś wolała? Diamenty czy zgniłe szczątki rozwiązłej pokojówki? To wszystko kwestia nastawienia. Spotkamy się przed grubym wujem z chabetą

– Rozmawiasz z duchem? – Nick pojawił się za mną, zgasił światło w korytarzu i włączył latarkę.

Skinęłam głową. Nick nigdy nie kwestionował tego, że widzę duchy, wręcz przeciwnie. Już jako czterolatek (ja miałam wtedy osiem lat) bronił mnie zaciekle, gdy ktoś nie chciał mi wierzyć.

Ciotka Glenda na przykład. Za każdym razem się kłóciłyśmy, kiedy szła z nami do Harrodsa i gdy rozmawiałam tam z tym miłym odźwiernym w mundurze, panem Grizzle'em. Ponieważ pan Grizzle nie żył już od pięćdziesięciu lat, to oczywiście nikt nie wykazywał zrozumienia, kiedy zatrzymywałam się i zaczynałam z nim rozmawiać o rodzinie Windsorów (pan Grizzle był żarliwym wielbicielem królowej) i o zbyt deszczowym czerwcu (pogoda była drugim z kolei ulubionym tematem pana Grizzle'a). Niektórzy się śmiali, inni uważali, że dziecięce fantazje są

„boskie” (co najczęściej podkreślali, wicherząc mi włosy), jeszcze inni tylko kręcili głową, ale nikt nie denerwował się tym tak bardzo jak ciotka Glenda. Miała zwyczaj, okropnie wzburzona, ciągnąć mnie za sobą, krzyczała na mnie, kiedy zapierałam się nogami o ziemię, mówiła mi, że powinnam brać przykład z Charlotty (która, nawiasem mówiąc, już wtedy była tak doskonała, że nawet spinka do włosów nie śmiała się jej przekrzywić) i – to było najgorsze – groziła pozbawieniem mnie deseru.

I chociaż wprowadzała swoje groźby w czyn (a ja uwielbiałam desery we wszystkich wydaniach, nawet kompot ze śliwek), po prostu nie miałam serca przejść obojętnie koło pana Grizzle'a. Za każdym razem Nick próbował mi pomóc, błagając ciotkę Glendę, żeby mnie puściła, bo przecież ten biedny pan Grizzle nie ma oprócz mnie nikogo, z kim mógłby porozmawiać, ale ciotka Glenda za każdym razem zrećnie wykluczała go z walki.

– Och, mały Nicku – mówiła słodkim głosem – kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że twoja siostra tylko udaje ważniaczkę? Duchy nie istnieją! A może ty tu jakiegoś widzisz?

Wtedy Nick musiał ze smutkiem pokręcić głową, a ciotka Glenda uśmiechała się triumfalnie. Tego dnia, gdy postanowiła, że nigdy więcej nie zabierze nas do Harrodsa, Nick w zaskakujący sposób zmienił swoją taktykę. Drobnutki i pucołowaty (och, był taki ładniutki jako małe dziecko i tak uroczo seplenił!), stanął przed ciotką Glendą w rozkroku.

– Wiesz, ciociu Glendo, co mi właśnie powiedział pan Grizzle?! – zawołał. – Powiedział, że jesteś złą, pustrowaną czarownicą!

Oczywiście pan Grizzle nigdy by czegoś takiego nie powiedział (był na to o wiele za uprzejmy, a ciotka Glenda była zbyt dobrą klientką), ale

poprzedniego wieczora mama wyraziła się właśnie w ten sposób. Ciotka Glenda mocno zacisnęła usta i odeszła sztywnym krokiem, trzymając Charlotte za rękę. Potem w domu odbyła się między nią a mamą dość paskudna sprzeczka – mama była zła, że musieliśmy sami wracać do domu, a ciotka Glenda bezbłędnie wywnioskowała, że określenie „pustrowana czarownica” padło z ust mamy. Cała ta historia skończyła się tym, że nie wolno nam już było chodzić na zakupy z ciotką Glendą. Za to słowa „pustrowany” używamy chętnie do dziś.

Z czasem przestałam opowiadać ludziom, że widzę rzeczy, których inni nie widzą. To najrozsądniejsze, co można zrobić, jeśli nie chce się być wziętym za wariata. Tylko przed moim rodzeństwem i Leslie nie musiałam udawać, bo oni mi wierzyli. Jeśli chodzi o mamę i ciocię Maddy, nie byłam do końca pewna, ale przynajmniej nigdy nie stroiły sobie ze mnie żartów.

Ponieważ ciocia Maddy od czasu do czasu miewała dziwne wizje, prawdopodobnie dobrze wiedziała, jak czuje się człowiek, kiedy nikt mu nie wierzy.

– Czy on jest miły? – wyszeptał Nick.

Stożek światła jego latarki tańczył po stopniach schodów.

– Kto?

– No, ten duch.

– Tak sobie – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– A jak wygląda?

– Dość ładnie. Ale myśli, że jest niebezpieczny.

Przemykając się na palcach na drugie piętro, gdzie były pokoje cioci Glendy i Charlotty, próbowałam opisać Xemeriusa najlepiej, jak potrafiłam.

– Super – szepnął Nick. – Niewidzialny zwierzak domowy! Naprawdę można ci pozazdrościć!

– Zwierzak domowy! Nigdy tak nie mów w obecności Xemeriusa!

Miałam nadzieję, że usłyszę przez ścianę chrapanie Charlotty, ale oczywiście Charlotta nie chrapała. Ludzie doskonali nie wydają we śnie żadnych brzydkich dźwięków. To pustrujące.

Pół piętra niżej mój młodszy brat ziewnął, a mnie opadły wyrzuty sumienia.

– Posłuchaj, jest wpół do czwartej, a ty od rana masz lekcje. Mama mnie zabije, jak się dowie, że nie dajesz ci spać.

– Nie jestem ani trochę zmęczony! A ty byś była wstrętna, gdybyś szukała dalej beze mnie. Co takiego ukrył dziadek?

– Nie mam pojęcia.

Może książkę, w której wszystko mi wyjaśnia? Albo przynajmniej list? Dziadek był Wielkim

Mistrzem Strażników. Dobrze wiedział o mnie i tej całej sprawie z podróżkami w czasie i wiedział też, że to nie Charlotta odziedziczyła gen. Spotkałam go w przeszłości i wszystko mu opowiedziałam.

– Ale ci dobrze – szepnął Nick. – Szczerze mówiąc – dorzucił niemal zawstydzony – prawie go nie pamiętam. Wiem tylko, że zawsze miał dobry humor i był łagodny, całkiem odwrotnie niż łady

Arista. Poza tym zawsze pachniał karmelem i jakimiś śmiesznymi przyprawami.

– To był jego tytoń do fajki. Uważaj! – Zatrzymałam Nicka w ostatniej chwili.

Minęliśmy drugie piętro, ale w drodze na pierwsze było kilka rozeschniętych stopni, które strasznie skrzypiały. Lata przekradania się do kuchni musiały przynieść jakieś skutki. Ominęliśmy te miejsca i w końcu dotarliśmy do obrazu z praprapra-dziadkiem Hugh.

– Okej, to spróbujmy!

Nick zaświecił latarką naszemu przodkowi w twarz.

– To świństwo, że nazwał swojego konia Grubą Andzią. Przecież to zwierzę jest chude jak szkielet, a on sam wygląda jak tucznik z brodą!

– Zgadza się, też tak uważam. – Pomacałam ramę w poszukiwaniu rygła uruchamiającego mechanizm otwierania drzwi, który zawsze trochę się zacinał.

– Wszyscy śpią jak najedzone niemowlaki. – Zasapany Xe-merius wylądował obok nas na stopniu. – To znaczy wszyscy prócz pana Bernharda. On najwidoczniej cierpi na zaburzenia snu. Ale nie ma strachu, nie pomiesza nam szyków. Obłożył się w kuchni drobiowymi kiełbaskami i ogląda film z Clintem Eastwoodem.

– Bardzo dobrze.

Obraz, skrzypiąc jak zwykle, odchylił się do przodu, odsłaniając wejście na kilka schodków między ścianami, a zaledwie półtora metra dalej były kolejne drzwi. Prowadziły do łazienki na pierwszym piętrze i od drugiej strony maskowało je wysokie lustro. Dawniej dla zabawy często się tamtędy przekradaliśmy (dreszczyk emocji brał się stąd, że nigdy nie było wiadomo, czy ktoś akurat nie korzysta z łazienki), ale do tej pory nie udało się nam odkryć, do czego naprawdę służy to tajemne przejście. Może jednemu z naszych przodków po prostu spodobał się pomysł, że w każdej chwili może zniknąć z ustronnego miejsca?

– Gdzie znajduje się ta skrzynka, Xemeriusie? – spytałam.

– Na lewo. Między szczanami.

Nie widziałam dobrze w półmroku, ale to zabrzmiało tak, jakby Xemerius miał coś w pysku.

– Na tym Xemeriusie można sobie połamać język – zauważył Nick. – Ja bym go nazwał Xemi. Albo Merry. Mogę pójść po tę skrzynkę?

– Stoi po lewej stronie – powiedziałam.

– Szam szobie połam język – rzucił Xemerius. – Kszemi albo Merry – chciałbyś, jeszcze czego!

Pochodzę z rodu potężnych demonów o długiej tradycji i nasze imiona...

– Co ty masz w ustach? Xemerius splunął i mlasnął.

– Już nic. Zżarłem gołębia, który spał na dachu. Durne pióra.

– Przecież ty nie jesz!

– Nie ma o niczym pojęcia, a wszędzie wtrąca swoje trzy grosze – prychnął z urazą Xemerius. – I nawet gołąbka mi zabrania.

– Nie możesz zjeść gołębia – powiedziałam. – Jesteś duchem.

– Jestem demonem! Mogę jeść wszystko, co zechcę! Raz nawet pożarłem księdza! Z sutanną i koloratką! Co się gapisz z takim niedowierzaniem?

– Lepiej uważaj, żeby nikt nie nadszedł.

– Hej! Czyżbyś mi nie wierzyła? Nick świecił teraz latarką po ścianach.

– Nic nie widzę.

– Skrzynka stoi za cegłami. Między ścianami, ty pusty łbie – powiedział Xemerius. – A ja nie kłamię.

Jak mówię, że zżarłem gołębia, to zżarłem.

– Stoi za ceglami między ścianami – poinformowałam Nicka.

– Ale żadna z tych cegieł nie wygląda na obluzowaną. – Nick przyklęknął na podłodze i zaczął uważnie macać ścianę.

– Haaallooo! Rozmawiam z tobą – rzucił Xemerius. – Czy ty mnie czasem nie ignorujesz, bekso lalo...? No dobra, to był gołąb duch! – wrzasnął, kiedy się nie odezwałam. – Ale liczy się tak samo.

– Gołąb duch! Koń by się uśmieiał! Nawet gdyby istniały gołębie duchy, a ja jeszcze nigdy takiego nie widziałam, i tak nie mógłbyś ich zeżreć. Duchy nie mogą się wzajemnie zabijać.

– Wszystkie cegły siedzą mocno – oznajmił Nick. Xemerius parsknął gniewnie.

– Po pierwsze: gołębie też mogą od czasu do czasu zdecydować, że zostaną na ziemi jako duchy,

Bóg wie po co. Może mają niezalatwione porachunki z kotem. Po drugie, wytłumacz mi, w jaki sposób potrafisz odróżnić prawdziwego gołębia od gołębia ducha! I po trzecie: z ich życiem duchów koniec, kiedy je pożrę. Bo ja nie jestem zwykłym duchem, lecz demonem, co mówiłem już setki razy. Być może nie potrafię działać zbyt wiele w waszym świecie, ale w świecie duchów jestem całkiem ważną szychą. Kiedy to wreszcie pojdziesz?

Nick przymierzył się i kopnął kilka razy w ścianę.

– Nie, nic się nie da zrobić.

– Ćśśśś! Daj spokój, za głośno. – Wychyliłam głowę z korytarza i popatrzyłam na Xemeriusa z wyrzutem. – No, super, ważna szycho. Co teraz?

– Co teraz? Nic nie mówiłem o obluzowanych ceglach.

– To jak mamy się tam dostać?

Odpowiedź: „młotkiem i przecinakiem” była zaiste genialna. Tylko że udzielił jej nie Xemerius, lecz pan Bernhard. Zamarłam z przerażenia. Stał tu, metr powyżej mnie. Widziałam, jak w półmroku błyskają jego sowie okulary w złotych ramkach. I zęby. Czy to możliwe, żeby się uśmiechał?

– O rany! – Xemerius ze zdenerwowania aż wypłuł trochę wody. – Chyba wciągnął te kiełbaski nosem. Albo film był do kitu. Na Clincie Eastwoodzie po prostu nie można polegać.

– Cccccc? – Nie byłam w stanie wykrztusić nic innego.

– Najlepiej byłoby wziąć młotek i przecinak – z niewzruszonym spokojem powtórzył pan Bernhard.

– Ale proponuję, żebyśmy przełożyli to przedsięwzięcie na później. Choćby dlatego, żeby nie zakłócać ciszy nocnej, kiedy będzie pani wydobywać skrzynkę z kryjówki. Och, jest tu także mistrz

Nick! – Spojrzał w strumień światła latarki Nicka, nie mrugając oczami. – Boso! Przeiębi się pan.

On sam miał pantofle i elegancki szlafrok z wyhaftowanym monogramem. W.B. (Walter? Willy?

Wigand? Dla mnie pan Bernhard był zawsze człowiekiem bez imienia).

– Skąd pan wie, że szukamy skrzynki? – spytał Nick.

Głos miał pewny, ale w jego szeroko otwartych oczach widziałam, że jest tak samo wystraszony i oszołomiony jak ja. Pan Bernhard poprawił sobie okulary.

– Hm, zapewne stąd, że osobiście zamurowałem tę skrzynkę. Jest to kunsztownie rzeźbiona intarsjowana szkatuła, antyk z początków osiemnastego wieku, która należała do pani dziadka.

– A co jest w środku? – spytałam, kiedy znów mogłam mówić. Pan Bernhard popatrzył na mnie surowo.

– Oczywiście nie miałem prawa o to zapytać. Ja tylko ukryłem tę skrzynkę na polecenie pani dziadka.

– Niech mi nie wciska głupot – wtrącił zrzędliwie Xeme-rius. – Przecież wszędzie wtyka ten swój ciekawski nos. I zakrada się, uśpiwszy uprzednio czyjaś czujność za pomocą drobiowych kiełbasek.

Ale to wszystko twoja wina, płaczliwy niedowiarku! Gdybyś nie posądziła mnie o kłamstwo, ten sędziwy zbieg łóżkowy nie zaskoczyłby nas tutaj.

– Oczywiście chętnie pomogę pani wydobyć tę skrzynkę – ciągnął Bernhard.
– Ale najlepiej dziś wieczorem, kiedy pani babcia i ciotka udadzą się na spotkanie dam z klubu rotarian. Dlatego proponowałbym, żebyśmy teraz wszyscy poszli spać, bo w końcu muszą państwo rano iść do szkoły.

– No jasne, a w tym czasie on nam to stąd wykradnie – powiedział Xemerius. – Zgarnie wszystkie diamenty, a do skrzynki włoży parę starych orzechów. Znamy te numery.

– Bzdura – mruknęłam.

Gdyby pan Bernhard miał taki zamiar, dawno już by to zrobił, prócz niego nikt przecież o niej nie wiedział. Co, do wszystkich diabłów, było w tej skrzynce, którą dziadek kazał zamurować we własnym domu?

– Dlaczego chce pan nam pomóc? – spytał Nick, dość obcesowo uprzedzając pytanie, które miałam na końcu języka.

– Ponieważ umiem się dobrze posługiwać młotkiem i przecinakiem – odrzekł cicho pan Bernhard. – I ponieważ, niestety, wasz dziadek nie może tu być – dorzucił jeszcze ciszej – żeby wspierać pannę Gwendolyn.

Nagle coś ścisnęło mnie mocno za gardło i musiałam siłą powstrzymać napływające łzy.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Proszę nie cieszyć się zbyt wcześnie. Klucz do skrzynki... zaginął. A nie wiem, czy będę miał serce potraktować tę cenną szkatułkę łomem. – Pan Bernhard westchnął.

– To znaczy, że nic pan nie powie naszej mamie ani lady Ariście? – spytał Nick.

– Nie, jeśli natychmiast pójdziecie do łóżek. – Nim się odwrócił i ruszył po schodach w górę, znowu dostrzegłam, jak w ciemnościach lśnią jego zęby. – Dobranoc. Proszę spróbować jeszcze trochę się przespać.

– Dobranoc, panie Bernhard – mruknęliśmy ja i Nick jednym głosem.

– Szczwany lisie – powiedział Xemerius. – Tylko sobie nie myśl, że spuszczę cię z oczu.

*Gdy krąg krwi swe znajdzie dopełnienie,
W magicznym kamieniu ukrytej
wieczności, W młodości szatach nowej sity tchnienie,
Będzie mu dana moc
nieśmiertelności.*

*Lecz strzeż się! Dwunastej gwiazdy powstanie Ziemskiego czasu zacznie
odliczanie. Zniknie młodości wieczystej ochrona, Dąb wieczny swego żywota
dokona.*

*Lecz cel swój osiągnąć orzeł zdoła, Gdy się dwunastej gwiazdy blask
rozpłynie. Jeśli z miłości sama los przywoła I w pożodze tej miłości zginie.*

Z tajnych pism hrabiego de Saint Germain

Rozdział 2

A więc? – Cynthia, koleżanka z klasy, stanęła przed nami, podpierając się pod boki i zastawiając drogę na pierwsze piętro. Uczniowie, którzy musieli się przeciskać koło nas z lewej i prawej strony, zaczęli narzekać na tłok. Cynthii to jednak nie ruszało. Zwijała w palcach paskudny krawat, będący częścią szkolnego mundurka w Saint Lennox, i miała bardzo poważną minę. – Jak wygląda sprawa z waszymi kostiumami?

W najbliższy weekend były jej urodziny i zaprosiła nas na doroczny bal przebierańców.

Zdenerwowana Leslie potrząsnęła głową.

– Wiesz, Cyn, sprawiasz wrażenie coraz bardziej stukniętej. To znaczy wcześniej też byłaś dziwna, ale w ostatnim czasie to szczególnie rzuca się w oczy. Przecież nikt nie pyta swoich gości, jak się przebiorą na imprezę!

– Właśnie! Żeby nie było tak, że na koniec będziesz się musiała bawić sama. – Spróbowałam przemknąć obok Cynthii, ale ona błyskawicznym ruchem ręki złapała mnie za ramię.

– Za każdym razem wymyślam najciekawsze hasła i zawsze zdarzają się tacy, którzy nie przestrzegają zasad i psują zabawę – powiedziała. – Przypominam wam tylko o karnawale zwierząt.

O osobach, które pojawiły się z piórkiem wetkniętym we włosy, twierdząc, że przebrały się za kury!

Tak, tak, możesz patrzeć na mnie z poczuciem winy, Gwen. Wiem dokładnie, czyj to był pomysł.

– Nie każdy ma mamę, której pasją jest robienie masek słonia z papieru – rzuciła Leslie, podczas gdy ja tylko ponuro mruknęłam, że musimy już iść.

Darowałam sobie uwagę, że w tej chwili mam gdzieś imprezę u Cynthii. Prawdopodobnie i tak było to po mnie widać. Uścisk na moim ramieniu stał się mocniejszy.

– A pamiętasz jeszcze plażową imprezę Barbie? – Na wspomnienie tej imprezy Cynthią aż wstrząsnął dreszcz, szczerze mówiąc, zupełnie słusznie. Wzięła głęboki wdech. – Tym razem chcę być was zupełnie pewna. „Tak pięknie zieleń się zieleni” to cudowne hasło i nikomu nie dam zepsuć zabawy.

Żebyśmy się dobrze zrozumiwały: nie wystarczy zielony lakier do paznokci czy zielona apaszka.

– Dasz mi spokój, jak podbiję ci oko na niebiesko?! – warknęłam. – Do imprezy na pewno zrobi się zielone.

Cynthia jakby mnie nie słyszała.

– Ja na przykład wystąpię jako wiktoriańska kwiaciarka Eliza Doolittle*. Sara ma genialny kostium strąka papryki, tylko nie wiem, co zrobi, jak będzie musiała iść do toalety. Gordon przyjdzie jako

łaka ze stokrotkami, od stóp do głów w sztucznym trawniku.

– Cyn... – Niestety, nie dała się odsunąć na bok.

– A Charlotta szyje sobie kostium u krawcowej. Ale jej strój to na razie tajemnica. Prawda,

Charlotto?

Moja kuzynka Charlotta, zakleszczona między piątoklasista-mi, próbowała ustać w miejscu, ale została bezlitośnie porwana przez tłum uczniów.

– No cóż, właściwie nietrudno zgadnąć. Powiem tylko tyle: tiul w siedmiu odcieniach zieleni. I wygląda na to, że pojawię się w towarzystwie króla Oberona! – Ostatnie zdanie Charlotta musiała już wykrzyzczyć przez ramię.

Patrzyła przy tym na mnie i dziwnie się uśmiechała. Tak samo zachowywała się przy śniadaniu.

Byłam bliska tego, żeby rzucić w nią pomidorem.

– Grzeczna Charlotta – powiedziała z zadowoleniem Cynthia. – Przyjdzie na zielono i w męskim towarzystwie. Takich gości lubię najbardziej.

Chyba tym męskim towarzystwem Charlotty nie miał być... nie, wykluczone. Gideon nigdy nie przyczepiłby sobie szpiczastych uszu. A może jednak? Patrzyłam na Charlotte, która nawet w tłumie poruszała się niczym królowa. Błyszczące rude włosy splotła w staromodny warkocz i dziewczyny z młodszych klas gapiły się na nią z tą mieszaniną niechęci i podziwu, jaka bierze się wyłącznie z czystej zazdrości. Pewnie jutro wszystkie długie włosy będą splecione w takie śliczne warkocze.

– A więc: jako kto i z kim przyjdziecie? – spytała Cynthia.

– Jako Marsjanie, o, najlepsza gospodyni wszech czasów – odrzekła Leslie, wzdychając z rezygnacją.

– A kogo przyprowadzimy, to na razie niespodzianka.

– Och, okej. – Cynthia puściła moje ramię. – Marsjanie. Niezbyt pięknie, ale oryginalnie. I żebyście się czasem nie rozmyśliły. – Bez pożegnania skierowała się w stronę kolejnej ofiary. –Katie! Halo!

Zatrzymaj się! Chodzi o moją imprezę!

– Marsjanie? – powtórzyłam, kierując wzrok w stronę niszy, w której zwykle stał James, nasz szkolny duch, ale w tej chwili nisza była pusta.

– Jakoś musiałyśmy się jej pozbyć – powiedziała Leslie. –Impreza! Phi, kto by się teraz czymś takim przejmował?

– Czy ktoś tu mówi o imprezie? Ja też idę. – Brat Gideona, Raphael, pojawił się tuż za nami i jakby to było oczywiste, wcisnął się między nas, biorąc mnie pod rękę i obejmując Leslie w talii. Miał bardzo dziwnie zawiązany krawat. To znaczy, zawiązał podwójny węzeł. – A ja już myślałem, że wy, Anglicy, nie lubicie imprez. Wystarczy tylko sobie przypomnieć, o której zamyka się tu puby.

Leslie wyrwała mu się gwałtownie.

– Niestety, muszę cię rozczarować. Doroczny bal przebierańców u Cynthii ma niewiele wspólnego z imprezowaniem. Chyba że lubisz imprezy, na których rodzice pilnują, żeby nikt nie dodał do napojów alkoholu albo nie poleł nim deseru.

– Niby tak, ale za to zawsze grają z nami w baaardzo wesołe gry – wzięłam rodziców Cynthii w obronę. – I najczęściej są też jedynymi, którzy tańczą. – Spojrzałam na Raphaela z boku i szybko odwróciłam wzrok, ponieważ jego profil był uderzająco podobny do profilu Gideona. – Szczerze mówiąc, dziwię się, że Cynthia cię jeszcze nie zaprosiła.

– Ależ zaprosiła. – Raphael westchnął. – Powiedziałem, że jestem już umówiony. Nienawidzę tematycznych imprez, na które trzeba się przebrać. Ale gdybym wiedział, że wy idziecie...

Właśnie miałam zaproponować, że zawiążę mu prawidłowo krawat (jeśli o to chodzi, szkolny regulamin był dość surowy), ale wtedy znowu objął Leslie w talii.

– Czy mówiłaś Gwendolyn – zapytał wesoło – że zlokalizowaliśmy ten skarb z waszej gry mistery?

Znalazłyście go już?

– Tak – potwierdziła krótko Leslie. Zauważyłam, że tym razem mu się nie wyrwała.

– I jak dalej toczy się ta gra, *mignonne**!

– Właściwie to nie jest żadna... – zaczęłam, ale Leslie wpadła mi w słowo.

– Przykro mi, Raphaelu, ale nie możesz już z nami grać –oznajmiła chłodno.

– Co takiego? No, moim zdaniem to nie jest fair!

Też uważałam, że to nie fair. W końcu nie graliśmy w żadną grę, z której moglibyśmy wykluczyć biednego Raphaela.

– Leslie uważa tylko, że... Leslie znowu mi przerwała.

– No cóż, po prostu życie nie jest fair – powiedziała, chyba jeszcze bardziej chłodno. – Podziękuj za to swojemu bratu. Jak na pewno dobrze wiesz, w tej grze stoimy po przeciwnych stronach. I nie możemy ryzykować, że przekażesz Gideonowi jakieś informacje. On zaś, nawiasem mówiąc, jest strasznym du..., to znaczy jest dość niemiłym człowiekiem.

– Leslie!

Czyżby dobry duch ją opuścił?

– Co proszę? To poszukiwanie skarbów ma coś wspólnego z moim bratem i podróżami w czasie? – Raphael puścił nas obie i stanął jak wryty. – A czy wolno spytać, co takiego wam zrobił?

– Nie udawaj, że nie wiesz – odrzekła Leslie. – Ty i Gideon na pewno gadacie ze sobą o wszystkim. – Mrugnęła do mnie.

Mogłam odpowiedzieć tylko zmieszonym spojrzeniem.

– Nie, nie gadamy! – wykrzyknął Raphael. – Prawie nie mamy dla siebie czasu! Gideon przez cały czas ma jakieś tajne misje. A jeśli już jest w domu, ślęczy nad poufnymi aktami albo wypatruje ukrytych dziur w suficie. Albo jeszcze gorzej: pojawia się Charlotta i wszystkich wkurza. – Zrobił tak nieszczęśliwą minę, że najchętniej bym go przytuliła. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi... – dorzucił cicho, a ja miałam jeszcze większą ochotę go przytulić. – Wczoraj po południu odniosłem wrażenie, że naprawdę dobrze się rozumiemy.

Leslie – a może powinnam raczej powiedzieć: „moja przyjaciółka, Królowa Śniegu” – tylko wzruszyła ramionami.

– No, wczoraj było miło. Ale bądźmy szczerzy, prawie się nie znamy. W takiej sytuacji trudno od razu mówić o przyjaźni.

– A więc wykorzystałaś mnie, żeby określić te współrzędne –podsumował Raphael i spojrzał badawczo na Leslie, zapewne w nadziei, że zaprzeczy.

– Tak jak powiedziałam, życie nie zawsze jest fair. – Dla Leslie najwyraźniej cała sprawa była już zakończona. Pociągnęła mnie. – Gwen, musimy się pospieszyć – rzuciła. – Dziś pani Counter przydziela tematy referatów. A ja nie mam ochoty zajmować się wschodnimi krańcami delty Gangesu.

Obejrzałam się na Raphaela, który wydawał się nieco zbity z tropu. Próbował wsadzić ręce do kieszeni i stwierdził przy tym, że w spodniach od mundurka w ogóle nie ma kieszeni.

– Och, Leslie, popatrz tylko na niego – szepnęłam.

– ...ani o grupach etnicznych, których nazw nie da się wymówić.

Złapałam ją za ramię, tak jak wcześniej Cynthia złapała mnie.

– Co z tobą, słoneczko? – wyszeptalam. – Dlaczego dałaś Raphaelowi taką blachę? Czy to jakaś część twojego planu, której jeszcze nie znam?

– Ja tylko jestem ostrożna. – Leslie spojrzała na tablicę ogłoszeń. – Och, jak cudnie! Jest nowe kółko, projektowanie biżuterii. A propos biżuterii. – Spod kołnierzyka swojej bluzki wyciągnęła

łańcuszek. – Patrz, noszę ze sobą kluczyk, który podarowałaś mi po swojej podróży w czasie. Czy to nie super? Wszystkim mówię, że to klucz do mojego serca.

Ten jej manewr, który miał odwrócić moją uwagę, tym razem nie zadziałał.

– Leslie, to nie wina Raphaela, że jego brat to drań. I wierzę mu, kiedy mówi, że nie ma pojęcia o tajemnicach Gideona. Jest tutaj nowy i nie zna nikogo...

– Na pewno znajdzie wystarczająco wiele osób, które z radością się nim zajmą. – Leslie w dalszym ciągu uparcie omijała mnie wzrokiem. Pięgi tańczyły na jej nosie. – Zobaczysz, jutro nie będzie już o mnie pamiętał i do jakiejś innej będzie mówił *mignonne*.

– Tak, ale... – Dopiero gdy dostrzegłam zdradziecki rumieniec na twarzy Leslie, oświeciło mnie. – Och, rozumiem! Twoje nieuprzejme zachowanie nie ma nic wspólnego z Gideonem! Ty masz tylko pietra, że zakochasz się w Raphaelu!

– Bzdura. W ogóle nie jest w moim typie!

Aha. To wszystko wyjaśniało. W końcu znałam Leslie od wieków i była moją najlepszą przyjaciółką. Tą odpowiedzią nie wyprowadziłaby w pole nawet Cynthii.

– Daj spokój, Les. Przed kim się zgrywasz? – Musiałam się roześmiać.

Leslie w końcu odwróciła wzrok od ogłoszeń i spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem.

– A nawet gdyby! W tej chwili nie możemy sobie pozwolić na to, żebyśmy obie cierpiały na hormonalne rozmiękczenie mózgu. Chyba wystarczy, że jedna z nas jest niepoczytalna.

– Wielkie dzięki.

– Przecież to prawda! Ponieważ jesteś zajęta wyłącznie Gideonem, po prostu nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. Potrzebujesz kogoś, kto myśli trzeźwo, i tym kimś jestem ja. Nie dam się wkręcić temu Francuzowi, to postanowione.

– Ach, Les! – Spontanicznie rzuciłam jej się na szyję. Nikt, nikt na świecie nie ma takiej cudownej, zwariowanej, mądrej przyjaciółki jak ja. – Jakie to byłoby straszne, gdybyś ze względu na mnie musiała zrezygnować ze szczęśliwej miłości!

– Już nie przesadzaj – prychnęła mi Leslie do ucha. – Jeśli ten gość jest choć w połowie taki jak jego brat, najpóźniej po tygodniu złamałby mi serce.

– No i co? – Żartobliwie wymierzyłam jej kuksańca. – Przecież jest z marcepanu, który zawsze można uformować od nowa!

– Nie rób sobie z tego żartów. Serca z marcepanu to taka przenośnia, z której jestem naprawdę dumna.

– No jasne. Pewnego dnia będziesz cytowana we wszystkich podręcznikach świata. Przenośnia słynnej Leslie Hay.

– To niestety nieprawda – rozległ się głos obok nas. Należał do naszego nauczyciela angielskiego, pana Whitmana, który znów wyglądał o wiele za dobrze jak na nauczyciela.

„A cóż pan może wiedzieć o konsystencji damskich serc?” – spytałabym chętnie, ale wobec pana

Whitmana lepiej się było powstrzymać. Tak samo jak pani Counter chętnie dawał zadania domowe na wymyślne tematy i potrafił być równie nieugięty, jak był przystojny.

– A cóż takiego jest nieprawdą? – spytała Leslie, za nic mając wszelką ostrożność.

Przyglądał się nam, kręcąc głową.

– Myślałem, że wystarczająco szeroko omówiliśmy przerośnięcie, porównania, symbole i obrazy.

Wyrażenie „złamane serce” można zaliczyć do przerośnięcia, a „serce z marcepanu”? A kogóż to interesuje, do diabła? Od kiedy lekcja zaczyna się już na korytarzu?

– Hm, symbol... eee... epitet? – zgadywałam. Pan Whitman skinął głową.

– Chociaż dość kiepski – dodał ze śmiechem, ale zaraz znów spoważniał. – Wyglądasz na zmęczoną,

Gwendolyn. Przeleżałaś bezsennie całą noc, dręczyłaś się i przestałaś rozumieć ten świat, nieprawdaż?

Ależ... to wszystko nie powinno go nic a nic obchodzić. I współczujący ton też mógł sobie darować.

Westchnął.

– To chyba jest dla ciebie trochę za dużo. – Okręcił na palcu sygnetyk identyfikujący go jako jednego ze Strażników. – Można się było tego spodziewać. Może doktor White powinien ci coś przepisać, żebyś przynajmniej w nocy miała spokój.

Moje osłupiałe spojrzenie skwitował zachęcającym uśmiechem, a potem odwrócił się i wszedł przed nami do klasy.

– Czy ja się przesłyszałam, Leslie, czy pan Whitman właśnie zaproponował, żeby zaaplikować mi środek nasenny? – spytałam. –1 to zaraz po tym, jak powiedział, że wyglądam do bani

– Tak, to by mu pewnie pasowało! – parsknęła Leslie. –W dzień marionetka w rękach Strażników, w nocy odurzona, wszystko po to, żeby nie przyszło ci do głowy nic głupiego. Ale nie z nami te numery. – Energicznie odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. – Pokażemy im, że mocno cię nie doceniają.

– Ech – westchnęłam, ale Leslie rzuciła mi ponure i stanowcze spojrzenie.

– Stworzyć plan główny, pierwsza przerwa, damska toaleta.

– Rozkaz! – odpowiedziałam.

Nawiasem mówiąc, pan Whitman nie miał racji: wcale nie wyglądałam na zmęczoną (sprawdziłam to wielokrotnie w lustrze w damskiej toalecie) i tak nie czułam. Po naszej nocnej akcji poszukiwawczej dość szybko zasnęłam i nie miałam żadnych koszmarów. Może nawet śniło mi się coś pięknego, bo w tych magicznych sekundach między snem a przebudzeniem czułam się pewna siebie i pełna nadziei. Jednak wraz z ostatecznym przebudzeniem znowu wkradły się do mojej świadomości smutne fakty, a przede wszystkim jeden: Gideon tylko udawał.

Mimo to odrobina nadziei ocalała również na resztę dnia. Może dzięki temu, że w końcu przespałam się kilka godzin, a może dlatego, że nawet we śnie uświadamiałam sobie, iż w dzisiejszych czasach suchoty są uleczalne. A może moje gruczoły łzowe były już po prostu puste?

– Myślisz, że to możliwe, by Gideon zaplanował, że rozkocha mnie w sobie, ale potem faktycznie, można by rzec, przez przypadek, się we mnie zakochał?
– zapytałam ostrożnie Leslie, gdy pakowałyśmy się po lekcjach.

Przez całe przedpołudnie unikałam tego tematu, aby zachować trzeźwość umysłu w czasie snucia naszego planu, ale teraz po prostu musiałam o tym porozmawiać, inaczej bym pękła.

– Tak – potwierdziła Leslie po krótkim wahaniu.

– Naprawdę? – Byłam zaskoczona.

– Może właśnie to chciał ci wczoraj koniecznie powiedzieć. Na filmach zawsze się wkurzamy na te sztuczne nieporozumienia, które powodują wzrost napięcia przed happy endem. I których można by uniknąć, gdyby ludzie normalnie ze sobą rozmawiali.

– Tak, to jest ten moment, w którym zawsze wołasz: „Po pro-ItU mu to powiedz, głupia krowo!”.

– Ale w filmach zawsze coś staje bohaterom na przeszkodzie – zauważyła Leslie. – Pies przegryza kabel telefoniczny, podła rywalka nie przekazuje wiadomości, matka mówi, że Córka wyprowadziła się do Kalifornii... no wiesz przecież! – Podała mi swoją szczotkę do włosów i obrzuciła badawczym spojrzeniem. – Słuchaj, im dłużej o tym myślę, tym mniej prawdopodobne wydaje mi się, że on mógł się w tobie nie zakochać.

Tak mi ulżyło, że aż zwilgotniały mi oczy.

– W takim przypadku i tak byłby draniem, ale... myślę, że mogłabym mu to wybaczyć.

– Ja też. – Leslie uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Mam przy sobie wodoodporny tusz do rzęs i błyszczak do ust. Chcesz?

To na pewno nie mogło mi zaszkodzić.

Z klasy wyszliśmy prawie ostatnie. Byłam teraz w tak dobrym humorze, że Leslie czuła się w obowiązku trącić mnie łokciem w żebra.

– Naprawdę, nie chciałabym gasić twojego entuzjazmu, ale istnieje możliwość, że się mylimy. Bo naoglądałyśmy się komedii romantycznych.

– Tak, przecież wiem – zgodziłam się. – O, jest James. Rozejrzałam się. Większość uczniów była już w drodze na dwór, a więc tylko nieliczni mogli się zdziwić, że rozmawiam z wnęką.

– Cześć, James!

– Dzień dobry, panno Gwendolyn.

Jak zawsze miał na sobie surdut w kwiaty, spodnie do kolan z mankietami i kremowe pończochy.

Jego stopy tkwiły w brokatowych butach ze srebrnymi klamrami, a apaszka była tak misternie i fantazyjnie zawiązana, że na pewno nie mógł tego zrobić sam. Najdziwniejsza była jego peruka z lokami, a także puder na twarzy i przyklejone pieprzyki, które z niezrozumiałych dla mnie powodów nazywał „plasterkami urody”. Bez tego całego kramu i w rozsądnych ciuchach James prawdopodobnie wyglądałby całkiem nieźle.

– A gdzie byłeś dziś przed południem, Jamesie? Umawialiśmy się na drugą przerwę, nie pamiętasz?

James pokręcił głową.

– Nienawidzę tej gorączki. I nie lubię tego snu. – Tu wszystko jest takie... brzydkie! – Westchnął ciężko i wskazał na sufit. – Zadaję sobie pytanie, cóż to za profani zamalowali freski. Mój ojciec wydał na nie majątek. Bardzo lubię tę pasterkę w środku, jest nadzwyczajnie namalowana, choć moja mama zawsze mówi, że ma zbyt frywolny strój. – Ze smutkiem przyjrzał się najpierw mnie, a potem Leslie, dłużej zatrzymując wzrok na plisowanych spódniczkach naszych mundurków i na naszych kolanach. – Lecz gdyby moja matka wiedziała, jak ubrane będą osoby występujące w moich majakach, byłaby przerażona! Ja sam jestem przerażony! Nigdy w życiu nie pozwoliłbym sobie na tak zwyrodniałe fantazje.

James miał najwidoczniej wyjątkowo zły dzień.

Tymczasem tylko Xemerius (którego James nienawidził!) postanowił zostać w domu, aby mieć oko na skarb i pana Bernharda, jak mi powiedział. Ja natomiast w skrytości ducha podejrzewałam, że chciał znowu popatrzeć na ciocię Maddy przy lekturze. To romansidło, które czytała, najwyraźniej bardzo mu się spodobało).

– Zwyrodniałe! Cóż to za szarmancki komplement, Jamesie – powiedziałam łagodnie.

Już dawno dałam sobie spokój z tłumaczeniem Jamesowi, że nie śni, tylko że od jakichś dwustu trzydziestu lat nie żyje. Chyba nikt nie lubi słuchać takich rzeczy.

– Przedtem doktor Barrow znowu upuścił mi krwi i nawet mogłem się napić parę łyków czegoś – mówił dalej. – Miałem nadzieję, że tym razem przyśni mi się coś innego, ale... no cóż, znowu tu jestem.

– I niech już tak zostanie – odezwałam się ciepło. – Bo bardzo bym za tobą tęskniła.

James zdobył się na uśmiech.

– No cóż, ja też bym skłamał, gdybym zaprzeczył temu, że w jakiś sposób wkradłaś się do mojego serca, pani. Czy będziemy teraz kontynuować naukę dobrych manier?

– Niestety, nie mamy czasu. Ale może jutro, dobrze? – Na schodach jeszcze się odwróciłam. – Och, Jamesie! W roku 1782, we wrześniu, jak nazywał się twój ulubiony koń?

Dwaj chłopcy, którzy pchali po korytarzu stół z rzutnikiem, nagle stanęli w miejscu.

– Mówisz do mnie? – spytali obaj jednocześnie, a Leslie parsknęła śmiechem.

– W zeszłym roku we wrześniu? – spytał James. – Hektor, oczywiście. Na zawsze pozostanie moim ulubionym koniem. Najcudowniejszy siwek, jakiego można sobie wyobrazić.

– A jaka jest twoja ulubiona potrawa?

Chłopcy z rzutnikiem gapili się na mnie, jakbym straciła rozum. James zmarszczył czoło.

– A cóż to za pytania? W tej chwili w ogóle nie mam apetytu.

– Och, to też może poczekać do jutra. Do widzenia, Jamesie.

– Nazywam się Finley – powiedział jeden z tych od rzutnika. Drugi uśmiechnął się.

– A ja jestem Adam, ale co tam! Nie czepiam się szczegółów. Możesz mówić do mnie James.

– Truskawki! – zawołał za nami James. – Truskawki to moja absolutnie najbardziej ulubiona potrawa.

– O co chodzi? – spytała mnie Leslie, gdy szłyśmy na dół.

– Jeśli spotkam Jamesa na tym balu, ostrzegę go przed zarażeniem ospą – wyjaśniłam jej. – Dopiero co skończył dwadzieścia jeden lat. To za wcześnie, by umierać, nie sądzisz?

– Zastanawiam się, czy należy się w coś takiego mieszać – powiedziała Leslie. – No wiesz: los, przeznaczenie i takie tam.

– No tak, ale musi przecież istnieć jakiś powód, że ciągle straszy. Może moim przeznaczeniem jest mu pomóc?

– A po co ty właściwie idziesz na ten bal? – spytała Leslie. Wzruszyłam ramionami.

– Rzekomo hrabia de Saint Germain tak postanowił w tych swoich kretyńskich Kronikach. Żeby mnie lepiej poznać czy coś w tym stylu.

– Czy coś w tym stylu – powtórzyła Leslie, unosząc brew. Westchnęłam.

– Wszystko jedno. Bal odbywa się we wrześniu 1782 roku, ale James zachoruje dopiero w roku

1783. Jeśli zdołałabym go ostrzec, mógłby na przykład wyjechać na wieś, nim wybuchnie zaraza.

Albo przynajmniej trzymać się z daleka od tego lorda Dingensa. Dlaczego tak szczerzysz zęby?

– Chcesz mu oświadczyć, że przybywasz z przyszłości i wiesz, że wkrótce zarazi się ospą? A na dowód powiesz mu, jak nazywa się jego ulubiony koń?

– Och... no tak, ten plan nie jest jeszcze doskonały.

– Lepsze byłoby szczepienie – zauważyła Leslie i popchnęła drzwi na szkolny dziedziniec. – Ale to chyba nie takie proste.

– Nie. Ale cóż jest dzisiaj proste? – Westchnęłam. – O, cholera!

Obok czekającej limuzyny, która jak co dzień miała mnie zawieźć do kwatery głównej Strażników, stała Charlotta. A to mogło oznaczać tylko jedno: będę znowu dręczona menuetem, dyganiem i oblężeniem Gibraltaru. Na balu w 1782 roku była to wiedza niezbędna, przynajmniej w opinii

Strażników.

Co dziwne, dziś mnie to zanadto nie obeszło. Być może dlatego, że byłam zbyt zdenerwowana czekającym mnie spotkaniem z Gideonem.

Leslie zmrużyła powieki.

– Kim jest ten facecik koło Charlotty?

Wskazała na rudowłosego pana Marleya, adepta pierwszego stopnia, który prócz tytułu wyróżniał się tym, że łatwo rumienił się aż po czubki uszu. Stał obok Charlotty, chowając głowę w ramionach.

Wytłumaczyłam Leslie, kto to taki.

– Mam wrażenie, że on się boi Charlotty – dodałam. – Ale z drugiej strony uważa ją za fantastyczną.

Charlotta dostrzegła nas i pomachała niecierpliwie w naszą stronę.

– W każdym razie pod względem koloru włosów cudownie by do siebie pasowali – powiedziała Leslie i objęła mnie. – Powodzenia. Pamiętaj o wszystkim, o czym rozmawialiśmy. I bądź ostrożna.

I proszę cię, zrób zdjęcie temu panu Giordano.

– Giordano, tylko Giordano, z łaski swojej – powiedziałam, naśladowując nosowy ton głosu mojego nauczyciela. – Do wieczora.

– Ach, i wiesz co, Gwenny? Nie ułatwiaj zbyt sprawy Gi-deonowi, dobra?

– No nareszcie – rzuciła do mnie Charlotta, kiedy podeszłam do samochodu. – Czekamy tu od wieków. Wszyscy się na nas gapią.

– Tak jakby ci to przeszkadzało. Dzień dobry, panie Marley. Jak się pan miewa?

– Ehm, dobrze. A pani?

Pan Marley zdążył się już zaczerwienić. Ja też miałam skłonności do rumienienia się, ale panu

Marleyowi krew napływała nie tylko do twarzy, gdyż także jego uszy i szyja przybierały kolor dojrzałych pomidorów. Okropne!

– Cudownie – odrzekłam, chociaż miałam ochotę zobaczyć Igo minę, gdybym odpowiedziała „do bani”. i Przytrzymał nam drzwi samochodu i Charlotta z wdziękiem lajeła miejsce na tylnym siedzeniu.

Opadłam na fotel naprzeciw niej. v' Samochód ruszył. Charlotta patrzyła przez okno, a ja gapiłam się w pustkę, rozmyślając, czy powinnam zachować się wobec Gideona chłodno i z wściekłością, czy raczej uprzejmie, kcz obojętnie. Byłam zła, że nie omówiłam tego z Leslie. Kiedy limuzyna wjeżdżała na Strand, Charlotta nie przyglądała się Już okolicy, tylko swoim paznokciom. Nagle podniosła głowę) zmierzyła mnie wzrokiem.

– Z kim przyjdiesz na imprezę do Cynthii? – spytała napastliwie.

Najwyraźniej szukała powodu do sprzeczki. Dobrze, że byliśmy już prawie na miejscu. Limuzyna skręciła właśnie na parking na Crown Office Road.

– Hm, wciąż nie mogę się zdecydować, albo z żabą Kermitem albo ze Shrekiem, jeśli będzie miał czas. A ty?

– Gideon chciał ze mną iść – powiedziała Charlotta i spojrzała na mnie w napięciu, najwidoczniej czekając na moją reakcję.

– To miło z jego strony – odrzekłam uprzejmie i uśmiechnęłam się.

Nawet nie przyszło mi to z trudem, bo tymczasem, jeśli chodzi o Gideona, zyskałam już względną pewność siebie.

– Ale nie wiem, czy powinnam przyjąć jego propozycję. – Charlotta westchnęła, lecz jej spojrzenie pozostało czujne. – Na pewno będzie się czuł

strasznie źle wśród tych wszystkich dzieciaków. Tak często skarży mi się na naiwność i niedojrzałość niektórych szesnastolatek...

Przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy może czasem nie mówi mi prawdy i czy nie chce mnie tym zdenerwować. Ale nawet gdyby – za żadne skarby nie dam jej satysfakcji i nie pokażę, że mnie to zabolalo. Moje potakiwanie wręcz kipiało od wyrozumiałości.

– Miałby tam przecież twoje dojrzałe towarzystwo, Charlotte, a jeśli mu to nie wystarczy, zawsze będzie mógł podyskutować z panem Dale'em o fatalnych skutkach spożywania alkoholu przez młodzież.

Samochód przyhamował i zaparkował na jednym z zarezerwowanych miejsc przed budynkiem, w którym od wieków tajne stowarzyszenie Strażników miało swoją siedzibę. Kierowca zgasił silnik i w tym samym momencie pan Marley wyskoczył z fotela obok. Ledwie zdążyłam go uprzedzić i sama otworzyć drzwi. Wiedziałam już dokładnie, jak musi się czuć królowa, gdy nawet nie pozwalają jej samodzielnie wysiąść z samochodu.

Wzięłam swoją torbę i wygramoliłam się z auta, ignorując wyciągniętą rękę pana Marleya.

– A zielony to kolor Gideona, można powiedzieć – rzuciłam tak wesoło, jak tylko umiałam.

Ha! Charlotta nie skrzywiła się wprawdzie, ale najwyraźniej to ja wygrałam tę rundę. Kiedy przeszłam parę kroków i mogłam być pewna, że nikt tego nie widzi, pozwoliłam sobie na maleńki triumfalny uśmiezek, który jednak natychmiast zamarł mi na ustach. Na schodach przed wejściem do kwatery głównej Strażników siedział w słońcu Gideon. Cholera! Za bardzo byłam zajęta wymyślaniem zręcznych ripost dla Charlotty, żeby rozglądać się wokół siebie. Durne serce z marcepanu w mojej piersi nie wiedziało, czy ma się skurczyć z żalu, czy zacząć szybciej bić z radości. Zobaczywszy nas, Gideon wstał i otrzepał sobie dzinsy. Zwolniłam kroku, zastanawiając się gorączkowo, jak się wobec niego zachować. Z drżącą dolną wargą chyba nie uda mi się zbyt wiarygodnie odegrać wersji „uprzejmie, ale wyraźnie obojętnie”. Niestety, wersja „chłodno, gdyż okropnie wściekła” ze Względu na przemożną chęć rzucenia mu się na szyję, też raczej była nie do zrealizowania. Zagryzłam więc kłopotliwą dolną wargę i spróbowałam patrzeć

na niego możliwie neutralnie. Podchodząc bliżej, z pewną satysfakcją zauważyłam, że Gideon też zagryzał dolną wargę, a poza tym sprawiał wrażenie nieco zdenerwowanego. Choć był nieogolony, a jego brązowe loki wyglądały, jakby je tylko przeczesał palcami (jeśli w ogóle) i tak wydawał mi się piękny.

Niezdecydowanie zatrzymałam się u podnóża schodów i przez jakieś dwie sekundy patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Potem Gideon przeniósł wzrok na fasadę domu naprzeciwko.

– Cześć – rzucił do niej.

W każdym razie nie czułam, żeby to było do mnie. Tymczasem Charlotta minęła mnie i weszła na schody. Objęła go za szyję i pocałowała w policzek.

– Hej – powiedziała.

Trzeba przyznać, że było to znacznie bardziej eleganckie, niż stać jak wryta i głupio się gapić. Na panu Marleyu moje zachowanie sprawiło wrażenie nagłej słabości.

– Czy może ponieść pani torbę? – zwrócił się do mnie.

– Nie, dziękuję, dam sobie radę.

Zebrałam się w sobie, chwyciłam ześlizgującą mi się z ramienia torbę i ruszyłam do przodu.

Zamiast odrzucić włosy na plecy i przemknąć obok Gideona i Charlotty z lodowatym spojrzeniem, pokonałam stopnie z wdziękiem emerytowanego ślimaka winniczka. Pewnie razem z Leslie naoglądałyśmy się za dużo komedii romantycznych. Ale Gideon odsunął Charlotte od siebie i chwycił mnie za ramię.

– Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać, Gwen? Ulga niemal zwała mnie z nóg.

– Jasne.

Pan Marley przestępował nerwowo z nogi na nogę.

– Jesteśmy już trochę spóźnieni – mruknął z uszami czerwonymi jak płomień.

– On ma rację – zaświergotała Charlotta. – Gwenny przed elapsją ma jeszcze lekcję, a wiesz, jaki jest Giordano, gdy każe mu się czekać.

Nie miałam pojęcia, jak ona to robiła, ale jej perlisy śmiech brzmiał naprawdę autentycznie.

– Idziesz, Gwenny?

– Przyjdzie za dziesięć minut – rzekł Gideon.

– Czy to nie może poczekać? Giordano jest...

– Powiedziałem: dziesięć minut. – Ton głosu Gideona o włos przekroczył granicę uprzejmości, a pan Marley sprawiał wrażenie naprawdę wystraszonego; ja pewnie też.

Charlotta wzruszyła ramionami.

– Jak uważasz. – Odrzuciła głowę do tyłu i się zmyła. Pan Marley pospieszył za nią.

Gdy oboje zniknęli za drzwiami, Gideon jakby zapomniał, co chce powiedzieć. Znowu gapił się na tę durnowatą fasadę domu naprzeciwko i pocierał sobie dłonią kark, jakby złapał paskudny skurcz. Wreszcie oboje jednocześnie zaczerpnęli powietrza i:

– Jak twoja ręka? – zapytałam.

– Jak się masz? – zapytał Gideon w tym samym momencie. Oboje się uśmiechnęliśmy.

– Moja ręka jest w najlepszym porządku. – W końcu na mnie spojrział.

Och, mój Boże! Te oczy! Kolana znowu mi zmiękły i ucieszyłam się, że nie ma już tutaj pana Marleya.

– Gwendolyn, tak strasznie mi przykro. Zachowałem się... kompletnie nieodpowiedzialnie. Nie zasłużyłaś na to. – Wyglądał na tak nieszczęśliwego, że było to dla mnie prawie nie do zniesienia. –

Wczoraj wieczorem dzwoniłem do ciebie na komórkę ze sto razy, ale przez cały czas było zajęte.

Zastanawiałam się, czy nie uciąć sprawy i nie rzucić mu się Od razu na szyję. Ale Leslie mówiła, żebym mu tego zbyt nie ułatwiała. Podniosłam więc tylko wyczekująco brwi.

– Nie chciałem sprawić ci bólu, proszę, uwierz mi. – Jego głos był zupełnie zachrypnięty. – Wczoraj wieczorem wyglądałaś na bardzo smutną i rozczarowaną.

– Nie było tak źle – powiedziałam cicho. Uznałam, że to wybaczalne kłamstwo. Przecież nie musiałam mu się chwalić przelanyymi łzami i pragnieniem, by umrzeć na suchoty. – Ja tylko... to trochę bolało... – okej, to było kłamstwo stulecia –...ta myśl, że z twojej strony wszystko było grą: pocałunki, twoje wyznanie miłości. – Zamilkłam speszona.

Teraz wyglądał na jeszcze bardziej zdruzgotanego, o ile to w ogóle było możliwe.

– Obiecuję ci, że nic takiego więcej się nie zdarzy.

Co właściwie miał na myśli? Nie do końca rozumiałam.

– Hm, teraz, kiedy to wiem, i tak by już nie zadziało – powiedziałam trochę bardziej energicznie. –

Tak między nami: ten plan, tak czy owak, był idiotyczny. Zakochanymi ludźmi wcale nie jest

łatwiej manipulować niż innymi, wręcz przeciwnie! Przez te wszystkie hormony nigdy nie wiadomo, co za chwilę zrobią, w końcu byłam tego najlepszym przykładem.

– Ale z miłości robi się rzeczy, których inaczej by się nie zrobiło. – Gideon podniósł rękę, jakby chciał mnie pogłaskać po policzku, ale zaraz znowu ją opuścił. – Kiedy kochasz, ten drugi człowiek jest dla ciebie ważniejszy niż ty sama.

No tak, wiedziałam to najlepiej.

– Człowiek się poświęca... chyba to miał na myśli hrabia –dodał Gideon.

– A ja myślę, że dobrodziej nie ma pojęcia, o czym mówi –rzuciłam lekceważąco. – Jeśli chcesz znać moje zdanie: miłość to akurat nie jest jego specjalność, a jego znajomość kobiecej psychiki jest... żalosna.

„A teraz mnie pocałuj, chciałabym wiedzieć, czy twój zarost kłuje” – dodałam w myślach.

Uśmiech rozjaśnił twarz Gideona.

– Może masz rację. – Odetchnął głęboko, jak ktoś, komu spadł ciężki kamień z serca. – Ja się w każdym razie cieszę, że to wyjaśniliśmy. Ale pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi, prawda?

Co proszę?

– Dobrymi przyjaciółmi? – powtórzyłam i nagle zaschło mi w ustach.

– Tak, dobrymi przyjaciółmi, którzy sobie ufają i mogą na sobie wzajemnie polegać – odrzekł

Gideon. – Bo to bardzo ważne, żebyś mi ufała.

Minęła jeszcze jedna albo dwie sekundy, nim pojęłam, że w tej rozmowie w którymś momencie zupełnie się rozminęliśmy. Tym, co próbował mi powiedzieć Gideon, nie było: „proszę, wybac mi, Kocham cię”, lecz: „bądźmy przyjaciółmi” –a każdy kretyn wie, że to są dwie zupełnie różne rzeczy.

To znaczyło, że wcale się we mnie nie zakochał.

To znaczyło, że ja i Leslie naoglądałyśmy się za dużo komedii romantycznych.

To znaczyło...

– ...ty draniu! – krzyknęłam. Ogarnęła mnie wściekłość, czysta, potężna wściekłość, tak gwałtowna, że kompletnie zachryłam. – Jak można być tak pozbawionym uczuć! Jednego dnia całujesz się ze mną i twierdzisz, że się we mnie zakochałeś, następnego dnia mówisz, że ci przykro, że jesteś takim zakłamanym obrzydliwcem, a teraz chcesz, żebym ci ufała?

W końcu Gideon też zrozumiał, że każde z nas miało co innego na myśli. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Gwen...

– Mam ci jeszcze coś powiedzieć? Szkoda mi każdej łyzy, którą przez ciebie wylałam! – Chciałam na niego nawrzeszczeć, ale zabrzmiało to dość żałośnie. – Tylko sobie nie wyobrażaj, że było ich tak dużo. – Ostatnie słowa zdołałam zaledwie wychrypieć.

– Gwen! – Gideon próbował chwycić mnie za rękę. – O, Boże! Tak mi przykro. Ja nie chciałem... proszę!

– Co „proszę”? – Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

Czy on nie widzi, że tylko pogarsza sprawę? I czy sądzi, że jego psi wzrok coś tu zmieni? Chciałam się odwrócić, ale Gideon przytrzymał mnie za przeguby rąk.

– Gwen, posłuchaj. Czekają nas niebezpieczne chwile i ogromnie ważne jest, byśmy trzymali się razem, ty i ja. Ja... ja naprawdę bardzo cię lubię i chcę, żebyśmy...

Niech on już nic nie mówi. Nie te wyświechtane słowa. Ale właśnie to zrobił.

– ...byli przyjaciółmi. Nie rozumiesz tego? Tylko jeśli będziemy mogli sobie wzajemnie ufać...

Wyrwałam mu się.

– Nie chcę za przyjaciela kogoś takiego jak ty! – Głos mi powrócił i teraz był tak donośny, że gołębie sfrunęły z dachu. – Nie masz pojęcia, czym jest przyjaźń!

I nagle wszystko poszło jak z płatka. Odrzuciłam energicznie włosy do tyłu, odwróciłam się na pięcie i odeszłam.

Skacz – i lecąc w dół, pozwól, by wyrosły ci skrzydła.

Ray Bradbury

Rozdział 3

Zostańmy przyjaciółmi – ten tekst to już doprawdy był szczyt. (i – Na pewno za każdym razem gdy ktoś wypowiada te słowa, gdzieś na świecie umiera jedna nimfa – powiedziałam.

Zamknęłam się z komórką w toalecie i ze wszystkich sił starałam się nie krzyczeć, choć – pół godziny po rozmowie z Gideonem – przez cały czas jeszcze miałam ochotę to zrobić.

– Powiedział, że chce, żebyście byli przyjaciółmi – poprawiła mnie Leslie, która jak zwykle dokładnie zapamiętała każde słowo.

– Przecież to całkiem to samo – zauważyłam.

– Nie, to znaczy może. – Leslie westchnęła. – Nie rozumiem. I tym razem na pewno dałaś mu dokończyć? No wiesz, dziesięć rzeczy, których w tobie nienawidzę, to...

– Pozwoliłam mu dokończyć, niestety, chyba niestety. – Spojrzałam na zegarek. – O, cholera.

Powiedziałam panu George'owi, że wrócę za minutę. – Rzuciłam spojrzenie w lustro wiszące nad staromodną umywalką. – O, cholera – powtórzyłam. Na moich policzkach widniały dwie okrągłe czerwone plamy. – Chyba mam reakcję alergiczną.

– To tylko plamy ze złości – postawiła zaoczną diagnozę Leslie, kiedy opisałam jej, co widzę. – A jak z twoimi oczami? Miotają groźne iskry?

Wlepiłam wzrok w odbicie w lustrze.

– Hm, w sumie tak. Wyglądam trochę jak Helena Bon-ham-Carter jako Bellatrix Lestrange w Harrym Potterze. Dość złowrogo.

– I o to chodzi. Posłuchaj, teraz stamtąd wyjdiesz i będziesz się zachowywała jak gdyby nigdy nic, dobra?

Posłusznie obiecałam, że tak zrobię.

Po rozmowie z Leslie poczułam się trochę lepiej, mimo że zimna woda nie była w stanie zmyć ani złości, ani czerwonych plam na policzkach.

Nawet jeśli pan George był zdziwiony, gdzie się tak długo podziewałam, to nie dał tego po sobie poznać.

– Wszystko w porządku? – spytał przyjaźnie. Czekał na mnie przed Starym Refektarzem.

– W najlepszym. – Spojrzałam przez otwarte drzwi, ale nie było widać ani Giordana, ani Charlotty.

A byłam już bardzo mocno spóźniona na lekcję. – Musiałam... eee... nałożyć sobie od nowa róż.

Pan George się uśmiechnął. Prócz kurzych łapek wokół oczu i w kącikach ust nic w jego okrągłej miłej twarzy nie zdradzało, że miał już grubo ponad siedemdziesiąt lat. W jego łysinie odbijało się światło, a cała głowa przypominała gładko wypolerowaną kulę do kręgli.

Nie mogłam inaczej, musiałam odpowiedzieć mu uśmiechem. Widok pana George'a zawsze niezwykle łagodząco wpływał na moją agresję.

– Naprawdę tak się to teraz nosi – wyjaśniłam, wskazując plamy na policzkach.

Pan George podał mi ramię.

– Chodź, moja dzielna dziewczynko – rzekł. – Już zapowiedziałem na dole, że przyjdziemy na elapsję.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– A co z Giordanem i polityką kolonizacyjną w osiemnastym wieku?

Pan George uśmiechnął się lekko.

– Ujmijmy to tak: wykorzystałem tę małą przerwę w czasie twojej wizyty w łazience, żeby wytłumaczyć panu Giordano, że dzisiaj nie masz czasu na naukę.

Pocziwy, drogi pan George! Był wśród Strażników jedynym człowiekiem, któremu najwyraźniej nie byłam całkowicie obojętna. Choć z drugiej strony, w czasie nauki menueta może trochę bym się wyżyła? Tak jak niektórzy ludzie rozładowują złość, waląc w worek bokserski. Albo idąc do siłowni. Tyle że zarozumiały uśmieszek Charlotty akurat nie był mi do niczego potrzebny.

Pan George znów podsunął mi ramię.

– Chronograf czeka.

Z ochotą ujęłam go pod rękę. Dziś wyjątkowo cieszyłam się na elapsję, mój codzienny kontrolowany skok w czasie, i to nie tylko dlatego, że uciekałam przed straszną rzeczywistością, której było na imię Gideon. Dzisiejszy skok

był kluczowym punktem planu, który ułożyłyśmy wspólnie, ja i Leslie. O ile się powiedzie.

W drodze do czeluści ogromnych podziemi pan George i ja przeszliśmy przez kwaterę główną Strażników. Była potwornie skomplikowaną budowlą i zajmowała kilka budynków. Już w samych krętych korytarzach miała tyle atrakcji, że człowiek odnosił wrażenie, jakby wylądował w muzeum.

Na ścianach wisiały niezliczone malowidła w ramach, bardzo stare mapy, ręcznie tkane dywany i kolekcje sztyletów. W witrynach wystawiona była porcelana, wyglądająca na wartościową, a poza tym znajdowały się tu różne instrumenty muzyczne oraz cała masa skrzyń i rzeźbionych szkatulek, do których w innych okolicznościach chętnie bym zajrzała.

– Nie znam się na makijażu, ale jeśli potrzebujesz kogoś, komu chciałabyś się wygadać na temat Gideona, to jestem dobrym słuchaczem – powiedział pan George.

– Na temat Gideona? – powtórzyłam przeciągle, jakbym musiała raz jeszcze się zastanowić, kto to właściwie jest. – Ze mną i z Gideonem wszystko jest w porządku. – W najlepszym porządku. Bam!

Uderzyłam pięścią w ścianę. – Jesteśmy przyjaciółmi. Nikim więcej jak tylko przyjaciółmi.

Niestety, słowo „przyjaciółmi” nie chciało mi lekko przejść przez gardło. Wycedziłam je przez zaciśnięte zęby.

– Ja też miałem kiedyś szesnaście lat, Gwendolyn. – Małe oczka pana George'a mrugnęły do mnie z czułością. – I przyrzekam ci, że nie powiem, że cię ostrzegałem. Chociaż to prawda...

– Jestem pewna, że w wieku szesnastu lat był pan miłym facetem.

Trudno było sobie wyobrazić, że pan George celowo mógłby opleść kogoś swoją siecią, zwieść pocałunkami i pięknymi słówkami... „Kiedy tylko jesteś w pobliżu, od razu mam ochotę dotykać cię i całować”. Spróbowałam strząsnąć z siebie wspomnienie gorącego spojrzenia Gideona, mocno tupiąc nogami w ziemię. Porcelana zatrzęsła się w witrynach.

No i dobrze. Po co komu lekcja menueta, żeby złagodzić agresję? To mi wystarczyło. Choć roztrzaskanie jednej czy drugiej wazy, najwyraźniej droższej, pewnie wzmocniłoby ten efekt.

Pan George długo przyglądał mi się z boku, ale w końcu tylko ścisnął moje ramię i westchnął. W regularnych odstępach Czasu mijaliśmy rycerskie zbroje i jak zawsze miałam nieprzyjemne wrażenie, że mnie obserwują.

– Tam w środku ktoś jest, prawda? – szepnęłam do pana George'a. – Jakiś biedny nowicjusz, który przez cały dzień nie może pójść do toalety, co? Widzę, że się na nas gapi.

– Nie – zaprzeczył pan George i cicho się zaśmiał. – Ale W hełmach zainstalowano kamery przemysłowe i pewnie dlatego ci się zdaje, że ktoś na ciebie patrzy.

Aha, kamery przemysłowe. Hm, im przynajmniej nie musiałam współczuć.

Kiedy dotarliśmy do pierwszych stopni prowadzących do piwnicy, przyszło mi do głowy, że pan George o czymś jednak zapomniał.

– A nie chce mi pan zawiązać oczu?

– Myślę, że dzisiaj możemy to sobie darować – powiedział pan George. – Nie ma tu nikogo, kto by nam tego zabronił, prawda?

Spojrzałam na niego zaskoczona. Zwykle całą tę drogę pokonywałam z oczami przewiazanymi czarną chustką, ponieważ Strażnicy nie chcieli, żebym mogła samodzielnie odnaleźć drogę do chronografu umożliwiającego podróże w czasie. Z jakiegoś powodu uważali za prawdopodobne, że mogłabym go ukraść. Co oczywiście było bzdurą. Chronograf nie tylko był dla mnie straszny: działał na krew! Nie miałam też bladego pojęcia, jak używać tych niezliczonych zębatek, dźwigni i przegródek.

Ale jeśli chodzi o jego ewentualną kradzież, wszyscy Strażnicy mieli na tym punkcie hopla.

Przyczyną ich zachowania prawdopodobnie było to, że kiedyś istniały dwa chronografy.

Siedemnaście lat temu moja kuzynka Lucy i jej chłopak Paul, numer dziewięć i dziesięć w kręgu podróżników w czasie, uciekli z jednym z nich. Jakie dokładnie były motywy tej kradzieży, tego dotąd nie zdołałam się dowiedzieć i w ogóle cała ta sprawa była dla mnie niejasna.

– Na marginesie, madame Rossini prosiła, żeby ci przekazać, iż jednak wybrała inny kolor twojej balowej sukni. Niestety, zapomniałem jaki, ale jestem przekonany, że będziesz wyglądała zachwycająco. – Pan George

parsknął śmiechem. –Mimo że Giordano przedstawił mi w najczarniejszych barwach opowieść o tym, że w osiemnastym wieku będziesz popełniała jedno straszliwe faux pas za drugim.

Serce na moment mi stanęło. Na ten bal będę musiała pójść z Gideonem i nie mogłam sobie wyobrazić, bym jutro była w stanie zatańczyć z nim menueta, niczego przy tym nie masakrując. Na przykład jego stopy.

– Właściwie skąd taki pośpiech? – spytałam. – Dlaczego ten bal, z naszego punktu widzenia, musi się odbyć koniecznie już jutro wieczorem? Nie możemy poczekać parę tygodni? Przecież tak czy owak bal odbył się określonego dnia w 1782 roku, więc to obojętne, kiedy my się na niego wybierzemy, prawda? – Pomijając sprawę Gideona, to pytanie nękało mnie już od dawna.

– Hrabia de Saint Germain dokładnie określił, ile czasu może upłynąć w obecnych czasach między kolejnymi wizytami

U niego – wyjaśnił pan George, puszczając mnie przodem po kręconych schodach.

Im dalej i głębiej wkraczaliśmy w piwniczny labirynt, tym bardziej czuć było stęchliznę. Tu, na dole, na ścianach nie wisały już obrazy i choć za sprawą czujników ruchu wszędzie, gdzie się poruszaliśmy, zapalało się światło, korytarze, odchodzące to w lewo, to w prawo od naszej trasy, po kilku metrach niknęły w przeraźliwych ciemnościach. Podobno zaginęło tu już sporo ludzi, a niektórzy po wielu dniach pojawiali się w miejscach położonych na drugim końcu miasta. Tak w każdym razie mówiono.

– Ale dlaczego hrabia tak to określił? I dlaczego Strażnicy tak kurczowo się tego trzymają?

Pan George nie odpowiedział, tylko ciężko westchnął.

– Gdyby dali nam jeszcze kilka tygodni, hrabia wcale by tego nie zauważył, prawda? Siedzi w roku 1782 i czas wcale nie biegnie dla niego wolniej. A ja mogłabym spokojnie nauczyć się tego całego menueta i może wiedziałabym też, kto kogo oblegał w Gibraltarze i dlaczego. Abstrahując od Gideona. Wtedy nikt nie musiałby się za mnie wstydzić i obawiać się, że okropnie się skompromituję na tym balu i swoim zachowaniem zdradzę, że przybywam z przyszłości. A więc dlaczego hrabia chce, żeby to odbyło się koniecznie jutro?

– Tak, dlaczego? – mruknął pan George. – Wygląda na to, że się ciebie boi. I tego, czego byś się jeszcze mogła dowiedzieć, gdybyś miała więcej czasu.

Do starej pracowni alchemicznej nie było już daleko. Jeśli się nie myliłam, musiała być zaraz za następnym zakrętem. Dlatego zwolniłam kroku.

– Boi się mnie? Ten gość mnie dusił, nie dotykając, a ponieważ potrafi także czytać w myślach, wie dokładnie, że to ja okropnie się go boję, a nie na odwrót.

– Dusił cię? Nie dotykając? – Pan George zatrzymał się i spojrzał na mnie zszokowany. – Wielkie nieba, Gwendolyn, dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

– A uwierzyłby mi pan?

Pan George potarł dłonią łysinę i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy usłyszeliśmy zbliżające się kroki i odgłos zatraskujących się ciężkich drzwi. Pan George wyglądał na wystraszonego. Pociągnął mnie za róg, w stronę, z której dobiegł nas dźwięk zamykanych drzwi, i wygrzebał z kieszeni marynarki czarną chustkę.

Tym, który nadszedł ku nam sprężystym krokiem, był Falk de Villiers, wuj Gidiona, Wielki Mistrz Łoży Strażników. Uśmiechnął się na nasz widok.

– O, tu jesteście. Biedny Marley już kazał spytać przez interkom, gdzie się podzialiście, a ja pomyślałem, że zorientuję się w sytuacji.

Zamrugałam oślepiiona i przetałam oczy, jakby pan George właśnie przed chwilą zdjął mi opaskę, ale najwyraźniej było to zupełnie zbędne przedstawienie, ponieważ Falk de Villiers nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Otworzył drzwi do pomieszczenia z chonografem, czyli do pracowni alchemicznej.

Falk był może parę lat starszy od naszej mamy i wyglądał świetnie, jak wszyscy Villiersowie, których poznałam do tej pory. W myślach porównywałam ich zawsze z samcami alfa z watahy wilków. Jego bujne włosy już posiwiały i teraz pięknie kontrastowały z oczami o barwie bursztynu.

– No, Marley, widzi pan, nikt nie zginął – zwrócił się jowialnym tonem do pana Marleya, który siedział w pomieszczeniu I chronografem, teraz zaś zerwał się z miejsca, nerwowo wykręcając sobie palce.

– Ja tylko... ja tylko myślałem, że na wszelki wypadek... –Zająknął się. – Proszę mi wybaczyć...

– Bardzo jesteśmy radzi, że tak poważnie traktuje pan swoje ' obowiązki – powiedział pan George.

– Gdzie jest pan Whitman? – zapytał Falk. – Byliśmy umówieni na herbatę z dziekanem Smythe'em, przyszedłem po niego.

– Właśnie przed chwilą wyszedł – odrzekł pan Marley. –Właściwie powinien był pan go spotkać.

– Och, w takim razie się pospieszę, może go jeszcze dogonię. Ty też idziesz, Thomas?

Pan George skinął głową, rzucając mi szybkie spojrzenie.

– Zobaczymy się jutro, Gwendolyn. Przed wielkim bale –powiedział Falk, a w drzwiach jeszcze się odwrócił. – Aha, i pozdrów ode mnie mamę – dodał od niechcienia. – Jak ona się czuje, w porządku?

– Moja mama? Tak, czuje się dobrze.

– Cieszy mnie to. – Musiałam wyglądać na zdziwioną, bo odchrząknął. – Samotne pracujące matki nie mają dziś łatwego Życia, dlatego mnie to cieszy.

Tym razem z rozmysłem spojrzałam na niego zdziwiona.

– A może... może wcale nie jest sama? Taka atrakcyjna kobieta jak Grace na pewno spotyka się z mężczyznami, może nawet ma kogoś na stałe... – Falk popatrzył na mnie wyczekująco, ale kiedy zmarszczyłam czoło, zerknął na zegarek. –Ojej! – krzyknął. – Ale późno. Teraz naprawdę muszę już iść.

– Czy to byto pytanie? – upewniłam się, kiedy Falk zamknął za sobą drzwi.

– Tak – potwierdzili pan George i pan Marley równocześnie, a pan Marley zaczerwienił się jak burak. – Hm, dla mnie w każdym razie zabrzmiało tak, jakby chciał się dowiedzieć, czy ma kogoś na stałe – mruknął.

Pan George się roześmiał.

– Falk ma rację, rzeczywiście jest już późno. Jeśli nasz rubin chce jeszcze mieć coś z tego wieczora, musimy go teraz wysłać w przeszłość. Który rok wybieramy, Gwendolyn?

– Wszystko jedno – rzuciłam możliwie obojętnym tonem, tak jak to ustaliliśmy z Leslie. – Ostatnio w roku 1956... to był 1956 rok, prawda...? W piwnicy nie widziałam szczurów i było całkiem miło.

– To, że w tych wolnych od szczurów, przytulnych wnętrzach spotkałam się potajemnie z moim dziadkiem, oczywiście przemilczałam. – Mogłabym się pouczyć słówek z francuskiego, nie dygocząc cały czas ze strachu.

– Nie ma sprawy – powiedział pan George.

Otworzył gruby dziennik, a pan Marley odsunął na bok kilim zasłaniający sejf z chronografem.

Spróbowałam zerknąć panu George'owi przez ramię, kiedy wertował dziennik, ale jego szerokie plecy zasłaniały mi widok.

– To był 24 lipca 1956 roku – oznajmił pan George. – Byłaś tam całe popołudnie i o 18.30 przeskoczyłaś z powrotem.

– A zatem 18.30 to byłaby dobra pora – odrzekłam, ściskając kciuki, żeby nasz plan się powiódł.

Gdybym przeskoczyła w czasie dokładnie o tej porze, kiedy opuściłam pokój, mój dziadek wciąż jeszcze byłby w piwnicy i nie musiałabym tracić czasu na jego poszukiwanie.

– Myślę, że lepiej wziąć 18.31 – powiedział pan George. – Żebyś się sama ze sobą nie zderzyła.

Pan Marley postawił na stole skrzynkę z chronografem i ostrożnie wyjął ze zwojów aksamitu aparat wielkości stojącego zegara.

– W gruncie rzeczy to jeszcze nie jest noc – mruknął. – Zdaniem pana Whitmana...

– Tak, wiemy, że pan Whitman bardzo poważnie podchodzi do przepisów – powiedział pan George, pochylając się nad zębatkami.

Między subtelne, ale barwne wzory i rysunki planet, zwierząt i roślin w powierzchnię tego dziwaczного urządzenia wtopiono kamienie szlachetne, tak duże i błyszczące, że wydawały się fałszywe –jak te samoprzylepne plastikowe świece, którymi lubi się bawić moja młodsza siostra. Każdemu z podróżników w Kręgu Dwanaściorga przyporządkowano inny kamień. Mnie trafił się rubin, a do Gideona „należał” diament, który był tak

wielki, że za jego równowartość pewnie można by kupić wielorodziny dom na przedmieściach.

– Myślę – zaczął pan George – że na tyle jesteśmy dżentelmenami, by nie kazać młodej damie siedzieć samotnie nocą w piwnicy, prawda, Leo?

Pan Marley niepewnie kiwnął głową.

– Leo to ładne imię – zauważyłam.

– To od Leopolda – wyjaśnił pan Marley, a jego uszy świeciły jak tylne światła samochodu. Usiadł przy stole, położył przed sobą dziennik i zdjął skuwkę z pióra. Drobne, równe pismo, którym zapisano tam długie ciągi dat, godzin i nazwisk, najwyraźniej wyszło spod jego ręki. – Moja matka uważa, że to imię jest okropne, ale w naszej rodzinie otrzymuje je każdy pierworodny, to tradycja.

– Leo jest w prostej linii potomkiem barona Mirosława Aleksandra Leopolda Rakoczego. – Pan

George odwrócił się szybko i spojrzał mi w oczy. – Wiesz, tego legendarnego towarzysza hrabiego de Saint Germain, znanego w Kronikach jako Czarny Lampart.

Oślupiałam.

– Och, naprawdę?

W myślach porównałam pana Marleya z chudym, bladym Rakoczem, który napędził mi takiego stracha swoimi czarnymi oczami. Nie byłam jednak pewna, czy powinnam powiedzieć: „No to niech pan się cieszy, że wygląda inaczej niż pański przodek spod ciemnej gwiazdy”, czy może jednak gorzej być rudym, papuśnym i piegowatym.

– To znaczy mój dziadek ze strony ojca... – rozpędził się pan Marley, ale pan George szybko mu przerwał.

– Pański dziadek z pewnością byłby z pana dumny – powiedział zdecydowanym tonem. – Przede wszystkim, gdyby wiedział, z jaką brawurą zdał pan wszystkie egzaminy – dodał po chwili.

–Prócz „Tradycyjnych akcji wojskowych” – zaznaczył pan Marley. –Tu otrzymałem ledwie dostateczny.

–Och, a komu jeszcze w ogóle jest potrzebna ta przestarzała dyscyplina. – Pan George wyciągnął do mnie rękę – Gwendolyn, ja jestem gotowy. Fruń do

1956 roku. Nastawiłem chronograf dokładnie na trzy i pół godziny. Trzymaj mocno swoją szkolną torbę i pamiętaj, żeby niczego tam nie zostawić, dobrze? Pan Marley zaczeka tu na ciebie. Przycisnęłam torbę jedną ręką do piersi i podałam wolną dłoń panu George'owi. Wsunął mój palec wskazujący w jedną z tych maleńkich przegródek chronografu. Igła wbiła mi się ,W ciało, okazały rubin rozjarzył się i wypełnił całe pomieszczenie czerwonym światłem. Przymknęłam powieki, targana potężnymi mdłościami. Kiedy sekundę później otworzyłam oczy, pan Marley i pan George zniknęli, podobnie jak stół.

Było mroczniej, pokój oświetlała teraz tylko jedna żarówka, W której świetle, w odległości zaledwie metra ode mnie, stał mój dziadek Lucas i patrzył na mnie w osłupieniu.

– Tt... ty...? Udało się? – zawołał ze zdumieniem. W roku 1956 miał trzydzieści dwa lata i niezbyt przypominał tamtego osiemdziesięciodwulatka, którego znałam jako dziewczynka. –Zniknęłaś tam, a teraz pojawiłaś się znowu tutaj.

– Tak – powiedziałam z dumą, siłą powstrzymując chęć rzucenia mu się na szyję.

Tak jak podczas naszych innych spotkań natychmiast poczułam na jego widok kluchę w gardle.

Mój dziadek zmarł, kiedy miałam dziesięć lat, i równie cudownie, jak strasznie było spotkać go znowu sześć lat po pogrzebie. Straszne było nie to, że w czasie naszych spotkań w przeszłości nie był tym dziadkiem, którego znałam, w pewnym sensie jego niegotową wersją, lecz to, że byłam dla niego zupełnie obcą osobą. Nie miał pojęcia, ile razy siedziałam mu na kolanach, nie wiedział, że to on właśnie pocieszał mnie, opowiadając różne historie, kiedy zmarł mój ojciec, i że zawsze mówiliśmy sobie „dobranoc" w naszym tajemnym języku, którego prócz nas nikt nie rozumiał. Nie miał pojęcia, jak bardzo go kochałam, a ja mu tego nie mogłam powiedzieć. Nikt nie lubi słyszeć takich słów z ust człowieka, z którym spędził zaledwie parę godzin. Spróbowałam w miarę możliwości zignorować kluchę w gardle.

– Dla ciebie minęła zaledwie jedna minuta, jak sądzę, dlatego wybaczam ci, że nie zgoiliłeś wąsów.

Dla mnie to było parę dni, w ciągu których wydarzyło się strasznie dużo rzeczy.

Lucas przejechał dłonią po wąsach i uśmiechnął się szeroko.

– A więc ty się tu z powrotem... no, no, wnuczko, to było sprytne z twojej strony.

– Prawda? Ale mówiąc szczerze, to był pomysł mojej przyjaciółki Leslie. Żeby nie było wątpliwości, że na pewno cię spotkam. I żebyśmy nie tracili czasu.

– Tak, ale ja w ogóle nie zdążyłem się zastanowić nad naszym dalszym postępowaniem. Chciałem właśnie odpocząć nieco po twojej wizycie i pomyśleć o tym wszystkim. – Przechylił głowę i zmierzył mnie wzrokiem. – Rzeczywiście, wyglądasz inaczej niż przedtem. Nie miałaś tej klamry we włosach i zeszczuplaaś.

– Dziękuję – powiedziałam.

– To nie był komplement. Wyglądasz, jakbyś nie czuła się dobrze. – Podszedł krok bliżej i spojrzał na mnie badawczo. –Wszystko w porządku? – zapytał łagodnie.

„W najlepszym” – chciałam powiedzieć, ale ku własnemu przerażeniu wybuchnęłam płaczem.

– W najlepszym –wychlipałam.

– Ojej! – Lucas niezdarnie poklepał mnie po plecach. – Aż tak źle?

Przez kilka minut nie mogłam zrobić nic innego, jak pozwolić płynąć łzom. A już myślałam, że udało mi się wziąć w garść. Gniew uznałam za odpowiednią reakcję na zachowanie Gieona – taką dorosłą i odważną. Poza tym znacznie bardziej filmową niż ten ciągły szloch. Ale teraz okazało się, że Xemerius siał rację, porównując mnie do pokojowej fontanny.

– Przyjaciółmi! – wykrztusiłam wreszcie, bo dziadkowi należało się wyjaśnienie. – On chce, żebyśmy zostali przyjaciółmi żebyś mu ufała. Lucas przestał mnie poklepywać po plecach i nic nie rozumiejąc, zmarszczył czoło.

– I to jest powód do płaczu, ponieważ...

– Ponieważ jeszcze wczoraj mówił mi, że mnie kocha!

Lucas patrzył tak, jakby rozumiał jeszcze mniej, o ile to W ogóle było możliwe.

– Ale mnie się wydaje, że to nie są najgorsze podstawy do przyjaźni.

Moje łyzy gwałtownie wyschły, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z pokojowej fontanny.

– Dziadku! Nie czepiaj się słów! – zawołałam. – Najpierw całował się ze mną, a potem się dowiaduję, że to wszystko była tylko taktyka i manipulacja, a on wyskakuje z tym tekstem o byciu przyjaciółmi!

– Och. Rozumiem. Co za... hm... drań! – Lucas nadal nie Wyglądał na całkowicie przekonanego. –

Przepraszam, że tak głupio pytam, ale mam nadzieję, że my nie rozmawiamy cały czas o tym chłopcu z rodziny de Villiers, numerze jedenastym, diamencie?

– Ależ tak – powiedziałam. – Właśnie o nim rozmawiamy. Mój dziadek westchnął.

– A więc rzeczywiście! Och, kurczaczku! I bez tego cała sprawa jest wystarczająco skomplikowana.

– Podał mi chusteczkę do nosa i wziął ode mnie torbę. – Dostyc płaczu – powiedział energicznie. – Ile mamy czasu?

– O dwudziestej drugiej twojego czasu przeskoczę z powrotem. – Żeby było śmieszniej, płacz dobrze mi zrobił, znacznie lepiej niż dorosła wersja z gniewem. – Mówiłeś coś o kurczakach? Bo ja chyba jestem trochę głodna.

Lucasa się roześmiał.

– No to lepiej chodźmy na górę. Tutaj można dostać klaustrofobii. Poza tym muszę zadzwonić do domu i uprzedzić, że się spóźnię. – Otworzył drzwi.

– Chodź, ty mały kurczaczku. Możesz mi wszystko opowiedzieć po drodze. I nie zapomnij, na wypadek gdyby cię ktoś zobaczył: jesteś

Hazel, moja kuzynka ze wsi.

Niecałą godzinę później siedzieliśmy w biurze Lucasa, głowy nam parowały, mieliśmy przed sobą całą masę karteczek z notatkami złożonymi głównie z dat, kółek, strzałek i znaków zapytania, poza tym grube foliały Kroniki Strażników z kilku dziesięcioleci) oraz obowiązkowy talerz z ciasteczkami, których Strażnicy najwyraźniej pochłaniali wielkie ilości we wszystkich epokach. Ten kurczak to chyba jednak było nieporozumienie. Niestety.

– Za mało informacji, za mało czasu – powtarzał co chwilę Lucas. Krążył po pomieszczeniu jak niespokojny tygrys w klatce i nerwowo mierzwił sobie włosy, tak że wkrótce mimo pomady zaczęły mu sterczeć. – Co też ja mogłem ukryć w tej skrzynce?

– Może książkę ze wszystkimi informacjami, jakich potrzebuję? – podpowiadałam.

Bez problemu mineliśmy strażę przy schodach, młody mężczyzna w dalszym ciągu spał, jak podczas mojej poprzedniej wizyty. Od alkoholowych wyziewów aż mnie zemdliło, gdy go mijałam.

W 1956 roku Strażnicy mieli znacznie większy luz, niż myślałam. Nikogo nie dziwiło, że Lucas jest tu poza godzinami pracy, i nikomu nie przeszkadzało, że towarzyszy mu kuzynka Hazel ze wsi.

Nawiasem mówiąc, o tej porze prawie nikogo nie było już w budynku. Młody pan George takskończył pracę, a szkoda, bo chętnie znowu bym się z nim zobaczyła.

– Książkę? Hm, może. – Lucas w zamyśleniu pogryzał ciasteczko.

Już trzy razy chciał zapalić papierosa, ale za każdym razem wyjmowałam mu go z ręki. Nie chciałam, żeby znowu było czuć ode mnie dym papierosowy, kiedy przeskoczę z powrotem w czasie.

– Te zaszyfrowane współrzędne mają sens, podobają mi się i pasują do mnie. Zawsze miałem skłonności do czegoś takiego. Tylko... skąd Lucy i Paul wiedzieli o tym kodzie w tej tam... książce o żółtym koniu?

– O zielonym jeźdźcu, dziadku – poprawiłam go cierpliwie. – Ta książka stała w twojej bibliotece, a kartka z kodem była schowana między jej stronami. Może to Paul i Lucy ją tam Włożyli?

– Ale to nielogiczne. Skoro zniknęli w 1994 roku, dlaczego rok później kazałem zamurować skrzynkę we własnym domu? – Zatrzymał się, patrząc na książki. – Zaraz oszaleję! Znasz to uczucie, kiedy człowiekowi się zdaje, że rozwiązanie jest na Wyciągnięcie ręki? Chciałbym, żeby za pomocą chronografu dało się też podróżować w przyszłość, wtedy sama mogłabyś mnie przepytać.

Nagle przyszedł mi do głowy pomysł i był tak dobry, że miałam ochotę poklepać się po plecach.

Pomyślałam o tym, co dziadek opowiedział mi ostatnim razem. Otóż Lucy i Paul, nudząc się podczas elapsji, przeskakiwali jeszcze dalej w przeszłość i przeżywali tak fascynujące rzeczy jak oglądanie oryginalnych przedstawień szekspirowskich.

– Mam! – zawołałam i zaprezentowałam krótki taniec radości. Dziadek zmarszczył czoło.

– Co takiego masz?

– A co by było, gdybyś za pomocą waszego chronografu wysłał mnie dalej w przeszłość? – wyrzuciłam z siebie. – Wtedy mogłabym się spotkać z Lucy i Paulem i po prostu ich zapytać.

Lucas podniósł głowę.

– A kiedy chcesz się z nimi spotkać? Przecież nawet nie wiemy, w jakiej epoce się ukryli.

– No tak, ale wiemy na przykład, kiedy was tu odwiedzali. Gdybym do was dołączyła, moglibyśmy razem porozmawiać i wspólnie...

Dziadek mi przerwał.

– W czasie ich wizyt w latach 1948 i 1949 z roku 1992 i 1993 – wymieniając te lata, stukał w nasze karteczki i wodził palcem wskazującym po strzałkach – Lucy i Paul też jeszcze wiedzieli nie dość dużo, a wszystko, co wiedzieli, skrupulatnie mi przekazali. Nie, jeśli w ogóle, to powinnaś się z nimi spotkać po tym, jak uciekli z chronografem. – Znowu gwałtownie zastukał w nasze notatki. –

To by miało sens, wszystko inne spowoduje tylko dodatkowe zamieszanie.

– No to... to przeskoczę do 1912 roku, tam, gdzie ich już kiedyś spotkałam, do lady Tilney w jej domu przy Eaton Place.

– To byłoby jakieś wyjście, ale czasowo się nie uda – Lucas spojrzał na ścienny zegar. – Nie byłaś pewna daty, a cóż dopięło mówić o godzinie. I nie zapominaj o tym, że najpierw musielibyśmy wczytać twoją krew do chronografu, w przeciwnym razie nie będziesz mogła za jego pomocą podróżować w czasie. – Znowu zmierzwił sobie włosy. – I wreszcie musiałybyś całkiem sama udać się stąd do Belgravii, a w roku 1912 to pewnie nie byłoby takie proste... Ach, i potrzebowalibyśmy dla ciebie kostiumu... nie, w tak krótkim czasie mimo najlepszych chęci to jest nie do zrobienia.

Musimy wymyślić coś innego. Rozwiązanie mam na końcu języka... Muszę się jeszcze tylko przez

Chwilę zastanowić... i może zapalić papierosa...

Pokręciłam głową. Nie, tak szybko się nie poddam. Wiedziałam, że to dobry pomysł.

– Przecież możemy przenieść chronograf do domu lady Tiliney jeszcze w tych czasach i przeskoczyłabym od razu tam. To ,by pozwoliło zaoszczędzić masę czasu, prawda? No, a jeśli chodzi o kostium... Czemu się tak we mnie wpatrujesz? – spytałam, bo oczy Lucasa nagle bardzo szeroko się otworzyły.

– O mój Boże – wyszeptał. – To jest to!

– Co?

– Chronograf! Wnuczko, jesteś genialna. – Lucas obszedł stół i mnie uściskał.

– Jestem genialna? – powtórzyłam, podczas gdy teraz on odstawiał mały taniec radości.

– Tak! I ja też. Oboje jesteśmy genialni, bo teraz wiemy, co Jest ukryte w skrzynce.

To znaczy ja nie wiedziałam.

– Mianowicie?

– Chronograf! – krzyknął Lucas.

– Chronograf? – powtórzyłam za nim jak echo.

– To całkiem logiczne. Nieważne, w jaką epokę zabrali go Lucy i Paul, ostatecznie w jakiś sposób chronograf trafił z powrotem do mnie, a ja go ukryłem. Dla ciebie! W moim domu. Niezbyt to oryginalne, ale takie logiczne!

– Tak uważasz? – Wlepiłam w niego niepewne spojrzenie. Mnie wydawało się to bardzo naciągane, ale cóż, logika nigdy nie była moją mocną stroną.

– Zaufaj mi, wnuczko, ja to po prostu wiem! – Lucas z namysłem zmarszczył czoło. – To oczywiście otwiera całkowicie nowe możliwości. Teraz musimy... dobrze się zastanowić. – Spojrzał na zegar ścienny. – Potrzebujemy po prostu więcej czasu, niech to szlag.

– Mogę się postarać, żeby przy następnej elapsji znów wysłali mnie do roku 1956 – powiedziałam. – Ale jutro po południu się nie uda, bo muszę iść na

ten bal i zobaczyć się z hrabią. – Myśl o tym wywołała u mnie nieprzyjemne uczucia, i to nie tylko z powodu Gideona.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował Lucas. – W żadnym wypadku! Musimy być krok do przodu, nim znowu spotkasz się z hrabią. – Potarł czoło. – Myśl, myśl, myśl, myśl.

– Widzisz ten dym, który wychodzi mi uszami? Od godziny nie robię nic innego – zapewniłam dziadka, ale on najwyraźniej mówił do siebie.

– Przede wszystkim musimy wczytać twoją krew do chronografu. Sama nie poradzisz sobie z tym w roku 2011, to zbyt skomplikowane. A potem muszę ci wytłumaczyć, jak się go używa. – Znów pospiesznie spojrział na zegar. – Jeśli zadzwonię teraz do naszego doktora, będzie tu za pół godziny, to znaczy, i dopisze nam szczęście i złapiemy go w domu... pytanie tylko jak mu wyjaśnię, dlaczego ma pobrać krew mojej kuzynce Hazel? Od Lucy i Paula krew została pobrana zupełnie oficjalnie do celów naukowych, ale ty jesteś tutaj incognito i tak musi pozostać, w przeciwnym razie... Poczekał – przerwałam mu. – Możemy sami to zrobić!, Lucas spojrział na mnie z irytacją.

– No cóż, mam co prawda gruntowne wykształcenie, ale nie umiem posługiwać się strzykawką.

Mówiąc szczerze, nie najlepiej znoszę nawet widok krwi. Zawsze dostaję wtedy mdłości...

– Sama mogę sobie pobrać krew – powiedziałam.

– Naprawdę? – W oczach Lucasa widać było bezmierne zdziwienie. – W twoich czasach uczycie się w szkole, jak posługiwać się strzykawką?

– Nie, dziadku, tego nie uczymy się w szkole – odparłam niecierpliwie. – Ale wiem, że jak człowiek skaleczy się nożem, to nie krew. Masz nóż?

Lucas zawahał się.

– Tak... ale... nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Okej, mam swój. – Otworzyłam szkolną torbę i wyjęłam Utui na okulary, w którym Leslie schowała japoński nóż do warzyw, na wypadek gdybym w trakcie podróży w czasie została zaatakowana i potrzebowała broni. Dziadek zrobił wielkie oczy, kiedy otworzyłam etui. – Zanim mnie zapytasz, odpowiem: nie, to nie jest standardowy element uczniowskiego wyposażenia w 2011 roku – powiedziałam. Lucas przełknął ślinę i wyprostował się.

– W porządku – rzekł. – Pójdziemy teraz do Smoczej Sali, robiąc małe kółko przez laboratorium doktora, skąd weźmiemy pipetę. – Zmierzył wzrokiem foliały na stole i wetknął sobie jeden z nich pod pachę. – To też weźmiemy. I ciasteczka. Na moje nerwy! Nie zapomnij swojej torby.

– A co będziemy robić w Smoczej Sali? – Wrzuciłam etui z powrotem do torby i wstałam.

– Tam stoi chronograf. – Lucas zamknął za mną drzwi i chwilę nasłuchiwał w korytarzu. Panowała cisza. – Gdybyśmy kogoś spotkali, powiemy, że zwiedzamy, jasne, kuzynko Hazel?

Skinęłam głową.

– Chronograf tak po prostu tam stoi? W naszych czasach jest zamknięty w piwnicy, w sejfie, dla ochrony przed złodziejami.

– Szafa też jest oczywiście zamknięta na klucz – powiedział Lucas i ruszył schodami w dół. – Ale kradzieży się właściwie nie boimy. W tej chwili nie ma u nas podróżników w czasie, którzy mogliby go użyć. Ciekawie było wtedy, gdy podczas swych elap–sji odwiedzali nas Lucy i Paul, ale od tamtej pory minęło już wiele lat. Obecnie chronograf nie znajduje się w centrum zainteresowania

Strażników. Na szczęście!

Budynek rzeczywiście wydawał się opustoszały, choć Lucas zapewnił mnie szeptem, że nigdy nie jest zupełnie pusty. Tęsknie wyjrzałam przez okno. Był rześki letni wieczór. Jaka szkoda, że nie mogę tak po prostu stąd wyjść i troszeczkę bliżej poznać roku 1956. Lucas zauważył moje spojrzenie.

– Uwierz mi – odezwał się ze śmiechem – ja też znacznie chętniej wypaliłbym sobie gdzieś w spokoju papierosa. Ale mamy zadanie do wykonania.

– Z tym paleniem powinienes dać sobie spokój, dziadku. To takie niezdrowe. I proszę, zgól te wąsy.

Zupełnie ci nie pasują.

– Pssst – szepnął Lucas. – Jeśli ktoś usłyszy, że nazywasz mnie dziadkiem, nie będzie łatwo nam się wytłumaczyć.

Ale nie natknęliśmy się na nikogo i kiedy kilka minut później wkroczyliśmy do Smoczej Sali, zobaczyliśmy za ogrodami i murami wieczorne słońce

migoczące nad Tamizą. Majestatyczna Smocza Sala, z głęboko osadzonymi oknami i kunsztownymi płaskorzeźbami pokrytymi polichromią, wyglądała wspaniale. Jak zawsze w tym miejscu odchyliłam głowę, żeby móc podziwiać ogromnego rzeźbionego smoka, który wił się pod sufitem wśród potężnych żyrandoli i sprawiał wrażenie, jakby miał lada chwila odlecieć.

Lucas zarygłował drzewi. Wydawał się znacznie bardziej zdenerwowany niż ja. Ręce mu drżały, kiedy wyjmował chronograf z szafy i stawiał go na stole pośrodku sali.

– Kiedy robiłem to z Lucy i Paulem, to była wielka przygoda. Świetnie się bawiliśmy – powiedział.

Pomyślałam o Lucy i Paulu i skinęłam głową. Spotkałam ich wprawdzie tylko raz u lady Tilney, ale mogłam sobie wyobrazić, co dziadek miał na myśli. Niestety, w tym samym momencie pomyślałam też o Gideonie. Czyjego radość z naszych przygód także była udawana?

Szybko przywołałam się do porządku, koncentrując się na japońskim nożu do warzyw i na tym, do czego zamierzałam go za chwilę użyć. I proszę bardzo, nawet udało mi się odwrócić myśli. W każdym razie nie wybuchnęłam płaczem.

Dziadek wytarł ręce o spodnie.

– Powoli zaczynam się czuć za stary na takie przygody.

Moje spojrzenie powędrowało ku chronografowi. Dla mnie wyglądał tak samo jak ten, za którego pomocą tu przybyłam: skomplikowana konstrukcja pełna kłapek, dźwigni, szufladek, zębatek i przycisków, ozdobiona miniaturami.

– Mogłabyś zaprotestować – rzucił Lucas, lekko urażony. – Coś w stylu: „Ależ jesteś o wiele za młody, żeby czuć się staro!”.

– Och. Oczywiście, że jesteś za młody. Chociaż przez te wąsy wyglądasz o wiele lat starzej.

– Arista mówi, że wyglądam dostojnie i poważnie. Zadowoliliam się wieloznacznym uniesieniem brwi, a mój młody dziadek, mamrocząc coś do siebie, schylił się nad chronografem.

– Uważaj teraz: tymi dziesięcioma kółeczkami ustawiasz rok. I zanim zapytasz, po co jest tyle pól, odpowiadam: lata zapisywane są liczbami rzymskimi, mam nadzieję, że je znasz.

– Chyba tak.

Wyjęłam z torby kołonotatnik i pisak. Nie ma mowy, żebym to wszystko zapamiętała bez zapisywania.

– A tym blokujesz miesiąc. – Lucas wskazał na kolejną zębatkę. – Ale uwaga, z jakiegoś powodu w tym przypadku, i tylko w tym przypadku, należy się posłużyć starym kalendarzem celtyckim: jedyńka oznacza listopad, natomiast październik odpowiada liczbie dwanaście.

Przewróciłam oczami. Oto cali Strażnicy! Już od dawna podejrzewałam, że maksymalnie komplikowali całkiem proste rzeczy tylko po to, żeby podkreślić swoją ważność. Zacisnęłam jednak zęby i po około dwudziestu minutach stwierdziłam, że to nie są żadne czary-mary, gdy się człowiek zorientuje w całym tym systemie.

– Dam sobie z tym radę – wpadłam dziadkowi w słowo, kiedy chciał już zaczynać wszystko od początku, i zamknęłam notatnik. – Teraz musimy wyczytać krew. A potem... która jest właściwie godzina?

– To ważne, żebyś nie zrobiła absolutnie żadnego błędu w ustawieniach. – Lucas z dezaprobatą popatrzył na japoński nóż do warzyw, który znowu wyciągnęłam z etui. – W przeciwnym razie wylądujesz gdzieś tam... eee... kiedyś tam. I co gorsza, nie będziesz miała kontroli nad tym, kiedy przeskoczysz z powrotem. O Boże, ten nóż wygląda okropnie. Naprawdę chcesz to zrobić?

– Oczywiście. – Podwinęłam rękawy. – Tylko nie wiem, gdzie najlepiej przeciąć. Rana na dłoni będzie rzucać się w oczy, kiedy przeskoczę z powrotem, a z palca poleci najwyżej parę kropli.

– Nie, jeśli odetniesz sobie czubek palca – powiedział Lucas, otrząsając się. – Krwawi jak diabli, sam to kiedyś wypróbowałem...

– Chyba najlepsze będzie przedramię. Gotowy?

Było to nawet śmieszne, że Lucas bał się bardziej niż ja. Głośno przełknął ślinę i objął palcami filiżankę w kwiatki, do której mieliśmy nałapać krwi.

– A nie przechodzi tamtędy główna tętnica? O Boże, mam zupełnie miękkie kolana. Jeszcze się wykrwawisz w 1956 roku, przez lekkomyślność własnego dziadka.

– To grube naczynie, trzeba by je naciąć wzdłuż, gdyby się człowiek chciał wykrwawić. Gdzieś o tym czytałam. Podobno wielu samobójców popełnia ten błąd i zostają odratowani, ale następnym razem już wiedzą, jak się to powinno robić.

– Na miłość boską! – zawołał Lucas.

Mnie też trochę ścisnęło w żołądku, ale nie było rady. Szczególne czasy wymagają niekiedy szczególnych środków, jak powiedziałaaby Leslie.

Zignorowałam przerażone spojrzenie Lucasa i przyłożyłam ostrze do wewnętrznej strony przedramienia, około dziesięciu centymetrów powyżej przegubu ręki. Nie przyciskając zbyt mocno, przeciągnęłam nożem na ukos po skórze. Chociaż to miało być tylko próbne cięcie, ostrze weszło głębiej, niż się spodziewałam – cienka czerwona linia szybko się rozszerzyła i zaczęła z niej kapać krew. Ból i nieprzyjemne pieczenie poczułam dopiero sekundę później. Wąskim, ale ciągłym strumyczkiem krew popłynęła do filiżanki, którą Lucas trzymał w drżącej dłoni. Doskonale.

– Wchodzi w skórę jak w masło. – Byłam oszołomiona. – Tak jak mówiła Leslie, ten nóż jest naprawdę zabójczo ostry.

– Odlóż to – zażądał Lucas, który wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć. – Do stu piorunów, naprawdę jesteś bardzo odważna, prawdziwa Montrose... ehm. Zgodnie z naszym rodzinnym hasłem...

– Tak, zdecydowanie mam to po tobie. – Zachichotałam. Lucas uśmiechnął się krzywo.

– Czy to w ogóle nie boli?

– Oczywiście, że boli – powiedziałam i łypnęłam wzrokiem na filiżankę. – Wystarczy?

– Tak, powinno być dosyć. – Lucas był blady jak ściana.

– Mam otworzyć okno?

– Już w porządku. – Postawił filiżankę obok chronografu i odetchnął głęboko. – Reszta jest prosta. –

Chwycił pipetę. – Muszę tylko wlać po trzy krople twojej krwi w te dwa otwory, widzisz? Tu pod maleńkim krukiem i pod symbolem jin i jang, a potem przekręcę kółko i przestawię tę dźwignię.

No, gotowe. Słyszysz? – We wnętrzu chronografu zaczęło się obracać kilka zębatek, coś zatrzeszczało, skrzypnęło i zaszumiało, a w sali zrobiło się jakby cieplej. Rubin rozblęsnął na chwilę, po czym zębatki się zatrzymały i wszystko znów było tak jak przedtem. –Niesamowite, co?

Skinęłam głową, próbując zignorować gęsią skórkę, która pokryła całe moje ciało.

– To znaczy, że w tym chronografie znajduje się teraz krew wszystkich podróżników w czasie z wyjątkiem Gideona, tak? A co by się stało, gdyby i jego krew została wczytana? – Złożyłam chusteczkę, którą dostałam od Lucasa, i przycisnęłam ją do rany.

– Pomijając fakt, że tak naprawdę nikt tego do końca nie wie, informacje te są trzymane w najściślejszej tajemnicy – odrzekł Lucas. Kolory powoli wracały mu na twarz. – Każdy Strażnik musiał przysiąc na kolanach, że nigdy nie będzie o tym rozmawiał z nikim spoza loży. Na swoje życie.

– Och!

Lucas westchnął.

– Ale wiesz co? Ja mam dziwną skłonność do łamania przysiąg. – Wskazał na niewielką przegródkę w chronografie, ozdobioną dwunastoramienną gwiazdką. – Wiadomo, że zamknie to pewien proces we wnętrzu chronografu i coś wyląduje w tej przegródce. W przepowiedniach jest mowa o esencji spod dwunastogwiazdy, a także o kamieniu filozoficznym. „Woń czasu wypełni powietrze, jeden z nich tylko otrzyma życie wieczne”.

– I to cała tajemnica? – spytałam rozczarowana. – Znowu tylko mgliste, zagmatwane teksty.

– No cóż, jeśli zgromadzimy wszystkie wskazówki, będzie to właściwie wyglądało całkiem konkretnie. „Zarazy uleczy i wszelkie cierpienie, dwunastogwiazda spełni przyrzeczenie”.

Substancja ta, odpowiednio użyta, może ponoć uleczyć wszelkie choroby ludzkości.

To już brzmiało lepiej.

_ Wtedy by się ten cały wysiłek opłacił – mruknęłam, myśląc o obsesji Strażników, by utrzymać wszystko w tajemnicy, o ich skomplikowanych zasadach i rytuałach.

W tych okolicznościach można było nawet zrozumieć ich ważniactwo. Na taki cudowny lek opłacałoby się czekać choćby kilkaset lat. A hrabiemu de Saint Germain za to, że doszedł do tego i sprawił, że w ogóle stano się to możliwe, bez wątplenia należał się szacunek. Gdyby tylko nie był taki antypatyczny...

- Lucy i Paul mają wątpliwości, czy to na pewno chodzi o kamień filozoficzny – powiedział Lucas, jakby odgadując moje myśli. – Uważają, że ktoś, kto nie waha się zamordować własnego praprapradziadka, raczej nie będzie dbał o dobro całej ludzkości. – Odchrząknął. – Przestało krwawić?

_ Jeszcze nie, ale krwawi coraz mniej. – Podniosłam rękę, żeby przyspieszyć ten proces. – I co teraz zrobimy? Czy mam po prostu wypróbować ten sprzęt?

_ Wielkie nieba, przecież to nie jest samochód, który się bierze na jazdę próbną! – Lucas aż załamał ręce.

_ Dlaczego nie? – spytałam. – Czyż nie o to właśnie chodziło?

_ No tak. – Łypnął na grubą folię, którą ze sobą przyniósł. – Właściwie masz rację. Przynajmniej będziemy mogli się upewnić, mimo że nie mamy zbyt dużo czasu. – Nagle ogarnął go ogromny zapach. Pochylił się i otworzył Kroniki. – Musimy uważać, żeby nie wybrać dnia, kiedy wylądowałabyś w samym środku posiedzenia. Albo żebyś nie spotkała jednego z braci de Villiers. W tej sali poddawali się elapsji wiele razy. Znowu oświeciła mnie pewna myśl.

- Czy mogłabym się spotkać z lady Tilney? Sam na sam? Najlepiej gdzieś po 1912 roku.

- Nie wiem, czy to mądre. – Lucas wertował folię. – Nie chcemy jeszcze bardziej komplikować spraw, które są już wystarczająco zagmatwane.

- Ale nie wolno nam też marnować tych niewielu szans, jakie mamy! – krzyknęłam, myśląc o tym, na co uczuliła mnie Leslie. Mam wykorzystywać każdą okazję, a przede wszystkim robić jedno: zadawać pytania, wszystkie, jakie przyjdą mi do głowy. – Kto wie, kiedy trafi się następna sposobność. W

skrzynce może też być coś innego i wtedy mogę w ogóle nie mieć już takiej szansy.

Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz?

– Dwunastego sierpnia 1948 roku, o dwunastej w południe – odrzekł Lucas, zatopiony w lekturze Kronik. – Nigdy tego nie zapomnę.

– No właśnie, i żebyś na pewno nie zapomniał, najlepiej ci to zapiszę – powiedziałam, zachwycona własną genialnością.

W moim kołonotatniku naskrobałam:

Do lorda Lucasa Montrosa – ważne!!!

12 sierpnia 1948 roku, godzina 12.00 Pracownia alchemiczna. Proszę, przyjdź sam.

Gwendolyn Shepherd

Jednym ruchem wyrwałam kartkę i złożyłam ją na pół. Dziadek podniósł na chwilę głowę znad foliału.

– Mógłbym cię wysłać do 1852 roku, 16 lutego o północy. Lady Tilney poddaje się tam elapsji, i to z 25 grudnia 1929 roku, dziewiąta rano – mruknął. – Biedaczka, nawet Bożego Narodzenia nie może spokojnie spędzić w domu. W każdym razie dali jej lampę naftową. Posłuchaj, co tu napisano: „12.30, lady Tilney w dobrym humorze powraca z roku 1852, w świetle lampy naftowej wyszydełkowała dwie świnki na targ dobroczynny w Święto Trzech Króli, który w tym roku odbywa się pod hasłem wiejskiego życia”. – Spojrzał na mnie. – Wyszydełkowała świnki? Czy to możliwe? Istnieje niebezpieczeństwo, że przeżyje straszny szok, jeśli się nagle wynurzysz z nicości.

Naprawdę chcemy tak ryzykować?

– Jest przecież uzbrojona tylko w szydełko, a o ile dobrze pamiętam, szydełka są od góry zaokrąglone. – Pochyliłam się nad chronografem. – A więc najpierw rok 1852, czyli muszę zacząć od M, prawda? MDCCCLII. A luty według kalendarza celtyckiego to numer trzy, nie, cztery...

– Co ty wyprawiasz? Najpierw musimy opatrzyć twoją ranę i spokojnie jeszcze raz się nad tym wszystkim zastanowić!

– Nie mamy na to czasu – odparłam. – Dzień... to jest ta dźwignia tutaj, prawda?

Lucas bojaźliwie spojrział mi przez ramię.

– Nie tak szybko. Wszystko musi się zgadzać co do milimetra, w przeciwnym razie... w przeciwnym razie... – Znowu wyglądał tak, jakby miał za chwilę zwymiotować. – I nigdy nie trzymaj tak chronografu, bo zabierzesz go ze sobą w przeszłość. A wtedy nie mogłabyś już wrócić.

– Tak jak Lucy i Paul – wyszeptałam.

– Na wszelki wypadek wybierzemy przedział czasowy zaledwie trzech minut. Weź 12.30 i 12.33, na pewno siedzi tam i spokojnie szydełkuje te swoje świnki. Jeśli będzie spała, to jej nie budź, bo dostanie zawału serca...

– Ale czy to nie byłoby zapisane w Kronikach! – przerwałam mu. – Lady Tilney zrobiła na mnie wrażenie bardzo silnej i opanowanej, na pewno nic jej się nie stanie.

Lucas przeniósł chronograf pod okno i postawił go za zasłoną.

– Możemy być pewni, że tu nie stoją żadne meble. Tak, tak, nie musisz przewracać oczami. Timothy de Villiers raz tak nieszczęśliwie wylądował na stole, że złamał sobie nogę!

– A jeśli lady Tilney będzie stała dokładnie w tym miejscu i rozmarzona wpatrywała się w noc?

Och, teraz ty nie patrz tak na mnie, dziadku, to był tylko żart.

Popchnęłam go delikatnie na bok, uklękłam na podłodze przed chronografem i otworzyłam klapkę tuż pod rubinem. Była akurat taka, że zmieścił się w niej mój palec.

– Poczekaj jeszcze. Twoja rana!

– Możemy ją równie dobrze opatrzyć za trzy minuty. Za chwilę znowu się zobaczymy – odrzekłam, po czym wzięłam głęboki wdech i mocno nacisnęłam na igłę opuszką palca.

Poczułam dobrze znane mdłości i kiedy rozjarzyło się czerwone światło, a Lucas powiedział: „Aleja chciałem jeszcze...”, wszystko rozmyło mi się przed oczami.

Kroniki Strażników

18 grudnia 1745 roku

W czasie gdy armia jakobinów podobno stoi już u bram Derby i kieruje się w stronę Londynu, przenieśliśmy się do nowej kwatery głównej i mamy nadzieję, że meldunki na temat francuskich żołnierzy, którzy przyłączyli się do młodego kandydata do tronu, Ślicznego Księcia Karolka, się nie potwierdzą i że będziemy mogli w spokoju świętować w mieście Boże Narodzenie.

Trudno sobie wyobrazić pomieszczenia dla nas, Strażników, bardziej odpowiednie niż te szacowne domy w Tempie, bo przecież templariusze także byli strażnikami wielkich tajemnic. Potężny kościół Tempie znajduje się w zasięgu wzroku, a jego katakumby są połączone z naszymi. Oficjalnie będziemy stąd kierować interesami, ale będą tu mogli też zamieszkiwać adepci, nowicjusze i goście z zewnątrz, oraz oczywiście służba. Poza tym stworzymy kilka laboratoriów do celów alchemicznych. Cieszymy się, że lord Alastair swymi oszczerstwami nie zdołał zakłócić dobrych stosunków hrabiego z księciem Walii (zob. raport z 2 grudnia) i że dzięki protekcji Jego Wysokości mogliśmy nabyć ten zespół budynków. Dziś w Smocznej Sali odbędzie się uroczyste przekazanie tajnych akt hrabiego członkom Kręgu Wewnętrznego.

Raport: sir Oliver Newton, Krąg Wewnętrzny

Rozdział 4

Potrzebowałam kilku sekund, żeby przyzwycząić się do innego światła. Pomieszczenie rozjaśniała tylko lampa naftowa stojąca na stole. W jej ciepłym, nikłym blasku dojrzałam przyjazną martwą naturę: koszyk, kilka kłębków różowej wełny, dzbanek w filcowym pokrowcu i filiżankę w różyczki.

Lady Tilney siedziała na krześle, szydełkując, a na mój widok opuściła ręce na podolek. Była wyraźnie starsza niż podczas naszego ostatniego spotkania; rude włosy z pasmami siwizny miała spięte w skromną fryzurę z trwałą ondulacją. Mimo to zdołała zachować ową majestatyczną, nieprzystępną postawę, jaka wyróżniała także moją babkę. I nawet nie krzyknęła, gdy się pojawiłam, nie mówiąc już o ruszaniu na mnie z wystawionym bojowo szydełkiem.

– Wesołych świąt – powiedziała.

– Wesołych świąt – zrewanżowałam się, nieco oszołomiona. Przez chwilę nie wiedziałam, co robić, ale zaraz wzięłam się w garść. – Proszę się nie bać, nie chcę od pani krwi ani nic takiego. – Wyszłam z cienia zasłony.

– Sprawa z krwią jest już dawno załatwiona, Gwendolyn – rzekła lady Tilney z lekką przyganą, jakbym powinna to wiedzieć. – Nawiasem mówiąc, zastanawiałam się, kiedy przyjdiesz. Usiądź tutaj. Herbaty?

– Nie, dziękuję. Niestety, mam tylko kilka minut. – Podeszłam jeszcze krok bliżej i podałam jej kartkę. – To musi trafić do mojego dziadka, żeby... no, żeby wszystko stało się tak, jak się stało. To bardzo ważne.

– Rozumiem.

Lady Tilney wzięła kartkę i najspokojniej w świecie ją rozłożyła. Nie wydawała się ani trochę zdenerwowana.

– Dlaczego pani na mnie czekała? – spytałam.

– Bo sama mi powiedziałaś, że bym się czasem nie wystraszyła, jeśli mnie odwiedzisz. Niestety, nie zdradziłaś mi, kiedy to będzie, i dlatego czekam już od wielu lat, żebyś mnie jednak w końcu wystraszyła. – Zaśmiała się cicho. – Ale dzierganie świnek szydełkiem działa niezwykle uspokajająco. Szczerze mówiąc, można usnąć z nudów.

Miałam już na końcu języka uprzejme: „To przecież na szczytne cele”, lecz kiedy rzuciłam okiem do koszyka, wyrwało mi się: „Och, jakie słodkie!”. I naprawdę takie były. Znacznie większe, niż sobie wyobrażałam, jak prawdziwe pluszaki, i bardzo podobne do żywych świnek.

– Weź sobie jedną – powiedziała lady Tilney.

– Naprawdę? – Z myślą o Caroline sięgnęłam do koszyka. Zwierzątka były bardzo miękkie w dotyku.

– Wełna z kóz angorskich i kaszmirskich – wyjaśniła lady Tilney z pewną dumą w głosie. – Tylko ja jej używam. Inni biorą owczą, ale jest szorstka i drapie.

– O, tak. Dziękuję. – Przycisnąwszy różową świnkę do piersi, potrzebowałam chwili, aby się pozbierać. Na czym stanęłyśmy? Odchrząknęłam. – Kiedy spotkamy się następnym razem? To znaczy w przeszłości.

– W 1912 roku. Z mojego punktu widzenia jednak to nie jest następny raz. – Westchnęła. – Nie masz pojęcia, jakie to były ciekawe czasy...

– O, cholera! – Żołądek znowu mi się skurczył, jakbym jechała kolejką górską. Dlaczego, u diabła, nie ustawiliśmy dłuższego przedziału czasowego?

– W takim razie wie pani więcej ode mnie – rzuciłam pospiesznie. – Nie mamy czasu na szczegóły, ale... Może da mi pani jeszcze dobrą radę na drogę? – Cofnęłam się o kilka kroków, w kierunku okna, wychodząc z kręgu światła lampy.

– Radę?

– Tak! Coś w stylu: wystrzegaj się...? – Spojrzałam na nią wyczekująco.

– Czego? – Lady Tilney równie wyczekująco popatrzyła na mnie.

– A skąd miałabym to wiedzieć? Proszę powiedzieć, czego mam się wystrzegać.

– W każdym razie kanapek z pastrami i zbyt dużej ilości słońca, bo to niedobrze wpływa na cerę – powiedziała energicznie lady Tilney, a potem jej sylwetka rozplynęła mi się przed oczami i wróciłam do roku 1956.

Kanapki z pastrami – wielkie nieba! Powinnam była raczej zapytać, kogo mam się wystrzegać, a nie czego. Ale teraz było już za późno. Okazja została zmarnowana.

– A cóż to jest, na miłość boską? – wykrzyknął Lucas, gdy jego oczom ukazał się prosiak.

No właśnie: zamiast wykorzystać każdą sekundę, żeby wydobyć informacje od lady Tilney, to jak głupia rzuciłam się na różowego zwierzaka. – Świnka zrobiona szydełkiem, dziadku, przecież widzisz – wyjaśniłam matowym głosem, rozczarowana samą sobą. – Angora i kaszmir. Inni używają szorstkiej owczej wełny...

– W każdym razie nasz test najwyraźniej się powiódł – podsumował z zadowoleniem Lucas. –

Umiesz obsłużyć chrono–graf i możemy się umówić. U mnie w domu.

– To było o wiele za krótko. – Westchnęłam żałośnie. – Niczego nie mogłam się dowiedzieć.

– No, ale w każdym razie ty... eee... dostałaś świnkę, a lady Tilney nie dostała zawału serca. A może jednak?

Pokręciłam głową.

– Oczywiście, że nie.

Lucas owinął chronograf w aksamitną tkaninę i odniósł go do szafy.

– I pociesz się: dzięki temu mamy wystarczająco dużo czasu, żeby przeszmurować cię z powrotem do piwnicy i dalej snuć plany, czekając na twój powrotny przeskok w czasie. Nie mam pojęcia, jak tym razem się wyłgamy, jeśli Cartrell, ten ochlapus, już się wyspał po swoim pijaństwie.

Łącząc znowu w pomieszczeniu z chronografem w moich czasach, byłam wręcz w euforii. No dobra, zdobycie świnki (wcisnęłam ją do szkolnej torby) to może nie jakieś nadzwyczajne osiągnięcie, ale wszystko inne zaaranżowaliśmy z Lucasem całkiem sprytnie. Jeśli w skrzyni naprawdę znajdował się chronograf, nie będziemy już musieli zdawać się na przypadek.

– Jakies szczególne wydarzenia? – spytał pan Marley. Niech się zastanowię: przez całe popołudnie snułam z moim dziadkiem konspiracyjne plany, złamaliśmy zakaz i wczytaliśmy moją krew do chronografu, a potem wysłaliśmy mnie do roku 1852, gdzie odbyłam konspiracyjne spotkanie z lady Tilney. No dobra, na pewno nie było konspiracyjne, ale za to zabronione.

– Trochę mrugała żarówka – powiedziałam. – I nauczyłam się francuskich słówek.

Pan Marley pochylił się nad dziennikiem i wpisał swoim delikatnym, drobnym pismem następujące słowa: „19.43, rubin powrócił z 1956 roku, odrabiał zadanie, żarówka mrugała”. Zdusiłam w sobie śmiech. No tak, porządek musi być. Na pewno był spod znaku Panny. Przerazało mnie tylko to, że zrobiło się późno. Miałam wielką nadzieję, że mama nie odeśle Leslie do domu, nim wrócę.

Pan Marley jednak najwyraźniej się nie spieszył. Teraz irytująco powoli zakręcał skuwkę wiecznego pióra.

– Sama trafię z powrotem – oznajmiłam.

– Nie, tego pani nie wolno – powiedział wystraszony. – Oczywiście odprowadzę panią aż do limuzyny. Zamknął dziennik i wstał. – I muszę pani zawiązać oczy. Przecież pani wie – dodał

łagodnie.

Wzdychając, pozwoliłam sobie obwiązać głowę czarną chustką.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogę znać drogi do tego pomieszczenia – rzuciłam.

Pomijając fakt, że od dawna ją znałam.

– Ponieważ jest to napisane w Kronikach – wyjaśnił pan Marley.

– Co? – zawołałam. – W Kronikach jest zapisane moje imię i to, że nie mogę poznać tej drogi? Jak to?

Teraz w głosie pana Marleya wyraźnie pobrzmiwało niezadowolenie.

– Oczywiście nie ma tam pani imienia, w przeciwnym razie tamten rubin, to znaczy mam na myśli pannę Charlotte, przez te wszystkie lata... – Odchrząknął i zamilkł, a ja usłyszałam, jak otwiera drzwi. – Mogę? – zapytał, wziął mnie za rękę i wyprowadził na korytarz.

Wprawdzie tego nie widziałam, ale byłam przekonana, że znowu poczerwieniał, bo czułam się, jakbym szła koło źródła ciepła.

– A co tam jest dokładnie o mnie napisane? – zapytałam.

– Proszę wybaczyć, ale ja naprawdę nie mogę... i tak powiedziałem za dużo.

Dosłownie poczułam, jak załamuje ręce, przynajmniej tę, którą mnie nie trzymał. I ten facet ma być potomkiem groźnego Rakoczego? Koń by się uśmieł.

– Proszę, Leo – powiedziałam najuprzejmiej, jak tylko potrafiłam.

– Żałuję, ale ode mnie nic więcej się pani nie dowie.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nami. Pan Marley puścił moją rękę, żeby je zamknąć na klucz, na co w moim odczuciu potrzebował dziesięciu minut. Próbowałam nadrobić trochę czasu, ruszając potem różnym krokiem. To zresztą okazało się niełatwe z zawiązanymi oczami. Pan Marley znowu wziął mnie za rękę, co też było dobre, bo bez przewodnika w tym labiryncie prędko wlaźłabym na ścianę. Postanowiłam jeszcze się do niego poprzymilać, co nie mogło zaszkodzić. Może później będzie gotów przekazać mi nieco informacji.

– A wie pan, że osobiście poznałam pana praprzodka?

Ściśle biorąc, nawet zrobiłam mu zdjęcie, tyle że nie mogłam pokazać go panu Marleyowi, bo zaraz by na mnie naskarżył, że wzięłam ze sobą w przeszłość zakazany przedmiot.

– Naprawdę? Zazdroszczę pani. Podobno baron był nieprzeciętnym człowiekiem.

– O tak, bardzo nieprzeciętnym... – W rzeczy samej! Upiorny stary ćpun! – Pytał mnie o

Transylwanię, ale niestety nie mogłam mu udzielić zbyt wielu informacji.

– Tak, to musiało być dla niego trudne, żyć na wygnaniu – powiedział pan Marley i zaraz potem głośno jęknął: – Ojej!

„Szczur”, pomyślałam i w panice zerwałam opaskę z oczu.

Ale to nie szczur wywołał okrzyk pana Marleya. To był Gi-deon. Z trochę większym zarostem niż dziś po południu, ale z niezwykle błyszczącymi oczami. I tak niewiarygodnie, bezwstydnie, niewyobrażalnie przystojny.

– To tylko ja. – Uśmiechnął się.

– Widzę – rzucił ponuro pan Marley. – Piekielnie mnie pan wystraszył.

A co dopiero mnie. Dolna warga znowu zaczęła mi drżeć, więc szybko zatopiłam w niej siekacze dla uspokojenia. Durna warga!

– Ma pan już wolne, zaprowadzę Gwendolyn do samochodu – powiedział Gideon i jakby nigdy nic wyciągnął do mnie rękę.

Przyjęłam możliwie najbardziej wyniosłą minę (na ile można to zrobić z przednimi zębami wbitymi w dolną wargę – musiałam pewnie wyglądać jak bóbr, w każdym razie wyniosły bóbr) i zignorowałam jego gest.

– To niemożliwe – zaprotestował pan Marley. – Dostałem polecenie, by odprowadzić panienkę do...

Och! – Spojrzał na mnie przerażony. – Panno Gwendolyn, dlaczego zdjęta pani chustkę? To wbrew przepisom.

– Myślałam, że to szczur – powiedziałam, rzucając Gideonowi ponure spojrzenie. – I wcale tak bardzo się nie pomyliłam.

– No i proszę, co pan narobił – pan Marley zwrócił się z wyrzutem do Gideona. – Nie mam pojęcia, co teraz... Zgodnie z protokołem... A jeśli...

– Niechże pan tak nie trzęsie portkami, Marley. Chodź, Gwenny, idziemy.

– Nie może pan... muszę upierać się przy tym, by... – jąkał się pan Marley. – I... i... i nie ma pan prawa wydawać mi instrukcji... eee... to znaczy poleceń.

– To proszę iść na skargę. – Gideon chwycił mnie za rękę i po prostu pociągnął za sobą.

Najpierw chciałam się bronić, ale było dla mnie jasne, że w ten sposób stracę jeszcze więcej czasu.

Pewnie stalibyśmy tu i dyskutowali do jutra. Dałam się więc pociągnąć naprzód, przez ramię rzucając panu Marleyowi przepraszające spojrzenie.

– Do widzenia, Leo.

– Właśnie. Do widzenia, Leo – powiedział Gideon.

– To... to będzie miało konsekwencje – wyjąkał pan Marley, a jego głowa płonęła w mrocznym korytarzu niczym pochodnia.

– Tak, tak. Już teraz trzęsiemy się ze strachu. – Gideonowi zdawało się obojętne, że pan Marley mógłby go jeszcze usłyszeć. – Głupi lizus.

Poczekaliśmy, aż skręcimy za najbliższy róg, po czym wyswobodziłam się i ruszyłam szybszym krokiem, niemal biegiem.

– Jakież ambicje olimpijskie? – spytał Gideon. Obróciłam się na pięcie.

– Czego ode mnie chcesz? – Leslie byłaby dumna z mojego prychnięcia. – Naprawdę się spieszę.

– Chciałem się jeszcze raz upewnić, że moje przeprosiny z dzisiejszego popołudnia do ciebie dotarły. – Z jego głosu znikła wszelka drwina.

Ale z mojego nie.

– Tak, oczywiście, że tak – parsknęłam. – Ale to jeszcze nie znaczy, że je przyjął.

– Gwen...

– Już dobrze, nie musisz mi znowu mówić, że naprawdę mnie lubisz. Ja też cię lubiłam, wiesz?

Nawet bardzo cię lubiłam, ale to już przeszłość.

Pobiegłam w górę po kręconych schodach najszybciej, jak tylko potrafiłam. Z takim skutkiem, że gdy dotarłam na górę, byłam zupełnie bez tchu. Najchętniej zwiesiłabym się zdyszana przez poręcz.

Nie chciałam jednak okazać słabości. Tym bardziej że Gideon wcale nie wyglądał na zmęczonego.

A więc gnałam dalej do przodu, aż złapał mnie za przegub ręki i zmusił, bym się zatrzymała.

Wzdrygnęłam się, bo jego palce podrażniły moją ranę. Znowu zaczęła krwawić.

– W porządku, nienawidzisz mnie, naprawdę to nie jest dla mnie problem – rzekł Gideon, patrząc mi z powagą w oczy. – Ale dowiedziałem się rzeczy, które wymagają, byśmy ze sobą współdziałali, ty i ja. Żebyś... żebyśmy wyszli z całej tej sprawy żywi.

Próbowałam się oswobodzić, ale jego uścisk stawał się coraz mocniejszy.

– Jakich rzeczy? – spytałam, choć najchętniej wrzasnęłabym: „auu!”.

– Tak dokładnie jeszcze nie wiem, ale możliwe, że myliłem się co do intencji Lucy i Paula. I dlatego ważne jest, żebyś ty... –Przerwał, puścił mnie i spojrzał na wnętrze swojej dłoni. – Czy to krew?

Cholera. Teraz tylko nie mogę wyglądać tak, jakby mnie złapał na gorącym uczynku.

– To nic takiego. Dzisiaj rano w szkole zacięłam się kartką papieru. Ale wróćmy do tematu: dopóki nie będziesz potrafił skonkretyzować (o rany, ale byłam dumna z tego, że to słowo przyszło mi do głowy!) tych rzeczy, których się rzekomo dowiedziałeś, ja z całą pewnością nie będę z tobą współdziałać.

Gideon znowu próbował chwycić mnie za rękę.

– Zdaje się, że to poważna rana. Pokaż mi... powinniśmy pójść do doktora White'a. Może jeszcze tu jest.

– To pewnie ma znaczyć, że nie chcesz dokładniej wyjaśnić, czego się rzekomo dowiedziałeś. – Wyprostowałam rękę, odsuwając się od niego, żeby nie mógł zbadać mojej rany.

– Sam jeszcze nie jestem pewien, jak to wszystko poukładać – powiedział Gideon. – Potrzebuję po prostu czasu – dorzucił, tak samo jak wcześniej dziadek Lucas, lekko zdesperowanym tonem.

– A któż go nie potrzebuje? – Znowu ruszyłam do przodu. Dotarliśmy do drzwi pracowni madami Rossini, skąd było już niedaleko do wyjścia. – Do widzenia, Gideonie. Zobaczymy się jutro, niestety.

W głębi duszy czekałam, ale on mnie nie zatrzymywał. I choć oddałabym wszystko, żeby zobaczyć jego minę, nie odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Byłoby zresztą głupio, bo po twarzy znowu płynęły mi łzy.

Nick czekał na mnie w drzwiach.

– Nareszcie – powiedział. – Chciałem zacząć bez ciebie, ale pan Bernhard powiedział, że mamy na ciebie poczekać. Zepsuł spłuczkę w niebieskiej toalecie i twierdzi, że musi odbić tam kafle, żeby ją naprawić. Tajne drzwi zaryglowaliśmy od wewnątrz. Sprytnie, co?

– Bardzo chytrze.

– Ale za godzinę wróci lady Arista i ciotka Glenda i na pewno powiedzą, żeby przełożyć naprawę na jutro.

– No to musimy się pospieszyć. – Przyciągnęłam go szybko do siebie i wycisnęłam całusa na splątanych rudych włosach. Czasu musiało nam wystarczyć. – Nikomu o tym nie mówiłeś?

Nick popatrzył na mnie z pewnym poczuciem winy.

– Tylko Caroline. Ona... och, wiesz przecież, że ona zawsze czuje, kiedy coś wisi w powietrzu, i potrafi wywiercić dziurę w brzuchu. Ale będzie milczała i pomoże nam odwrócić uwagę mamy, cioci Maddy i Charlotty.

– Przede wszystkim Charlotty – powiedziałam bardziej do siebie.

– Oni wszyscy są jeszcze na górze w jadalni, mama zaprosiła Leslie na kolację.

W jadalni zaczęto właśnie wstawać od stołu. To znaczyło, że ciocia Maddy przenosiła się na swój fotel przed kominkiem i kładła wyżej nogi, natomiast mama i pan Bernhard sprząтали ze stołu.

Wszyscy ucieszyli się na mój widok, to znaczy wszyscy prócz Charlotty. No cóż, może po prostu umiała świetnie ukrywać radość.

Xemerius zwisał z żyrandola.

– No, nareszcie jesteś! – krzyknął. – Już chciałem umrzeć z nudów!

Choć jedzenie pachniało smakowicie, a mama powiedziała, że zostawiła mi coś na ciepło, oznajmiłam bohatercko, że nie jestem głodna, bo zjadłam kolację w Tempie. Przy tym łgarstwie żołądek ścisnął mi się z oburzenia, ale nie mogłam marnować cennego czasu na jego zachcianki.

Leslie wyszczerzyła do mnie zęby w uśmiechu.

– Curry było przepyszne. Nie mogłam przestać jeść. Tym bardziej że moja mama znajduje się właśnie w fazie straszliwych eksperymentów. Tego całego makrobiotycznego żarcia, które gotuje, nie chce tknąć nawet nasz pies.

– Mimo to wydajesz się całkiem... ehem... nazwijmy to, dobrze odżywiona – rzuciła złośliwie

Charlotta.

Z jej zaplecionych włosów wypadło kilka kosmyków, niezwykle korzystnie okalając jej twarz. To niepojęte, jak można tak pięknie wyglądać i być przy tym tak nikczemną.

– Ale masz dobrze. Też chciałabym mieć psa – powiedziała Caroline do Leslie. – Albo jakieś inne domowe zwierzę.

– Ach, mamy Nicka – wtrąciła Charlotta. – To prawie tak, jakbyśmy mieli małpę.

– Nie zapomnij o jadowitej żmii, czyli o sobie – syknął Nick.

– Szacun, chłopie! – zaskrzeczał Xemerius z żyrandola i zaklaskał w szponiaste łapy. – Niezła riposta!

Mama pomogła panu Bernhardowi ustawić naczynia w kuchennej windzie.

– Wiesz dobrze, że to niemożliwe, Caroline, bo ciocia Glenda ma alergię na sierść.

– Moglibyśmy sobie sprawić golca – powiedziała Caroline.

Charlotta otworzyła usta, ale z powrotem je zamknęła, bo najwyraźniej nie przyszło jej do głowy nic złośliwego na temat golców.

Ciocia Maddy umościła się w fotelu i sennym ruchem wskazała na swój okragły różowy policzek.

– Gwendolyn, pocałuj swoją cioteczną babkę. To straszne, że widujemy cię teraz tak rzadko. Dziś w nocy znowu mi się śniłaś i powiadam ci, to nie był piękny sen.

– Możesz mi to opowiedzieć później? – Ucałowałam ją. –I czy mogłabyś mi pomóc trzymać

Charlotte z dala od niebieskiej łazienki? – szepnęłam jej przy tym do ucha.

Dołączki cioci Maddy pogłębiły się i puściła do mnie oko. Wcale nie wyglądała już na senną.

Mama, która była umówiona z przyjaciółką, miała dziś o wiele lepszy humor niż w ostatnich dniach. Nie rzucała mi zatroskanych spojrzeń, nie słyszałam też żadnych westchnień, kiedy na mnie patrzyła. Darowała sobie nawet swoje zwykle wykłady na temat niebezpieczeństw związanych z nocną jazdą autobusem. Co więcej, Nick mógł asystować panu Bernhardowi przy naprawie rzekomo zepsutej spłuczki, niezależnie, jak długo to będzie trwało. Tylko Caroline miała pecha: posłano ją do łóżka.

– Ale ja chcę być przy tym, jak będziecie wyciągać ska... spłuczkę – błagała, a kiedy mama nie dała się zmiękczyć, uroniła jedną łzę.

– Ja też idę już do łóżka – powiedziała Charlotta do Caroline. – Z dobrą książką.

– W cieniu wzgórza wampirów – zakablował Xemerius. – Jest już na stronie 413, w miejscu gdzie młody, choć nieumarły Christopher St. Ives wreszcie zaciąga prześliczną Mary Lou do łóżka.

Posiałam mu rozbawione spojrzenie, on zaś ku mojemu zaskoczeniu nagle jakby lekko się speszył.

– Przysięgam, tylko rzuciłem okiem – mruknął i zeskoczył z żyrandola na parapet.

Ciocia Maddy wykorzystała zapowiedź Charlotty.

– Och, moja kochana! Myślałam, że dotrzymasz mi jeszcze przez chwilę towarzystwa w pokoju muzycznym – powiedziała. – Tak bym chciała znowu pograć w scrabble.

Charlotta przewróciła oczami.

– Ostatnim razem musieliśmy wykluczyć cię z gry, ciociu, bo upierałaś się, że istnieje słowo uszokot.

– Bo istnieje. To kot z uszami. – Ciocia Maddy wstała z fotela i wzięła Charlotte pod rękę. – Ale jeśli o mnie chodzi, dziś to nie obowiązuje.

– Skoczoptak i krowisok też nie – powiedziała Charlotta.

– Ależ skoczoptak z całą pewnością istnieje, króliczku – odrzekła ciocia Maddy i mrugnęła do mnie.

Zanim poszłam z Leslie na górę do mojego pokoju, objęłam mamę.

– Na marginesie, mam ci przekazać serdeczne pozdrowienia od Falka de Villiers. Chciał wiedzieć, czy masz kogoś na stałe.

Z tą informacją powinnam była raczej poczekać, aż Charlotta i ciocia Maddy wyjdą z pokoju, bo obie zatrzymały się i zaciekawione spojrzały na mamę.

– Co? – Mama lekko się zarumieniła. – I co mu odpowiedziałas?

– No, że już od wieków z nikim nie wychodziłaś i że ostatni gość, z którym się spotykałaś, zawsze drapał się w kroku, kiedy myślał, że nikt nie patrzy.

– Nie powiedziałaś tego! Zaśmiałam się.

– Nie, nie powiedziałam.

– Och, mówicie o tym przystojnym bankierze, z którym chciała cię skojarzyć Arista? O panu

Itchmanie? – wtrąciła się ciocia

Maddy. – To na pewno były wszy łonowe. I Leslie parsknęła śmiechem.

– Nazywał się Hitchman, ciociu Maddy. – Mama, wzdrygając się, potarła dłońmi ramiona. – Dobrze, że nie sprawdziłam, co mu dolega. To co naprawdę mu powiedziałaś? To znaczy Falkowi?

– Nic – odparłam. – A może mam go przy następnej okazji zapytać, czy jest w stałym związku?

– Zachowuj się – rzuciła mama. Potem się uśmiechnęła. – Nie jest – dodała.

– Wiem to przypadkowo od pewnej przyjaciółki, która ma przyjaciółkę, która zna go bliżej... ale to nie znaczy, że mnie to interesuje.

– Nieee, jasne, że nie – wtrąci! Xemerius. Sfrunął z parapetu i usiadł na samym środku stołu. –

Możemy wreszcie zaczynać?

Pół godziny później Leslie miała najnowsze wiadomości, a Caroline prawdziwą szydełkową świnkę w stylu vintage z 1929 roku. Kiedy jej

opowiedziałam, skąd ją mam, była zachwycona i postanowiła nazwać świnkę Margret, na cześć lady Tilney. Gdy wszystko wokół wreszcie się uspokoiło, zasnęła szczęśliwa, ze świnką w objęciach.

Młot i przecinak pana Bernharda było słycać w całym domu – nigdy nie udałooby się nam potajemnie rozbić tej ściany. Pan Bernhard i Nick nie zdołali natomiast wnieść po kryjomu skrzyni do mojego pokoju. Tuż za nimi przydreptała ciocia Maddy.

– Dorwała nas na schodach – powiedział Nick, przeprasząc.

– I rozpoznała skrzynkę – dodała rozemocjonowana ciocia Maddy. – Należała do mojego brata.

Przez całe lata stała w bibliotece i nagle, tuż przed jego śmiercią, zniknęła. Myślę, że mam pełne prawo dowiedzieć się, co zamierzacie z nią zrobić.

Pan Bernhard westchnął.

– Niestety, nie mamy wyjścia. Właśnie wróciły do domu lady Arista i pani Glenda.

– No, ja w każdym razie jestem mniejszym złem, prawda? – Ciocia Maddy zaśmiała się z satysfakcją.

– Najważniejsze, żeby Charlotta o niczym się nie dowiedziała – rzuciła Leslie.

– Nie, nie, spokojna głowa. Poszła do swojego pokoju, parszczając ze złości tylko dlatego, że ułożyłam słowo „kartonożyce”.

– A to, jak wszyscy wiedzą, są nożyce, które służą do przecinania kart – wtrącił Xemerius. – Nie wiedzieć po co. I powinny być w każdym domu.

Ciocia Maddy uklękła na podłodze obok skrzyni i pogłaskała zakurzone wieko.

– Skąd ją macie?

Pan Bernhard spojrział na mnie pytająco, a ja wzruszyłam ramionami. Skoro już tu była, mogliśmy ją od razu we wszystko wtajemniczyć.

– Zamurowałem ją na polecenie pani brata – oświadczył pan Bernhard z godnością. – Dzień przed jego śmiercią.

– Dopiero dzień przed jego śmiercią? – powtórzyłam.

Dla mnie to też była nowość.

– A co jest w środku? – spytała ciocia Maddy. i Podniosła się z klęczek i szukała teraz jakiegoś miejsca, żeby i usiąść. Nie znalazłszy niczego, przysiadła obok Leslie na brzegu mojego łóżka.

– Oto jest pytanie – powiedział Nick.

– Pytanie raczej brzmi: jak ją otworzyć? – zauważył pan Bernhard. – Bo klucz zniknął razem z pamiętnikami lorda Montrose wtedy, podczas tamtego włamania.

– Jakiego włamania? – zapytali zgodnym chórem Leslie i Nick.

– W dzień pogrzebu waszego dziadka było tutaj włamanie – wyjaśniła ciocia Maddy. – Kiedy wszyscy byliśmy na cmentarzu, żeby go pożegnać. Taki smutny dzień, prawda, mój drogi? – Ciocia

Maddy spojrzała na pana Bernharda, który słuchał jej z niewzruszoną miną.

Wydało mi się to dziwnie znajome. O ile dobrze pamiętałam, włamywacze zostali spłoszeni i uciekli, zanim zdążyli cokolwiek zabrać.

Powiedziałam to Nickowi i Leslie, ale ciocia Maddy zaprzeczyła.

– Nie, nie, mój aniołku. Policja tylko założyła, że nic nie zostało skradzione, ponieważ cała gotówka, obligacje i kosztowna biżuteria leżały nietknięte w sejfie.

– To by miało sens tylko wtedy, gdyby włamywacze zasadzili się wyłącznie na pamiętniki – dodał pan Bernhard. – Pozwoliłem sobie wówczas przedstawić tę tezę policji, ale nikt mi nie uwierzył.

Poza tym na sejfie nie było żadnych śladów włamania, co znaczyło, że włamywacze musieli znać szyfr.

Przyjęto więc, że lord Montrose przełożył swoje pamiętniki w inne miejsce.

– Ja panu uwierzyłam, mój drogi – powiedziała ciocia Maddy. – Ale niestety, moja opinia w tamtym czasie nie miała szczególnej wagi. No cóż, w sumie nigdy nie miała – dorzuciła, marszcząc nos. –

Tak czy owak, trzy dni przed śmiercią Lucasa miałam wizję i byłam przekonana, że nie zmarł śmiercią naturalną. Wszyscy jednak uznali mnie jak zwykle za... wariatkę. A tymczasem ta wizja była jednoznaczna: potężna pantera skoczyła Lucasowi na pierś i rozszarpała mu gardło.

– Tak, bardzo jednoznaczna – mruknęła Leslie.

– A pamiętniki? – spytałam.

– Nigdy się nie odnalazły – wyjaśnił pan Bernhard. – A wraz z nimi klucz do tej skrzyni, ponieważ lord Montrose wkleił go z tyłu aktualnego pamiętnika, o czym mogę zaświadczyć.

Xemerius niecierpliwie zatrzepotał skrzydłami.

– Byłbym za tym, żeby skończyć tę gadaninę i pójść po łom.

– Ale... przecież dziadek miał zawał serca – zauważył Nick.

– No cóż, tak to w każdym razie wyglądało. – Ciocia Maddy głęboko westchnęła. – Stracił przytomność, w wieku osiemdziesięciu lat, przy własnym biurku, we własnym biurze w Tempie.

Moja wizja nie była wystarczającym powodem do tego, by zarządzić sekcję. Arista była na mnie zła, kiedy tego zażądałam.

– Mam gęsią skórkę – wyszeptał Nick, przysuwając się trochę bliżej i opierając się o mnie.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Xemerius krążył wokół lampy pod sufitem.

– Ruszcie wreszcie tyłki! – zawołał, ale oprócz mnie nikt go nie słyszał.

– To już całe mnóstwo przypadków – powiedziała w końcu Lslie.

– Tak – zgodziłam się z nią. – Lucas każe zamurować skrzynię i przypadkiem umiera następnego dnia.

– A ja przypadkiem trzy dni wcześniej mam wizję na temat i jego śmierci – dodała ciocia Maddy.

– I przypadkiem też znikają wtedy jego pamiętniki – uzupełnił Nick.

– I przypadkiem ten klucz, który panna Leslie ma na szyi, wygląda zupełnie tak samo jak klucz do tej skrzyni – odezwał pan Bernhard niemal przeproszającym tonem. – Patrzyłem na niego przez całą kolację.

Leslie ze zdumieniem chwyciła łańcuszek.

– Ten tutaj? Klucz do mojego serca?

– Ale to niemożliwe – wtrąciłam. – Ukradłam go z szuflady w Tempie, gdzieś w osiemnastym wieku.

To byłoby już za wiele przypadków, prawda?

– Przypadek to jedyny prawowity władca wszechświata, tak twierdził już Einstein. A on wiedział, co mówi. – Ciocia Maddy pochyliła się, z zainteresowaniem patrząc na kluczyk.

– To powiedział nie Einstein, tylko Napoleon! – zawołał Xemerius spod sufitu. – A jemu brakowało piątej klepki!

– Może się mylę, bo wszystkie stare klucze są bardzo podobne – zważył pan Bernhard.

Leslie rozpięła łańcuszek i podała mi klucz.

– W każdym razie warto spróbować.

Wręczyłam kluczyk panu Bernhardowi. Wszyscy wstrzymali oddech, gdy ukląkł przed skrzynią i wetknął klucz w ozdobny zamek. Dał się obrócić bez trudu.

– Nie do wiary – wyszeptała Leslie.

Ciocia Maddy z zadowoleniem skinęła głową.

– Nie ma żadnych przypadków. Wszystko, ale to wszystko jest przeznaczeniem. A teraz niech pan już przestanie nas torturować i otworzy wieko, panie Bernhard.

– Moment! – Wzięłam głęboki wdech. – Wszyscy obecni tutaj muszą zachować w absolutnej tajemnicy wiedzę o tym, co znajduje się w tej skrzyni.

Szybko poszło: jeszcze kilka dni temu narzekałam na Strażników, którzy ze wszystkiego robili tajemnicę, a teraz sama zakładałam tajne stowarzyszenie. Brakowało jeszcze, żebym zażądała od nich, by zawiązali sobie oczy, kiedy będą opuszczać ten pokój.

– Zabrzmiało tak, jakbyś wiedziała, co jest w środku – zauważył Xemerius, który już kilkakrotnie próbował przez drewniane wieko wsadzić głowę do skrzyni, ale za każdym razem wracał wściekły pod sufit.

– Oczywiście, że nikomu nic nie powiemy – odezwał się nieco urażony Nick.

Leslie i ciocia Maddy przyglądały mi się wręcz z oburzeniem. Nawet w niewzruszonej twarzy pana

Bernharda uniosła się jedna brew.

– Przysięgnijcie – zażądałam. – Przysięgnijcie na własne życie – dodałam, żeby zrozumieli, jak bardzo poważnie do tego podchodzę.

Tylko ciocia Maddy zerwała się i z zachwytem położyła rękę na sercu. Pozostali nie byli do tego skorzy.

– Nie może być jakoś inaczej?! – warknęła Leslie. – Moim zdaniem wystarczyłaby lewa ręka.

Pokręciłam głową.

– Przysięgnijcie!

– Przysięgam na swoje życie! – zawołała wesoło ciocia Maddy.

– Przysięgam – mruknęli wszyscy pod nosem.

Nick zaczął nerwowo chichotać, bo ciocia Maddy, żeby dodać tej chwili powagi, zaczęła nucić hymn narodowy.

Trochę zaskrzybiało, kiedy pan Bernhard – nie zapomniawszy upewnić się najpierw, czy się na to zgadzam – podniósł wieko skrzyni. Jego palce ostrożnie rozwinęły kilka zbutwiałych aksamitnych chust i kiedy wreszcie wydobył ten przedmiot, który był nimi owinięty, wszyscy wydali z siebie okrzyk zaskoczenia, coś w stylu: „och!” i „ach!” I tylko Xemerius zawołał:

– Krucafuks!

– Czy to jest może to, co myślę? – zapytała po chwili ciocia Maddy, wciąż patrząc szeroko otwartymi oczami.

– Tak – potwierdziłam zmęczona i odgarnęłam włosy z twarzy. – To jest chronograf.

Nick i ciocia Maddy wyszli niechętnie, pan Bernhard dyskretnie, a Leslie wśród protestów. Ale jej mama już dwa razy dzwoniła do niej na komórkę, żeby się dowiedzieć, czy: a) została zamordowana lub b) leży może gdzieś posiekana na kawałki w Hyde Parku, a więc nie miała wyboru.

Przedtem jednak musiałam jej przysiąc, że będę się ściśle trzymała naszego planu.

– Na własne życie – zażądała i zrobiłam jej tę przyjemność. W odróżnieniu od cioci Maddy natomiast zrezygnowałam z hymnu narodowego.

W moim pokoju wreszcie zapanowała cisza i dwie godziny po tym, jak mama jeszcze do mnie zajrzała, cisza zaległa w całym domu. Musiałam stoczyć ze sobą prawdziwą walkę, czy naprawdę nie wypróbować chronografu od razu tej nocy. Dla Lucasa to było bez różnicy, czy na nasze spotkanie w roku 1956 udam się dzisiaj czy jutro, czy może dopiero za cztery tygodnie,

dla mnie zaś jedna przespana noc prawdopodobnie mogła zdziałać cuda. Z drugiej strony jutro musiałam iść na ten bal i znowu stanąć oko w oko z hrabią de Saint Germain, a wciąż jeszcze nie wiedziałam, co on zamierza.

Owinąwszy chronograf szlafrokiem, przemknęłam po schodach na dół.

– Właściwie po co wleciesz to ze sobą przez cały dom? – spytał Xemerius. – Mogłabyś po prostu przeskoczyć ze swojego pokoju.

– Tak, ale skąd mam wiedzieć, kto tam spał w 1956 roku? A potem musiałabym się jeszcze przekradać przez cały dom i ryzykować, że znowu ktoś mnie weźmie za włamywaczkę... Nie, lepiej przeskoczę bezpośrednio w tajnym korytarzu, wtedy, ładując, nie narażę się na to, że ktoś mnie zobaczy. Lucas będzie na mnie czekał przed portretem prapraprapradziadka Hugh.

– Liczba tych „pra” za każdym razem jest inna – zauważył Xemerius. – Gdybym był wami, nazywałbym go po prostu tłustym przodkiem.

Zignorowałam go, koncentrując się na skrzypiących stopniach schodów. Chwilę później odsunęłam na bok obraz, bez-szmerowo, ponieważ pan Bernhard naoliwił mechanizm. Poza tym wprawił zamki zarówno w drzwiach do łazienki, jak i w drzwiach prowadzących na schody. Najpierw zawahałam się, czy je zamknąć. Bo gdybym z jakiegoś powodu była zmuszona przeskoczyć z powrotem z innego miejsca, sama odcięłabym sobie dostęp do tajnego korytarza i chronografu. . –

Trzymaj za mnie kciuki, żeby się udało – zwróciłam się do Xemeriusa, po czym uklęknęłam, wsunęłam palec wskazujący do przegródki pod rubinem i mocno nacisnęłam na igłę (nawiałem mówiąc, do tego uklucia nie dało się przywyknąć: za każdym razem piekielnie bolało).

– Trzymałbym, gdybym je miał – powiedział jeszcze Xemerius, a potem zniknął, a wraz z nim także chronograf.

Odetchnęłam głęboko, ale ciężkie powietrze w korytarzu niezbyt pomogło w pozbyciu się mdłości.

Wyprostowałam się chwiejnie, chwyciłam mocniej latarkę Nicka i otworzyłam drzwi na schody.

Trzeszczało i skrzypiało jak w prawdziwym horrorze, kiedy przesuwiałam obraz na bok.

– Tu jesteś – wyszeptał Lucas, który, także uzbrojony w latarkę, czekał na mnie po drugiej stronie. –

Przez sekundę obawiałem się, że to może być domowy upiór, punktualnie o północy.

– W piżamie z Piotrusiem Królikiem?

– Trochę sobie wypilem, dlatego... ale cieszę się, że miałem rację, co się tyczy zawartości skrzyni.

– Tak, i na szczęście chronograf wciąż działa. Mam godzinę, tak jak się umawialiśmy.

– To chodź szybko, zanim zaczniesz znowu ryczeć i obudzi cały dom.

– Kto? – spytałam przerażona.

– No, mały Harry. Ząbkuje czy coś w tym stylu. W każdym razie wyje jak syrena.

– Wujek Harry?

– Arista mówi, że ze względów wychowawczych należy mu pozwolić płakać, bo inaczej wyrośnie z niego mięczak. Ale tego żaden człowiek nie wytrzyma. Czasami się do niego przekradam, a niech sobie będzie mięczakiem. Jak mu się śpiewa o lisku, który ukradł gąskę, to przestaje płakać.

– Biedny wujek Harry. Powiedziałaabym, że to klasyczny przypadek wczesnodziecięcego imprintingu. – I cóż się dziwić, że dziś aż się trzęsie, żeby ustrzelić wszystko, co tylko napatoczy mu się pod lufę: kaczki, jelenie, dziki, a przede wszystkim lisy! Był prezesem stowarzyszenia, które walczyło o przywrócenie legalnych polowań z nagonką na lisy w hrabstwie Gloucester. – Może powinienesz mu śpiewać coś innego. I dać mu pluszowego liska.

Ukradkiem przedostaliśmy się do biblioteki i Lucas zamknął za sobą drzwi.

– No, daliśmy radę. – Odetchnął z ulgą.

W porównaniu z moimi czasami pokój nie zmienił się zbyt wiele, tylko dwa fotele przed kominkiem miały inne obicia: nie-biesko-zieloną szkocką kratę zamiast kremowych róż na ciemnozielonym tle.

Na stoliku między fotelami stał dzbanek z herbatą na podgrzewaczu, dwie filiżanki i – zamknęłam oczy i znowu je otworzyłam – ale nie, to nie była halucynacja – talerz z kanapkami! Nie suche herbatniki, tylko prawdziwe,

pożywne kanapki! Nie mogłam w to uwierzyć. Lucas opadł na jeden z foteli i wskazał mi miejsce naprzeciwko.

– Jeśli jesteś głodna, poczę... – zaczął, ale ja już zdążyłam chwycić kanapkę i zatopić w niej zęby.

– Ratujesz mi życie – wyznałam z pełną buzią. Ale potem przyszło mi coś do głowy. – Mam nadzieję, że to nie jest pastrami?

– Nie. Ogórek i szynka – powiedział Lucas. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Ty też.

– Jeszcze nie odpocząłem po emocjach wczorajszego wieczora. Najpierw, jak mówiłem, musiałem sobie pozwolić na szklaneczkę whisky. No dobra, na dwie. Uświadomiłem sobie w tym czasie dwie rzeczy... tak, tak, weź spokojnie jeszcze jedną kanapkę. I nie jedz tak szybko. Aż strach na ciebie patrzeć.

– Mów dalej – powiedziałam. Jak dobrze było wreszcie coś zjeść! Miałam wrażenie, że nigdy dotąd nie jadłam tak pysznych kanapek. – Jakie dwie rzeczy sobie uświadomiłeś?

– A więc po pierwsze: choć jest tak miło, nasze spotkania muszą się odbywać znacznie później w przyszłości, jeśli mają nam coś dać, jak najbliżej roku, w którym się urodziłaś. Do tej pory może zrozumieć, co i dlaczego zamierzają Lucy i Paul, a na pewno będę wiedział więcej niż dzisiaj. To znaczy, że następnym razem zobaczymy się w 1993 roku. Wtedy będę też mógł ci pomóc w sprawie tego balu.

Tak, to brzmiało logicznie.

– A po drugie: to wszystko zadziała tylko wtedy, kiedy dostanę się bliżej władzy centralnej

Strażników, to znaczy do Kręgu Wewnętrznego.

Gwałtownie skinęłam głową. Nie mogłam nic powiedzieć, bo miałam pełne usta.

– Dotąd moje ambicje w tym zakresie były umiarkowane. –Spojrzenie Lucasa padło na herb rodziny Montrose zawieszony nad kominkiem: miecz okolony różami, pod nim słowa HIC RHODOS, HIC SALTA, co znaczyło mniej więcej: „Pokaż, co naprawdę potrafisz”. – Od samego początku miałem w loży wysoką pozycję, bo w końcu rodzina Montrose była reprezentowana także

wśród członków założycieli w roku 1745, a poza tym jestem ożeniony z potencjalną nosicielką genu z linii jadeitu!

Właściwie jednak nie miałem zamiaru angażować się bardziej niż to konieczne... no tak, to się samo rozwiązało. Ze względu na ciebie, a także ze względu na Lucy i Paula wleżę nawet do tył... znaczy będę się podlizywał szefowi, czyli Kennethowi de Villiers. Nie wiem, czy to zadziała, ale...

– Tak, zadziała! Nawet zostaniesz Wielkim Mistrzem! – powiedziałam i strzepnęłam okruszki z pizamy. Z wielkim trudem powstrzymałam beknienie. Och, jak wspaniale znowu być najedzonym! –

Zastanówmy się: w roku 1993 będziesz...

– Ćśśśś. – Lucas nachylił się do mnie i położył mi palec na ustach. – Nie chcę tego słyszeć. Może to nie jest mądre, ale wolę nie wiedzieć, co szykuje dla mnie przyszłość, o ile nie pomoże to w naszej sprawie. Do naszego następnego spotkania przeżyję trzydzieści siedem lat i chciałbym je przeżyć tak... no... możliwie beztriosko. Rozumiesz?

– Tak. – Spojrzałam na niego ze smutkiem. – Tak, bardzo dobrze to rozumiem.

W tych okolicznościach chyba niestosowne byłoby opowiadać mu o podejrzeniach cioci Maddy i pana Bernharda, że nie zmarł śmiercią naturalną. Mogę to zrobić jeszcze w 1993 roku.

Odchyliłam się na oparcie fotela i zmusiłam do uśmiechu.

– A więc porozmawiajmy o magii kruka, dziadku. Jest bowiem jeszcze coś, czego o mnie nie wiesz.

Kroniki Strażników

2 kwietnia 1916 roku

Hasło dnia: Duo cumfaciunt idem, non est idem. (Gdy dwóch robi to samo, to nie jest to samo) – Terencjusz.

Londyn w dalszym ciągu znajduje się pod ostrzałem, wczoraj niemieckie eskadry latały nawet w ciągu dnia, bomby wyrzuciły wielkie szkody na terenie całego miasta. Władze miejskie wyznaczyły część piwnic dostępnych od strony śródmieścia i Pałacu Sprawiedliwości na publiczne schrony

przeciwlotnicze. Dlatego rozpoczęliśmy zamurowywanie znanych przejść i potroiliśmy liczbę straży w obszarze podziemi, a poza tym wzbogaciliśmy nasze wyposażenie o nowoczesną broń. We trójkę poddaliśmy się dziś ponownie elapsji, według protokołu bezpieczeństwa, z pomieszczenia archiwum do 1851 roku. Wszyscy mieliśmy ze sobą coś do czytania i byłoby całkiem spokojnie, gdyby lady Tilney z większym humorem traktowała moje uwagi na temat jej lektury, a nie wszczyniała od razu sporu o pryncypia.

Pozostaję przy swojej opinii, że wiersze tego Rilkego to jakieś bzdury, a w ogóle to brak patriotyzmu czytać niemiecką literaturę, jesteśmy w samym środku wojny! Nienawidzę, kiedy ktoś mnie chce nawracać, a niestety, lady Tilney uwielbia to robić. Czytała właśnie jakiś zwyrodniały fragment o zmarniałych dłoniach, wilgotnych i skaczących ciężko niczym żaby po deszczu, albo coś w tym rodzaju, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Oczywiście straszony, dlatego niktzemnie zagadka u tu na lady znała, choć potem się tego wyparła.

Wyjaśnienie nikt!!!!

Krew bez metr

Osiemdziesiąt pięć zielony

roku

Uwaga na marginesie: 17.05.1986 Nieczytelne najprawdopodobniej przez rozlaną kawę. Brak stron od 34 do 36. Jestem za wprowadzeniem zasady, by zezwalać nowicjuszom na czytanie Kronik tylko pod nadzorem.

D. Clarksen, archiwista (mocno rozzłoszczony)

Rozdział 5

O nie, znowu ryczałaś – powiedział Xemerius, który czekał na mnie w tajnym korytarzu.

– Tak – potwierdziłam oschle.

Pożegnanie z Lucasem przyszło mi z wielkim trudem i nie tylko ja uroniłam kilka łez. Nie zobaczymy się przez trzydzieści siedem lat, w każdym razie z jego perspektywy, i oboje uznaliśmy, że to niewyobrażalnie długi czas. Najchętniej od razu przeskoczyłabym teraz do 1993 roku, ale musiałam przyrzec Lucasowi, że najpierw się wyśpię. No, powiedzmy, że się wyśpię. Była druga w nocy, a ja musiałam wstać za piętnaście siódma. Mama będzie potrzebowała dźwigu, żeby podnieść mnie z łóżka.

Ponieważ ze strony Xemeriusa nie dobiegła mnie żadna bezczelna odpowiedź, zaświeciłam mu latarką w twarz. Pewnie tylko to sobie wmówiłam, ale wyglądał na trochę smutnego i przyszło mi do głowy, że strasznie go zaniedbywałam przez cały dzień.

– To miło, że na mnie czekasz, Xemi... Xemeriusie – powiedziałam w nagłym przyplywie czułości.

Chętnie bym go pogłaskała, ale tego się duchom nie robi.

– Czysty przypadek. Rozglądałem się właśnie za odpowiednią kryjówką dla tego czegoś. – Wskazał chronograf, który owinęłam z powrotem szlafrokiem i umieściłam najpierw na biodrze, a potem pod pachą.

Ziewając, wylazłam przez otwór i cicho przesunęłam wizerunek prapra... tłustego przodka z powrotem na drzwi. Xemerius frunął obok mnie w górę schodów.

– Jak wciśniesz tylną ścianę w swojej szafie, a to jest tylko płyta kartonowo-gipsowa, więc dasz radę, to możesz się stamtąd przeczołgać do obzejdy. A tam możliwości ukrycia są nieograniczone.

– Na dzisiejszą noc chyba wsunę go po prostu pod łóżko. Nogi ciążyły mi, jakby były z ołowiu.

Wyłączyłam latarkę, drogę do sypialni potrafiłam znaleźć po ciemku. Zapewne także we śnie. W każdym razie mijając drzwi pokoju Charlotty, już

na wpeł spałam i dlatego niemal upuściłam chronograf na podłogę, kiedy drzwi się otworzyły i stanęłam uwięziona w smudze światła.

– O, shit – burknął Xemerius. – Przedtem wszyscy kimali, serio!

– Czy nie jesteś już trochę za stara na piżamę z króliczkiem? – spytała Charlotta.

Z wdziękiem oparła się o futrynę, ubrana w koszulę nocną na cieniutkich ramiączkach. Włosy opadały jej błyszczącymi falami na ramiona (to jest zaleta warkoczy: działają jednocześnie jak lokówka, dając efekt złotego aniołka).

– Zwariowałaś? Tak mnie wystraszyć! – mówiłam szeptem, żeby nie obudzić ciotki Glendy.

– Czemu skradasz się w środku nocy przez mój korytarz? Co tam masz?

– A cóż to ma znaczyć: twój korytarz? Mam się wspinać na zewnątrz, po fasadzie, żeby dojść do swojego pokoju?

Charlotta odkleiła się od futryny i podeszła krok bliżej.

– Co tam masz pod pachą? – powtórzyła, tym razem z groźbą w głosie.

Fakt, że szeptała, sprawiał, że brzmiało to jeszcze bardziej złowieszczo. I do tego patrzyła tak... bezczelnie, że nie miałam odwagi jej minąć.

– Och, och – odezwał się Xemerius. – Ktoś tu cierpi na ciężki zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Dzisiaj bym się z nią nie wdawał w spory.

Wcale nie zamierzałam.

– Chodzi ci o mój szlafrok?

– Pokaż, co tam masz – zażądała. Zrobiłam krok do tyłu.

– Odbiło ci? Nie będę ci w środku nocy pokazywać mojego szlafroka. A teraz mnie przepuść, chcę iść do łóżka.

– A ja chcę zobaczyć, co tam masz – syknęła Charlotta. – Myślisz, że jestem taka naiwna jak ty?

Myślisz, że nie zauważyłam waszych spiskowych spojrzeń i szeptania? Jeśli chcecie coś przede mną ukryć, to musicie się trochę bardziej postarać. O co chodzi z tą skrzynką, którą twój brat i pan

Bernhard wnieśli do ciebie na górę? Czy w środku było to, co masz pod pachą?

– No więc taka głupia to ona nie jest – powiedział Xemerius, drapiąc się skrzydłem po nosie.

O innej porze dnia i gdybym nie była tak śpiąca, wymyśliłabym na poczekaniu jakąś historyjkę, ale teraz po prostu nie miałam siły.

– Nic ci do tego! – prychnęłam.

– Ależ owszem – odpowiedziała. – Może nie jestem rubinem i w związku z tym nie należę do Kręgu Dwanaściorga, ale w przeciwieństwie do ciebie przynajmniej myślę. Nie słyszałam wszystkiego, co mówiliście w twoim pokoju, ale i tak w zupełności mi wystarczy. – Zrobiła krok w moją stronę. – Masz mi to w tej chwili dać, jeśli nie chcesz, żebym sama wzięła.

– Podśluchiwałaś nas?

Nagle zrobiło mi się słabo. Jak dużo usłyszała? Czy wiedziała, że to jest chronograf? Nawiasem mówiąc, w ciągu ostatniej minuty zrobił się przynajmniej dwa razy cięższy. Na wszelki wypadek wzięłam go w obie ręce, upuszczając przy tym latarkę Nicka, która głośno stuknęła o podłogę.

Teraz wcale już nie byłam pewna, czy chcę, żeby ciotka Glenda dalej spała.

– Wiedziałaś, że oboje z Gideonem chodziliśmy na krav ma-gę? – Charlotta zrobiła jeszcze jeden krok w moją stronę, a ja automatycznie się cofnęłam.

– Nie, a ty wiedziałaś, że wyglądasz teraz jak ten zwariowany gryzoń z Epoki lodowcowej?

– Może będziemy mieli szczęście i okaże się, że krav maga to tylko jakieś niegroźne świństwo – powiedział Xemerius. – Jak kamasutra. – Zachichotał. – Sorry, ale najlepsze dowcipy zawsze przychodzą mi do głowy w sytuacjach ekstremalnych.

– Krav maga to izraelska technika walki, bardzo skuteczna – poinformowała mnie Charlotta. – Mogłabym cię załatwić kopniakiem w plexus solaris albo jednym ciosem złamać ci kark.

– A ja mogłabym wezwać pomoc.

Do tej pory obie mówiłyśmy szeptem, co musiało brzmieć mniej więcej tak, jakby rozmawiały dwie żmije: tsss, tsss, tsss.

Co by się stało, gdybym zawołała na plan pozostałych mieszkańców tego domu? Prawdopodobnie Charlotta nie złamałaby mi karku, ale wszyscy chcieliby się dowiedzieć, co zostało zawinięte w szlafrok.

Charlotta, jakby odgadując moje myśli, zaśmiała się drwiąco podeszła do mnie jeszcze bliżej.

– Proszę! Krzycz!

– Ja bym to zrobił – powiedział Xemerius.

Wcale nie musiałam, bo za plecami Charlotty, jak zawsze niczym spod ziemi, wynurzył się pan

Bernhard.

– Czy mogę w czymś paniom pomóc? – zapytał, a Charlotta Odwróciła się błyskawicznie jak przestraszony kot.

Przez ułamek sekundy myślałam, że chce kopnąć pana Bernharda w plexus solaris. Na szczęście tego nie zrobiła.

– Czasem w nocy też nachodzi mnie głód i byłbym gotów przygotować małą przekąskę, skoro już tu jestem – ciągnął niewzruszony pan Bernhard.

Jego widok przyniósł mi taką ulgę, że wybuchnęłam histerycznym śmiechem.

– Właśnie coś sobie wzięłam z kuchni. – Wskazałam podbródkiem na zawiniątko przy piersi. – Ale karate kid ma ostry niedobór cukru i pilnie potrzebuje przekąski.

Charlotta przesadnie wolno powlokła się z powrotem do swojego pokoju.

– Będę miała na ciebie oko – powiedziała, oskarżycielsko kierując palec wskazujący w stronę mojej piersi. Scena była tak teatralna, jakby dziewczyna miała zacząć coś deklamować. –I na pana też, panie Bernhard.

– No to musimy się mieć na baczności – szepnęłam, gdy zamknęła drzwi swojego pokoju i korytarz znów spowity ciemności. – Bo ona wie, co to Tadź Mahal.

– Też nieźle – skomentował z uznaniem Xemerius. Mocno przycisnęłam do siebie zawiniątko w szlafroku.

– I coś podejrzewa. A może nawet wie, co znaleźliśmy. Na pewno nakabluje na nas Strażnikom, a jeśli oni usłyszą, że mamy...

– Sądę, że istnieją bezpieczniejsze miejsca i pory, żeby to przedyskutować – niezwykle ostro przerwał mi pan Bernhard.

Podniósł z podłogi latarkę Nicka, zaświecił ją i przesunął stożek światła po drzwiach pokoju Charlotty w górę, aż do półokrągłego świetlika. Był uchylony.

Skinęłam głową na znak, że zrozumiałam: Charlotta słyszała każde słowo.

– Tak, ma pan rację. Dobranoc, panie Bernhard.

– Dobrej nocy, panno Gwendolyn.

Następnego ranka mama nie potrzebowała dzwigu, żeby mnie obudzić. Jej taktyka była bardziej perfidna. Użyła tego obrzydliwego plastikowego Świętego Mikołaja, którego Caroline dostała w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem i który, jak się go nakręci, ohydnie skrzeczącym głosem wyrzuca z siebie bez przerwy: „Hohoho, Merry Christmas everyone”.

Na początku próbowałam jeszcze uciec przed tym hałasem, nakrywając się kołdrą. Ale po szesnastym „hohoho” poddałam się i odrzuciłam kołdrę na bok. Natychmiast jednak tego pożałowałam, bo przypomniało mi się, co mnie dzisiaj czeka. Bal!

Jeśli nie zdarzy się cud i nie znajdę okazji, żeby dziś przed południem przeskoczyć do dziadka do roku 1993, będę musiała bez informacji od niego stanąć oko w oko z hrabią.

Przygryzłam wargę. Powinnam była w nocy jeszcze raz przenieść się w czasie. Tyle że wtedy

Charlotta odkryłaby pewnie moje zamiary, więc może lepiej, że tego nie zrobiłam.

Wstałam z łóżka i powlokłam się do łazienki. Spałam tylko trzy godziny. Po nocnych występach Charlotty wlażłam, jak radził Xemerius, do tej szafy. Wypchnęłam jej tylną ścianę i rozprułam brzuch krokodyla, żeby ukryć tam chronograf.

Potem, wykończona, zapadłam w sen, który miał przynajmniej tę zaletę, że nic złego mi się nie śniło. Szczerze mówiąc, nic mi się nie śniło – w odróżnieniu od cioci Maddy. Kiedy –spóźniona, bo przez całe wieki szukałam korektora mamy, żeby zatuszować sobie cienie pod oczami – szłam na pierwsze piętro na śniadanie, przechwyciła mnie w korytarzu i wciągnęła do swojego pokoju.

– Coś nie tak? – spytałam, wiedząc już, że mogłam sobie darować to pytanie.

Skoro ciocia Maddy o wpół do ósmej była na nogach, to na pewno coś musiało być bardzo nie tak.

Była rozczochrana, a jeden z dwóch wałków, które odgarniały jej blond włosy z twarzy, odkręcił się i zwisał teraz nad uchem.

– Och, Gwendolyn, moje dziecko, można tak powiedzieć. – Ciocia Maddy opadła na niezasłane

łóżko i z dramatycznie zmarszczonym czołem spojrzała na kwiatowy wzór tapety w kolorze lawendy. – Miałam wizję.

O, nie, tylko nie to.

– Niech zgadnę: ktoś rozgniół serce z rubinu obcasem buta – wypaliłam. – A może był tam także kruk, który wleciał w witrynę pełną... eee... zegarów?

Ciocia Maddy pokręciła głową, aż jej loki się rozsypały i teraz także drugi wałek niebezpiecznie się przechylił.

– Nie, Gwendolyn, nie powinnaś sobie stroić żartów. Te wizje! Czasem może nie wiem, co oznaczają, ale po fakcie zawsze okazują się ważne. – Chwyliła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. – Tym razem to było takie jednoznaczne. Widziałam cię w niebieskiej sukni z szeroko rozłożoną spódnicą, wszędzie dokoła paliły się świece i ktoś grał na skrzypcach.

Nie potrafiłam zapobiec pojawieniu się gęsiej skórki. Nie dość, że i tak miałam nie najlepsze przeczucia w związku z tym balem, to jeszcze ciocia Maddy musiała mieć wizję. Nie opowiadałam jej ani o balu, ani o kolorze sukni balowej.

Ciocia Maddy z zadowoleniem spostrzegła, że wreszcie udało jej się skupić na sobie całą moją uwagę.

– Na początku wszystko wyglądało bardzo spokojnie, wszyscy tańczyli, ty też, ale potem zauważyłam, że w sali balowej nie było sufitu. Na niebie nad tobą zaczęły się zbierać straszliwe czarne chmury, z których wyfrunął ogromny ptak, gotów się na ciebie rzucić – mówiła dalej coraz bardziej przejęta. – A kiedy chciałaś uciec, wpadłaś wprost... ach, to było okropne. Wszędzie krew, wszystko było czerwone od krwi, nawet niebo zabarwiło się na czerwono, i krople deszczu też nie były niczym innym jak krwią...

– Ehm, ciociu Maddy? Załamala ręce.

– Tak, wiem, moja kochana, to jest potwornie przerażające, ale mam nadzieję, że nie znaczy tego, co zdaje się temu najbliższe.

– Chyba coś pominęłaś – przerwałam jej ponownie. – Na co ja... to znaczy na co wpadła ta

Gwendolyn z twojego snu?

– Nie snu! To była wizja! – Ciocia Maddy otworzyła oczy jeszcze szerzej, o ile to w ogóle było możliwe. – Na miecz. Wbiegłaś prosto na niego!

– Na miecz? A skąd się tam wziął?

– On... on po prostu wisiał w powietrzu, tak mi się wydaje – odrzekła ciocia Maddy i zamachała mi dłonią tuż przed nosem. – Ale nie o to chodzi – ciągnęła lekko zirytowana – tylko o tę masę krwi!

– Hm. – Usiadłam obok niej na brzegu łóżka. – A co właściwie mam teraz począć z tymi informacjami?

Ciocia Maddy rozejrzała się, wyłowila z nocnego stolika puszkę z cukierkami cytrynowymi i wetknęła sobie jeden do ust.

– Moja droga, przecież ja tego nie wiem. Pomyślałam tylko, że może ci to pomoże... jako ostrzeżenie.

– Tak. Spróbuję nie wpadać na miecze wiszące w powietrzu, obiecuję ci to.

– Ucałowałam ciocię

Maddy i wstałam. – A ty może powinnaś się trochę przespać, przecież to nie jest jeszcze twoja pora.

– Tak, chyba powinnam. – Położyła się i przykryła kołdrą. –Ale proszę, nie lekceważ tego – powiedziała. – Uważaj na siebie.

– Będę uważać. – W drzwiach obróciłam się jeszcze. – A... –odchrząknęłam

– ...czy w twojej wizji przypadkiem nie było lwa? Albo diamentu? Albo może... słońca?

– Nie – odparła ciocia Maddy, już z zamkniętymi oczami.

– Tak myślałam – mruknęłam i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Kiedy dotarłam na śniadanie, od razu zauważyłam, że brakuje Charlotty.

– Biedne dziecko jest chore – powiedziała ciotka Glenda. –Niewielka gorączka i straszny ból głowy, przypuszczam, że to ta grypa, która obecnie szaleje. Czy możesz usprawiedliwić swoją kuzynkę w szkole, Gwendolyn?

Skinęłam ponuro głową. Grypa – akurat! Charlotta chciała zostać w domu, żeby móc dokładnie przeszukać mój pokój.

Xemerius, który siedział na stole w misce z owocami, najwyraźniej pomyślał o tym samym.

– Mówiłem, że nie jest głupia – odezwał się.

Także pan Bernhard, balansujący talerzem z jajecznicą, rzucił mi wymowne spojrzenie.

– Ostatnie tygodnie były zbyt emocjonujące dla tego biednego dziecka – powiedziała ciotka Glenda, ignorując nieuprzejme parsknięcie Nicka. – Nie ma co się dziwić, że jej organizm domaga się teraz odpoczynku.

– Nie gadaj głupot, Glendo – zrugła ją lady Arista i upiła łyżeczek herbaty. – My w rodzinie Montrose wytrzymujemy znacznie gorsze rzeczy. Ja na przykład – wyprostowała chude plecy – nie byłam chora ani przez jeden dzień w całym swoim życiu.

– Szczerze mówiąc, ja też czuję się... nie najlepiej – powiedziałam.

Przede wszystkim dlatego, że drzwi mojego pokoju nie dało się zamknąć od zewnątrz na klucz. Jak niemal wszystkie drzwi w tym domu były zaopatrzone w staromodny rygiel służący tylko do zamykania się od środka.

Mama zerwała się od stołu, podeszła do mnie i położyła mi rękę na czole.

Ciotka Glenda przewróciła oczami.

– No tak, cała Gwendolyn. Po prostu nie może znieść, że przez chwilę nie znajduje się w centrum uwagi.

– Wydaje się chłodne. – Mama dotknęła mi końca nosa, jakbym miała pięć lat. – A tu jest suche i ciepłe. Tak jak powinno być. – Pogładziła mnie po włosach. – W weekend będę cię mogła porozpieszczać, jeśli będziesz chciała. Możemy zjeść śniadanie w łóżku...

– O tak, i poczytasz nam historie o Piotrusiu, Fłopsy, Mopsy i o zajączku, jak dawniej! – zawołała

Caroline, która siedziała z wełnianym prosiaczkiem na kolanach. – A potem nakarmimy Gwenny kawałkami jabłka i zrobimy jej zimne okłady.

Lady Arista położyła plasterek ogórka na toście, na którym w należytym porządku piętrzyły się już ser, szynka, jajecznica i pomidor.

– Gwendolyn, ani trochę nie sprawiasz wrażenia chorej, raczej wyglądasz kwitnąco.

Nie do wiary. Człowiek niemal oczu nie może otworzyć ze zmęczenia i czuje się, jakby ukąsił go wampir – a tu coś takiego.

– Jestem dziś cały dzień w domu – oznajmił pan Bernhard. – Mogę podać pannie Charlotte gorący rosół. – Choć mówił to do ciotki Glendy, jego słowa były skierowane do mnie i bardzo dobrze je zrozumiałam.

Niestety ciotka Glenda miała wobec niego inne plany.

– Zajmę się swoją córką. Pan musi pojechać do studia Wal–den–Jones po moje zamówienie i kostium na imprezę dla Charlotty.

– To w Islington – powiedział pan Bernhard. – Nie będzie mnie w domu przez kilka godzin.

– No tak, oczywiście. – Ciotka Glenda ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

– W drodze powrotnej może pan kupić kwiaty – dodała lady Arista. – Parę wiosennych kompozycji do holu, na stół w jadalni i do pokoju muzycznego. Nic jaskrawego, żadne ordynarne papuzie tulipany jak ostatnio, raczej więcej odcieni bieli, delikatnej żółci i fioletu.

Mama ucałowała nas wszystkich na pożegnanie. Musiała iść do pracy.

– Jeśli znajdzie pan niezapominajki, może mi pan przywieźć kilka doniczek, panie Bernhard. Albo konwalii, jeśli już są.

– Bardzo chętnie – odrzekł pan Bernhard.

– A skoro już przy tym jesteśmy, niech pan przywiezie od razu parę lilii, będzie je można zasadzić na moim grobie, kiedy umrę, bo wysłano mnie chorą do szkoły – odezwałam się ponuro, ale mama była już w drzwiach.

– Och, nie martw się. – Xemerius próbował dodać mi otuchy. – Jeśli ta ruda miotła zostanie w domu,

Charlotta nie będzie mogła tak po prostu wleźć do twojego pokoju. A nawet gdyby: musiałyby najpierw wpaść na pomysł, żeby odsunąć ścianę w twojej szafie i wczołgać się do obzejdy. A i tak nigdy w życiu nie zdobędzie się na odwagę, żeby sięgnąć krokodylowi do flaków. Cieszysz się teraz, że przekonałem cię dzisiaj w nocy, żebyś rozcięła to zwierzę?

Skinęłam głową, choć w środku zatrzęsło mną na wspomnienie mrocznej dziury, przez którą musiałam się przeczołgać, i wielkich pajęczyn. Oczywiście w dalszym ciągu się martwiłam.

Charlotta, jeśli rzeczywiście podejrzewa albo nawet wie, czego ma szukać, tak szybko się nie podda. A ja wrócę do domu jeszcze później niż zwykle, jeśli nie uda mi się przesunąć wyjścia na bal. Prawdopodobnie za późno. A co by było, gdyby Strażnicy dowiedzieli się, że skradziony chronograf znajduje się w naszym domu? Chronograf, w którym do zamknięcia kręgu brakowało już tylko krwi Gideona? Natychmiast dostałam gęziej skórki na całym ciele. Chyba wpadliby w szal, gdyby nagle spostrzegli, jak blisko są spełnienia swej życiowej misji. I kim ja właściwie byłam, że ukrywałam przed nimi coś, dzięki czemu prawdopodobnie można by stworzyć lek na wszystkie choroby ludzkości?

– Zawsze istnieje możliwość, że to biedne dziecko naprawdę jest chore – powiedział Xemerius.

– Tak, a Ziemia jest płaska – odrzekłam, niestety na głos. Wszyscy przy stole spojrzeli na mnie zaskoczeni.

– Nie, Gwenny, Ziemia jest okrągła – poprawiła mnie uprzejmie Caroline. – Też na początku nie chciałam w to wierzyć. I podobno z ogromną prędkością przemierza kosmos. – Oderwała kawałek tosta i podetknęła śwince pod różowy nosek. – Ale tak to właśnie jest. Prawda, Margret? Jeszcze kawałek z szyneczką?

Nick chrząknął cicho, a lady Arista z dezaprobatą ściągnęła usta.

– Czyż nie ustaliliśmy, że w czasie posiłków nie towarzyszą nam ani pluszaki, ani lalki, ani prawdziwi bądź wyimaginowani przyjaciele?

– Margret jest bardzo grzeczna – powiedziała Caroline, ale zaraz posłusznie położyła świnę pod swoim krzesłem.

Ciotka Glenda z wyrzutem pociągnęła nosem. Najwyraźniej teraz była uczulona także na pluszaki.

Wprawdzie Xemerius przyrzekł, że będzie pilnował chronografu z narażeniem (w tym miejscu się roześmiałam, choć niezbyt serdecznie) własnego życia i natychmiast da mi znać, gdyby jakimś cudem Charlotta wdarła się do mojego pokoju, jednak nie mogłam przestać myśleć o tym, co

by się stało, gdyby chronograf wpadł w ręce Strażników. Ale nie było rady, musiałam przetrwać ten dzień i mieć nadzieję, że nic złego się nie wydarzy.

Wysiadłam przystanek wcześniej, żeby w Starbucks zaradzić mojemu zmęczeniu.

– Możesz mi wlać trzy espresso do jednego caramel mac-chiato? – spytałam chłopaka za barem.

– Jeśli dasz mi numer swojej komórki – odpowiedział, szczerząc zęby.

Przyjrzałam się mu odrobinę uważniej i mile polechtana odpowiedziałam uśmiechem. Miał ciemne włosy do ramion i przypominał jednego z tych przystojniaków z pewnego francuskiego filmu.

Oczywiście był przystojny tylko do momentu, w którym porównałam go z Gideonem, co niestety uczyniłam natychmiast.

– Ona ma chłopaka – odezwał się ktoś za mną. To był Raphael, który mrugnął do mnie zielonymi oczami, kiedy odwróciłam się do niego ze zmarszczonym czołem. – A poza tym jest dla ciebie za młoda, co bez trudu możesz poznać po szkolnym mundurku. Poproszę latte i muffinkę z jagodami.

Przewróciłam oczami i z przepaszającym uśmiechem wzięłam moją specjalną miksturę.

– Wprawdzie nie mam chłopaka, ale w tej chwili jest pewien... hm... problem czasowy. Zapytaj mnie jeszcze raz za dwa lata.

– Dobra – odpowiedział chłopak za barem.

– Na pewno tego nie zrobi – rzucił Raphael. – Założę się, że pyta o numer telefonu każdą ładną dziewczynę.

Po prostu go zostawiłam, ale po chwili mnie dogonił.

– Hej, poczekaj. Przepraszam, że przeszkodziłem ci we flircie. – Nieufnie obejrzał swoją kawę. –

Ten facet na pewno na-pluł mi do kubka.

Wzięłam solidny łyk, parząc sobie jednocześnie wargi, język i gardło. Kiedy znowu mogłam zebrać myśli, zastanowiłam się, czy nie lepszym wyjściem byłoby podawać kawę dożylnie.

– Byłem wczoraj w kinie z tą Celią z naszej klasy – opowiadał Raphael. – Świetna dziewczyna.

Niewiarygodnie ładna i zabawna. Nie sądzisz?

– He? – prychnęłam z nosem w mlecznej piance (wpływ Xeneriusa na mnie powoli zaczął być widoczny).

– Całkiem nieźle się bawiliśmy – ciągnął. – Ale lepiej nie opowiadaj o tym Leslie, bo mogłaby być zazdrosna.

Roześmiałam się. Jak słodko – chciał mną manipulować.

– Okej. Będę milczeć jak grób.

– To uważasz, że naprawdę mogłaby być zazdrosna? – spytał z ożywieniem Raphael.

– No oczywiście! Straszliwie zazdrosna! Tym bardziej że w naszej klasie nie ma Celi.

Speszony Raphael podrapał się po nosie.

– A ta blondynka? Od imprezy?

– Cynthia.

– Naprawdę byłem z nią w kinie – powiedział żałośnie. Szkolny mundurek, z nieszczęsnym połączeniem smutnej żółci i granatu, wyglądał na nim jeszcze mniej korzystnie niż na nas. Sposób, w jaki przesunął ręką po włosach, przypomniał mi

Nicka i obudził tkliwe uczucia. Uważałam, że należy mu się nagroda za to, że nie zachowywał się tak butnie i arogancko jak jego starszy brat.

– Powiem to Leslie w delikatny sposób, dobrze? – zaproponowałam.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Ale nie mów jej, że pomyliłem imię... ach, najlepiej nic jej nie mów... a może jednak...

– Już ja się tym zajmę. – Dotknęłam jego krawata. – No i patrz, gratulacje. Dziś jest dobrze zawiązany.

– Cindy go zawiązała – powiedział Raphael z krzywym uśmiechem. – Czy jak tam ona ma na imię.

Na pierwszej lekcji mieliśmy angielski z panem Whitmanem. Informację o chorobie Charlotty przyjął, kiwając głową, choć nie mogłam się powstrzymać, by przy słowie „chora” nie narysować palcami w powietrzu cudzysłowu.

– Trzeba go było wziąć ze sobą – szepnęła Leslie, podczas gdy pan Whitman rozdawał poprawione wypracowania z zeszłego tygodnia.

– Chronograf? Do szkoły? Zwariowałaś? A gdyby pan Whitman go zobaczył? Pomijam fakt, że natychmiast poinformowałyby o tym swoich koleśki Strażników, którzy by mnie poćwiartowali, połamali kołem albo zrobili ze mną coś, co w takim przypadku określają ich rąbnięte złote zasady. –

Podalam Leslie kluczyk do skrzynki. – Masz, kluczyk do twojego serca. Właściwie najchętniej dałabym go Raphaelowi, gdybyś nie miała nic przeciwko temu.

Czekałam na reakcję Leslie.

Przewróciła oczami i łypnęła na Raphaela, który siedział z przodu i strasznie się starał, żeby nie zaszczyścić jej nawet jednym spojrzeniem.

– Po prostu zawieś go z powrotem na szyi. I nie daj go zabrać Charlotcie.

– Krav maga – mruknęła Leslie. – Nie było czasem takiego filmu z Jennifer Lopez, w którym przy użyciu tej sztuki rozprawia się na koniec ze swoim eksmeżem brutalem? Też bym chciała tak umieć.

– Myślisz, że Charlotta może po prostu rozwalić szafę nogą? Nie zdziwiłabym się też, gdyby ona i

Gideon nauczyli się otwierać zamki bez klucza. Pewnie mieli warsztaty z agentem MI6*: „Bez łomu – elegancka metoda na spinkę do włosów”. Westchnęłam ciężko.

– Gdyby Charlotta wiedziała, co znaleźliśmy, już dawno powiadomiłaby Strażników. – Leslie pokręciła głową. – Jeśli w ogóle coś wywęszyła, to tylko nas podejrzewa. Myśli, że znajdzie coś, co tobie zaszkodzi, a ją uczyni ważniejszą.

– Tak, i jeśli to znajdzie...

– Mam wielką nadzieję, że panie rozmawiają o sonecie numer 130. – Nagle wyrósł przed nami pan Whitman.

– Od wielu dni nie rozmawiamy o niczym innym – powiedziała Leslie.

Pan Whitman uniósł jedną brew.

– W ostatnim czasie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zajmują się panie sprawami, które niezbyt dobrze wpływają na osiągnięcia pań w nauce. Może przydałby się list do rodziców? Myślę, że za pieniądze, które płacą za przywilej nauki w tej szkole, mogą również oczekiwać od was pewnego

zaangażowania. – Nasze wypracowania z lekkim klaśnięciem uderzyły o blat stołu. – Nieco więcej pracy nad Szekspirem dobrze zrobiłoby waszym wypracowaniom. Niestety, są zaledwie przeciętne.

– Ciekawe, z jakiego powodu – mruknęłam rozzłoszczona. Bezcelność! Najpierw poświęciłam cały swój wolny czas na podróże w czasie, przymierzanie kostiumów i naukę tańca, a teraz musiałam jeszcze wysłuchiwać, że niewystarczająco staram się w szkole.

– Charlotta pokazała ci przecież, że można doskonale połączyć jedno z drugim, Gwendolyn – powiedział pan Whitman, jakby czytał w moich myślach. – Ma doskonałe stopnie. I nigdy się nie skarży. Mogłabyś brać przykład z jej samodyscypliny.

Spojrzałam na niego złym wzrokiem.

Leslie po przyjacielsku dała mi kuksańca w bok.

– Kiedyś powiemy tej bezczelnej Wiewiórcie, co o tym myślimy. Najpóźniej wtedy, kiedy skończymy szkołę. Dzisiaj to byłaby czysta strata energii.

– Tak, masz rację, W końcu potrzebuję całej mojej energii, żeby nie zasnąć.
– Nagle musiałam ziewnąć. – Niech to potrójne espresso wreszcie przedostanie się do mojego krwiobiegu.

Leslie energicznie skinęła głową.

– Okej, a potem koniecznie musimy pomyśleć, jak możesz się wykręcić od balu.

– Ależ nie może pani być chora! – wykrzyknął pan Marley i zrozpaczony załamał ręce. – Przecież wszystko jest przygotowane. Nie wiem, jak mam przekazać to całej reszcie.

– To nie pana wina, że zachorowałam – powiedziałam matowym głosem i z trudem wygramoliłam się z limuzyny. – Moja też nie. Siła wyższa i nic nie można na to poradzić.

– Ależ można! Można! A nawet trzeba! – Pan Marley spojrzał na mnie z oburzeniem. – Wcale nie wygląda pani na aż tak chorą – dodał, co było dość nieuczciwe, bo przemogłam własną próżność i zmyłam korektor mamy.

Leslie zastanawiała się jeszcze, czy nie wspomóc mnie trochę szarym i liliowym cieniem do powiek, ale przyjrzawszy mi się, schowała kosmetyczkę

do torby. Worki pod moimi oczami natychmiast dostałyby rolę w każdym filmie o wampirach, byłam też trupio blada.

– No tak, ale przecież chodzi nie o to, na jak bardzo chorą wyglądam, lecz że naprawdę jestem chora – powiedziałam i wcisnęłam panu Marleyowi do ręki moją torbę. Byłam taka chora i taka słaba, w drodze wyjątku mógł mi ją ponieść. – Myślę, że w takich okolicznościach można przesunąć wyjście na bal.

– Wykluczone! – krzyknął pan Marley i zaraz potem uderzył się otwartą dłonią w usta i rozejrzał się wystraszony. – Czy pani wie, ile kosztowały przygotowania? – mówił szeptem, podczas gdy obraliśmy kurs na kwatere główną. Ja ledwie dreptałam, zatem posuwaliśmy się bardzo powoli. –

Nie było łatwo uzyskać zgodę dyrektora waszej szkoły na to, żeby amatorski zespół teatralny użył

Piwnicy Artystycznej jako sali prób. Dzisiaj! A hrabia de Saint Germain wyraźnie określił, że...

Pan Marley zaczynał grać mi na nerwach (amatorski zespół teatralny? I dyrektor Gilles? Nie rozumiałam ani słowa).

– Niech pan posłucha: jestem chora! Chora!!! Wzięłam już trzy aspiryny, ale nie pomogły. Wręcz przeciwnie, jest coraz gorzej. Mam też gorączkę. I brak mi tchu. – Aby dodać wiarygodności moim słowom, uczepiłam się poręczy schodów i zaczęłam ciężko dyszeć.

– Jutro pani może zachorować, jutro, jutro! – jęknął płacząco pan Marley. – Panie George! Niech pan jej powie, że może zachorować dopiero jutro, w przeciwnym razie cały plan... zostanie zniweczony!

– Jesteś chora, Gwendolyn? – Pan George, który pojawił się w drzwiach, objął mnie troskliwie ramieniem i wprowadził do budynku.

Tak było już lepiej. Skinęłam głową ze zboląłą miną.

– Pewnie zaraziłam się od Charlotty. – Cha, cha, cha! Właśnie! Obie cierpiałyśmy na tę samą wymyśloną gripę. Jak szaleć, to szaleć. – Głowa mi pęka.

– To się bardzo źle składa – powiedział pan George.

– Próbuję jej to przez cały czas uzmysłwić – dorzucił pan Marley, który rażno podążał za nami.

Jego twarz była dla odmiany nie czerwona jak burak, lecz usiana biało-czerwonymi plamami, jakby nie mógł się zdecydować, który kolor jest odpowiedni do tej sytuacji. – Doktor White na pewno może dać jej zastrzyk. Musi wytrzymać tylko parę godzin.

– Tak, to byłoby jakieś wyjście – zgodził się pan George.

Zerknęłam na niego niepewnie. Od pana George'a oczekiwałam nieco więcej empatii i pomocy.

Powoli zaczynałam naprawdę źle się czuć, ale raczej ze strachu. Miałam niejasne

Wrażenie, że Strażnicy nie obejdą się ze mną uprzejmie, kiedy się zorientują, że udaję. Ale teraz było już za późno, nie mogłam się wycofać.

Zamiast do pracowni madame Rossini, gdzie właściwie powinnam się przebierać w osiemnastowieczne suknie, pan George zaprowadził mnie do Smoczej Sali, a pan Marley, wciąż jeszcze niosąc moją torbę i ze wzburzeniem rozmawiając sam ze sobą, poszedł za nami.

Doktor White, Falk de Villiers, pan Whitman i jeszcze jeden mężczyzna, którego nie znałam (może to był minister zdrowia?), siedzieli wokół stołu. Kiedy pan George wepchnął mnie do sali, wszyscy odwrócili głowy w stronę drzwi i zaczęli się na nas gapić. Mój dyskomfort wzrósł.

– Ona mówi, że jest chora – wyrzucił z siebie pan Marley, który wmaszerował za nami.

Falk de Villiers podniósł się z miejsca.

– Niech pan najpierw zamknie drzwi, Marley. A teraz jeszcze raz. Kto jest chory?

– No, ona! – Pan Marley oskarżycielsko wysunął w moją stronę wskazujący palec, a ja ostatekiem sił powstrzymałam się, żeby nie przewrócić oczami.

Pan George puścił mnie, stękając, usiadł na wolnym krześle i otarł chusteczką pot z łysiny.

– Tak, Gwendolyn nie czuje się dobrze.

– Naprawdę, bardzo mi przykro – powiedziałam, starannie uważając na to, żeby patrzeć na prawo i w dół. Podobno wszyscy ludzie, gdy kłamią, patrzą w lewo i do góry, gdzieś o tym czytałam. – Nie czuję się na siłach iść dzisiaj na

ten bal. Ledwie trzymam się na nogach i jest coraz gorzej. – Na potwierdzenie moich siów, wsparłam się na oparciu krzesła pana George'a.

Dopiero teraz zauważyłam, że Gideon także jest obecny, i moje serce przez kilka taktów szaleńczo tłukło się w piersi.

To takie niesprawiedliwe, że wystarczy sam jego widok, żebym straciła opanowanie, podczas gdy on całkiem swobodnie stał sobie obok kominka, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie dżinsów, i po prostu się do mnie uśmiechał. No dobra, to nie był bezczelny, szeroki, promienny uśmiech, lecz tylko lekko uniesione kąciki ust, za to jego oczy się śmiały i z jakiegoś powodu nagle znowu poczułam kluchę w gardle.

Szybko odwróciłam wzrok i w ogromnym kominku dostrzegłam małego Roberta, syna doktora

White'a, który jako siedmiolatek utopił się w basenie. Na początku ten mały duch był onieśmielony, ale z czasem nabrał do mnie zaufania. Teraz pomachał z zachwytem, ale ja mogłam tylko szybko skinąć głową.

– A cóż to za nagła i nieoczekiwana choroba, jeśli wolno mi spytać? – Pan Whitman zmierzył mnie drwiącym spojrzeniem. – Dopiero co, w szkole, byłaś zdrowa jak ryba. – Skrzyżował ręce na piersi, ale potem najwyraźniej się zmiękczył i zmienił taktykę. Teraz uderzył w miękki ton zaufanego nauczyciela, bardzo łagodny i współczujący. Znałam to: taki ton rzadko oznaczał coś dobrego. – Jeśli boisz się czegoś w związku z bale, Gwendolyn, rozumiemy to. Może doktor White da ci coś na tremę.

Falk skinął głową.

– Naprawdę nie możemy przesunąć dzisiejszego terminu – powiedział.

– Pan Whitman ma rację – wtrącił pan George. – To zupełnie normalne, że masz tremę. Też byłbym zdenerwowany na twoim miejscu. To żaden powód do wstydu.

– I nie jesteś sama – uzupełnił Falk. – Gideon cały czas będzie z tobą.

Choć wcale tego nie chciałam, szybko popatrzyłam na Gideona i równie szybko odwróciłam głowę, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

– Zanim się obejrzysz, wylądujesz tu z powrotem i będziesz miała wszystko za sobą – mówił dalej Falk.

– I pomyśl o tej pięknej sukni – próbował kusić mnie domniemany minister zdrowia.

Czy on mnie bierze za dziesięciolatkę, która wciąż bawi się lalkami Barbie?

Pozostali mruknęli z aprobatą i wszyscy uśmiechnęli się do mnie zachęcająco, oprócz doktora

White'a, który jak zwykle zmarszczył brwi i wpatrywał się we mnie w nieprzyjemny sposób napełniający mnie lękiem. Mały Robert przeprasząco przekrzywił głowę.

– Szyja mnie boli, mam bóle głowy i stawów – powiedziałam z jak największym naciskiem. – Sądzę, że trema objawia się inaczej. Moja kuzynka została dzisiaj w domu przez grypę, więc pewnie zaraziłam się od niej, to takie proste!

– Należałoby raz jeszcze ci wytłumaczyć, że chodzi o wydarzenie wagi historycznej... – stękał w tle pan Marley, ale pan Whitman mu przerwał.

– Gwendolyn, pamiętasz naszą rozmowę dziś rano? – spytał, a jego głos zrobił się chyba jeszcze odrobinę bardziej przymilny.

Co miał na myśli? Chyba potraktował swoje smędzenie na temat niedostatecznego zaangażowania w naukę jako rozmowę? No cóż, chyba tak.

– Może to kwestia wykształcenia, ale jestem niemal pewny, że Charlotta na twoim miejscu miałaby większe poczucie obowiązku. Nigdy nie przedłożyłaby własnego samopoczucia nad swoje zadania w naszej sprawie.

Cóż, to nie moja wina, że wykształcili nie tę, co trzeba. Mocniej wczepiłam się w oparcie krzesła.

– Proszę mi wierzyć, gdyby Charlotta była tak chora jak ja, też nie mogłaby pójść na ten bal.

Pan Whitman wyglądał tak, jakby lada chwila miał stracić cierpliwość.

– Chyba nie rozumiesz, o co mi chodzi.

– To nic nie da – odezwał się doktor White, jak zwykle oschłym tonem. – Tracimy tylko cenny czas.

Jeśli dziewczyna naprawdę jest chora, raczej nie uzdrowimy jej argumentami. A jeśli symuluje... –

Odsunął swoje krzesło, wstał, obszedł stół i zbliżył się do mnie tak szybko, że mały Robert ledwo za nim nadażył. – Otwórz usta!

Tego było za wiele. Spojrzałam na niego z oburzeniem, ale on szybko chwycił obiema dłońmi moją głowę i obmacał mi szyję od uszu aż do ramion. Na koniec położył rękę na czole. Odwaga mnie opuściła.

– Hm – mruknął, a jego mina, o ile to było możliwe, stała się jeszcze bardziej chmurna. – Obrzmiałe węzły chłonne, podwyższona temperatura. To naprawdę nie wygląda dobrze. Proszę, otwórz usta,

Gwendolyn. Zaskoczona posłuchałam jego polecenia.

Obrzmiałe węzły chłonne? Podwyższona temperatura? Czyżbym zachorowała z samego przerażenia? i – Tak jak myślałem. – Wyjął z kieszeni na piersi drewnianą szpatułkę i przycisnął mi nią język. – Czerwone gardło, migdałki powiększone... nic dziwnego, że źle się czujesz. Musi cię piekielnie boleć przy przełykaniu.

– Biedactwo – powiedział ze współczuciem Robert. – Teraz będziesz na pewno musiała pić ohydny syrop na kaszel. – Skrzywił się.

– Masz dreszcze? – spytał jego ojciec.

Niepewnie skinęłam głową. Dlaczego, u diabła, on to robi? Dlaczego mi pomaga? I to właśnie doktor White, który zawsze zachowywał się tak, jakbym miała wykorzystać pierwszą lepszą okazję, żeby dać nogę z chronografem?

– Tak myślałem. Gorączka jeszcze wzrośnie. – Doktor White odwrócił się w stronę pozostałych. –

Tak. To mi wygląda na infekcję wirusową.

Wszyscy zrobili zakłopotane miny. Zmusiłam się, żeby nie patrzeć w stronę Gideona, chociaż strasznie chciałam zobaczyć jego twarz.

– Czy możesz jej coś na to dać, Jake? – spytał Falk de Villiers.

– Najwyżej środek na zabicie temperatury. Ale nic, co szybko postawiłoby ją na nogi. Musi leżeć w

łóżku. – Doktor White zmierzył mnie ponurym wzrokiem. – Jeśli ma szczęście, jest to tylko jednodniowa gorączka, ta, która teraz szaleje. Ale równie dobrze może też potrwać parę dni...

Przerwał.

– Mimo to możemy ją... – zaczął pan Whitman.

– Nie, nie możemy – przerwał mu nieuprzejmie doktor White. Starłam się ze wszystkich sił nie gapić się na niego jak na ósmy cud świata. – Gideon

raczej nie może jej zawieźć na bal na wózku inwalidzkim. To nieodpowiedzialne i byłoby też złamaniem złotej zasady, gdybyśmy ją wysłali do osiemnastego wieku z ostrą infekcją wirusową.

– Co prawda, to prawda – powiedział nieznajomy, którego uznałam za ministra zdrowia. – Nie wiadomo, jak zareagowałby układ odpornościowy tych ludzi na dzisiejszego wirusa. To mogłoby mieć katastrofalne skutki.

– Jak wtedy u Majów – mruknął pan George. Falk głęboko westchnął.

– No cóż, a więc decyzja raczej zapadła. Gideon i Gwendolyn nie pójdą dziś na bal. Być może w zamian za to moglibyśmy przeprowadzić operację opal. Marley, czy mógłby pan poinformować pozostałych o zmianie planów?

– Tak jest. – Pan Marley, gnąc się w ukłonie, pospieszył do drzwi.

Spojrzenie, jakim mnie obdarzył, było kwintesencją wyrzutu. Ale nie przejęłam się tym.

Najważniejsze, że udało się przesunąć bal. Wciąż jeszcze nie mogłam pojąć mego szczęścia.

Teraz zaryzykowałam i zerknęłam na Gideona. W przeciwieństwie do pozostałych odłożenie naszej wycieczki najwyraźniej mu nie przeszkadzało, bo uśmiechnął się do mnie. Czy podejrzewał, że moja choroba jest udawana? Czy tylko po prostu się cieszył, że oszczędzono mu na dzisiaj uciążliwych przebieranek? Stłumiłam w sobie pokusę zrewanżowania się uśmiechem i przeniosłam wzrok na doktora White'a, który stał obok ministra zdrowia.

Jakże chętnie porozmawiałabym z nim w cztery oczy! Ale lekarz najwyraźniej zupełnie o mnie zapomniał, bo bez reszty pogrążony był w rozmowie.

– Chodź, Gwendolyn – usłyszałam współczujący głos pana George'a. – Zaprowadzę cię szybko na elapsję, a potem będziesz mogła wracać do domu. Skinęłam głową. Zabrzmiało to jak hasło dnia.

Podróż w czasie przy użyciu chronografu może trwać od 120 sekund do 240 minut. Jeśli chodzi o opal, akwamaryn, cytryn, jadeit, szafir i rubin, minimalne ustawienia wynoszą 121 sekund, maksymalne 239 minut. Aby uniknąć niekontrolowanych przeskoków w czasie, nosiciele genów powinni codziennie poddawać się elapsji przez 180 minut. Jeśli czas ten nie zostanie osiągnięty,

w ciągu 24 godzin może dojść do niekontrolowanych przeskoków (zob. protokoły z podróży w czasie, 6 stycznia 1902 roku, 17 lutego 1902 roku – Timothy de Villiers). Według badań empirycznych hrabiego de Saint Germain w latach 1720–1738 posiadacz genu może poddawać się elapsji przy użyciu chronografu maksymalnie przez pięć i pół godziny, to znaczy 330 minut dziennie. Jeśli czas ten zostanie przekroczony, występują bóle głowy, mdłości i osłabienie, jak również silne zaburzenia zdolności postrzegania i koordynacji ruchowej. Potwierdzili to bracia de Villiers w trakcie trzech podobnie skonstruowanych autoeksperymentów.

Kroniki Strażników, tom III

Rozdział 1. Misteria chronografu

Rozdział 6

Jeszcze nigdy elapsja nie była dla mnie tak komfortowa jak tego popołudnia. Dano mi kosz z kocami, termos z gorącą herbatą, herbatniki (oczywiście) i drobno pokrojone owoce w pudełku śniadaniowym. Prawie miałam wyrzuty sumienia, wyciągając się wygodnie na zielonej sofie. Tylko przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zabrać klucza z tajnej kryjówki i nie udać się na górę, ale cóż by to miało dać prócz dodatkowych komplikacji i ryzyka, że zostanę złapana? Znajdowałam się gdzieś w roku 1953, o dokładną datę nie zapytałam, bo przecież musiałam odgrywać apatyczną i chorą na grypę.

Po decyzji Falka o zmianie planów zapanował wśród Strażników gorączkowy pośpiech. W końcu wysłano mnie z niezbyt uszczęśliwionym panem Marleyem do pomieszczenia z chronografem.

Było po nim widać, że znacznie bardziej wolałby być na naradzie, niż zajmować się mną. Nie miałam więc odwagi zapytać go o operację opal i tylko gapiłam się przed siebie, równie milcząco jak on. W ciągu ostatnich dni nasze relacje wyraźnie ucierpiały, ale pan Marley był ostatnią osobą, o którą bym się martwiła.

W roku 1953 zjadłam najpierw owoce, potem herbatniki i wreszcie wyciągnęłam się na sofie, opatulona kocami. Mimo nieprzyjemnego światła, jakie rzucała żarówka pod sufitem, nie minęło pięć minut, a już spałam mocno i głęboko. Nie mogła mnie przed tym powstrzymać nawet myśl o duchu bez głowy, który podobno straszył na dole. Wypoczęta, obudziłam się akurat w porę przed powrotnym przeskokiem, i całe szczęście, bo inaczej rąbnęłabym wprost pod nogi pana Marleya.

W czasie gdy pan Marley, który przywitał mnie tylko lekkim skinieniem głowy, wpisywał raport do dziennika (prawdopodobnie coś w stylu: „Defetystka rubin, zamiast spełniać swoje obowiązki, obijała się w roku 1953 i żarła owoce”), spytałam go, czy doktor White jeszcze tu jest. Koniecznie chciałam wiedzieć, dlaczego nie zdemaskował mojej choroby jako symulanctwa.

– Nie ma teraz czasu zajmować się pani boleściami... chorobami – odparł pan Marley. – W tej chwili wszyscy wyruszają do ministerstwa obrony na operację opal. – Słowa „A mnie przy tym nie ma” wyraźnie wisiały w powietrzu, jakby je wypowiedział.

Ministerstwo obrony? O co tu chodzi? Obrażonego Pana Kaszanki raczej nie było sensu o to pytać, bo miał taki humor, że na pewno niczego by mi nie zdradził. Chyba postanowił sobie, że lepiej w ogóle nie będzie ze mną rozmawiał. Czubkami palców zawiązał mi chustkę na oczach i bez słowa poprowadził przez labirynt piwnicznych korytarzy, z jedną ręką na moim łokciu, a drugą w talii. Z każdym krokiem ten fizyczny kontakt stawał się dla mnie coraz bardziej nieprzyjemny, zwłaszcza że jego ręce były ciepłe i spocone. Nie mogłam się już doczekać, żeby je z siebie strząsnąć, gdy wreszcie wspieiliśmy się na kręcone schody prowadzące na parter. Wzdychając, zdjęłam z oczu opaskę i oświadczyłam, że stąd sama trafię do limuzyny.

– Nie zezwoliłem jeszcze na to – zaprotestował pan Marley. – A poza tym moim zadaniem jest odprowadzić panią aż do drzwi domu.

– Niech pan da spokój. – Z rozdrażnieniem machnęłam ręką w jego stronę, kiedy szykował się, żeby znowu zawiązać mi oczy. – Resztę drogi i tak już znam. A jeśli koniecznie chce pan towarzyszyć mi aż do drzwi domu, to na pewno nie z ręką na mojej talii. – Znowu ruszyłam do przodu.

Pan Marley pospieszył za mną, sapiąc z oburzenia.

– Pani zachowuje się tak, jakbym właśnie dotknął pani nie–obyczajnie.

– Tak, zgadza się – powiedziałam, chcąc go zdenerwować.

– A więc to jest... to jest naprawdę... – krzyczał pan Marley, ale jego krzyk został zagłuszony czymś wrzaskiem z silnym francuskim akcentem.

– Niech pan się nie waży wychodzić bez tego kołnierza, młody człowieku! – Znajdujące się przed nami drzwi do pracowni madame Rossini otworzyły się z hukiem i wypadł z nich Gideon, a tuż za nim rozgniewana madame Rossini. Trzepotała rękami i trzymanym w nich białym materiałem. –

Proszę tu zostać! Czy pan sądzi, że uszyłam ten kołnierz dla własnej przyjemności?

Ujrawszy nas, Gideon się zatrzymał. Ja też stanęłam, ale niestety nie tak swobodnie – raczej jak słup soli. I to nie dlatego, że zaskoczył mnie jego dziwny wатовany surdut, w którym ramiona miał jak atleta na koksie, lecz dlatego, że w czasie każdego z naszych spotkań nie umiałam robić nic innego, jak tylko się gapić. I czuć przyspieszone bicie serca.

– Akurat miałbym ochotę pani dotykać! Robię to tylko dlatego, że muszę! – wrzeszczał za mną pan

Marley.

Gideon uniósł jedną brew i uśmiechnął się drwiąco.

Zrewanżowałam się takim samym uśmieszkiem, jak najwolniej przesuwając wzrok po jego idiotycznym surducie, śmiesznych bufiastych spodniach i pończochach opinających łydki, aż po buty z klamrami.

– Autentyczność, młody człowieku! – Madame Rossini wciąż wywijiała w powietrzu kołnierzem. – Ile razy mam to jeszcze panu tłumaczyć? Och, przecież to moja mała biedna łabędzia szyjka. – Jej okrągłą twarz rozpromienił szeroki uśmiech. –Bonsoir, ma petite*. Powiedz temu idiocie, żeby mnie nie denerwował. – Mówiła, akcentując ostatnie sylaby.

– Już dobrze. Proszę mi to dać. – Gideon pozwolił madame Rossini nałożyć sobie kołnier. – I tak nikt mnie w tym nie zobaczy, a nawet gdyby, to nie bardzo mogę sobie wyobrazić, że ludzie dniem i nocą nosili takie sztywne spódniczki baletowe obwiązane wokół szyi.

– Ależ tak, nosili, w każdym razie ci na dworze.

– Zupełnie nie rozumiem, o co chodzi. Bardzo ci w tym do twarzy – powiedziałam z naprawdę podłym uśmieszkiem. –Twoja głowa wygląda jak ogromna czekoladka.

– Tak, wiem. – Gideon też wyszczerzył zęby. – Można by mnie schrupać. Mam nadzieję, że to przynajmniej trochę odwraca uwagę od tych bufiastych spodni.

– One są bardzo, ale to bardzo sexy – oznajmiła madame Rossini, a ja niestety musiałam parsknąć śmiechem.

– Cieszę się, że mogłem cię nieco rozweselić – powiedział Gideon. – Madame Rossini, moja peleryna!

Zagryzłam dolną wargę, żeby powstrzymać chichot. Jeszcze tego brakowało, żebym zaczęła sobie żartować z tym draniem, jakby nic się nie stało. Jakbyśmy naprawdę byli przyjaciółmi. Ale było już za późno.

Przechodząc obok, pogłaskał mnie po policzku i stało się to tak szybko, że nie byłam zdolna do żadnej reakcji.

– Wracaj do zdrowia, Gwen.

– No proszę! Ruszaj w pięknym stylu na spotkanie przygody w szesnastym wieku, młody buntowniku. – Madame Rossini uśmiechnęła się. – Założę się, że po drodze zdejmie ten kołnierz, niedobry chłopak.

Ja też spojrzałam za tym niedobrym chłopakiem. Hm – może i te bufiaste spodnie były jednak ociupinkę sexy?

– My też musimy już iść – powiedział pan Marley, chwycił mnie za łokieć i natychmiast go puścił, jakby się oparzył.

Usłyszałam jeszcze, jak mruczy do siebie: „Niesłychane! Ona w ogóle nie jest w moim typie”.

Moje obawy, że Charlotta mogła w tym czasie znaleźć chronograf, okazały się nieuzasadnione. Nie doceniłam pomysłowości mojej rodziny. Kiedy wróciłam do domu, Nick grał przed drzwiami mojego pokoju w jojo.

– Do kwatery głównej mają wstęp tylko członkowie – powiedział. – Hasło?

– Ja tu jestem szefem, już zapomniałeś? – Zmierzwiłam jego rude loki. – Błee, czy to znowu jest guma do żucia?

Oburzony Nick chciał zaprotestować, ale ja wykorzystałam okazję i wcisnęłam się do swojego pokoju.

Był prawie nie do poznania. Ciocia Maddy spędziła w nim bowiem cały dzień, wezwana na plan przez pana Bernharda, który zapewne ganiał jeszcze od jednej kwaciarni do drugiej, i nadała mu troszeczkę swojego stylu.

Nie byłam straszną bała-ganiarą, ale moje rzeczy miały dziwną tendencję do rozwalania się po całej podłodze. Dziś po raz pierwszy od dłuższego czasu można było zobaczyć dywan, łóżko było zasłane – ciocia Maddy wyczarowała skądś ładną białą kapę i pasujące do niej poduszki – ubrania leżały równo złożone na krześle, rozrzucone wokół kartki, zeszyty i książki były poukładane w stosy na biurku, z parapetu zniknęła nawet doniczka z zasuszoną paprotką. Zamiast niej stała tam teraz piękna kwiatowa

kompozycja rozsiewająca wokół delikatny zapach frezji. Nawet Xemerius nie huśtał się niedbale na lampie pod sufitem, lecz siedział malowniczo na komodzie, owinięty smoczym ogonem, tuż obok ogromnego półmiska z cukierkami.

– Zupełnie inny pokój, prawda? – powitał mnie. – Twoja cioteczna babcia ma pojęcie o feng shui, nie ma co.

– Nie bój się, niczego nie wyrzuciłam – powiedziała ciocia Maddy, usadowiona z książką na łóżku. – Tylko trochę posprzątałam i starłam kurze, żeby było mi tu przyjemniej siedzieć.

Nie mogłam inaczej, musiałam ją wycalować.

– A ja tak strasznie się martwiłam przez cały dzień. Xemerius z zapalem kiwnął głową.

– I słusznie! Ledwie zdążyliśmy przeczytać dziesięć stron... eee... to znaczy ledwie ciocia Maddy zdążyła przeczytać dziesięć stron, a już przylazła tu Charlotta – relacjonował. – Wyglądała jak łódź podwodna, kiedy zobaczyła ciocię. Ale szybko się pozbierała i oznajmiła, że chciała pożyczyć gumkę do wycierania.

Ciocia Maddy opowiedziała to samo.

– Ponieważ właśnie posprzątałam na biurku, mogłam jej pomóc. Nawiasem mówiąc, zatemperowałam też twoje kredki i poukładałam kolorami. Potem przyszła jeszcze raz, rzekomo po to, żeby oddać gumkę. Po południu zamienialiśmy się z Nickiem, w końcu musiałam czasem pójść do toalety.

– Pięć razy, nawiasem mówiąc – wtrącił Nick, który przyszedł za mną.

– To przez tę herbatę – dodała ze skrucą ciocia Maddy.

– Dziękuję bardzo, ciociu, zrobiłaś to fantastycznie. Wszyscy zrobiliście to fantastycznie. – Znów poczochnęłam Nickowi włosy.

Ciocia Maddy zaśmiała się.

– Lubię się do czegoś przydać. Uprzedziłam też Violetkę, że nasze jutrzejsze spotkanie musi się odbyć w twoim pokoju.

– Ciociu Maddy! Chyba nie opowiedziałaś Violetce o chronografie! – krzyknął Nick.

– Oczywiście, że nie! – Ciocia Maddy spojrzała na niego z oburzeniem. – Przecież przysięgłam na własne życie. Powiedziałam jej, że tu na górze będziemy miały lepsze światło do robótek ręcznych.

Tylko twoje okno jest nieszczelne, moje dziecko, gdzieś tu jest przeciąg, przez cały czas czułam chłodny podmuch.

Xemerius spojrzał na mnie z poczuciem winy.

– Przecież nie robię tego specjalnie – powiedział. – Ale ta książka była taka ciekawa.

Myślami byłam już przy kolejnej nocy.

– Ciociu Maddy, kto właściwie mieszkał w moim pokoju w listopadzie 1993 roku?

Ciocia Maddy zamyśliła się, zmarszczywszy czoło.

– W 1993 roku? Niech się zastanowię. Wtedy premierem była jeszcze Margaret Thatcher? To wtedy... ach, jakżeż to było?

– Phi! Starsza pani wszystko miesza – wtrącił Xemerius. – Mnie lepiej zapytaj. 1993 to był rok, w którym do kin wszedł Dzień świstaka, widziałem go czternaście razy, poza tym ujawniono romans księcia Karola z Camillą Parker-Bowles, a premierem był...

– To właściwie obojętne – przerwałam mu. – Chcę tylko wiedzieć, czy mogę stąd bezpiecznie przeskoczyć do 1993 roku. – Podejrzywałam bowiem Charlotte, że zdążyła sprawić sobie czarny kostium do walki wręcz i przez całą dobę będzie obserwowała korytarz. – Czy ten pokój był zamieszkały, czy nie, ciociu Maddy?

– Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwlllantysilio-gogogoch! – zawołała ciocia Maddy, a

Xemerius, Nick i ja wlepiliśmy w nią zaskoczone spojrzenia.

– Teraz do reszty zwariowała – powiedział Xemerius. – Już dzisiaj po południu zauważyłem, że w trakcie czytania śmieje się nie w tych miejscach, co trzeba.

– Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwlllantysilio-gogogoch – powtórzyła ciocia Maddy i rozpromieniona włożyła do ust cytrynowy cukierek. – Tak nazywało się miasto w Walii, z którego pochodziła nasza gospodyni. I niech ktoś mi jeszcze powie, że mam słabą pamięć.

– Ciociu Maddy, ja chcę tylko wiedzieć, czy...

– Tak, tak, tak. Gospodyni nazywała się Gladiola Langdon i na początku lat dziewięćdziesiątych zajmowała pokój twojej mamy – wpadła mi w słowo ciocia Maddy. – Zdziwiona, co?

Twoja ciocia ma bowiem, wbrew powszechnie panującej opinii, fantastycznie funkcjonujący mózg.

Reszta pokoi tu na górze była używana tylko od czasu do czasu jako pokoje gościnne, a poza tym stały puste. Gladiola miała dosyć kiepski słuch. Możesz więc bez obaw wsiadać do swego wehikułu czasu i wyczołgać się z niego dopiero w 1993 roku. – Zachichotała. – Gladiola Langdon.

Nigdy nie zapomnę jej szarlotki. Poczciwina, nie wykrawała gniazd nasiennych.

Mama miała pewne wyrzuty sumienia w związku z moją rzekomą gripą. Falk de Villiers zadzwonił do niej po południu i przekazał zalecenia doktora White'a: leżeć w łóżku i pić dużo gorących płynów. Sto razy powtarzała, jak jej przykro, że mi nie uwierzyła, i własnoręcznie wycisnęła dla mnie trzy cytryny. Potem przez pół godziny siedziała przy moim łóżku, Żeby się upewnić, że wszystko wypilam. Ponieważ nieco zbyt głośno szczękałam zębami, otuliła mnie dwiema dodatkowymi kołdrami, a na stopy położyła termofor.

– Jestem wyrodną matką – powiedziała i pogłaskała mnie po głowie. –1 to jeszcze teraz, kiedy jest ci tak ciężko.

No cóż, miała rację. I to nie tylko dlatego, że czułam się jak w saunie, a na moim brzuchu pewnie można by smażyć jajka Sadzone. Przez sekundę pozwoliłam sobie pławić się we współczuciu dla siebie.

– Nie jesteś wyrodną matką, mamó – zaprzeczyłam. Mama wyglądała na jeszcze bardziej zatroskana, jeśli to w ogóle było możliwe.

– Mam ogromną nadzieję, że ci opętani tajemniczy starcy nie każą ci robić nic niebezpiecznego.

Szybko wzięłam cztery łyki gorącej herbaty. Tak jak zawsze zastanawiałam się, czy nie powinnam jednak wtajemniczyć mamy we wszystko. To nie było miłe uczucie okłamywać ją czy też przemilczać tak ważne rzeczy. Ale nie chciałam, żeby się o mnie martwiła czy wręcz wdała w konflikt ze

Strażnikami. Poza tym prawdopodobnie nie byłaby zachwycona, że przechowuję skradziony chronograf i na własną rękę urządzam sobie wycieczki w przeszłość.

– Falk zapewniał mnie, że przez cały czas siedzisz tylko w piwnicy i odrabiasz lekcje – powiedziała.

– I mogę się martwić jedynie o to, że masz za mało światła dziennego.

Ociągałam się jeszcze przez sekundę, a potem uśmiechnęłam się krzywo.

– Ma rację. Jest ciemno i nudno jak diabli.

– To dobrze. Nie chciałabym, żeby stało się z tobą to co wtedy z Lucy.

– Mamo? Co się właściwie wtedy stało?

W ciągu ostatnich dwóch tygodni nie pierwszy raz zadałam jej to pytanie, ale jeszcze nigdy nie udzieliła mi zadowalającej odpowiedzi.

– Przecież wiesz. – Mama znowu mnie pogłaskała. – Och, moja biedna myszeczko! Cała płoniesz z tej gorączki!

Łagodnie odsunęłam jej rękę. Ze płonę, to prawda. Ale nie z gorączki.

– Mamo, ja naprawdę chcę wiedzieć, co się wtedy stało. Wahala się przez chwilę, a potem jeszcze raz opowiedziała mi to, o czym wiedziałam już od dawna: że Lucy i Paul uznali, iż nie wolno zamykać kręgu krwi, ukradli chronograf i ukryli się razem z nim, ponieważ Strażnicy nie podzielali ich opinii.

– Ponieważ niemożliwe było wymknąć się z sieci Strażników, bo na pewno mają swoich ludzi w

Scotland Yardzie i w Secret Service, Lucy i Paulowi nie pozostało nic innego, jak przeskoczyć z chronografem w przeszłość – mówiłam za nią dalej, niepostrzeżenie podnosząc kódrę na stopach, żeby trochę się ochłodzić. – Ale nie wiesz, do jakiego roku.

– No właśnie. Wierz mi, naprawdę nie było im łatwo wszystko tu zostawić.

– Mama wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała łzy.

– No tak, ale dlaczego uznali, że nie wolno zamykać kręgu krwi?

Dobry Boże, ależ mi było gorąco! Po co mówiłam, że mam dreszcze?

Mama wpatrywała się w pustkę obok mnie.

– Wiem tylko, że nie ufali zamiarom hrabiego de Saint Germain i byli przekonani, że tajemnica

Strażników została zbudowana na kłamstwie. Dziś bardzo żałuję, że nie chciałam wiedzieć więcej... ale wydaje mi się, że Lucy tak wolała. Żeby nie narażać mnie na niebezpieczeństwo.

– Strażnicy myślą, że tajemnica kręgu krwi jest swego rodzaju cudownym środkiem. Lekiem, który uleczy wszystkie choroby ludzkości – powiedziałam i z miny mamy mogłam wyczytać, że ta informacja tak naprawdę nie jest dla niej nowa. – Dlaczego Lucy i Paul mieliby przeszkodzić w wynalezieniu tego leku? Dlaczego mieliby być temu przeciwni?

– Bo... cena za to zdawała im się zbyt wysoka. – Te słowa mama wypowiedziała szeptem. Z kącika oka oderwała się jej łza i potoczyła po policzku. Wytarła ją pospiesznie wierzchem dłoni i wstała. –

Spróbuj trochę się przespać, skarbie – dodała normalnym głosem. – Na pewno zaraz zrobi ci się ciepło. Sen to zawsze najlepsze lekarstwo.

– Dobranoc, mamo.

W innych okolicznościach na pewno wierciłabym jej dziurę w brzuchu dalszymi pytaniami, ale teraz nie mogłam się wprost doczekać, kiedy wyjdzie. Z ulgą odrzuciłam na bok kołdry i tak gwałtownie otworzyłam okno, że wystraszyłam dwa gołębice (a może duchy gołębi?), które wygodnie ułożyły się na noc na gzymsie. Nim Xemerius wrócił ze swego kontrolnego przelotu po domu, zdążyłam już zmienić przepoconą piżamę na świeżą.

– Wszyscy leżą w swoich łóżkach, Charlotta też, ale gapi się w sufit i robi ćwiczenia rozciągające – zrelacjonował Xeme-rius. – O, wyglądasz jak homar.

– I tak się też czuję.

Z westchnieniem zarygłowałam drzwi. Nikt, a zwłaszcza Charlotta, nie może wejść do tego pokoju, kiedy mnie nie będzie. Niezależnie od tego, jakie miała plany wobec swych mięśni, tu w żadnym wypadku nie wolno jej wejść.

Otworzyłam szafę i wzięłam głęboki wdech. Z wielkim trudem precyzyjnie przecisnęłam się przez dziurę i doczołgałam do krokodyla, w którego brzuchu, na łożu z wełny drzewnej, spoczywał chronograf.

Moja czysta piżama zrobiła się przy tym z przodu brudnoszara, zebrałam też sporo pajęczyn.

Ohyda.

– Tu masz... takie małe coś – powiedział Xemerius, wskazując na moja pierś, kiedy wyczołgałam się z powrotem z chronografem pod pachą.

Małym czymś okazał się pajak, wielki jak dłoń Caroline (no, w każdym razie mniej więcej taki).

Musiałam się mocno opanować, żeby zdusić wrzask, który obudziłby nie tylko wszystkich mieszkańców domu, ale też całą dzielnicę. Strząśnięty pajak próbował pospiesznie znaleźć kryjówkę pod moim łóżkiem (to niesamowite, jak szybko można biegać na ośmiu nogach!).

– Brrr, brrr – szczękałam zębami przez minutę.

Trzęsło mną z obrzydzenia jeszcze wtedy, gdy nastawiałam chronograf.

– Nie przeginaj – powiedział Xemerius. – Istnieją pajaki, które są ze dwadzieścia razy większe niż ten tutaj.

– Gdzie? Na planecie Romulus? W porządku, to może być prawda. – Postawiłam chronograf w szafie na skrzyni, uklękłam przy nim i wsunęłam palec w przegródkę pod rubinem. – Wracam za półtorej godziny. A ty z łaski swojej miej na oku tarantulę. – Pomachałam Xemeriusowi latarką

Nicka i zaczerpnęłam powietrza.

Dramatycznym gestem położył sobie rękę na piersi.

– Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak blisko...

– Och, zamknij się, Julio – powiedziałam i mocno nacisnęłam palcem na igłę.

Kiedy brałam kolejny wdech, poczułam, że mam w ustach flanelę. Pospiesznie ją wyplułam i zaświeciłam latarkę. Tuż przed moją twarzą wisiał szlafrok. W ogóle szafa była wypchana ubraniami, wisiały w dwóch rzędach i chwilę trwało, nim udało mi się między nimi wyprostować.

– Słyszałeś to? – rozległ się kobiecy głos poza szafą. O nie. Tylko nie to.

– Co takiego, skarbie? – Męski głos brzmiał bardzo, ale to bardzo niepewnie.

Ze strachu nie byłam zdolna się poruszyć.

– W szafie z ubraniami jest światło – oznajmił kobiecy głos, który zupełnie nie okazywał bojaźni.

Mówiąc wprost, brzmiał całkiem jak głos ciotki Glendy. Cholera! Wyłączyłam latarkę i ostrożnie przesunęłam się do tyłu, do drugiego rzędu ubrań, aż poczułam z tyłu ścianę szafy.

– Możliwe, że...

– Nie, Charles! – Jej ton stał się odrobinę bardziej władczy. – Wcale nie zwariowałam, jeśli to właśnie chciałeś mi powiedzieć.

– Aleja...

– W szafie było światło, a ty z łaski swojej wstaniesz i sprawdzisz. Jeśli nie, to możesz nocować w szwalni. – Ten syk Charlotta z całą pewnością odziedziczyła po ciotce Glendzie. – Nie, poczekaj!

Nie da rady, bo jak panna Langdon cię tam zobaczy, mama będzie mnie pytać, czy nasze małżeństwo przeżywa kryzys, a to już by był szczyt, bo ja nie przeżywam kryzysu małżeńskiego, chociaż ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że twojemu ojcu zależało na tytule szlacheckim.

– Ależ, Glendo!

– Mnie nie oszukasz! Właśnie niedawno lady Presdemere opowiadała mi... –1 ciocia Glenda odpaliła kolejne złośliwości w świat czy raczej w kierunku swego godnego pożałowania męża, przy czym kompletnie zapomniała o świetle w szafie.

Niestety, zapomniała również, że jest środek nocy, i jak mi się zdawało, jazgotała w tym stylu przez następne dwie godziny. Charles od czasu do czasu wydawał z siebie jedynie zduszone piski. Nic dziwnego, że się rozwiedli. Można się było tylko zastanawiać, w jaki sposób udało im się splodzić małą słodką Charlotte.

W końcu Glenda zarzuciła swemu mężowi, że pozbawia ją zasłużonego snu, potem zaskrzypiały piernaty i po kilku minutach rozległo się chrapanie. No tak, niektórym na zaburzenia snu pomagało gorące mleko z miodem, a w przypadku ciotki Glendy najwyraźniej sprawa wyglądała inaczej.

Przeklinając ciocię Maddy i jej fenomenalną pamięć, na wszelki wypadek odczekałam jeszcze pół godziny, a potem ostrożnie pchnęłam drzwi szafy. Nie mogłam przecież zmarnować całego swojego czasu w tej norze, dziadek był już z pewnością chory ze zdenerwowania. W pokoju było nieco jaśniej niż w

szafie, w każdym razie na tyle jasno, żebym mogła dostrzec zarysy mebli i o nic się nie potknąć.

Cichuteńko przekradłam się do drzwi i nacisnęłam klamkę. Dokładnie w tym momencie ciotka Glenda wrzasnęła: – Ktoś tu jest! Charles!

Nie czekałam, aż nieszczęsny Charles się obudzi albo zapali się światło, szarpnęłam drzwi i ruszyłam biegiem, najszybciej jak potrafiłam, przez korytarz i w dół schodami, przecięłam korytarz na drugim piętrze i pobiegłam dalej w dół, nie zwracając uwagi na skrzypiące stopnie. Nie wiedziałam, dokąd biegnę, ale miałam dziwne deja vu; chyba już kiedyś coś takiego przeżyłam.

Na pierwszym piętrze zderzyłam się z kimś, w kim po trwającym ułamku sekundy strachu rozpoznałam swojego dziadka. Bez słowa chwycił mnie i wciągnął do biblioteki.

– A ty co tak hałasujesz? – wyszeptał, zamknawszy drzwi. –I dlaczego przychodzisz tak późno?

Myślałem, że nogi wrosną mi w ziemię przed obrazem praprapradziadka Hugh, i bałem się, że coś ci się stało.

– Bo się stało. Dzięki cioci Maddy wylądowałam wprost w sypialni ciotki Glendy – wyrzuciłam z siebie bez tchu. –I obawiam się, że mnie widziała. Prawdopodobnie właśnie w tej chwili dzwoni na policję.

Widok Lucasa był dla mnie małym szokiem. Znów wyglądał jak dziadek, którego znałam jako małą dziewczynką, i z trudem teraz mogłam zobaczyć w nim młodego Lucasa z wypomadowaną fryzurą.

Choć to było dziecinne, do oczu napłynęły mi łzy.

Dziadek tego nie zauważył. Nasłuchiwał przy drzwiach.

– Poczekaj tutaj, pójdę sprawdzić. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Tam stoją kanapki, na wszelki wypadek. A gdyby ktoś wszedł...

– ..to jestem twoją kuzynką Hazel – uzupełniłam.

– ...to najlepiej się ukryj! Tam z tyłu, za biurkiem.

Ale to nie było konieczne. Lucas wrócił chwilę później. Wykorzystałam ten czas, żeby wyrównać oddech, pochłonąć jedną kanapkę i obliczyć, ile minut pozostało mi jeszcze do powrotnego przeskoku w czasie.

– Nie martw się – powiedział. – Właśnie wyrzuca Charlesowi, że to on odpowiada za senne koszmary, które dręczą ją od dnia ślubu. – Pokręcił głową. – Trudno uwierzyć, że spadkobierca dynastii magnatów hotelowych pozwala na coś takiego. Nieważne, zapomnijmy o Glendzie. –

Uśmiechnął się. – Niech na ciebie spojrzę, wnuczko. Jesteś dokładnie taka, jak cię zapamiętałem, może nawet jeszcze odrobinę ładniejsza. A co się stało z twoją piżamą? Wyglądasz jak kominiarz.

Machnęłam ręką.

– Wcale nie było łatwo tutaj przyjść. W roku 2011 nie mogę tak po prostu nosić chronografu po całym domu, bo Charlotta coś podejrzewa i jest czujna jak ryś. Może właśnie w tej chwili próbuje się włamać do mojego pokoju, co wcale by mnie nie zdziwiło. I nie mam teraz za dużo czasu, stałam w tej szafie całe wieki. – Mlasnęłam zirytowana. – A jeśli nie przeskoczę z powrotem do swojego pokoju, to będzie znaczyło, że sama wyłączyłam się z gry! Fantastycznie! – Wzdychając, opadłam na fotel. – Co za wpadka! Musimy się umówić jeszcze raz, i to przed tym przeklętym balem! Proponuję, żebyśmy spotkali się na dachu. Zdaje mi się, że to jedyne miejsce w tym domu, gdzie nikt nam nie przeszkodzi. Co powiesz na jutro o północy, z twojego punktu widzenia? A może za trudno byłoby ci się wdrapać na dach? Na pewno jest droga przez kominek, tak mówi Xemerius, ale nie wiem...

– Chwila, chwila, chwila. – Dziadek się uśmiechnął. – Miałem w końcu parę latek na zastanowienie i dlatego coś przygotowałem. – Wskazał na stół, na którym obok talerza z kanapkami leżała książka, całkiem opasłe tomiszcze.

– Anna Karenina? Dziadek skinął głową.

– Otwórz ją.

– Ukryłeś tam szyfr? – spytałam. – Tak jak w Zielonym jeźdźcu?

To nie mogła być prawda! Lucas spędził trzydzieści siedem lat na obmyślaniu zagadki dla mnie?

Wyliczenie liter zajmie mi pewnie wiele dni.

– Wiesz co, wołałabym, żebyś mi po prostu powiedział, co tam jest. Mamy tylko parę minut.

– Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Przeczytaj pierwsze zdanie – zażądał dziadek.

Otworzyłam książkę na początku pierwszego rozdziału. „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój własny sposób”. Ehm, no tak.

Ładne to. I takie mądre. Ale...

– Wygląda całkiem zwyczajnie, prawda? – Lucas promieniał. – Ale to wydanie specjalne. Pierwsze czterysta i ostatnie czterysta stron to jest Tołstoj, tak samo jak dwieście stron w środku, ale pozostałe są ode mnie dla ciebie, złożone dokładnie tym samym krojem pisma. Perfekcyjnie zamaskowane! Znajdziesz tam wszystkie informacje, jakie zdołałem zgromadzić w ciągu tych trzydziestu siedmiu lat, choć w dalszym ciągu nie wiem, co było konkretnym powodem ucieczki Lucy i Paula z chronografem. – Wyjął mi książkę z ręki i zaczął przerzucać kartki. – Mamy dowody na to, że hrabia od chwili założenia łoży ukrywał przed Strażnikami ważne dokumenty, przepowiednie, z których wynika, że kamień filozoficzny nie jest tym, co on usiłuje wszystkim wmówić.

– Tylko?

– Nie mamy jeszcze całkowitej pewności, staramy się uzyskać dostęp do tych dokumentów. – Dziadek podrapał się po głowie. – Posłuchaj, dużo nad tym myślałem i uświadomiłem sobie, że w roku 2011 nie będę już żył. Najprawdopodobniej umarłem, zanim byłaś na tyle duża, bym mógł cię we wszystko wtajemniczyć.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć, ale skinęłam głową. Uśmiechnął się swoim cudownym dziadkowym uśmiechem, który sprawiał, że cała jego twarz pokrywała się zmarszczkami.

– To nie problem, Gwen. Mogę cię zapewnić, że nawet gdybym musiał umrzeć dzisiaj, nie byłbym smutny. Miałem piękne życie. – Zmarszczki jeszcze się pogłębiły. – Szkoda tylko, że nie mogę ci już pomóc w twoich czasach.

Znowu pokiwałam głową, z trudem powstrzymując łzy.

– No, daj spokój, mój mały kurczaczku. Ty chyba wiesz najlepiej, że śmierć jest częścią życia. – Lucas pogładził mnie po ramieniu. – Należało jednak

pomyśleć, żebym miał w sobie ryle przyzwoitości, by po śmierci straszyć w tym domu jako duch. Naprawdę przydałoby ci się trochę wsparcia.

– Tak, byłoby pięknie – szepnęłam. – A zarazem strasznie. Duchy, które znałam, nie wydawały się szczęśliwe. Byłam przekonana, że wolałyby znajdować się w innym miejscu. Żaden nie lubił być duchem. Większość z nich nie wierzyła, że umarli. Dobrze, że dziadek do nich nie należy.

– O której musisz wracać? – spytał. Spojrzałam na zegarek.

– Za pięć minut. I muszę poddać się elapsji w sypialni cioci Glendy, ponieważ w moich czasach zamknęłam ten pokój od środka.

– Możemy po prostu wepchnąć cię tam kilka sekund wcześniej – powiedział Lucas. – Znikniesz, zanim się zorientują...

W tym momencie ktoś zastukał do drzwi.

– Lucas, jesteś tam?

– Schowaj się – syknął Lucas, aleja już zdążyłam zareagować.

Jednym skokiem rzuciłam się pod biurko, w samą porę, zanim otworzyły się drzwi i do środka weszła lady Arista. Widziałam tylko stopy i rąbek szlafroka, ale jej głosu nie można było pomylić z żadnym innym.

– A cóż ty tu robisz na dole w środku nocy? I czy to są może kanapki z tuńczykiem? Wiesz przecież, co powiedział doktor White! – Z westchnieniem opadła na rozgrzany przeze mnie fotel.

Teraz w polu widzenia miałam ją aż do ramion, które jak zwykle trzymała wyprostowane. Ciekawe, czy gdyby odwróciła głowę, zobaczyłaby kawałek mnie?

Cmoknęła.

– Właśnie był u mnie Charles. Twierdzi, że Glenda groziła mu, że go pobije.

– Ojej – powiedział Lucas zaskakująco lekkim tonem. – Biedny chłopak. I co zrobiłaś?

– Dałam mu szklanek whisky – odrzekła moja babka i zachichotała.

Wstrzymałam oddech. Moja babka chichocze? Tego nigdy wcześniej nie słyszałam. I tak zawsze się dziwiliśmy, gdy się śmiała, ale chichot należał do innej ligi. To tak jakby operę Wagnera zagrać na flecie prostym.

– Potem zaczął płakać – dodała lekceważąco. To znowu była doskonale mi znana lady Arista. – A wtedy ja musiałam wypić szklanek whisky.

– Moja dziewczynka... – Usłyszałam, jak dziadek się śmieje, i nagle zrobiło mi się ciepło w okolicy serca.

Oboje wyglądali na szczęśliwych (no, przynajmniej od szyi w dół). Uświadomiłam sobie, że właściwie nie wiem, jak naprawdę wyglądało ich małżeństwo.

– Już czas, żeby dom Glendy i Charlesa został ukończony – powiedziała lady Arista. – Czy to możliwe, że nasze dzieci nie mają wielkiego szczęścia, jeśli chodzi o partnerów? Jane Har-ry'ego jest straszliwie nudna, Charles to mięczak, a Nicolas jest biedny jak mysz kościelna.

– Ale sprawia, że Grace jest szczęśliwa, a to przecież najważniejsze.

Lady Arista podniosła się.

– Tak, i na Nicolasa narzekam najmniej. Znacznie gorzej byłoby, gdyby Grace dalej tkwiła przy tym okropnym de Villiersie. – Widziałam, jak się wzdrygnęła. – Oni wszyscy są potwornie aroganccy.

Mam nadzieję, że Lucy też odzyska rozum.

– Wydaje mi się, że Paul jest nieco inny niż reszta tej rodziny. – Dziadek się uśmiechnął. – To miły chłopak.

– Nie sądzę, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Idziesz ze mną na górę?

– Chciałem jeszcze troszkę poczytać...

Tak, i jeszcze trochę pogadać ze swoją wnuczką z przyszłości, o ile to możliwe. Miałam bowiem coraz mniej czasu. Nie widziałam stąd zegara, ale słyszałam, jak tyka. Czyżbym znowu czuła te przekłete mdłości w brzuchu?

– Anna Karenina? To taka melancholijna książka, nie sądzisz, mój drogi? – Widziałam, jak szczupłe dłonie mojej babki sięgają po książkę i otwierają ją w jakimś miejscu. Pewnie Lucas tak samo jak ja wstrzymał oddech. – „Czy w ogóle można wyjaśnić innym ludziom, co człowiek czuje?”. Och, może powinnam to kiedyś przeczytać? Ale w okularach. Co o tym sądzisz?

– Najpierw ja przeczytam.

– Ale już nie dzisiaj w nocy. – Odłożyła książkę na stół i pochyliła się do Lucasa.

Nie widziałam dobrze, ale wyglądało na to, że tych dwoje się obejmuje.

– Przyjdę za kilka minut, słodziaczku – powiedział Lucas, ale lepiej by było, żeby tego nie robił.

Przy słowie „słodziazku” (że co? przecież rozmawiał z lady Aristą!) wzdrygnęłam się tak gwałtownie, że rąbnęłam głową o biurko.

– A cóż to było? – spytała surowo moja babka.

– O co ci chodzi? – Dostrzegłam, jak ręka Lucasa ściąga ze stołu Annę Kareninę.

– Ten dźwięk!

– Nic nie słyszałem – odparł Lucas, ale nie mógł przeszkodzić lady Ariście, by odwróciła się w moją stronę.

Dosłownie czułam, jak jej oczy nieufnie błyskają znad władczego nosa. I co teraz?

Lucas odchrząknął i mocno kopnął książkę. Przejechała po parkiecie i zatrzymała się pół metra przed biurkiem. Żołądek mi się skurczył, gdy lady Arista zrobiła krok w moim kierunku.

– Ależ to przecież... – mruknęła pod nosem.

– Teraz albo nigdy – powiedział Lucas, a ja uznałam, że mówi to do mnie. Zdecydowanym ruchem wyciągnęłam rękę, chwyciłam książkę i przycisnęłam ją do piersi. Moja babka wydała z siebie krótki okrzyk zaskoczenia. Ale nim zdążyła się schylić i spojrzeć pod biurko, jej haftowane pantofelki rozplynęły się przed moimi oczami.

Wróciwszy do roku 2011, z bijącym sercem wygrzebałam się spod biurka, dziękując Bogu, że ten mebel od 1993 roku nie został przesunięty nawet o centymetr. Biedna lady Arista: kiedy zobaczyła, jak biurko dostaje rąk i pożera książkę, na pewno potrzebowała jeszcze jednej whisky.

Ja natomiast potrzebowałam już tylko mojego łóżka. Kiedy na drugim piętrze Charlotta zastąpiła mi drogę, nawet się nie wystraszyłam, tak jakby moje serce uznało, że na dziś ma już dosyć wrażeń.

– Słyszałam, że jesteś ciężko chora i musisz leżeć w łóżku. – Zaświeciła ledową latarkę i oślepiła mnie światłem.

Wtedy mi się przypomniało, że latarkę Nicka zostawiłam gdzieś w 1993 roku. Pewnie w szafie.

– Zgadza się. Najwyraźniej mnie zaraziłaś – odrzekłam. – Wygląda to na chorobę, przy której w nocy nie można spać. Poszłam po coś do czytania. A ty co robisz na korytarzu? Ćwiczysz trochę?

– Dlaczego nie? – Charlotta podeszła o krok bliżej i omiotła stożkiem światła moją książkę. –Anna

Karenina? Czy to nie za trudne dla ciebie?

– Tak sądzisz? No to może lepiej się zamienimy. Ja dam ci Annę Kareninę, a ty mi pożyczysz *W cieniu wzgórza wampirów*.

Charlotta przez trzy sekundy milczała w osłupieniu. Potem znowu oślepiła mnie zimnym światłem latarki.

– Pokaż mi, co masz w tej skrzyni, wtedy może będę mogła ci pomóc, Gwenny. Odwrócić to najgorsze... – No proszę, umiała też mówić zupełnie inaczej, miękko i przymilnie, nawet z odrobiną troski.

Przeczisnęłam się obok niej (napinając mięśnie brzucha).

– Zapomnij, Charlotto. I trzymaj się z dala od mojego pokoju, jasne?

– Chyba jednak jesteś znacznie głupsza, niż myślałam. – Jej głos znowu zabrzmiał tak jak zawsze.

Choć liczyłam się z tym, że będzie mnie zatrzymywać, roztrzaskując mi przy tym – co najmniej – goleń, pozwoliła mi przejść. Tylko blask jej latarki śledził mnie jeszcze przez chwilę.

Rozdział 7

Około dziesiątej ktoś zastukał do drzwi, wyrывая mnie wystraszoną z głębokiego snu, choć to już po raz trzeci budzono mnie tego ranka. Pierwszy raz o siódmej, gdy mama chciała sprawdzić, jak się czuję („Nie masz już gorączki, widać twój organizm jest silny. Jutro będziesz mogła pójść do szkoły”). Drugi raz trzy kwadranse później, gdy Leslie wstąpiła do mnie przed szkołą, bo w środku nocy wysłałam jej jeszcze SMS-a.

To, że ten SMS nie składał się wyłącznie z niezrozumiałego bełkotu, do dziś mnie dziwi, bo byłam nieprzytomna ze strachu, a ręce tak mi się trzęsły, że prawie nie mogłam trafić w klawisze. Jedyną drogą do mojego zamkniętego pokoju prowadziła bowiem przez gzyms za oknem, mniej więcej czternaście metrów nad chodnikiem. To był pomysł Xemeriusa, bym wyszła przez okno z pokoju Nicka i przeczołgała się po gzymsie wzdłuż ściany domu do mojego okna. On sam w żaden sposób nie przyczynił się do powodzenia tej akcji, poza okrzykami: „tylko nie patrz w dół” i „o, w mordkę, ale wysoko!”.

Leslie i ja miałyśmy tylko kilka minut, a potem ona poszła do szkoły, a ja z powrotem zapadłam w głęboki sen. Aż do chwili, gdy głosy na korytarzu stały się donośne i w uchylonych drzwiach ukazała się ruda głowa.

– Dzień dobry – powiedział sztywno pan Marley.

Xemerius, który drzemał w nogach mojego łóżka, aż podskoczył ze strachu.

– A co tutaj robi ta syrena alarmowa? Podciągnęłam sobie kołdrę pod samą brodę.

– Pali się? – niezbyt pomysłowo spytałam pana Marleya.

Z tego, co mówiła mama, mieli przyjść po mnie dopiero po południu. Chyba nie wezmą mnie na elapsję prosto z łóżka?

– Tego już doprawdy za wiele, młody człowieku – rozległ się głos za jego plecami. To była ciocia

Maddy. Dała panu Marle-yowi lekkiego kuksańca i wcisnęła się obok niego do pokoju.

– Najwyraźniej brak panu dobrych manier, w przeciwnym razie nie wdzierałby się pan do sypialni młodej dziewczyny.

– Tak, tak, ja też nie zdążyłem się jeszcze ogarnąć – dodał Xemerius, oblizując przednią łapę.

– Ja... ja... – zająknął się pan Marley, czerwony na twarzy jak pomidor.

– Ciociu Maddy, nie wtrącaj się. – Jako trzecia pojawiła się Charlotta, w dżinsach i jadowicie zielonym swetrze, na którego tle jej włosy gorzały niczym ogień. – Pan Marley i pan Brewer muszą tylko coś zabrać.

Pan Brewer to był najwyraźniej ten młody człowiek w czarnym garniturze, który ukazał się w tej chwili. Numer cztery. Powoli zaczynałam się czuć jak na dworcu Victoria Station w godzinach szczytu. A przecież mój pokój nie miał aż tylu metrów kwadratowych.

Charlotta przepchnęła się do przodu, używając łokci.

– Gdzie jest skrzynia? – spytała.

– Skarżypyta bez kopyta – wyrecytował Xemerius.

– Jaka skrzynia? – zdziwiłam się.

Wciąż jak zamurowana tkwiłam pod kołdrą. Wcale nie zamierzałam wstawać, bo nadal miałam na sobie tę brudną piżamę i nie chciałam się tak pokazywać panu Marleyowi. Wystarczyło, że widzi mnie rozczochrana.

– Wiesz dobrze jaka! – Charlotta pochyliła się nade mną. – A więc gdzie jest?

Loczki cioci Maddy stanęły dęba.

– Niech nikt się nie waży dotknąć skrzyni! – rozkazała zaskakująco apodyktycznym tonem.

Pod tym względem nie mogła się jednak zupełnie mierzyć z lady Aristą.

– Madeleine! Przecież ci mówiłam, że masz zostać na dole. – Teraz do pokoju wkroczyła moja babka, wyprostowana jak świeca, z wysoko uniesioną brodą. – To nie twoja sprawa.

Charlotta przedarła się tymczasem przez tłum w kierunku szafy, otworzyła gwałtownie drzwi i pokazała na skrzynię.

– Jest tu!

– Ależ oczywiście, że to moja sprawa. To jest moja skrzynia! – krzyknęła znowu ciocia Maddy, tym razem z desperacją w głosie. – Tylko pożyczyłam ją Gwendolyn!

– Bzdura – rzuciła lady Arista. – Ta skrzynia należała do Lucasa. Już się zastanawiałam, gdzie się podziewała przez te wszystkie lata. – Zmierzyła mnie spojrzeniem lodowato błękitnych oczu. –

Młoda damo, jeśli Charlotta ma rację, nie chciałabym być w twojej skórze.

Podciągnęłam kołdrę jeszcze odrobinę, zastanawiając się, czy całkiem pod nią nie zniknąć.

– Jest zamknięta – zameldowała Charlotta, pochylona nad skrzynią.

Lady Arista wyciągnęła rękę.

– Klucz, Gwendolyn.

– Nie mam. – Mój głos brzmiał głucho, a to za sprawą kołdry. – I nie rozumiem też, co...

– Nie bądź taka uparta – weszła mi w słowo lady Arista. Ponieważ Leslie zawiesiła sobie ten klucz z powrotem na szyi, nie pozostawało mi nic innego, jak trwać w uporze.

Charlotta zaczęła plądrować szuflady, ale ciocia Maddy uderzyła ją po palcach.

– Wstydzilibyś się!

Pan Marley odchrząknął.

– Za pozwoleniem, lady Montrose, mamy w Tempie środki i metody, by otworzyć zamek także bez klucza...

– Środki i metody – małpował go Xemerius tonem spiskowca. – Jakby łomy miały w sobie coś z magii. Głupi bufon!

– No cóż, w takim razie zabierzemy skrzynię ze sobą – oznajmiła lady Arista. W drzwiach odwróciła się. – Panie Bernhard! – zawołała. – Proszę odprowadzić panów na dół.

– A wydawałoby się, że Strażnicy mają dosyć antyków – zauważył Xemerius. – Chciwe chłopaki, szkoda gadać.

– Jeszcze raz protestuję z całą stanowczością! – zawołała ciocia Maddy, kiedy pan Marley i ten drugi mężczyzna bez słowa wynosili skrzynię z pokoju. – To... to jest zakłócenie miru domowego. Jak

Grace się dowie, że tak po prostu wdarto się do jej mieszkania, będzie potwornie wściekła.

– To jest w dalszym ciągu mój dom – powiedziała chłodno lady Arista. Zbierała się już do odejścia.

– I tu obowiązują moje zasady. To, że Gwendolyn nie jest świadoma swoich obowiązków i niestety okazuje się niegodna nazwiska Montrose, można byłoby jeszcze usprawiedliwić jej młodym wiekiem i brakiem wiedzy, ale ty, Madeleine, powinnaś wiedzieć, nad czym twój brat pracował przez całe swoje życie. Od ciebie oczekiwałabym więcej zrozumienia dla honoru rodziny. Jestem mocno rozczarowana. Wami obiema.

– Ja też jestem rozczarowana. – Ciocia Maddy wzięła się pod boki i odprowadziła gniewnym wzrokiem wychodzącą lady Aristę. – Wami obiema. Przecież jesteśmy rodziną. – Ponieważ lady Arista już nie mogła jej usłyszeć, zwróciła się do Charlotty. – Zajączku! Jak mogłaś?

Charlotta poczerwieniała. Przez jedną chwilę przypominała pana Marleya, a ja zastanawiałam się, gdzie jest moja komórka. Tę chwilę bardzo chętnie uwieczniłabym dla potomnych. Albo na wypadek przyszłych prób szantażu.

– Nie mogłam dopuścić do tego, by Gwendolyn zbojkotowała coś, czego nawet nie jest w stanie zrozumieć – powiedziała Charlotta, a głos jej nawet trochę drżał. – Po prostu z czystej chęci grania zawsze i wszędzie pierwszych skrzypiec. Ona... ona nie ma żadnego szacunku dla misteriów, z którymi niezasłużenie jest związana. – Rzuciła mi jadowite spojrzenie, które najwyraźniej pomogło jej wziąć się w garść. – Sama sobie nagrabiłaś – prychnęła z nowym zapalem. – A ja proponowałam, że ci pomogę. Ale nie! Zawsze musisz łamać zasady. – Mówiąc te słowa, przeistoczyła się z powrotem w samą siebie i zrobiła to, co potrafiła najlepiej: odrzuciła włosy na plecy i zmyła się.

– Obożebożeboże – powiedziała ciocia Maddy i klapnęła na brzeg mojego łóżka. Xemerius ledwie zdążył przeturłać się na bok. – I co my teraz zrobimy? Na pewno po ciebie przyjdą, jak tylko otworzą skrzynię, i na pewno nie obejdą się z tobą zbyt delikatnie. – Wyłowiła z kieszeni spódnicy puszkę z cytrynowymi cukierkami i wsadziła sobie do ust pięć naraz. – Ja tego nie wytrzymam.

– Spokojnie, ciociu Maddy. – Przeczesałam sobie włosy palcami i uśmiechnęłam się. – W skrzyni znajduje się mój szkolny atlas i dzieła zebrane Jane Austen, które podarowałaś mi na Boże Narodzenie.

– Och! – Ciocia Maddy potarła sobie nos i odetchnęła z ulgą. – Oczywiście tak sobie pomyślałam – powiedziała, gwałtownie ssąc cukierki. – Ale gdzie...?

– W bezpiecznym miejscu, mam nadzieję. – Głęboko wzdychając, spuściłam nogi z łóżka. – Ale jeśli mieliby znowu przyjść, na przykład z nakazem rewizji albo czymś takim, to może lepiej wezmę prysznic. Nawiasem mówiąc, wielkie dzięki za wczorajszą radę. Wszystkie pokoje puste, akurat!

Wylądowałam w sypialni ciotki Glendy i ekswujka Charliego.

– Ups! – Ciocia Maddy z przerażenia aż zakrztusiła się cukierkiem.

Tego przedpołudnia nie zobaczyłam już więcej ani Charlotty, ani mojej babki. Kilka razy na niższych piętrach dzwonił telefon, a raz zadzwonił także u nas, ale to była tylko mama, która pytała, jak się czuję.

W ciągu dnia przyszła z wizytą przyjaciółka cioci Maddy, pani Purpleplum, i słyszałam, jak obie chichoczą niczym małe dziewczynki. Poza tym panowała cisza. Zanim przyjechali po mnie w południe i zabrali do Tempie, razem z Xemeriuszem mogliśmy trochę czasu poświęcić lekturze Anny

Kareniny, to znaczy tej części lektury, której autorem nie był Tołstoj. Strony od 400 do 600 wypełniały w większości odpisy z Kronik Strażników. I do tego notatka Lucasa: „To są tylko te najbardziej interesujące fragmenty, kochana wnuczko”, ale mówiąc szczerze, na początku wcale nie wydały mi się interesujące. Tak zwane właściwości czasu, osobiście spisane przez hrabiego de Saint Germain, już po pierwszym zdaniu przerosły mój umysł. „Choć w terażniejszości to, co przeszłe, już się wydarzyło, należy zachować wszelką ostrożność, aby nie zagrozić terażniejszości przeszłością, jak się to obecnie dzieje”.

– Rozumiesz to? – spytałam Xemeriusa. – Z jednej strony wszystko już tak czy inaczej się stało, a więc tak się stanie, jak faktycznie się stało, z drugiej strony nie można nikogo zarazić wirusem grypy? Czy o co tutaj chodzi?

Xemeriusz potrząsnął głową.

– Po prostu to pomińmy, dobra?

Również praca niejakiego doktora M. Giordano (to chyba nie był przypadek) pod tytułem Hrabia de Saint Germain –Podróżnik w czasie i wizjoner – analiza źródłowa na podstawie protokołów inkwizycyjnych i listów, opublikowana w 1992 roku w specjalistycznym czasopiśmie poświęconym badaniom historycznym, zaczynała się od tasiemcowatego, długiego na osiem linijek zdania, które kompletnie nie zachęcało do dalszej lektury.

Xemerius najwyraźniej odniósł takie samo wrażenie.

– Nudy! – zbuntował się, a ja ochoczo przewróciłam kartki dalej, do tego miejsca, gdzie Lucas zebrał wszystkie wiersze i rymy.

Kilka z nich już znałam, ale także te, które były dla mnie nowe, wydawały się zagmatwane, pełne symboliki i dopuszczające wiele interpretacji, zależnie od punktu widzenia, podobnie jak wizje cioci Maddy. Słowa „cierpienie” i „trwoga” występowały tam zbyt często, przeważnie zrymowane ze słowami „płomienie” i „pożoga”.

– Goethe ich na pewno nie napisał – skomentował Xemerius. – To brzmi tak, jakby paru zawianych gości postanowiło wspólnie zrymować coś bardzo mocno zagmatwanego. Hej, ludzie, co rymuje się z lisem z jadeitu? Kwitu, pitu, zachwytu? Nie, weźmy lepiej sanskrytu, to będzie brzmiało naprawdę, ups!, o wiele bardziej tajemniczo.

Musiałam się roześmiać. Te wiersze to rzeczywiście było dno. Ale wiedziałam, że Leslie rzuci się na nie z radością, kochała zagadki ponad wszystko. Była święcie przekonana, że lektura Anny

Kareniny pchnie nas zdecydowanie do przodu.

– To jest początek nowej ery – oznajmiła teatralnie dzisiaj rano, wymachując książką. – Kto ma wiedzę, ten ma władzę... –W tym miejscu lekko się zacięła. – To z jakiegoś filmu, ale w tej chwili nie pamiętam z jakiego. Nieważne: teraz możemy zgłębić całą sprawę.

Być może miała rację. Ale gdy później, w roku 1953, siedziałam na zielonej sofie, nie czułam ani władzy, ani wiedzy, tylko straszliwą samotność. Tak bardzo chciałam, żeby Leslie była ze mną.

Albo przynajmniej Xemerius.

Wertując od niechcienia książkę, natknęłam się na fragment, o którym mówił pan Marley. W październiku 1782 roku w Kronikach rzeczywiście był

następujący wpis: „... .1 tak hrabia przed odjazdem jeszcze raz poradził nam, byśmy również w przeszłości jak najmocniej ograniczali styczność żeńskich podróżników w czasie, zwłaszcza urodzonego jako ostatni rubinu, z mocą misteriów, i nigdy nie lekceważyli niszczycielskiej siły kobiecej ciekawości". Ach, tak. Od razu uwierzyłam, że hrabia tak powiedział, wręcz usłyszałam jego głos. „Niszczycielska siła kobiecej ciekawości". Brrr.

W odniesieniu do balu, niestety tylko odłożonego w czasie, niewiele mi to dawało, pomijając fakt, że ta cała pisanina Strażników wcale nie zachęcała do tego, by jeszcze raz stanąć z hrabią oko w oko.

Z pewnymi oporami zajęłam się też studiowaniem złotych zasad. Było tam sporo o honorze i sumieniu, i o zobowiązaniu, by nie czynić w przeszłości niczego, co mogłoby zmienić przyszłość.

Zasadę numer cztery – „Nie wolno przenosić żadnych przedmiotów z jednej epoki do drugiej" – prawdopodobnie złamałam podczas każdej ze swych podróży. I zasadę numer pięć – „Nigdy nie wpływać na los człowieka w przeszłości" – także. Opuściłam książkę na kolana i w zamyśleniu zagryzłam dolną wargę. Może Charlotta miała rację, a ja byłam kimś w rodzaju notorycznego przestępcy? Ciekawe, czy Strażnicy już przeszukali mój pokój? A może i cały dom, z psami tropiącymi i wykrywaczami metalu? Wcześniej w każdym razie nic nie wskazywało na to, by nasz drobny fortel miał choć trochę podważyć wiarygodność Charlotty.

Jednak pan Marley, który przyjechał po mnie do domu, sprawiał wrażenie lekko wstrząśniętego.

Wyraźnie unikał mojego wzroku, choć starał się zachowywać tak, jakby nic się nie stało.

– Pewnie mu wstyd – wysunął przypuszczenie Xemerius. –Chciałbym zobaczyć jego głupią minę, kiedy otworzył skrzynkę. Mam nadzieję, że z wrażenia upuścił sobie łom na stopę.

No, tak z pewnością była to chwila kompromitacji pana Marleya, gdy wyciągał ze skrzyni moje książki. I oczywiście dla Charlotty. Ale ona tak szybko się nie podda.

Tak czy owak, pan Marley, trzymając nade mną czarny parasol w drodze z samochodu do kwatery głównej, podejmował próby prowadzenia swobodnej konwersacji pewnie po to, by ukryć swoje poczucie winy.

– Chłodno dzisiaj, prawda? – zagadnął głośno. To było dla mnie zdecydowanie zbyt banalne.

– Tak. Kiedy dostanę z powrotem moją skrzynkę? – odezwałam się równie śmiało.

Nie przyszło mu do głowy nic innego, jak tylko oblać się rumieńcem.

– Czy mogę przynajmniej dostać swoje książki, czy będziecie zdejmować z nich odciski palców? –

Nie, dzisiaj nie było mi go szkoda.

– My... godne pożałowania... być może... błąd... – jąkał się.

– He? – jęknęliśmy jednocześnie ja i Xemerius.

Panu Marleyowi najwyraźniej ulżyło, kiedy w drzwiach natknęliśmy się na pana Whitmana, który jak zawsze wyglądał jak gwiazda filmowa na czerwonym dywanie. Najwyraźniej dopiero przybył, bo właśnie ostrożnie zdejmował płaszcz i strzepywał krople deszczu z gęstych włosów. Uśmiechnął się, pokazując idealnie białe zęby. Brakowało jeszcze tylko piorunów z nieba. Gdybym była

Cynthia, na pewno zrobiłabym do niego słodkie oczy, ale ja całkowicie uodporniłam się na jego urodę i wdzięk (którego wobec mnie i tak rzadko używał). Poza tym za jego plecami Xemerius stroił głupie miny i pokazywał palcami rogi.

– Gwendolyn! Słyszałem, że czujesz się już lepiej – zwrócił się do mnie pan Whitman.

Ciekawe, od kogo to słyszał.

– Troszeczkę. – Aby odwrócić jego uwagę od mojej nieistniejącej choroby – a zdążyłam się już porządnie rozkręcić – terkotałam szybko dalej. – Właśnie pytałam pana Marleya o moją skrzynkę.

Może pan mógłby mi powiedzieć, kiedy dostanę ją z powrotem i dlaczego mi ją w ogóle zabrano?

– Słusznie! Atak jest najlepszą obroną – zagrzewał mnie do walki Xemerius. – Widzę już, że poradzisz sobie beze mnie. No to ja lecę z

powrotem do domu trochę sobie poczy... znaczy sprawdzić, czy wszystko w porządku. See you later, alli-gator, hehe!

– Ja... my... błędne informacje... – kontynuował swój dziurawy tekst pan Marley.

Pan Whitman cmoknął poirytowany. Przy nim pan Marley od razu wydał się podwójnie bezradny.

– Marley, może pan teraz iść na przerwę obiadową.

– Tak jest, proszę pana. Przerwa obiadowa. – Niewiele brakowało, a pan Marley strzeliłby obcasami.

– Twoja kuzynka podejrzewa, że znalazłaś się w posiadaniu przedmiotu, który do ciebie nie należy – powiedział pan Whitman, kiedy pan Marley oddalił się w pośpiechu, i zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem.

Ze względu na jego śliczne brązowe oczy Leslie nadała mu przezwisko „Wiewiórka”, lecz teraz mimo najlepszych chęci nie udawało mi się w nim dostrzec nic ładnego ani pociesznego, ani odrobiny ciepła, jakie rzekomo zawsze można znaleźć w brązowych oczach. Pod jego spojrzeniem mój duch przekory bardzo szybko ukrył się w najdalszym kąciku mojej osobowości. Nagle zaczęłam żałować, że pan

Marley poszedł. Z nim szło mi znacznie lepiej niż z panem Whitmanem. Okłamywanie go było znacznie trudniejsze, pewnie z powodu jego nauczycielskiego doświadczenia. Mimo to spróbowałam.

– Charlotta czuje się chyba trochę wykluczona – mruknęłam ze spuszczonym wzrokiem. – W tej chwili nie jest jej łatwo i może dlatego wymyśla rzeczy, które jej... hm... zapewnią znowu trochę uwagi.

– Tak, pozostali też są tego zdania – przyznał zamyślony pan Whitman. – Ale według mnie Charlotta ma ukształtowaną osobowość i nie potrzebuje czegoś takiego. – Pochylił ku mnie głowę, tak blisko, że poczułam zapach jego wody kolońskiej. – Jeśli jej podejrzewania miałyby się jednak potwierdzić...

No cóż, nie jestem pewien, czy naprawdę jesteś świadoma skutków swego działania.

No cóż, a więc było nas już dwoje. Musiałam trochę się przełamać, żeby znowu spojrzeć mu w oczy.

– Czy mogę się przynajmniej dowiedzieć, o jaki przedmiot chodzi? – spytałam nieśmiało.

Pan Whitman podniósł jedną brew, a potem ku mojemu zaskoczeniu się uśmiechnął.

– Niewykluczone, że cię nie doceniłem, Gwendolyn. Ale to nie jest powód, żebyś miała sama siebie przeceniać.

Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie w oczy i naraz poczułam się bardzo wyczerpana. Jaki cel miało to całe przedstawienie? Co by było, gdybym po prostu przekazała Strażnikom chronograf i pozostawiła sprawy własnemu biegowi? Gdzieś w tyle głowy usłyszałam głos Leslie: „A teraz z

łaski swoje weź się w garść”, ale właściwie po co? Tak czy tak błędziłam po omacku i nie posuwałam się ani o krok do przodu. Pan Whitman miał rację: na koniec potężnie się przeceniłam i jeszcze dodatkowo pogorszyłam sprawę. W sumie nie wiedziałam nawet dokładnie, po co wzięłam na siebie to wszystko, co wykańczało mnie nerwowo. Czyż nie byłoby pięknie zrzucić z siebie odpowiedzialność i pozwolić innym podejmować decyzje?

– Tak? – spytał pan Whitman łagodnym głosem i teraz jego oczy nabrały ciepłego blasku. – Chcesz mi coś powiedzieć, Gwendolyn?

Kto wie – może nawet bym to zrobiła, gdyby w tym momencie nie dołączył do nas pan George.

Słowami „Gwendolyn, gdzie ty się podziewasz?” położył kres mojej chwili słabości. Pan Whitman cmoknął z irytacją, ale nie podjął już tematu w obecności pana George'a.

No i teraz siedziałam sama na zielonej sofie w 1953 roku, starając się pozbierać. I znaleźć w sobie trochę ufności.

– Wiedza to władza – próbowałam się motywować, zaciskając zęby.

Ponownie otworzyłam książkę. Lucas spisał przede wszystkim raporty z lat 1782 i 1912, „ponieważ są to, droga wnuczko, lata dla ciebie istotne. We wrześniu 1782 roku rozbito tak zwany Sojusz Florencki i zdemaskowano zdrajców w Kręgu Wewnętrznym Strażników. Choć w Kronikach nie zapisano tego wprost, możemy założyć, że ty i Gideon jesteście zamieszani w te wydarzenia”.

Spojrzałam w górę. Czy to miała być wskazówka co do balu, której szukałam? Jeśli tak, to byłam teraz tak samo mądra jak przedtem.

„Dzięki, dziadku”, westchnęłam.

To jest mniej więcej tak samo pomocne jak „wystrzegaj się kanapek z pastrami”. Przewróciłam stronę.

– Tylko się nie wystrasz – odezwał się głos za mną.

Z całą pewnością to zdanie należy zaliczyć do słynnych ostatnich zdań, to znaczy z rodzaju tych, które jako ostatnie słyszy się przed śmiercią (zaraz po: „nie jest naładowany” albo: „on się tylko bawi”). Oczywiście potwornie się wystraszyłam.

– To tylko ja. – Za sofą stał Gideon i spoglądał na mnie z uśmiechem.

Jego widok natychmiast wprowadził w moim organizmie stan wyjątkowy, a w mym wnętrzu zderzyły się najrozmaitsze uczucia, nie mogąc ustalić wspólnego kierunku.

– Pan Whitman pomyślał, że odrobina towarzystwa dobrze ci zrobi – powiedział Gideon. – A ja sobie przypomniałem, że koniecznie trzeba tu wymienić żarówkę. – Podrzucił żarówkę niczym piłeczkę do żonglowania, złapał i jednocześnie z wdziękiem opadł obok mnie na sofę. – Bardzo tu przytulnie.

Kaszmierowe kocy! I winogrona. Wydaje mi się, że masz chody u pani Jenkins.

Gapiąc się na jego bladą, ale piękną twarz i próbując zapanować nad chaosem moich uczuć, zachowałam jednak na tyle przytomności umysłu, żeby zamknąć Annę Kareninę.

Gideon patrzył na mnie uważnie, jego wzrok wędrował od czoła, przez oczy, w dół – aż do ust.

Chciałam spojrzeć w drugą stronę i się odwrócić, ale nie mogłam się nasycić jego widokiem, więc dalej gapiłam się jak królik na węża.

– Może jakieś małe „cześć”? – Znowu popatrzył mi w oczy. – Mimo że jesteś akurat na mnie zła.

Uniósł z rozbawieniem kącik ust, co od razu wyrwało mnie z odrętwienia.

– Dzięki, że mi o tym przypomniałeś.

Odgarnęłam włosy z czoła, usiadłam prosto i otworzyłam książkę, tym razem na początku. Po prostu będę go ignorować – niech sobie nie myśli, że wszystko między nami jest w najlepszym porządku.

Ale Gideon nie dawał się łatwo spławić. Spojrzał w górę, na sufit.

– Żeby wymienić żarówkę, musiałbym na chwilę wyłączyć światło. Wtedy na moment zrobiłoby się zupełnie ciemno.

Nie odezwałam się.

– Masz może latarkę? Nie odpowiedziałam.

– Z drugiej strony wydaje się, że żarówka nie sprawia żadnych kłopotów. Może po prostu zobaczymy, jak będzie dalej.

Czułam jego spojrzenie, jakby mnie dotykał, ale uparcie wpatrywałam się w książkę.

– Hm... mogę sobie wziąć parę winogron? Teraz straciłam cierpliwość.

– Tak, weź sobie, ale pozwól mi czytać w spokoju! – warknęłam. – I po prostu się zamknij, okej? Nie mam ochoty na głupie gadki z tobą.

Przez chwilę, jakiej potrzebował na zjedzenie winogron, nie mówił nic. Przewróciłam stronę, chociaż nie przeczytałam nawet jednego słowa.

– Słyszałem, że złożono ci dzisiaj rano wizytę. – Zaczął żonglować dwiema kulkami winogron. –

Charlotte mówiła coś o tajemniczej skrzyni.

Aha. A więc stąd wieje wiatr. Opuściłam książkę na kolana.

– Której części zdania „po prostu się zamknij” nie rozumiesz? Gideon uśmiechnął się szeroko.

– Hej, ale to wcale nie są głupie gadki. Chciałbym wiedzieć, jak Charlotte wpadła na pomysł, że mogłabyś mieć coś, co przekazali ci Lucy i Paul.

Był tu po to, żeby mnie przesłuchać – no jasne. Zapewne na polecenie Falka i całej reszty. Pewnie usłyszał: „Bądź dla niej miły, a wtedy na pewno ci zdradzi, co i gdzie trzyma w ukryciu”. Nabijanie kobiet w butelkę to przecież rodzinne hobby panów de Villiers.

Podciągnęłam nogi i skrzyżowałam je na sofie, siadając po turecku. Kiedy byłam wściekła, łatwiej mi było patrzeć mu w oczy bez drżenia dolnej wargi.

– Sam zapytaj Charlotte, jak na to wpadła – powiedziałam zimno.

– Zapytałem. – Gideon też skrzyżował nogi, więc siedzieliśmy naprzeciw siebie na sofie jak dwoje

Indian w tipi. Ciekawe, czy istnieje coś takiego jak przeciwieństwo fajki pokoju. – Ona uważa, że w jakiś sposób weszłaś w posiadanie skradzionego chronografu, a twoje rodzeństwo, twoja cioteczna babka, a nawet wasz lokaj pomagają ci go ukryć.

Potrząsnęłam głową.

– Nie myślałam, że kiedyś to powiem, ale Charlotta najwyraźniej ma zbyt bujną wyobraźnię.

Wystarczy przenieść po domu starą skrzynię, a jej już całkiem odbija.

– A co było w tej skrzyni? – spytał bez większego zainteresowania.

Mój Boże, jakie to przewidywalne!

– Nic! Używamy jej jako stolika do kart, kiedy gramy w pokera. – Ten pomysł spodobał mi się tak bardzo, że z trudem stłumiłam uśmiech.

– Arizona Hołdem? – Gideon nagle stał się bardziej czujny.

Cha, cha.

– Texas Hołdem – odrzekłam.

Chyba nie myślał, że wyprowadzi mnie w pole taką banalną sztuczką! Ojciec Leslie nauczył nas grać w pokera, kiedy miałyśmy dwanaście lat. Uważał, że dziewczynki koniecznie powinny umieć grać w pokera, ale dlaczego, tego nam nigdy nie zdradził. W każdym razie dzięki niemu znałyśmy wszystkie zagrywki i byłyśmy mistrzami świata w blefowaniu. Leslie wprawdzie do dziś drapała się po nosie, kiedy miała dobre karty, ale o tym wiedziałam tylko ja.

– Omaha też, ale rzadziej. Wiesz – nachyliłam się do niego w zaufaniu – gry hazardowe są u nas w domu zabronione. Moja babka ustaliła kilka bardzo surowych zasad. Właściwie na początku graliśmy wyłącznie na znak protestu i z czystej przekory. Ciocia Maddy, pan Bernhard, Nick i ja.

Ale potem zaczęło nam to sprawiać coraz większą przyjemność.

Gideon uniósł brew. Najwyraźniej zrobiło to na nim wrażenie. Nie mogłam mu tego oczywiście wziąć za złe.

– Może lady Arista ma rację i gra jest początkiem wszelkich nałogów? – mówiłam dalej. Teraz byłam naprawdę w swoim żywiole. – Najpierw graliśmy

tylko o cukierki cytrynowe, ale ostatnio zakłady są wyższe. W zeszłym tygodniu mój brat przegrał całe kieszonkowe. Gdyby lady Arista o tym wiedziała! – Nachyliłam się jeszcze nieco bardziej i spojrzałam Gideonowi prosto w oczy. – Tylko nie mów tego Charlotte, bo natychmiast poleci na skargę. Niech sobie lepiej wymyśla historie o skradzionym chronografie. – Nadzwyczaj zadowolona z siebie znów usiadłam prosto.

Gideon najwyraźniej wciąż nie mógł otrząsnąć się z wrażenia. Przez chwilę patrzył bez słowa, a potem nagle wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po włosach. Moje opanowanie natychmiast wzięło w łeb.

– Zostaw mnie! – Naprawdę próbował wszystkich sztuczek! Drań! – Czego ty w ogóle chcesz? Nie potrzebuję towarzystwa! – Niestety, zabrzmiało to znacznie mniej jadowicie, niż pragnęłam, a nawet trochę żałośnie. – Czy nie powinienes być teraz na tajnej misji i utaczać ludziom krwi?

– Masz na myśli wczorajszą operację „bufiaste spodnie”? – Dał sobie spokój z głaskaniem, ale chwycił w palce kosmyk moich włosów i zaczął się nim bawić. – To już załatwione. Krew Elaine

Burghley znajduje się w chronografie. – Przez dwie sekundy wpatrywał się obok mnie w pustkę i wyglądał na smutnego. Potem znowu wziął się w garść. – Brakuje jeszcze tej upartej lady Tilney,

Lucy i Paula. Ale ponieważ wiemy, jaki jest podstawowy czas Lucy i Paula i pod jakimi nazwiskami występowali, to już tylko formalność. Lady Tilney zajmę się jutro z samego rana.

– Myślałam, że zaczęłaś wątpić w to, czy wszystko jest w porządku – powiedziałam, wyjmując moje włosy spomiędzy jego palców. – A jeśli to Lucy i Paul mają rację i krąg krwi nigdy nie powinien zostać zamknięty? Przecież twierdziłeś, że jest taka możliwość.

– Owszem. Ale nie mam zamiaru dyskutować o tym ze Strażnikami. Jesteś jedyną osobą, której to powiedziałem.

Och, cóż za wyrafinowane psychologicznie pociągnięcie. „Jesteś jedyną osobą, której ufam”.

Ale ja też potrafiłam być wyrafinowana, kiedy tego chciałam (przypominam tylko o historii z pokerem!).

– Lucy i Paul mówili, że nie wolno ufać hrabiemu. Że jest w służbie zła. Czy ty również tak myślisz?

Gideon pokręcił głową.

– Nie. Nie sędzę, by był złym człowiekiem. Uważam tylko... – Zawahał się. – Uważam, że dobro ogółu stawia ponad dobro jednostki.

– Ponad swoje także?

Nie odpowiedział i znowu wyciągnął rękę. Tym razem owinał kosmyk moich włosów wokół swego palca jak na lokówce.

– Założmy, że mogłabyś wynaleźć coś sensacyjnego, tak przykładowo, lekarstwo na raka i na AIDS, i na wszystkie inne choroby na świecie. Ale w zamian za to ktoś musiałby umrzeć. Zrobiłabyś to?

Ktoś musiałby umrzeć? Czy to właśnie był powód, dla którego Lucy i Paul ukradli chronograf? „Bo cena wydała się im za wysoka”, usłyszałam głos mojej mamy. Cena – ludzkie życie? Przed oczami pojawiły mi się natychmiast różne sceny z filmów: zawieszony odwrotnie krzyż, ofiary z ludzi na ołtarzu i mężczyźni w kapturach, mamrocący babilońskie zaklęcia. To nie do końca pasowało do

Strażników – może z pewnymi wyjątkami.

Gideon patrzył na mnie wyczekująco.

– Oddać w ofierze jedno ludzkie życie, aby uratować wiele innych? – zastanawiałam się. – Nie, patrząc pragmatycznie, nie sędzę, żeby to była zbyt wysoka cena. A ty?

Gideon przez parę chwil nic nie mówił, tylko przesuwiał wzrokiem po mojej twarzy, wciąż bawiąc się kosmykiem włosów.

– Tak, ja tak – powiedział wreszcie. – Nie zawsze cel uświęca środki.

– Czy to znaczy, że nie będziesz już robił tego, czego żąda od ciebie hrabia? – wyrzuciłam z siebie, trzeba przyznać, że w niezbyt wyrafinowany sposób. – Na przykład nie będziesz się bawił moimi uczuciami? Ani moimi włosami?

Gideon cofnął rękę i spojrzał na nią zdziwiony, jakby nie należała do niego.

– Ja się wcale... Przecież hrabia nie kazał mi bawić się twoimi uczuciami.

– Ach, nie? – Nagle znów poczułam potworną wściekłość. – A mnie tak powiedział. Mało tego, był zachwycony, jak wspaniale sobie poradziłeś, zważywszy na to, że miałeś tak mało czasu na manipulowanie moimi

uczuciami i że niestety, zmarnowałeś tak dużo energii na fałszywą ofiarę, to znaczy na Charlotte.

Gideon westchnął i potarł czoło.

– Hrabia i ja rzeczywiście odbyliśmy parę rozmów o... eee... no właśnie takich męskich rozmów.

Jest zdania... i proszę cię, ten człowiek żył ponad dwieście lat temu, trzeba mu to wybaczyć... że działaniem kobiety sterują wyłącznie emocje, podczas gdy mężczyźni kierują się rozsądkiem, i dlatego lepiej, jeśli moja towarzyszka podróży w czasie będzie we mnie zakochana, żebym w razie wątpliwości mógł zapanować nad jej działaniem. Pomyślałem...

– Pomyślałeś! – przerwałam mu gniewnie. – Pomyślałeś, że zrobisz wszystko, żeby się to udało!

Gideon wyprostował swoje długie nogi, wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Wydawał się z jakiegoś powodu wzburzony.

– Gwendolyn, do niczego cię nie zmuszałem, prawda? Wręcz przeciwnie, wystarczająco wiele razy potraktowałem cię naprawdę paskudnie.

Gapiałam się na niego bez słowa.

– I za to mam ci być teraz wdzięczna?

– Oczywiście, że nie – odparł. – A właściwie tak.

– Co takiego?

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Dlaczego dziewczyny szaleją za facetami, którzy traktują je jak śmieci? Mili chłopcy nawet w połowie nie są tak interesujący. Czasami trudno jest zachować szacunek dla dziewczyn. – Wciąż krążył jak tygrys po klatce, stawiając długie kroki. – Do tego jeszcze chłopaki z odstającymi uszami i przyszczami nie mają wielkich szans.

– Ależ ty jesteś cyniczny i powierzchowny. – Byłam zdziwiona zwrotem, jaki nagle nastąpił w tej rozmowie.

Gideon wzruszył ramionami.

– Pytanie, kto tu jest powierzchowny? Czy może dałaś się pocałować panu Marleyowi?

Na chwilę naprawdę zbił mnie z pantafelku. Może i w tych słowach było ziarenko prawdy, takie malusieńkie... Ale zaraz pokręciłam głową.

– W swojej imponującej argumentacji zapomniałeś o czymś ważnym. Mimo że nie masz pryszczy... tak na marginesie, gratuluję poczucia własnej wartości... nie pozwoliłabym ci się pocałować, gdybyś mnie nie okłamał i nie udawał, że coś do mnie czujesz. – Łzy napłynęły mi do oczu. – Nie... nie zakochałabym się w tobie – dodałam drżącym głosem. – A jeśli już, to na pewno nie dałabym tego po sobie poznać.

Gideon odwrócił się ode mnie. Przez chwilę stał bez ruchu, a potem nagle wymierzył z całej siły kopniaka... ścianie.

– Do diabła, Gwendolyn – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Czy ty zawsze byłaś zupełnie szczerą wobec mnie? Czy raczej mnie okłamywałaś, ilekroć tylko nadarzyła się okazja?

Podczas gdy szukałam odpowiedzi – był naprawdę mistrzem w odwracaniu kota ogonem – poczułam znajome mdłości, ale tym razem było mi tak niedobrze jak nigdy przedtem. Wystraszona przycisnęłam Annę Kareninę do piersi. Na spakowanie koszyka było raczej za późno.

– Pozwoliłaś mi się wprawdzie pocałować, ale nigdy mi nie ufałaś – dobiegły mnie jeszcze słowa Gideona.

Reszty już nie usłyszałam, bo w następnej chwili wylądowałam w teraźniejszości i musiałam z całych sił skupić się na tym, żeby nie zwymiotować panu Marleyowi pod nogi.

Kiedy w końcu zapanowałam nad swoim żołądkiem, wrócił także Gideon. Oparł się plecami o ścianę. Gniew zniknął z jego twarzy. Uśmiechnął się tęsknie.

– Strasznie chciałbym wziąć udział w waszej partii pokera – powiedział. – Bo jestem całkiem dobry w blefowaniu. – Po tych słowach, nie oglądając się, wyszedł z pokoju.

*Z protokołów inkwizycyjnych ojca dominikanina Gian Piętro Baribiego
Archiwa Biblioteki Uniwersyteckiej w Padwie (rozszyfrowane, przetłumaczone
i opracowane przez doktora M. Giordano)*

*25 czerwca 1542 roku. W klasztorze S. badam wciąż przypadek młodej
Elisabetty, która według słów jej własnego ojca nosi w sobie dziecko demona.
W raporcie nie kryłem wobec przewodniczącego kongregacji mego*

przypuszczenia, iż M. ma skłonności do – mówiąc oględnie – religijnych transfiguracji i czuje się powołany przez Boga, Pana naszego, do wyplenienia całego zła tej ziemi. Najwyraźniej woli oskarżyć swoją córkę o czary, niż zaakceptować to, że nie odpowiada ona jego wyobrażeniom o dobrych obyczajach. O jego bliskich stosunkach M. z R. wspominałem już na poprzedniej stronie, jego wpływy w tym regionie są znaczne, dlatego nie możemy jeszcze uważać tego przypadku za zamknięty. Przesłuchanie świadków było czystą kpinką. Dwie młode uczennice ze szkoły Elisabetty potwierdziły wypowiedź hrabiego o pojawieniu się demona w klasztorным ogrodzie. Mała Sofia – która nie potrafiła wiarygodnie wytłumaczyć, dlaczego zupełnie przypadkowo znalazła się o północy w krzakach – opisywała olbrzyma z rogami, żarzącymi się oczami i końskim kopytem, który, żeby było jeszcze dziwniej, najpierw zagrał Elisabecie serenadę na skrzypcach, zanim ją pohańbił. Inny świadek, bliska przyjaciółka Elisabetty, sprawiła już znacznie rozsądniejsze wrażenie. Opowiedziała o dobrze ubranym i bardzo wysokim młodym mężczyźnie, który omotał Elisabettę pięknymi słówkami. Pojawił się znikąd i potrafił z powrotem rozpuścić się w powietrzu, czego jednak ona sama nie widziała. Elisabetta ze swej strony zwierzyła się jej, że ten młody człowiek, który tak zręcznie pokonał klasztorny mur, nie ma ani rogów, ani końskiego kopyta, lecz pochodzi z szanowanej rodziny i że ona nawet zna jego nazwisko. Ucieszyłem się już, że będę mógł doprowadzić sprawę do końca, ale wtedy dodała, że niestety nie może się z nim skontaktować, ponieważ przybywa on przez powietrze z przyszłości, ściślej biorąc, z 1723 roku. Można sobie wyobrazić moją rozpacz w związku ze stanem umysłu otaczających mnie ludzi – mam wielką nadzieję, że przewodniczący kongregacji jak najszybciej zarządzi mój wyjazd do Florencji, gdzie czekają na mnie prawdziwe przypadki.

Rozdział 8

Mieniące się rajskie ptaki oraz kwiaty i liście w odcieniach błękitu i zieleni pięły się po brokatowym gorsecie, rękawy i spódnica uszyte były z ciemnogramatowego jedwabiu, szeleściły i szumiały przy każdym moim kroku niczym morze w burzliwy dzień.

Było dla mnie jasne, że każda dziewczyna wyglądałaby w tej sukni jak księżniczka, a mimo to moje odbicie w lustrze niemal zważyło mnie z nóg.

– To jest... niewyobrażalnie piękne – szepnęłam z niekłamany zachwytem.

Xemerius parsknął. Siedział na resztkach brokatu obok maszyny do szycia i dłubał w nosie.

– Kobiety! – prychnął. – Najpierw bronią się przed tym balem rękami i nogami, a ledwie włożą na siebie jakiś stary łańch, z emocji już prawie robią w gacie.

Zignorowałam go i odwróciłam się do autorki tego dzieła sztuki.

– Tamta suknia też była doskonała, madame Rossini.

– Tak, wiem. – Uśmiechnęła się. – Może wykorzystamy ją przy innej okazji.

– Madame Rossini, pani jest prawdziwą artystką – zapewniłam ją żarliwie.

– N'est-cepas*? – Mrugnęła do mnie. – A artyście wolno się czasem rozmyślić. Tamta suknia wydawała mi się zbyt blada do białej peruki. Taka cera jak twoja wymaga mocnych... comment on dit**! Kontrastów.

– Ach, prawda! Peruka! – Westchnęłam. – Ona wszystko popsuje. Może mi pani jeszcze szybko strzelić fotkę? – Podałam jej swój telefon.

– Bien sur*** – Madame Rossini wzięła komórkę i posłała mnie na stół obok komody.

Xemerius rozwinął skrzydła, przyfrunął do mnie i wylądował tuż przed porcelanową głową z peruką.

– Masz pojęcie, co zwykle roi się w takiej czuprynie? – Odchylił głowę do tyłu i spojrzał na przypudrowaną na biało wieżę. – Wszy z całą pewnością. Pewnie też mole. Ewentualnie jeszcze coś gorszego. – Podniósł teatralnie łapy. – Powiem jeszcze tylko: tarantula.

Zduśliłam w sobie komentarz na temat tego, że miejskie legendy to już naprawdę przebrzmiała sprawa, i demonstracyjnie ziewnęłam.

Xemerius ujął się pazurami pod boki.

– Ale to prawda – powiedział. – A ty powinnaś się strzec nie tylko pajaków, lecz także pewnego hrabiego, jeśli ci to umknęło w tym twoim kostiumowym amoku.

Niestety, miał rację. Dziś jednak, ozdabiała i nawet przez Strażników uznana za nadającą się do uczestniczenia w balu, chciałam tylko jednego: myśleć pozytywnie. A gdzie mogłoby to przyjść człowiekowi łatwiej niż w pracowni madame Rossini? Nie znałam lepszego miejsca.

Rzuciłam Xemeriusowi surowe spojrzenie i przesunęłam wzrokiem po wieszakach na ubrania.

Każda następna suknia była piękniejsza od poprzedniej.

– A nie ma pani przypadkiem czegoś w zieleni? – spytałam z nadzieją.

Przypomniała mi się impreza u Cynthii i pomysły Leslie na nasze marsjańskie przebrania: „Potrzebujemy tylko zielonych worków na śmieci, kilku wyciorów do fajki, pustych puszek po konserwach i paru styropianowych kulek – powiedziała. – Za pomocą zszywacza i pistoletu do klejenia na gorąco w mgnieniu oka przeistoczymy się w marsjańskich luzaków w stylu vin-tage.

Można powiedzieć, w żywe dzieła sztuki nowoczesnej, i nie wydamy na to ani grosza”.

– Zieleni? Mais oui* – powiedziała madame Rossini. – Kiedy wszyscy jeszcze myśleli, że ten rudowłosy chudzielec będzie podróżował w czasie, używałam wielu odcieni zieleni, która doskonale harmonizuje z rudymi włosami i naturalnie także z zielonymi oczami tego młodego

łobuza.

– Och, och – rzucił Xemerius, grożąc jej pazurem. – Niebezpieczny teren, najdroższa!

I miał rację. Tego „młodego łobuza” zdecydowanie nie było bowiem na liście pozytywnych rzeczy, o których chciałam myśleć (lecz jeśli Gideon naprawdę miałby się pojawić z Charlotta na tej imprezie, to ja z całą

pewnością nie będę tam stała w worku na śmieci, niech sobie Leslie mówi, co chce, na temat luzu i sztuki nowoczesnej).

Madame Rossini wyszczotkowała moje długie włosy i zebrała je na czubku gumką.

– Nawiasem mówiąc, dziś wieczorem on też będzie ubrany na zielono, w ciemną morską zieleń.

Całymi godzinami głowiłam się nad doborem kolorów, żeby się ze sobą nie gryzły, i na koniec wypróbowałam wszystko przy świetle świec. Absolutement onirique*. Będziecie razem wyglądać jak król i królowa mórz.

– Apsolumą – zaskrzeczał Xemerius. – I jeśli nie umrzecie, będziecie mieli razem dużo małych książątek i księżniczek mórz.

Westchnęłam. Czy on czasem nie powinien być w domu i pilnować Charlotty? Nie darował sobie towarzyszenia mi aż do Tempie, co w sumie było nawet miłe. Xemerius dobrze wiedział, że boję się tego balu.

Madame Rossini rozdzieliła mi włosy na trzy pasma i zaplotła je w warkocz, który marszcząc czoło, upięła szpilkami w węzeł.

– Zieleń, powiadasz? Niech się zastanowię. Mamy na przykład strój do jazdy konnej z końca osiemnastego wieku, z zielonego aksamitu, a poza tym, o! To mi się udało doskonale: garderoba wieczorowa z 1922 roku, jasnozielony jedwab z odpowiednim kapeluszem, płaszczem i torebką, tres chic* *! I skopiowałam też kilka sukien od Balenciagi, jakie Grace Kelly nosiła w latach sześćdziesiątych. Najwspanialszy okaz to suknia balowa w kolorze płatków róży, też byś w niej cudownie wyglądała.

Ostrożnie podniosła konstrukcję peruki. Śnieżnobiała, ozdobiona niebieskimi wstążkami i brokatowymi kwiatami, przypominała wielopiętrowy tort weselny. Rozsiewała nawet woń wanilii i pomarańczy. Madame Rossini zręcznie włożyła mi ten tort na ptasie gniazdo na czubku głowy i kiedy znowu zerknęłam w lustro, nie mogłam się poznać.

– Teraz wyglądam jak połączenie Marii Antoniny i mojej babki – powiedziałam.

– Bzdury – sprzeciwiła się madame Rossini, przymocowując perukę ogromnymi szpilkami do włosów. Przypominały małe sztylety z końcówkami ze lśniących szkielek, które przeświecały przez konstrukcję loków niczym

niebieskie gwiazdki. – Chodzi o kontrasty, łabędzia szyjko, kontrasty to najważniejsza rzecz. – Wskazała na otwartą paletę do makijażu stojącą na komodzie. – Jeszcze makijaż. Wersja smokey eyes także w osiemnastym wieku będzie w świetle świec zupełnie en vogue*. Odrobina pudru, etparfaitement**. Znów będziesz najpiękniejsza ze wszystkich.

Tego oczywiście wiedzieć nie mogła, bo przecież jej przy tym nie byto. Uśmiechnęłam się.

– Pani jest dla mnie taka miła. W ogóle jest pani najlepsza ze wszystkich! A za swe suknie powinna pani dostać modowe–go Oscara.

– Wiem – powiedziała nieskromnie madame Rossini.

– Pamiętaj, przy wsiadaniu do samochodu i wysiadaniu zawsze najpierw głowa, mój cukierczku! – Madame Rossini odprowadziła mnie aż do limuzyny i pomogła wsiąść.

Czułam się trochę jak Marge Simpson, tylko że moja wieża z włosów była nie niebieska, lecz biała, a samochód na szczęście miał wystarczająco wysoki sufit.

– Nie do wiary, że taka szczupła osóbką może zajmować tyle miejsca – powiedział ze śmiechem pan

George, kiedy rozłożyłam spódnice na siedzeniu.

– O tak, prawda? Mając takie suknie, właściwie trzeba by złożyć wniosek o własny kod pocztowy.

Madame Rossini posłała mi na pożegnanie wesołego buziaczka. Och, jaka była kochana. W jej obecności zupełnie zapomniałam, jak straszne jest teraz moje życie.

Samochód ruszył, a w tym momencie drzwi kwatery głównej otworzyły się gwałtownie i ze środka wybiegł Giordano. Jego wygolone brwi układały się pionowo i pod warstwą samo–opalacza był z pewnością blady jak trup. Wydęte usta otwierały się i zamykały, co przypominało rybę zagrożoną wymarciem. Na szczęście nie rozumiałam, co mówi do madame Rossini, ale mogłam to sobie wyobrazić: „Okropne! Zero pojęcia o historii i o menuecie. Skompromituje nas swoim brakiem rozumu. Hańba dla ludzkości”.

Madame Rossini uśmiechnęła się słodziutko i powiedziała do niego coś, co gwałtownie zamknęło rybie usta. Niestety, straciłam ich z oczu, kiedy kierowca skręcił w uliczkę prowadzącą do Strandu.

jechałam ku przeznaczeniu. Uśmiechając się, rozsiadłam się wygodnie, ale w czasie jazdy mój dobry nastrój szybko się ulotnił, ustępując miejsca zdenerwowaniu i strachowi. Bałam się w zasadzie wszystkiego: swojej niepewności, tej masy ludzi, spojrzeń, pytań, tańców, a przede wszystkim oczywiście ponownego spotkania z hrabią. Lęki dręczyły mnie dziś w nocy nawet we śnie, choć i tak się cieszyłam, że mogłam zaliczyć tę noc do przespanych. Tuż przed przebudzeniem śniło mi się coś szczególnie pogmatwanego: potknęłam się o własne spódnice i zleciałam z wysokich schodów, wprost pod nogi hrabiego de Saint Germain, który pomógł mi wstać, chwytając za gardło. Jazgotał przy tym, co dziwne, głosem Charlotty: „Jesteś hańbą dla całej rodziny!”. A obok niego stał pan Marley, trzymał w górze plecak Leslie i mówił z wyrzutem: „Na Oyster Card jest tylko funt dwadzieścia”.

„Cóż za niesprawiedliwość. Dopiero co doładowałam kartę” – skomentowała mój sen Leslie. Dziś rano na geografii o mało nie umarła ze śmiechu, gdy jej go opowiedziałam. Przy tym nie był wcale wzięty z kosmosu: wczoraj po lekcjach, kiedy wsiadała do autobusu, skradziono jej plecak. Jakiś młody człowiek, który według relacji Leslie biegał szybciej niż Dwain Chambers, bezczelnie zerwał go jej z ramion.

Tymczasem trochę się już uodporniliśmy, jeśli chodzi o Strażników. Po Charlocie, która z pewnością za tym stała (to znaczy pośrednio), i tak nie spodziewaliśmy się niczego innego. Mimo wszystko uznałyśmy tę metodę za nieco... no cóż... prostacką. Gdyby brakowało nam jeszcze ostatecznego dowodu, to mógł nim być fakt, że kobieta obok Leslie miała torebkę od Hermesa.

Bądźmy szczerzy: jaki złodziej, który choć trochę się szanuje, ukradłby zamiast niej złachany plecak?

Jak doniósł Xemerius, Charlotta, kiedy tylko wyszłam wczoraj z domu, przeczesała mój pokój – nie pomijając przy tym niczego – w poszukiwaniu chronografu. Zajrzała nawet pod poduszkę – cóż to za oryginalna kryjówka?

Po skrupulatnym skontrolowaniu mojej szafy odkryła obłuzowaną płytę karto–nowo–gipsową i z uśmiechem triumfu (tak powiedział Xeme–rius) poczołgała się dalej. Nie zdołała jej przestraszyć nawet siostra mojej małej pajęczej przyjaciółki (tak powiedział Xe–merius).

Bez cienia lęku sięgnęła też głęboko do wnętrzości krokodyla.

No cóż, gdyby zrobiła to dzień wcześniej... ale kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi, jak zawsze powtarza lady Arista. Wygrzebawszy się z szafy, Charlotta wzięła na celownik Leslie, którą kosztowało to plecak. Teraz Strażnicy byli w posiadaniu świeżo doładowanej Oyster Card, aktówki, błyszczą–ka do ust w kolorze wiśniowym i kilku książek z biblioteki na temat wschodnich krańców delty Gangesu – i niczego więcej.

Tej klęski Charlocie nie udało się ukryć za zwykłą wyniosłą miną, z jaką pojawiała się dziś przy śniadaniu. Natomiast lady Arista miała przynajmniej tyle klasy, żeby przyznać się do błędu.

– Skrzynia jest w drodze powrotnej do nas – oświadczyła chłodno. – Najwyraźniej nerwy Charlotty są trochę napięte, a ja muszę przyznać, że omyłkowo dałam wiarę jej wywodom. Potraktujmy zatem tę sprawę jako zakończoną i zajmijmy się innymi kwestiami.

To były (w każdym razie jak na lady Ariste) prawdziwe przeprosiny. I gdy Charlotta w czasie ich wygłaszania uporczywie wpatrywała się we własny talerz, my wymieniliśmy zdumione spojrzenia, a potem posłusznie zajęliśmy się innym tematem, pierwszym, jaki przyszedł nam do głowy: pogoda.

Tylko ciotka Glenda, z wyraźnymi czerwonymi plamami na szyi, nie chciała wszystkim obarczać

Charlotty.

– Raczej należałoby jej podziękować, że wciąż czuje się odpowiedzialna i zachowuje czujność, a nie robić jej wyrzuty. –Nie mogła się powstrzymać, żeby tego nie wtrącić. – Jak to się pięknie mówi?

Niewdzięczność jest zapłatą świata. Jestem przekonana, że...

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, o czym była przekonana ciotka Glenda.

– Jeśli nie chcesz zmienić tematu – przerwała jej lodowatym tonem lady Arista – wolno ci oczywiście odejść od stołu, Glendo.

Co też ciotka Glenda uczyniła razem z Charlotta, która oznajmiła, że już nie jest głodna.

– Wszystko w porządku? – Pan George, który siedział naprzeciwko (a raczej po przekątnej, bo moje spódnice były tak szerokie, że zajmowały pół samochodu) i do tej pory pozostawiał mnie własnym myślom, uśmiechnął się teraz. – Czy doktor White dał ci coś na tremę?

Pokręciłam głową.

– Nie – odparłam. – Za bardzo bym się bała, że w osiemnastym wieku będę widzieć podwójnie.

Albo jeszcze coś gorszego, ale to wolałam przemilczeć. Na soiree w ostatnią niedzielę zdołałam zachować spokój jedynie dzięki specjalnemu ponczowi lady Brompton i to właśnie ten poncz skłonił mnie do tego, by przed mnóstwem zaskoczonych gości zaprezentować piosenkę Memory z musicalu

Koty, głupie dwieście lat wcześniej, niż Andrew Lloyd Weber to skomponował. Poza tym w obecności wszystkich gości rozmawiałam głośno z duchem, co na trzeźwo z całą pewnością by mi się nie przydarzyło.

Miałam nadzieję, że przynajmniej parę minut będę mogła spędzić sam na sam z doktorem

White'em, żeby go zapytać, dlaczego mi pomógł, ale on tylko zbadał mnie w obecności Falka de

Villiers i ku radości wszystkich oświadczył, że jestem zdrowa. Kiedy na pożegnanie mrugnęłam do niego konspiracyjnie, zmarszczył czoło i zapytał, czy coś mi wpadło do oka. Na wspomnienie tego westchnęłam.

– Nie martw się – powiedział ze współczuciem pan George. –Zanim się obejrzysz, już wrócisz.

Jeszcze przed kolacją będziesz to wszystko miała za sobą.

– Ale do tego czasu mogę zepsuć mnóstwo rzeczy, o ile nie wywołam światowego kryzysu. Niech pan spyta Giordana. Niewłaściwy uśmiech, niewłaściwy ukłon, niewłaściwa komunikacja, i bach!

Osiemnasty wiek stoi w płomieniach.

Pan George się zaśmiał.

– Ach, Giordano jest po prostu zazdrosny. Za podróż w czasie mógłby popełnić morderstwo.

Przejechałam dłońmi po miękkim jedwabiu spódnicy i powiodłam palcami po haftowanych wzorach.

– Naprawdę wciąż nie rozumiem, dlaczego ten bal jest taki ważny. I czego ja tam właściwie szukam?

– Chcesz powiedzieć: prócz tańca i zabawy i prócz przywileju ujrzenia na własne oczy słynnej księżnej Devonshire? – Gdy nie zareagowałam uśmiechem, pan George natychmiast spoważniał, wyjął z kieszonki na piersi chusteczkę i wytarł nią czoło. – Och, moje dziecko! Ten dzień dlatego ma tak ogromne znaczenie, że właśnie na tym balu okaże się, kto w szeregach Strażników jest zdrajcą i kto przekazał informacje Sojuszowi Florenckiemu. Hrabia ma nadzieję, że wasza obecność pozwoli wywabić z kryjóWKi zarówno lorda Alastaira, jak i zdrajcę.

Aha. To było przynajmniej nieco bardziej precyzyjne niż w Annie Kareninie.

– A więc krótko mówiąc, jesteście przynęta. – Zmarszczyłam czoło. – Ale... hm... czyż nie powinien pan już od dawna wiedzieć, czy ten plan zadziałał? I kto jest zdrajcą? Przecież to wszystko wydarzyło się dwieście lat temu.

– Tak i nie – odrzekł pan George. – Z jakiegoś powodu raporty w Kronikach z tych dni i tygodni są dość mętne. Poza tym brakuje całego fragmentu. Wprawdzie w wielu miejscach jest mowa o zdrajcy, którego pozbawiono wysokiego urzędu, ale jego nazwisko nie zostaje wymienione. Cztery tygodnie później krótko odnotowano, że nikt nie oddał zdrajcy ostatnich honorów, ponieważ nie zasłużył na honory.

Znowu dostałam gęsiej skórki.

– Cztery tygodnie po wyrzuceniu z łóża zdrajca już nie żył? Jakże to... och... praktyczne.

Pan George już mnie nie słuchał. Zastukał w okienko szofera.

– Obawiam się, że brama jest zbyt wąska dla tej limuzyny. Niech pan wjedzie na szkolny dziedziniec z boku. – Uśmiechnął się do mnie. – Jesteśmy na miejscu. Nawiasem mówiąc, wyglądasz cudownie, przez cały czas chciałem ci to powiedzieć. Jakbyś wyszła ze starego malowidła. – Samochód zahamował tuż przed schodami frontowymi. – A właściwie dużo, dużo piękniej.

– Dziękuję.

Z zawstydzenia zupełnie zapomniałam o tym, co powiedziała mi madame Rossini: „Zawsze najpierw głowa, mój cukiereczku!”, i popełniłam błąd, chcąc wysiąść z samochodu tak jak zwykle.

Skutek był taki, że kompletnie zaplątałam się w suknię i poczułam się jak pszczołka Maja w pajęczynie Tekli.

Podczas gdy ja klęłam, a pan George bezradnie chichotał, z zewnątrz ktoś podał mi dwie pomocne dłonie i nie pozostawało mi nic innego, jak złapać obie i pozwolić się postawić na nogi.

Jedna dłoń należała do Gideona, druga do pana Whitmana. Puściłam je, jakby mnie parzyły.

– Och, dziękuję – mruknęłam, wygładzając pospiesznie suknię i próbując uspokoić szalejący puls.

A potem obrzuciłam wzrokiem Gideona i uśmiechnęłam się. Nie mogłam inaczej. Nawet jeśli madame Rossini nie na próżno wychwalała urodę materiału w kolorze morskiej zieleni, a wspaniały surdut równo i bez fałdek opinał szerokie ramiona Gideona, który aż po klamry na butach wyglądał olśniewająco, to biała peruka wszystko psuła.

– A już myślałam, że tylko ja będę musiała czuć się idiotycznie.

Jego oczy błysnęły z rozbawieniem.

– Dobrze chociaż, że udało mi się przekonać Giordana, żeby zrezygnować z pudru i pieprzyków.

Cóż, był i tak wystarczająco blady. Przez sekundę (albo coś koło tego) zatraciłam się w widoku delikatnie zaznaczonej linii jego podbródka i warg, ale szybko wzięłam się w garść i spojrzałam tak ponuro, jak tylko umiałam.

– Reszta czeka na dole, lepiej się pospieszmy, zanim zrobi się tu zbiegowisko – powiedział pan

Whitman i rzucił okiem na chodnik, na którym zatrzymały się dwie panie z psami, zerkając na nas ciekawie.

Jeśli Strażnicy nie chcą wzbudzać sensacji, to może powinni jeździć samochodami, które mniej rzucają się w oczy? I oczywiście nie wozić po okolicy ludzi w dziwnych kostiumach.

Gideon wyciągnął dłoń, ale w tym samym momencie z tyłu rozległ się głuchy brzęk.

Obejrzałam się. Xemerius wylądował na dachu samochodu i przez chwilę leżał tam płaski jak flądra.

– Daj pan spokój – wydyszał. – Nie mogliście na mnie zaczekać? – Przegapił w Tempie nasz odjazd, przez kota, o ile zdażyłam się zorientować. – Musiałem przez całą drogę biec! Chciałem się z tobą pożegnać. – Podniósł się, wskoczył mi na ramię i poczułam coś w rodzaju mokrego, zimnego uścisku. – A więc, wielka mistrzyni zakonu szydełkowych świnek, nie zapomnij porządnie podeptać przy menuecie tego, którego imienia nie wolno wymieniać. – Rzucił Gideonowi lekceważące spojrzenie. – I uważaj na hrabiego. – W jego głosie pobrzmiwała prawdziwa troska. Musiałam przełknąć ślinę. – Jeśli narozrabiasz – dorzucił jednak w tej samej chwili – będziesz musiała w przyszłości poradzić sobie beze mnie. Bo ja poszukam jakiegoś nowego człowieka. – Uśmiechnął się bezczelnie i bez wielkich ceregieli ruszył na psy, które przerażone zerwały się ze smyczy i z podkulonymi ogonami uciekły, gdzie pieprz rośnie.

– Gwendolyn, śpisz? – Gideon podał mi ramię. – To znaczy, oczywiście, panno Gray! Czy zechce mi pani towarzyszyć do 1782 roku?

– Zapomnij. Ten teatrzyk zacznę dopiero wtedy, gdy już się tam znajdziemy – powiedziałam cicho, żeby nie usłyszeli mnie pan George i pan Whitman, którzy szli przed nami. – Przedtem zamierzam ograniczyć kontakt fizyczny z tobą do niezbędnego minimum, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Poza tym znam drogę. W końcu to moja szkoła.

W piątkowe popołudnie wyglądała jak wymarła. W holu spotkaliśmy dyrektora Gillesa – ubrany już nie w garnitur, lecz w spodnie w kratkę i koszulkę polo, ciągnął za sobą wózek z kijami do golfa.

Nie mógł sobie jednak odmówić serdecznego przywitania „amatorskiego zespołu teatralnego naszego drogiego pana Whitmana”. I wszystkich po kolei uraczył uściskiem dłoni.

– Dla mnie, jako wielkiego protektora sztuki, przyjemnością jest oddać wam do dyspozycji naszą szkołę, byście przeprowadzali tu próby, dopóki nie

możecie używać własnej sali. Cóż to za zachwycające kostiumy! – Kiedy dotarł do mnie, wręcz go zatkało. – No proszę! Ja znam tę twarz!

Ty przecież jesteś jedną z tych niegrzecznych dziewczynek od żaby, prawda? – zapytał.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Tak, panie dyrektorze – powiedziałam.

– No to bardzo się cieszę, że znalazłaś sobie takie piękne hobby. Na pewno przestaną ci już przychodzić do głowy głupie pomysły. – Obdarzył wszystkich jowialnym śmiechem. – Życzę wam wielu sukcesów na scenie czy czego się tam życzy w teatrze, połamania rąk i nóg... – Zadowolony, pomachał nam jeszcze, po czym razem ze swym wózkiem zniknął za drzwiami.

Spojrzałam za nim z pewną zazdrością. Wyjątkowo chętnie bym się z nim zamieniła, nawet jeśli musiałabym w zamian być łysolem w średnim wieku, ubranym w spodnie w kratkę.

– Niegrzeczna dziewczynka od żaby? – powtórzył Gideon, gdy szliśmy do sali w podziemiach, i zaciekawiony zerknął na mnie z boku.

Skupiałam całą uwagę na tym, by wysoko podnosić szeleszczące spódnice i nie potykać się o nie.

– Moja przyjaciółka Leslie i ja kilka lat temu zmuszone byłyśmy koleżance z klasy włożyć przejechaną żabę do zupy i dyrektor Gilles ciągle jeszcze ma nam to za złe.

– Byłyście zmuszone włożyć koleżance z klasy żabę do zupy?

– Tak – potwierdziłam, patrząc na niego wyniośle. – Ze względów pedagogicznych trzeba czasem robić rzeczy, które ludziom z zewnątrz mogą wydać się dziwne.

W podziemiach, tuż pod namalowanym na ścianie cytatem z Edgara Degasa: „Obraz powinien być malowany z taką samą pasją, z jaką przestępca dokonuje swego czynu”, zebrali się wokół chronografu ci sami podejrzani co zwykle: Falk de Villiers, pan Marley i doktor White, który na jednym ze stołów rozłożył narzędzia lekarskie i opatrunki. Cieszyłam się, że zostawiliśmy w

Tempie przynajmniej Giordana, który przypuszczalnie stał wciąż na schodach i załamywał ręce.

Pan George mrugnął do mnie.

– Wpadłem właśnie na dobry pomysł – szepnął. – Jeśli nie będziesz już wiedziała, co zrobić, po prostu zemdlej. Kobiety w tamtych czasach na okrągło mdlały, nikt nie wie, czy to przez ciasno zasznurowane gorsety, czy przez zatechłe powietrze, czy może dlatego, że tak było po prostu praktycznie.

– Będę to miała na uwadze – powiedziałam, czując pokusę, żeby natychmiast wypróbować radę pana George'a.

Niestety, Gideon najwyraźniej przejrzał moje zamiary, bo wziął mnie za rękę i lekko się uśmiechnął.

A potem Falk odwinął chronograf i kiedy kiwnął na mnie, poddałam się swemu losowi, nie zapominając jednak wysłać w niebiosa modlitwy o to, by lady Brompton przekazała swej dobrej przyjaciółce, czcigodnej lady Pimplebottom, tajemnicę swojego specjalnego ponczu.

Moje wyobrażenia na temat balów były mętne. Natomiast o balach w osiemnastym wieku nie miałam bladego pojęcia. Zapewne dlatego, po wizji cioci Maddy i moich snach dzisiejszej nocy, oczekiwałam czegoś pomiędzy balem z Przemineło z wiatrem a hulankami z Marii Antoniny, przy czym w moim śnie piękne było to, że do złudzenia przypominałam Kirsten Dunst.

Zanim jednak mogłam zweryfikować swoje wyobrażenia, najpierw musieliśmy wejść do piwnicy. (Znowu! Miałam wielką nadzieję, że nie rozbuduję sobie łydek przez to ciągłe łożenie po schodach).

Mimo swego niezadowolenia musiałam przyznać, że tym razem Strażnicy sprytnie załatwili sprawę. Falk tak ustawił chronograf, że przybyliśmy na miejsce, kiedy bal trwał już od kilku godzin.

Poczułam ogromną ulgę, że dzięki temu unikniemy defilowania przed gospodarzami. W głębi duszy bardzo obawiałam się mistrza ceremonii, który zastukałby laską w podłogę i głośno obwieścił nasze fałszywe nazwiska albo, co gorsza, prawdę: „Panie i panowie! – Stuk, puk. – Gideon de Yilliers i

Gwendolyn Shepherd, oszuści z dwudziestego pierwszego wieku. Proszę zwrócić uwagę, że gorset i krynolina nie zostały usztywnione drucianymi fiszbinami, lecz najnowocześniejszymi włóknami węglowymi. Nawiasem mówiąc, ci państwo weszli do tego domu przez piwnice!"

A były to tym razem wyjątkowo ciemne piwnice i niestety, byłam zmuszona wziąć Gideona za rękę, bo inaczej moja suknia i ja nie dotarłybyśmy cało na górę. Dopiero w dalszej części podziemi, tam gdzie w mojej szkole skręcało się do pracowni multimedialnej, na ścianach pojawiły się pochodnie rzucające migotliwe światło. Najwyraźniej urządzono tutaj spiżarnie, co zważywszy na lodowaty chłód, miało sens. Z czystej ciekawości rzuciłam okiem do jednego z przyległych pomieszczeń i stanęłam jak wryta. Jeszcze nigdy nie widziałam naraz takiej ilości jedzenia. Zapewne po balu zaplanowany był bankiet, bo na stołach i podłogach piętrzyły się niezliczone patery, półmiski i wielkie kadzie pełne przedziwnych potraw. Wiele z nich było niezwykle kunsztownie ozdobionych i otulonych czymś w rodzaju przezroczystej galarety. Odkryłam wielkie ilości potraw mięsnych, które jak na mój gust były stanowczo zbyt aromatyczne, a poza tym oszałamiająco dużo słodczy we wszystkich postaciach i rozmiarach oraz pozłacaną figurę łabędzia, do złudzenia przypominającą prawdziwego ptaka.

– Popatrz, oni muszą nawet schładzać dekoracje na stół – szepnęłam.

Gideon pociągnął mnie dalej.

– To nie jest dekoracja na stół. To prawdziwy łabędź. Tak zwana potrawa pokazowa – odszepnął, ale niemal w tej samej chwili się wzdrygnął, a ja, przyznając ze wstydem, krzyknęłam.

Bo oto z cienia, zza dziewiętnastopiętrowego tortu z dwoma (nieżywymi) słowikami w charakterze dekoracji, wynurzyła się jakaś postać i z obnażoną szpadą zbliżyła się do nas.

To był Rakoczy, prawa ręka hrabiego, a tym dramatycznym występem zarobiłby na życie w każdym pałacu strachów. Przywitał nas zachrypniętym głosem i dodał szeptem:

– Chodźcie za mną.

Podczas gdy próbowałam się uspokoić, Gideon spytał gniewnie:

– Czy nie powinien pan już dawno na nas czekać? Rakoczy nie zareagował, co mnie nie zdziwiło.

To był ten typ, który nigdy nie przyznaje się do błędów.

Bez słowa wyjął z uchwytu pochodnię, kiwnął na nas i przemknął przez boczny korytarz prowadzący dalej na schody.

Byliśmy ostrożni.

Dźwięki skrzypiec i gwar głosów dobiegały nas teraz z góry, stawały się coraz głośniejsze, a tuż przed końcem schodów Rakoczy puścił nas przodem.

– Wraz z moimi ludźmi będę nad wami czuwał z ukrycia – powiedział, po czym znikł, bezszelestnie jak lampart.

– Przypuszczam, że nie dostał zaproszenia – rzuciłam żartem. W rzeczywistości na myśl, że w każdym ciemnym kącie czai się jeden z ludzi Rakoczego i ukradkiem nas obserwuje, włosy stawały mi dęba.

– Ależ oczywiście, że jest zaproszony. Tylko pewnie nie chce się rozstawać ze swoją szpadą, te zaś w sali balowej są zabronione. – Gideon zmierzył mnie wzrokiem. – Masz jeszcze pajęczyny na sukni?

Spojrzałam na niego z oburzeniem.

– Ja nie, ale może są w twoim mózgu – powiedziałam, przepchnęłam się obok niego i ostrożnie otworzyłam drzwi.

Martwiłam się, jak mamy niezauważeni przemknąć do holu, ale gdy wpadliśmy w zgiełk i wrzawę balu, zadałam sobie pytanie, po co w ogóle trudziliśmy się z tą piwnicą. Chyba tylko z przyzwyczajenia. Mogliśmy spokojnie przeskoczyć prosto tutaj i nikt by niczego nie zauważył.

Domostwo lorda i lady Pimplebottomów było nadzwyczaj okazałe – mój przyjaciel James wcale nie przesadził. Patrząc na adamaszkowe tapety, sztukaterie, kryształowe żyrandole i sufity pokryte freskami, prawie nie mogłam rozpoznać mojej starej pocziwej szkoły. Podłogi były wyłożone mozaiką i grubymi dywanami, a gdy szliśmy na pierwsze piętro, zdawało mi się, że jest tam więcej korytarzy i schodów niż za moich czasów.

I było tłoczno. Tłoczno i głośno. W naszych czasach imprezę by zamknięto ze względu na zbyt dużą liczbę uczestników albo sąsiedzi oskarżyliby Pimplebottomów o zakłócanie ciszy nocnej. A widzieliśmy dopiero hol i korytarze.

Sala balowa to był zupełnie inny świat. Zajmowała pół piętra i aż kipiała od ludzi. Stali w grupkach albo tworzyli długie taneczne korowody. Od głosów i śmiechów huczało niczym w ulu, przy czym to porównanie wydało mi się zbyt łagodne, ponieważ liczba decybeli z całą pewnością dorównywała tej, która towarzyszy jumbo jetowi startującemu z Heathrow. Czteryście osób

wrzeszczało do siebie, a dwudziestoosobowa orkiestra na antresoli próbowała to zagłuszyć. Całość rozświetlała taka liczba świec, że odruchowo rozejrzałam się za gaśnicą.

Krótko mówiąc, bal miał się tak do soiree, na którym byliśmy u Bromptonów, jak noc spędzona w klubie do herbatki u cioci Maddy. Teraz pojęłam, skąd się wzięło określenie „huczny bal”.

Nasze pojawienie się w sali nie wywołało większego zainteresowania, tym bardziej że cały czas ktoś wchodził i wychodził. Kilku spośród nosicieli białych peruk wpatrywało się w nas z zaciekawieniem i Gideon mocniej chwycił mnie za rękę. Czułam, jak jestem taksowana od stóp do głów, i miałam wielką ochotę sprawdzić w lustrze, czy jednak żadna pajęczka nic nie przyczepiła mi się do sukni.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – powiedział Gideon. – Wyglądasz doskonale.

Odchrząknęłam z zażenowaniem. Gideon uśmiechnął się do mnie.

– Gotowa? – wyszeptał.

– Gotowa, jeśli i ty jesteś gotów – odpowiedziałam bez zastanowienia.

Tak mi się po prostu wypsnęło i nagle przypomniałam sobie, jak dobrze się bawiliśmy, nim mnie tak podle zdradził. Choć jednak nie była to aż taka dobra zabawa.

Kilka dziewcząt zaczęło szeptać, gdy przechodziliśmy obok nich i nie byłam pewna, czy to z powodu mojej sukni, czy dlatego, że podobał im się Gideon. Trzymałam się tak prosto, jak tylko umiałam. Peruka była zaskakująco dobrze wyważona, poddawała się każdemu mojemu ruchowi, choć wielkością dorównywała pewnie dzbanom z wodą, jakie noszą na głowach kobiety w Afryce.

Gdy szliśmy przez salę, nieustannie rozglądałam się w poszukiwaniu Jamesa. W końcu to był bal jego rodziców, więc musiał być na nim obecny. Gideon, przewyższający większość osób o ponad głowę, szybko dostrzegł hrabiego de Saint Germain. Siedział z niezrównaną elegancją na wąskim balkonie i rozmawiał z niskim, kolorowo ubranym mężczyzną, który wydał mi się znajomy.

Nie zastanawiając się zbyt długo, zgięłam się w głębokim reweransie, ale już po chwili tego pożałowałam, bo przypomniało mi się, jak w czasie naszego ostatniego spotkania hrabia łagodnym głosem roztrzaskał moje serce na dziesiątki tysięcy cieniutkich kawałeczków.

– Moje drogie dzieci, jesteście punktualni co do minuty – odezwał się hrabia i przywołał nas gestem.

Mnie kiwnął łaskawie głową (zapewne spotkał mnie honor, zważywszy, że jako kobieta byłam obdarzona niższym ilorazem inteligencji, sięgającym ledwie od drzwi balkonu do najbliższej świecy). Gideon natomiast został przywitany serdecznym uściskiem.

– I co powiesz, Alcott? Widzisz coś z moich genów w tym pięknym młodzieńcu?

Pstry jak papuga mężczyzna z uśmiechem potrząsnął głową. Jego wąska, pociągła twarz nie tylko była upudrowana, ale jeszcze miała róż na policzkach niczym u klauna.

– Istnieje chyba pewne podobieństwo w postawie.

– Jakżeby można porównywać tę młodą twarz z moją? – Hrabia autoironicznie zmarszczył usta. – Lata zniszczyły moje rysy, czasem sam niemal nie mogę się poznać w lustrze. – Powachlował się chusteczką. – Na marginesie, pozwolę sobie przedstawić: czcigodny Albert Alcott, obecnie Pierwszy Sekretarz Łoży.

– Spotkaliśmy się już w czasie rozmaitych wizyt w Tempie – rzekł Gideon, lekko się kłaniając.

– Och, tak, faktycznie. – Hrabia się uśmiechnął.

Teraz już wiedziałam, skąd znam tę papugę. Podczas naszego pierwszego spotkania z hrabią ten człowiek przyjął nas w Tempie i podstawił powóz pod dom lorda Bromptona.

– Niestety, spóźniliście się na wejście pary książęcej – powiedział. – Fryzura Jej Wysokości wzbudziła sporą zazdrość. Obawiam się, że londyńscy perukarze jutro nie będą się mogli opędzić od klientów.

– Księżna to naprawdę piękna kobieta! – wtrącił hrabia. – Jaka szkoda, że czuje się powołana do tego, by mieszać się w męskie sprawy i w politykę. Alcott, czy byłoby możliwe podanie nowym gościom czegoś do picia?

Tak jak to często bywało, hrabia mówił cicho i łagodnie, lecz mimo otaczającego nas hałasu dało się go zrozumieć aż nadto dobrze. Na dźwięk jego głosu przeszył mnie dreszcz, i to na pewno nie za sprawą chłodnego nocnego powietrza, które wnikało przez otwarte drzwi balkonu.

– Oczywiście! – Swoją gorliwością Pierwszy Sekretarz przypominał pana Marleya. – Białe wino? Za chwilę wracam.

Cholera. Nie ma ponczu.

Hrabia poczekał, aż Alcott zniknie w sali balowej, a potem sięgnął do kieszeni surduta i wyjął zapieczętowaną kopertę, którą podał Gideonowi.

– To jest list do twojego Wielkiego Mistrza. Zawiera szczegóły naszego najbliższego spotkania.

Gideon schował list i w rewanżu także podał hrabiemu zapieczętowaną kopertę.

– Znajduje się w niej szczegółowy raport z wydarzeń ostatnich dni. Ucieszy cię, panie, gdy usłyszysz, że krew Elaine Burghley i lady Tilney została wczytana do chronografu.

Wzdrygnęłam się. Lady Tilney? Jak on to zorganizował? W czasie naszego ostatniego spotkania nie sprawiała wrażenia, że zamierza dobrowolnie oddać krew. Nieufnie zerknęłam na Gideona. Chyba nie pobrał od niej krwi przemocą? Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak zdesperowana rzuca w niego szydełkowymi świnkami.

Hrabia poklepał go po plecach.

– A więc brakuje jeszcze tylko szafiru i czarnego turmali–nu. – Oparł się na lasce, ale w tym geście nie było żadnej słabości. Przeciwnie, wyglądał na niezwykle potężnego. – Och, gdyby on wiedział, jak blisko już jesteśmy tego, by zmienić świat. – Ruchem głowy wskazał salę balową, gdzie po drugiej stronie dostrzegłam lorda Alastaira z Sojuszu Florenckiego.

Tak jak ostatnim razem był obwieszony biżuterią, a blask licznych pierścieni dochodził do nas nawet z tej odległości. Podobnie jak jego spojrzenie, lodowate i nienawistne. Za lordem dostrzegłam złowieszczą, ubraną na czarno postać, ale tym razem nie popełniłam tego błędu, by pomylić ją z jakimś gościem. To był duch, który przynależał do lorda Alastaira, tak jak mały Robert do doktora White'a. Kiedy mnie dostrzegł, jego

usta poruszyły się, a ja się ucieszyłam, że nie mogę dosłyszeć jego przekleństw. Wystarczyło, że nawiedzał mnie w koszmarnych snach.

– Stoi tam i marzy o tym, by przeszyć nas szpadą – powiedział hrabia nieomal z zadowoleniem. – Od wielu dni nie myśli o niczym innym. Udało mu się nawet przemycić szpadę na salę balową. – Potarł sobie podbródek. – I dlatego ani nie tańczy, ani nie siada, tylko stoi sztywno i nieruchomo jak ołowiany żołnierz, czekając na okazję.

– A mnie nie pozwolono wziąć szpady – odezwał się z wyrzutem Gideon.

– Nie bój się, chłopcze, Rakoczy i jego ludzie nie spuszczą Alastaira z oka. Przelewanie krwi pozostawimy dziś wieczór dzielnym kurucom*.

Ponownie spojrzałam na lorda Alastaira i odzianego na czarno ducha, który właśnie w morderczym geście wyciągnął w moją stronę miecz.

– Ale on nas... przy wszystkich... to znaczy, chyba w osiemnastym wieku też nie można było tak bezkarnie mordować? – Przełknęłam ślinę. – Lord Alastair nie zaryzykowałby przecież, że trafi na szubienicę z naszego powodu, prawda?

Ciężkie powieki skrywały przez kilka sekund ciemne oczy hrabiego, jakby koncentrował się na myślach swego przeciwnika.

– Nie, na to jest zbyt przebiegły – odrzekł powoli. – Ale wie też, że nie będzie miał wielu sposobności, by mieć was oboje w zasięgu ręki. Nie chce więc przepuścić tej okazji. Ponieważ powiedziałem człowiekowi, którego uważam za zdrajcę w naszych szeregach, i tylko jemu, o której będziecie musieli się udać do podziemi, aby z powrotem przeskoczyć w czasie, sami i nieuzbrojeni, zobaczymy, co się wydarzy.

– Och, ale... – zaczęłam. Hrabia uniósł dłoń.

– Nie martw się, dziecko. Zdrajca nie wie, że Rakoczy i jego ludzie będą was cały czas pilnować.

Alastairowi marzy się zbrodnia doskonała. Bo przecież zwłoki praktycznie rozpląną się w powietrzu. – Zaśmiał się. – W moim przypadku to by oczywiście nie zadziałało, więc dla mnie zaplanował inną śmierć. No ekstra.

Nim zdążyłam przetrwać wiadomość, że można powiedzieć, znaleźliśmy się na linii strzału, co nie zmieniło mojego nastawienia do tego balu ogólnie i w szczególności, kolorowy Pierwszy Sekretarz – już zdążyłam zapomnieć jego

nazwisko – wrócił z dwoma kieliszkami białego wina. Za nim szedł inny nasz stary znajomy – opasły lord Brompton. Ucieszył się ponad wszelką miarę, widząc nas ponownie, i całował moją dłoń o wiele dłużej, niż nakazywałyby to dobre obyczaje.

– Och, wieczór jest uratowany! – zawołał. – Tak się cieszę. Lady Brompton i lady Lavinia już was widziały, ale zatrzymano je na parkiecie. – Zaśmiał się tak, że zatrzęsł mu się gruby brzuch. –

Polecono mi wyciągnąć was na tańce.

– To dobry pomysł – powiedział hrabia. – Młodzi ludzie powinni tańczyć. Ja w swoich młodych latach nie przepuściłem żadnej okazji.

No, zaczyna się. Przyszedł czas na dwie lewe nogi i problem tego, gdzie prawo, gdzie lewo, określany przez Giordana jako „skandaliczne zaburzenia orientacji”. Chciałam wypić wino duszkiem, ale Gideon zdażył już podwędzić mi kieliszek i oddać go Pierwszemu Sekretarzowi.

Na parkiecie ustawiano się właśnie do kolejnego menueta. Lady Brompton pomachała do nas z entuzjazmem. Lord Brompton zniknął w tłumie, a mnie Gideon zdażył jeszcze, nim rozległa się muzyka, umieścić w rzędzie pań, ściśle rzecz biorąc, między bladozłotą a haftowaną na zielono suknią. Zielona należała do lady Lavinii, co stwierdziłam, patrząc kątem oka. Byłatak samo piękna, jak ją zapamiętałam, a balowy strój pozwalał, nawet jak na tę mocno frywolną modę, bardzo głęboko zajrzeć jej w dekolt. Na miejscu lady Lavinii nie miałabym odwagi się schylić. Ale wydawała się tym wcale nie przejmować.

– Jak cudownie was widzieć! – Uśmiechnęła się promiennie, szczególnie do Gideona, by zaraz potem skłonić się w pierwszym reweransie.

Zrobiłam to samo co ona i w ataku paniki w ogóle przestałam czuć własne nogi.

Przez głowę przemykały mi liczne wskazówki i o mały włos nie zaczęłam mamrotać: „Lewo to tam, gdzie kciuk jest po prawej stronie”, ale Gideon minął mnie właśnie w tour le main i moje nogi w zadziwiający sposób same odnalazły rytm.

Uroczyste dźwięki orkiestry wypełniły salę aż do najdalszego kąta, a rozmowy wokół nas ucichły.

Gideon ujął się lewą ręką pod bok i podał mi prawą.

– Cudowny jest ten menuet Haydna – odezwał się lekkim tonem. – Czy wiedziałaś, że ten kompozytor omal nie przystąpił do Strażników? Za jakieś dziesięć lat, w czasie jednej ze swych podróży do Anglii. Rozważał wtedy, czy nie osiedlić się w Londynie na stałe.

– Nie mów. – Minęłam go tanecznym krokiem i przechyliłam głowę odrobinę w bok, żeby nie tracić go z pola widzenia. –Do tej pory wiedziałam tylko, że Haydn dręczył dzieci.

Przynajmniej mnie dręczył w dzieciństwie, a to wtedy, gdy Charlotta ćwiczyła sonaty fortepianowe z takim samym zacięciem, z jakim teraz szukała chronografu.

Tego jednak nie mogłam już Gideonowi wytłumaczyć, bo tymczasem z poczwórnej figury przeszliśmy do dużego kółka i musiałam się skoncentrować na tym, że ruch odbywa się w prawo.

Nie wiedziałam właściwie, dlaczego, ale naraz zaczęło mi to sprawiać prawdziwą przyjemność.

Świece rzucały cudowne światło na wspaniałe wieczorowe suknie, muzyka wcale już nie brzmiała staromodnie, lecz dokładnie tak jak trzeba, a przede mną, za mną i obok mnie beztrąsko śmiali się tancerze. Nawet peruki nie wyglądały już tak komicznie i przez chwilę poczułam się lekko i swobodnie. Kiedy krąg się rozsypał, poszybowałam w stronę Gideona, jak gdybym przez całe życie nie robiła nic innego, a on spojrzał na mnie tak, jakbyśmy nagle znaleźli się w tej sali zupełnie sami.

W tej mojej dziwnej euforii mogłam tylko promiennie się uśmiechać, nie bacząc na uwagi

Giordana, by w osiemnastym wieku nigdy, przenigdy nie pokazywać zębów. Z jakiegoś powodu mój uśmiech najwyraźniej całkowicie zbił Gideona z tropu. Ujął moją wyciągniętą dłoń, lecz zamiast położyć swoje palce lekko pod moimi, uścisnął ją mocno.

– Gwendolyn, już nigdy nikomu nie pozwolę...

Nie dane mi się było dowiedzieć, na co nigdy nikomu nie pozwoli, bo w tej samej chwili lady

Lavinia chwyciła go za rękę, przekładając moją w dłoń swego partnera.

– Zamienimy się na chwilę, zgoda? – zaproponowała ze śmiechem.

Nie, o zgodzie z mojej strony nie mogło być mowy i Gideon też zawahał się przez moment. Potem jednak skłonił się przed lady Lavinia i zostawił mnie na lodzie jak nic nieznaczącą młodszą kuzynkę (którą w gruncie rzeczy byłam). Moja euforia znikła tak szybko, jak się pojawiła.– Już przedtem podziwiałem panią z daleka – odezwał się mój nowy partner, kiedy podniosłam się z reweransu i podałam mu rękę. Najchętniej od razu bym go puściła, bo jego palce były wilgotne i lepkie. – Mój przyjaciel, pan Merchant, miał przyjemność spotkać panią na soiree u lady Brompton.

Chciał nas ze sobą poznać. Ale teraz mogę zrobić to sam. Jestem lord Fleet. Ten lord Fleet.

Uśmiechnęłam się uprzejmie. Przyjaciel pana Długie Łapska, aha. Gdy kolejna sekwencja kroków oddaliła nas od siebie – miałam nadzieję, że lord Fleet wykorzysta okazję, żeby wytrzeć sobie wilgotne dłonie o spodnie – rozejrzałam się, szukając pomocy u Gideona. Ale on zdawał się całkowicie pochłonięty lady Lavinia. Mężczyzna obok również wpatrywał się w nią czy raczej w jej dekolt, celowo omijając wzrokiem własną partnerkę. A mężczyzna obok... o mój Boże! To był

James! Mój James. Wreszcie go znalazłam. Tańczył z dziewczyną w sukni w kolorze musu śliwkowego i wyglądał tak zdrowo, jak tylko można wyglądać w białej peruce i z upudrowaną na biało twarzą.

Zamiast ponownie podać rękę lordowi Fleetowi, minęłam w tańcu Gideona i lady Lavinie i zbliżyłam się do Jamesa.

– Przesuwamy się wszyscy o jedno miejsce do przodu – powiedziałam najuprzejmiej, jak umiałam, nie zważając na protesty. Jeszcze dwie zmiany i już stałam naprzeciw Jamesa. – Przepraszam, przesuwamy się tylko raz.

Popchnęłam śliwkową dziewczynę wprost w ramiona stojącego naprzeciw niej mężczyzny, a potem podałam Jamesowi dłoń i zdyszana próbowałam złapać z powrotem rytm. Spojrzenie w lewo pokazało mi, że inni też ustawiali się na nowo i tańczyli dalej, jakby nic się nie stało. Na Gideona na wszelki wypadek nie patrzyłam, zamiast tego gapiłam się na Jamesa. Nie do wiary, że mogłam trzymać go za rękę i ta ręka była ciepła i żywa.

– Rozbiła pani cały rząd – odezwał się z wyrzutem i zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. – I nadzwyczaj brutalnie odepchnęła pani ode mnie pannę Amelię.

Tak, to naprawdę był on. Ten sam zblazowany ton co zawsze. Uśmiechnęłam się do niego promiennie.

– Bardzo mi przykro, James, ale muszę koniecznie z tobą... to znaczy muszę z tobą, panie, koniecznie porozmawiać w sprawie wielkiej wagi.

– O ile wiem, nie zostaliśmy sobie przedstawieni – zauważył James, marszcząc nos i drobiąc w tańcu.

– Jestem Penelopa Gray z... ze wsi. Ale to zupełnie bez znaczenia. Mam dla ciebie informacje bezcennej wartości, panie, i dlatego musisz się pilnie ze mną spotkać. Jeśli ci życie miłe – dodałam gwoli dramatyczności efektu.

– Co też przychodzi ci do głowy, pani? – James spojrzał na mnie z konsternacją. – Ze wsi czy nie, twoje zachowanie jest doprawdy bardzo nieprzystojne...

– Tak.

Kątem oka dostrzegłam ponowne zamieszanie w szeregach, tym razem po męskiej stronie.

Tanecznym krokiem zbliżało się do mnie coś zielonego.

– Powinieneś mnie jednak wysłuchać, panie. Chodzi o ży... chodzi o... o twego konia, Hektora, tego siwka. Musisz się ze mną koniecznie spotkać jutro przed południem o jedenastej w Hyde Parku.

Koło mostu, który prowadzi przez jezioro. – Miałam tylko nadzieję, że i jezioro, i most istniały już w osiemnastym wieku.

– Ja się mam z tobą spotkać, pani? W Hyde Parku? W związku z Hektorem? – James uniósł brwi aż pod nasadę włosów.

Skinęłam głową.

– Przepraszam – powiedział Gideon z lekkim ukłonem i delikatnie odsunął Jamesa na bok. – Coś się tu chyba pomieszało.

– Tak to chyba można ująć. – Kręcąc głową, James zwrócił się ponownie w stronę śliwkowej panny, podczas gdy Gideon chwycił mnie za rękę i bardzo niedelikatnie poprowadził do następnej figury.

– Zwariowałaś? Cóż to miało znaczyć?

– Spotkałam tylko starego przyjaciela.

Spojrzałam na Jamesa. Ciekawe, czy potraktował mnie poważnie. Pewnie nie. Ciągłe kręcił głową.

– Musisz się za wszelką cenę rzucać w oczy, co? – syknął Gideon. – Dlaczego przez trzy godziny nie możesz robić tego, co ci się mówi?

– Hm, durne pytanie. Oczywiście dlatego, że jestem kobietą i wszelki rozsądek jest mi obcy. A nawiasem mówiąc, to ty pierwszy wyszedłeś z szeregu z tą lady, której biust za chwilę wyskoczy z dekoltu.

– Tak, ale tylko dlatego, że ona... Ach, daj już wreszcie spokój!

– Sam daj spokój!

Spiorunowaliśmy się nawzajem wzrokiem, kiedy wybrzmiał ostatni ton skrzypiec. Nareszcie! To chyba był najdłuższy menuet świata! Z ulgą zgięłam się w reweransie i odwróciłam się, nim Gideon zdążył podać mi rękę (czy raczej złapać moją). Byłam zła na siebie za tę niezbyt przemyślaną rozmowę z Jamesem – wydawało mi się raczej mało prawdopodobne, by pojawił się jutro w parku.

Musiałam pogadać z nim jeszcze raz i spróbować powiedzieć mu prawdę.

Gdzież on był? Te idiotyczne białe męskie peruki wszystkie wyglądały tak samo. Wyciągnęłam szyję, szukając go wzrokiem. Już mi się zdawało, że dojrzałam czerwony aksamitny surdut Jamesa, gdy Gideon przytrzymał mnie za łokieć.

– Tędy – rzucił krótko.

Miałam dosyć jego apodyktycznego tonu. Ale nie musiałam się go pozbywać, gdyż zajęła się tym lady Lavinia, która wsunęła się między nas w obłoku o zapachu konwalii.

– Pan przyrzekł mi jeszcze jeden taniec – powiedziała nadąsana i zaraz się uśmiechnęła, a na jej policzkach pojawiły się urocze dołki.

Lord Brompton torował sobie za nią drogę przez tłum.

– No! Dosyć tańca na ten sezon – oznajmił. – Powoli robię się za gru... za stary na te przyjemności. A propos przyjemności: czy ktoś jeszcze prócz mnie widział moją drogą małżonkę z tym dziarskim kontradmirałem, który podobno całkiem niedawno stracił rękę w bitwie? To wszystko plotki!

Dokładnie widziałem, że obłapiał ją obiema rękami! – Zaśmiał się, a jego liczne podbródki zakołysały się niebezpiecznie.

Orkiestra znowu zaczęła grać i natychmiast uformowały się nowe szeregi.

Rozpoczął się kolejny menuet.

– Och, proszę! Przecież mnie pan nie odtrąci – powiedziała lady Lavinia, czepiając się poły surduta

Gideona i spoglądając na niego przymilnie. – Tylko ten jeden taniec. – Obiecałem mojej siostrze, że przyniosę jej coś do picia – odrzekł Gideon, obrzucając mnie ponurym spojrzeniem. No jasne, był na mnie zły, że przeszkadzam mu we flircie. – A hrabia czeka tam na nasze towarzystwo.

Hrabia tymczasem opuścił swoje miejsce na balkonie, ale bynajmniej nie po to, by usiąść i odpocząć. Spoglądał na nas i sprawiał wrażenie, jakby rozumiał każde słowo.

– Byłby to dla mnie honor móc przynieść pańskiej drogiej siostrze coś do picia – wtrącił się lord Brompton i puścił do mnie oko. – Ze mną jest w najlepszych rękach.

– Widzisz, panie. – Lavinia ze śmiechem pociągnęła Gideona na parkiet.

– Zaraz wracam – rzucił mi przez ramię.

– Nie spiesz się! – warknęłam.

Lord Brompton wprowadził w ruch swoje masy tłuszczu.

– Znam bardzo szczególne miejsce – powiedział i skinał na mnie. – Nazywają to także zakątkiem starych panien, ale nam nie powinno to przeszkadzać. Przepędzimy je nieprzyzwoitymi historiami.

Poprowadził mnie po paru stopniach na małą antresolę, gdzie stała sofa, z której wszystko było wspaniale widać. Faktycznie siedziały tu dwie nie całkiem już młode i niezbyt piękne damy, które ochoczo się przesunęły, żeby zrobić mi miejsce.

Lord Brompton zatarł ręce.

– Przytulnie, prawda? Wróć z hrabią i czymś do picia. Pędzę!

I rzeczywiście to uczynił, niczym galopujący hipopotam przemieszczając masywne ciało w morzu aksamitu, jedwabiu i brokatu. Skorzystałam z okazji, aby z wysokości rozejrzeć się w poszukiwaniu

Jamesa. Ale nie mogłam go nigdzie dostrzec. Zobaczyłam za to, że całkiem blisko tańczą lady

Lavinia i Gideon i zakłuło mnie, gdy stwierdziłam, jak dobrze razem wyglądają. Nawet kolory ich strojów pasowały do siebie, jakby osobiście wybrała je madame Rossini. Za każdym razem gdy ich ręce się dotykały, zdawało się, że przelatują między nimi elektryczne iskry, i najwyraźniej fantastycznie się ze sobą bawili. Zdawało mi się, że perlisty śmiech lady Lavinii słyszę aż tutaj.

Obie stare panny obok mnie tęsknie westchnęły. Gwałtownie wstałam. Naprawdę nie musiałam sobie tego robić. Czyż to nie czerwony surdut Jamesa właśnie zniknął w jednym z wyjść?

Postanowiłam pójść za nim. To był w końcu jego dom, a moja szkoła, więc jakoś go znajdę. A potem spróbuję wyprostować tę historię z Hektorem.

Wychodząc z sali, rzuciłam jeszcze kontrolne spojrzenie na lorda Alastaira, który wciąż stał w tym samym miejscu, nie spuszczać hrabiego z oczu. Jego towarzysz duch wymachiwał złowieszczo mieczem i bez wątpienia charczał przy tym nienawistne hasła. Żaden z nich mnie nie zauważył.

Moją ucieczkę natomiast najwyraźniej zarejestrował Gideon. W szeregach tańczących zapanował niepokój.

Cholera! Odwróciłam się i wyszłam. Korytarze były nikło oświetlone, ale tu, na zewnątrz, kłębiło się jeszcze mnóstwo gości. Miałam wrażenie, że było wśród nich niemało par, które szukały ustronnego miejsca, a tuż naprzeciw sali balowej znajdował się swego rodzaju salon gier, do którego wycofało się kilku panów. Dym cygar przenikał przez uchylone drzwi. Zdawało mi się, że na końcu korytarza widzę czerwony surdut Jamesa skręcającego za róg. Pobiełam za nim tak szybko, jak pozwalała mi na to suknia. Kiedy dopadłam do kolejnego korytarza, nie było po nim śladu, co znaczyło, że musiał zniknąć w jednym z pokoi. Otworzyłam najbliższe drzwi i zaraz zamknęłam je z powrotem, kiedy smuga światła z korytarza objęła szezlong, przed którym klęczał mężczyzna (nie był to James), zdejmujący jakiejś damie pończochy. Hm, jeśli w tym przypadku w ogóle można mówić o damie. Uśmiechnęłam się pod nosem, ruszając w stronę kolejnych drzwi. W gruncie rzeczy goście tej imprezy nieszczęśliwie różnili się od tych z naszych czasów.

Za moimi plecami rozległy się donośne głosy.

– Czemu tak pędzisz, panie? Czy nie możesz zostawić swojej siostry choćby na pięć minut? – Bez wątpienia była to lady Lavinia.

Błyskawicznie wsunęłam się do najbliższego pokoju i oparłam się od wewnątrz o drzwi, żeby złapać oddech.

Tchórz wiele razy umiera, nim umrze;

Człowiek waleczny kona tylko raz.

Ze wszystkich dziwów, o jakich słyszałem,

Najbardziej zdumiewał mnie jeden:

Że ludzie boją się śmierci, choć wiedzą,

Że musi nadejść prędzej czy później.

William Szekspir, Juliusz Cezar akt II, scena II (przeł. Stanisław Barańczak)

Rozdział 9

Ku mojemu zdziwieniu nie było tu ciemno. Pokój rozświetlało kilka świec rzucających blask na szafę z książkami i biurko. Najwyraźniej trafiłam do czyjegoś gabinetu. Który nie był pusty.

Na krześle za biurkiem siedział Rakoczy, przed nim stał kieliszek i dwie butelki. Jedna zawierała ciemny płyn przypominający czerwone wino, druga, ozdobna wygięta kolba, była wypełniona czymś podejrzanym, w kolorze brudnej szarości. Szpada barona leżała w poprzek na biurku.

– Szybko poszło – odezwał się Rakoczy, a jego głos o twardym wschodnioeuropejskim akcencie brzmiał trochę niewyraźnie. – Właśnie zażyczyłem sobie, by spotkać anioła, a tu otwierają się bramy niebios i zsyłają mi najmiłszego anioła, jakiego mają do zaoferowania. To cudowne lekarstwo przewyższa wszystko, czego próbowałem do tej pory.

– Czy nie powinieneś, panie... eee... strzec nas potajemnie? – zapytałam, zastanawiając się, czy nie powinnam opuścić tego pokoju mimo ryzyka spotkania Gideona.

Rakoczy, nawet całkiem trzeźwy, budził we mnie niepokój. Moje słowa jednak nieco go otrzeźwiły.

Zmarszczył czoło.

– Ach, to ty, pani – powiedział ciągle jeszcze niewyraźnie, ale już znacznie mniej rozpromieniony. –

To nie anioł, tylko mała, głupia dziewczynka. – Jednym miękkim ruchem, tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym, chwycił ze stołu kolbę i podszedł do mnie. Bóg jeden wie, czym się nafaszerował, ale najwyraźniej w żaden sposób nie zaburzyło to jego zdolności motorycznych. – W każdym razie bardzo piękna, mała, głupia dziewczynka.

Teraz był tak blisko, że poczułam jego oddech. Czuć było wino i jeszcze coś ostrzejszego, nieznanego. Wolną ręką pogładził mnie po policzku i przejechał szorstkim kciukiem po mojej dolnej wardze. Skamieniałam ze strachu.

– Założę się, że te wargi nie popełniły jeszcze nigdy niczego zakazanego, prawda? Łyk cudownej mikstury Alcotta to zmieni.

– Nie, dziękuję. – Schyliłam się pod jego rękami i potykając się, weszłam dalej do pokoju. „Nie, dziękuję”, fantastycznie! Zaraz pewnie jeszcze dygnę! –

Niech pan się trzyma ze swoją miksturą z daleka ode mnie! – spróbowałam trochę energiczniej.

Nim zdążyłam zrobić kolejny krok – miałam odważny pomysł, żeby wyskoczyć oknem – Rakoczy znalazł się tuż obok i popchnął mnie w stronę biurka. Był na tyle silny, że nawet nie zauważył mojego oporu.

– Ćśśś, nie bój się, maleńka, obiecuję, że ci się spodoba. – Z cichym plaśnięciem wyciągnął korek z małej butelki i siłą odchylił mi głowę do tyłu. – Pij!

Zacisnęłam usta i próbowałam wolną ręką odepchnąć Rakoczego, ale równie dobrze mogłabym próbować przesunąć górę. W rozpaczy przywołałam w pamięci te parę zdań, które słyszałam na temat samoobrony; bardzo by się teraz przydała Charlotty znajomość krav magi. Gdy butelka dotknęła już moich warg i poczułam w nosie ostrą woń jej zawartości, do głowy przyszedł mi zbawienny pomysł. Wyciągnęłam z włosów szpilkę i wbiłam ją tak mocno, jak tylko potrafiłam, w dłoń trzymającą butelkę. Jednocześnie drzwi otworzyły się gwałtownie i usłyszałam głos Gideona:

– Puść ją natychmiast, Rakoczy!

Po fakcie stało się dla mnie jasne, że mądrzej byłoby wbić szpilkę Rakoczemu w oko albo przynajmniej w ramię. Ukłucie w dłoń odwróciło jego uwagę zaledwie na parę sekund. Choć szpilka utkwiała w jego ciele, nawet nie upuścił butelki. Zwolnił tylko uścisk, mocny niczym chwyt imadła, i odwrócił się. Gideon, stojący w drzwiach z lady Lavinia, patrzył z przerażeniem.

– Cóż, u diabła, robisz, panie?

– Nic takiego. Chciałem tylko pomóc tej małej dziewczynce, żeby... stała się trochę większa! –

Rakoczy odchylił głowę do tyłu i wybuchnął strasznym śmiechem. – A może ty się odważysz wziąć

łyk, panie? Zapewniam cię, doświadczysz nieznanych ci do tej pory uczuć!

Wykorzystałam okazję, by się od niego uwolnić.

– Wszystko w porządku? – Gideon zmierzył mnie zatroskanym wzrokiem, podczas gdy lady Lavinia stała obok, lęklonie uczepona jego ramienia.

Nie do wiary! Ci dwoje pewnie szukali pokoju, w którym mogliby się bez przeszkód po obściskiwać, a tymczasem Rakoczy chciał mnie tu napić Bóg wie jakim narkotykiem, żeby potem

Bóg wie co ze mną zrobić. I ja mam być teraz wdzięczna, że Gideon i pani Wielki Biust wybrali właśnie ten pokój!

– W najlepszym porządku! – warknęłam i mocno splotłam ręce, żeby nikt nie zauważył, jak mi się trzęsa. Rakoczy, wciąż jeszcze się śmiejąc, wziął spory łyk z butelki, a potem energicznie ją zakorkował.

– Czy hrabia wie, że zabawiasz się, panie, w ustronnym miejscu w eksperymenty z narkotykami, zamiast wypełniać swoje obowiązki? – spytał Gideon lodowatym tonem. – Czyż na dzisiejszy wieczór nie miałeś innych zadań?

Rakoczy zachwiał się lekko. Zdziwiony, jakby zauważył ją dopiero teraz, spojrzął na szpilkę do włosów wbity w grzbiet swojej dłoni, wyciągnął ją jednym ruchem i oblizał krew jak dziki kot.

– Czarny Lampart poradzi sobie z każdym zadaniem i o każdym czasie! – powiedział, złapał się za głowę, zatoczył się wokół biurka i ciężko opadł na krzesło. – Chociaż ta mikstura rzeczywiście... – wymamrotał jeszcze, a potem głowa mu opadła i uderzyła o biurko.

Lady Lavinia, drżąc lekko, oparła się o ramię Gideona.

– Czy on...?

– Miejmy nadzieję, że nie. – Gideon podszedł do biurka, podniósł butelkę i przytrzymał pod światło.

Potem odkorkował ją, żeby powąchać. – Nie mam pojęcia, co to jest, ale jeśli nawet Rakoczego tak szybko zważyło z nóg... – Odstawił kolbę. – Chyba opium. Zapewne nie najlepiej działa w połączeniu z jego codziennymi narkotykami i alkoholem.

Najwidoczniej tak było. Rakoczy leżał jak nieżywy, nie słychać było nawet jego oddechu.

– Być może dał mu to ktoś, kto nie chciał, by dzisiejszego wieczora był całkiem przytomny – powiedziałam, ciągle z rękami skrzyżowanymi na piersi. – Czy puls jest wyczuwalny? – zadałam to pytanie nie wiadomo komu. Sama bym sprawdziła, ale nie byłam jeszcze w stanie podejść do

Rakoczego. Miałam problem z tym, żeby w ogóle ustać na nogach, tak bardzo drżałam na całym ciele.

– Gwen? Czy na pewno wszystko z tobą w porządku? – Gideon spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem.

Niechętnie się do tego przyznaję, ale w tamtym momencie najchętniej rzuciłabym mu się w ramiona i po prostu trochę popłakała. Ale on nie wyglądał tak, jakby się palił do tego, żeby mnie objąć i pocieszyć, wręcz przeciwnie.

– Czego ty tu w ogóle, u diabła, szukałaś? – napadł na mnie gwałtownie, gdy z ociąganiem kiwnęłam głową. Pokazał na leżącego bez ruchu Rakoczego. – Też byś tak mogła teraz wyglądać.

Zaczęłam szczekać zębami, więc nie mogłam właściwie nic powiedzieć.

– Nie wiedziałam przecież, że... – zająknęłam się, ale Lavinia, wciąż przyklejona do Gideona niczym bardzo wielki i bardzo zielony powój, przerwała mi.

Najwyraźniej należała do tych kobiet, które nie mogą znieść, że ktoś inny znalazł się w centrum uwagi.

– Śmierć – wyszeptała dramatycznie i spojrzała na Gideona szeroko otwartymi oczami. – Poczułam jej oddech, gdy wkroczyła do tego pokoju. Proszę... – Jej powieki zatrzepotały. – Przytrzymaj mnie.

Nie mogłam w to uwierzyć – ona po prostu zemdląca. Bez żadnej przyczyny. I oczywiście bardzo elegancko wprost w ramiona Gideona. Z jakiegoś powodu sprawiło mnie w krańcową wściekłość to, że ją chwycił. Byłam tak wściekła, że zapomniałam nawet o drzeniu i szczekaniu zębami. Ale jednocześnie – jakby ta huśtawka nastrojów była jeszcze zbyt mało rozbujana – poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Niech to diabli, omdlenie z całą pewnością było lepszym wyjściem. Tylko że mnie oczywiście nikt by nie chwycił.

W tym momencie martwy Rakoczy odezwał się głosem, który spokojnie mógł pochodzić z zaświatów, tak był niski i zachrypnięty.

– Dosis sola venenum facit*. Nie ma strachu. Złego diabli nie biorą.

Lavinia (postanowiłam, że od teraz przestaje być dla mnie laadniósł głowę i spojrział na nas nabiegłymi krwią oczami. – Moja wina! On mówi, że to się zażywa po kropli.

– Kto mówi? – spytał Gideon, balansując z Lavinia w ramionach niczym z manekinem.

Z niejakim trudem Rakoczy przyjął ponownie pozycję siedzącą, odrzucił głowę do tyłu i z grzmiącym śmiechem przyglądał się sufitowi.

– Widzicie te gwiazdy, jak tańczą? Gideon westchnął.

– Będę musiał pójść po hrabiego – powiedział. – Gwen, czy mogłabyś mi teraz pomóc, proszę.

„Tylko dawka czyni substancję trucizną” – słowa Paracelsusa (1493–1541), lekarza i przyrodnika, zwanego ojcem medycyny nowożytnej.

Gapiałam się na niego skonsternowana.

– Z tą tutaj? I co jeszcze?!

W kilku krokach byłam przy drzwiach i wybiegłam na korytarz, żeby nie musiał widzieć moich głupich łez, które rwącymi potokami płynęły mi po twarzy. Nie wiedziałam, ani dlaczego płaczę, ani dokąd właściwie biegnę. To była z pewnością taka posttraumatyczna reakcja, o której często się słyszy. Pod wpływem szoku ludzie robią najdziwniejsze rzeczy, jak ten piekarz w Yorkshire, któremu maszyna do ciasteczek zmiażdżyła rękę. Upiekł jeszcze siedem blach ciastek z cynamonem i dopiero potem zadzwonił na pogotowie. Te ciastka z cynamonem to była najokropniejsza rzecz, jaką sanitariusze kiedykolwiek widzieli.

Na schodach zawahałam się przez chwilę. Nie chciałam biec w dół, bo tam mógł już czekać lord

Alastair, który zamierzał popełnić swoją zbrodnię doskonałą, pobiegłam więc na górę. Daleko nie zaszłam, bo z tyłu usłyszałam wołanie Gideona.

– Gwenny! Zatrzymaj się! Proszę!

Przez chwilę wyobrażałam sobie, że po prostu cisnął Lavinie na podłogę, żeby pospieszyć za mną, ale to nie pomogło. Nadal byłam wściekła albo smutna, albo wystraszona, albo wszystko naraz.

Potykając się, oślepiąca przez łzy, pędziłam dalej po schodach, do kolejnego korytarza.

– Dokąd idziesz? – Gideon znalazł się obok mnie i próbował chwycić za rękę.

– Wszystko jedno! Byłem dalej od ciebie – chlipnęłam i wbiegłam do pierwszego z brzegu pokoju.

Gideon wszedł za mną. Oczywiście. O mały włos przejechałabym po twarzy rękawem, żeby otrzeć

łzy, ale w ostatniej sekundzie przypomniałam sobie o makijażu madame Rossini i zrezygnowałam.

Pewnie już i tak był całkiem zniszczony. Żeby nie patrzeć na Gideona, rozejrzałam się po pokoju.

Świece w kinkietach oświetlały ładne, utrzymane w odcieniach złota wyposażenie: sofę, ozdobne biurko, kilka krzeseł, obraz przedstawiający martwego bażanta w towarzystwie paru gruszek, kolekcję egzotycznie wyglądających szabli nad gzymsem kominka i wspaniałe złote zasłony w oknach. Z jakiegoś powodu zdawało mi się, że już tu kiedyś byłam.

Gideon stał przede mną wyczekująco.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziałam dość bezradnie.

– Nie mogę. Zawsze kiedy zostawiam cię w spokoju, robisz coś nieprzemyślanego.

– Odejdź stąd!

Miałam ochotę rzucić się na sofę i bębnić pięściami w poduszki. Czyż chciałam zbyt wiele?

– Nie, nie zrobię tego – powiedział Gideon. – Posłuchaj, przykro mi, że tak się stało. Nie powinienem był do tego dopuścić.

Mój Boże, to było zupełnie typowe. Klasyczny przypadek zespołu nadmiernej odpowiedzialności. A cóż to miało wspólnego z tym, że przypadkowo spotkałam Rakoczego i że brakuje mu piątej klepki, jak by powiedział Xemerius? Z drugiej strony trochę poczucia winy by mu nie zaszkodziło.

– Ale dopuściłeś – powiedziałam więc. – Bo patrzyłeś tylko na nią – dodałam.

– Jesteś zazdrosna. – Gideon był na tyle bezczelny, by wybuchnąć śmiechem.

Zabrzmiało to tak, jakby mu ulżyło.

– Chciałbyś. – Łzy mi obeschły i ukradkiem wytarłam sobie nos.

– Hrabia na pewno się zastanawia, gdzie się podziewamy – powiedział Gideon po chwili.

– To niech wyśle na poszukiwania swoją transylwańską bratnią duszę, ten twój hrabia. – W końcu odważyłam się znów spojrzeć mu w oczy. – W rzeczywistości on wcale nie jest hrabią. Jego tytuł jest tak samo fałszywy jak różowe policzki tej tam... jakżeż ona się nazywała?

Gideon zaśmiał się cicho.

– Już zapomniałem jej imienia.

– Kłamca – mruknęłam, ale też musiałam się uśmiechnąć. Gideon jednak zaraz spoważniał.

– Hrabia nie odpowiada za zachowanie Rakoczego. Z pewnością ukarze go za to. – Westchnął. – Nie musisz lubić hrabiego, musisz go tylko szanować.

Sapnęłam gniewnie.

– Ja nic nie muszę – powiedziałam i gwałtownie odwróciłam się do okna.

I wtedy zobaczyłam... siebie! W szkolnym mundurku, wyzierałam dość głupawo zza złotej zasłony.

O rany! Dlatego to pomieszczenie wydało mi się znajome! To była klasa pani Counter, a

Gwendolyn za zasłoną właśnie po raz trzeci w życiu przeskoczyła w czasie. Dałam sobie ręką znak, żebym się schowała.

– Co to było? – spytał Gideon.

– Ale co? – spytałam możliwie niewinnie.

– Pod oknem. – Odruchowo sięgnął po szpadę, ale trafił w próżnię.

– Tam nic nie ma!

To, co następnie uczyniłam, należy także wytłumaczyć szokiem posttraumatycznym – żeby raz jeszcze przypomnieć tego piekarza i jego krwawe ciasteczka z cynamonem – bo w normalnych okolicznościach z całą pewnością bym tego nie zrobiła. Poza tym wydawało mi się, że kątem oka widzę, jak coś zielonego przemyka przez drzwi i... och, w gruncie rzeczy zrobiłam to dlatego, że świetnie już wiedziałam, że to zrobię. Można powiedzieć, że nie pozostało mi nic innego.

– Może ktoś stoi za zasłoną i nas podsł... – zaczął Gideon, ale ja już zdążyłam zarzucić mu ręce na szyję i przycisnąć usta do jego warg.

I gdy już to zrobiłam, przywarłam do niego także całym ciałem, w doskonałym stylu Lavinii.

Przez kilka sekund obawiałam się, że Gideon odepchnie mnie od siebie, ale tylko westchnął cicho, objął mnie w talii i jeszcze mocniej przyciągnął do siebie. Odwzajemnił mój pocałunek z taką gwałtownością, że zapomniałam o wszystkim i zamknęłam oczy. Tak jak wtedy, podczas tańca, nagle przestało się liczyć to, co się działo czy mogłoby się dziać wokół nas, przestało się też liczyć to, że właściwie był draniem – wiedziałam tylko, że go kocham i że zawsze będę kochać, i że chciałabym, żeby całował mnie przez całą wieczność.

Cichutki wewnętrzny głosik szeptał mi, żebym łaskawie się opanowała, ale usta Gideona i jego ręce wywierały raczej odwrotny efekt. Dlatego nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało, nim odkleiliśmy się od siebie i popatrzyliśmy na siebie z konsternacją.

– Dlaczego... to zrobiłaś? – spytał Gideon, ciężko oddychając.

Wyglądał na skołowanego. Niemal się zataczając, zrobił kilka kroków do tyłu, jakby chciał czym prędzej stworzyć między nami jak największy dystans.

– Co to znaczy: dlaczego?

Moje serce biło tak szybko i głośno, że z pewnością je słyszał. Rzuciłam okiem na drzwi. Pewnie tamto coś zielone, które dostrzegłam kątem oka, tylko sobie wmówiłam, bo teraz leżało to na dywanie i czekało, by obudzić je pocałunkiem.

Gideon nieufnie zmrużył oczy.

– Przecież ty... – Podeszedł do okna i rozsunał zasłony. Ach, to też było typowe – ledwie przeżyliśmy coś... hm... miłego, a on już musiał zrobić wszystko, żeby jak najszybciej to zepsuć.

– Szukasz czegoś konkretnego? – spytałam drwiąco.

Za zasłoną oczywiście nikogo nie było – moje młodsze ja dawno już przeskoczyło z powrotem w czasie i właśnie zadawało sobie pytanie, gdzie, u diabła, nauczyło się tak dobrze całować.

Gideon odwrócił się do mnie. Konsternacja z jego twarzy zniknęła, ustępując miejsca zwykłej aroganckiej minie. Ze skrzyżowanymi ramionami oparł się o parapet.

– Cóż to miało znaczyć, Gwendolyn? Jeszcze kilka sekund wcześniej patrzyłaś na mnie z wściekłością.

– Chciałam... Właściwie dlaczego zadajesz mi takie głupie pytania? Przecież ty do tej pory też nigdy mi nie wyjaśniałeś, dlaczego mnie całujesz, prawda? Po prostu miałam ochotę –dorzuciłam nieco przekornie. – A ty wcale nie musiałeś się na to godzić. – W takim przypadku chyba zapadłabym się ze wstydu pod ziemię. Oczy Gideona błysnęły.

– Po prostu miałaś ochotę? – powtórzył i znowu podszedł do mnie. – Do diabła, Gwendolyn! Są pewne powody, dla których... Od kilku dni... przez cały czas próbuję... – Zmarszczył czoło, najwyraźniej rozżłoszczony własnym dukaniem. – Uważasz może, że jestem z kamienia? – Ostatnie zdanie wypowiedział dość głośno.

Nie miałam pojęcia, jak na to zareagować. Prawdopodobnie było to raczej pytanie retoryczne, nie, oczywiście nie uważałam, że jest z kamienia, ale cóż, do cholery, chciał mi przez to powiedzieć? Te strzępki zdań niewiele mi wyjaśniły. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– Musimy iść – odezwał się zupełnie normalnym głosem. –Jeśli nie pojawimy się punktualnie w piwnicy, cały plan pójdzie na marne.

Ach, tak, no przecież. Plan. Plan, który przewidywał, że będziemy potencjalnymi, rozpływającymi się w powietrzu ofiarami morderstwa.

– No więc mnie nawet końmi tam nie zaciągniesz, póki Rakoczy leży zaćpany na stole – oświadczyłam zdecydowanie.

– Po pierwsze, on już na pewno oprzytomniał, a po drugie, na dole czeka na nas co najmniej pięciu jego ludzi. – Wyciągnął do mnie rękę. – Chodź już. Trzeba się pospieszyć. I nie musisz się bać. W konfrontacji z kurucami Alastair nie ma żadnych szans, nawet gdyby nie przyszedł sam. Poruszają się w ciemnościach jak koty i widziałem, co wyczyniają z nożami i szpadami. To prawie czary. – Poczekał, aż podam mu rękę, a potem uśmiechnął się lekko. –I ja też tu jestem – dodał.

Spojrzałam na niego. Zanim jednak zdążyliśmy zrobić krok, w drzwiach ukazała się zdyszana

Lavinia, a obok niej, równie zdyszany, papuzio pstrokaty Pierwszy Sekretarz.

– Proszę bardzo, tutaj są. Oboje – powiedziała Lavinia.

Jak na kogoś, kto niedawno zemdłał, wyglądała całkiem dobrze, choć już nie tak pięknie jak wcześniej. Spod warstwy jasnego pudru wyzierały plamy zaczerwienionej skóry, najwyraźniej bieganie w górę i w dół po schodach kosztowało ją trochę wysiłku. Dekolt również pokrywały czerwone plamy.

Ucieszyło mnie, że Gideon nie zaszczycił jej spojrzeniem.

– Wiem, że jesteśmy spóźnieni, sir Alcott – powiedział. – Właśnie schodziliśmy do podziemi.

– To... to nie jest konieczne – odparł Alcott, łapiąc powietrze. – Mała zmiana planów.

Nie musiał wyjaśniać, co ma na myśli, bo w tej samej chwili do pokoju wszedł lord Alastair, bez śladu zadyszki, za to z nieprzyjemnym uśmiechem.

– Znowu się spotykamy – powiedział.

Tuż za nim postępował niczym cień jego przodek duch, który nie tracił czasu, miotając ponure, mordercze groźby: „Niegodni umierają niegodną śmiercią!”. Ze względu na chrapliwą mowę w czasie naszego ostatniego spotkania nazwałam go lordem Vaderem i zazdrościłam wszystkim, którzy go nie widzieli i nie słyszeli. Jego czarne jak chrabąszcze oczy pały nienawiścią.

Gideon skłonił głowę.

– Lordzie Alastair, cóż za niespodzianka.

– Taki był mój zamiar – oznajmił lord Alastair i uśmiechnął się wyniośle. – Chciałem wam sprawić niespodziankę. Gideon niemal niezauważalnie przepchnął mnie dalej, tak by między nami i gośćmi znalazło się biurko, co niezbyt mnie uspokoiło, ponieważ był to bardzo delikatny damski mebel w stylu rokoko. Rustykalny dąb bardziej by mi odpowiadał.

– Rozumiem – rzekł uprzejmie Gideon.

Ja też rozumiałam. Morderstwo najwyraźniej zostało spontanicznie przeniesione z piwnicy do tego miłego pomieszczenia, ponieważ Pierwszy

Sekretarz był zdrajcą, a Lavinia fałszywą żmiją. W gruncie rzeczy to bardzo proste. Zamiast zacząć się trząść ze strachu, nagle zachciało mi się śmiać.

Było tego po prostu za dużo jak na jeden dzień.

– Myślałem jednak, że nieco zmodyfikowaliście swoje mordercze plany, gdy zdobyliście drzewa genealogiczne podróżników w czasie – powiedział Gideon.

Lord Alastair machnął ręką, jakby coś wyrzucał.

– Drzewa genealogiczne, które przyniósł nam demon z przyszłości, pokazały tylko, że całkowite wygaszenie waszych linii jest niemożliwe – wyjaśnił. – Preferuję metodę bezpośrednią.

– Sami tylko potomkowie owej madame d'Urfe, która żyła na dworze króla Francji, są tak liczni, że nie starczyłoby ludzkiego życia, by ich wytropić – uzupełnił Pierwszy Sekretarz. – Likwidacja was dwojga tu na miejscu wydaje mi się nieodzowna. Gdybyście się tak ostatnio nie bronili w Hyde

Parku, sprawa byłaby już załatwiona...

– Ile ci płacą, Alcott? – spytał Gideon, jakby naprawdę go to interesowało.

– Co może dać ci lord

Alastair, panie, że łamiesz przysięgę Strażników i popełniasz tę zdradę?

– Cóż, ja... – zaczął ochoczo Alcott, ale lord Alastair mu przerwał.

– Czysta dusza! Oto jego zapłata! Pewności, że aniołowie w niebie nagrodzą jego czyny, nie da się zważyć złotem. Ziemia musi zostać uwolniona od pomiotu demona, takiego jak wy, i sam Bóg podziękuje nam, że przelaliśmy waszą krew.

No, no, no. Na chwilę zakiełkowała we mnie nadzieja. Lord Alastair potrzebował po prostu kogoś, kto by go słuchał. Może chciał tylko pogadać o swoich obłądnych wizjach religijnych i potrzebował trochę pochlebstw? Ale wtedy lord Vader zaczął rzeźić.

– Wasze życie dobiegło końca, diabelskie nasienie. Porzuciłam więc szybko swą myśl.

– Sądzicie, że zabicie niewinnej dziewczyny wywoła boski aplauz. Ciekawe.

– Gideon sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta, ale zaraz wzdrygnął się w widoczny sposób.

– Czy może tego szukasz, panie? – spytał drwiąco Pierwszy Sekretarz. Wyjął z kieszeni swojego cytrynowożółtego surduta mały czarny pistolet.

Uniósł go w czubkach palców. – To bez wątpienia diabelskie narzędzie mordu z przeszłości, prawda? –Oczekując aplauzu, zerknął w stronę lorda

Alastaira. – Poprosiłem naszą uwodzicielską lady Lavinie, by cię dokładnie przeszukała i sprawdziła, czy nie masz przy sobie broni, podrózniku w czasie.

Lavinia uśmiechnęła się do Gideona z poczuciem winy, a Gideon przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał sam siebie spoliczkować. Można to było zrozumieć. Pistolet byłby naszym ratunkiem – w konfrontacji ze Smith & Wesson ludzie ze szpadami nie mieliby najmniejszych szans. Pragnęłam, by zdrajca Alcott przez nieuwagę odbezpieczył broń i sam sobie strzelił w stopę. Hałas dotarłby może do sali balowej... albo nie. Alcott schował pistolet z powrotem do kieszeni surduta, a moja odwaga zniknęła.

– Tak, dziwisz się, panie, prawda? Pomyślałem o wszystkim. Wiedziałem, że nasza miła lady ma karciane długi – wyjaśniał Alcott, jakby zaczynał pogawędkę. Jak wszyscy łotrzy był najwyraźniej spragniony uznania dla swych przebiegłych czynów. Moim zdaniem jego pociągła twarz przypominała pysk szczura. – Pokażne karciane długi, których już nie mogła, tak jak dotąd, spłacać przychylnością wobec swych wierzycieli.

W tym miejscu zaśmiałam się złośliwie.

– Wybacz mi, madame, że nie byłem tak naprawdę zainteresowany twoimi wdziękami. Teraz jednak twoje długi zostały spłacone.

Lavinia nie wyglądała tak, jakby się z tego cieszyła.

– Tak mi przykro. Nie miałam wyboru – zwróciła się do Gideona, lecz on zdawał się w ogóle jej nie słuchać.

Raczej zastanawiał się, w jaki sposób może szybko zerwać szablę ze ściany, nim lord Alastair zdąży go przeszyć swoją szpadą. Podążyłam za jego spojrzeniem i doszłam do wniosku, że nie ma zbyt dużych szans na sukces, chyba że zataił przede mną, iż w rzeczywistości jest supermanem.

Kominek był za daleko, a poza tym lord Alastair, który ani na sekundę nie spuszczał oczu z Gideona, stał znacznie bliżej.

– Wszystko pięknie, ładnie – zaczęłam powoli, żeby zyskać na czasie – ale wyrównujesz swoje rachunki bez hrabiego.

Alcott roześmiał się.

– Chciałaś, pani, chyba powiedzieć: bez Rakoczego. – Zatarł ręce. – No cóż, jego szczególne... ujmijmy to tak... skłonności najwyraźniej uniemożliwiły dziś wypełnienie obowiązków. –

Poklepał się po piersi. – Jego słabość do narkotyków uczyniła zeń łatwą ofiarę, jeśli rozumiesz, pani, co mam na myśli.

– Ale Rakoczy nie jest sam – powiedziałam. – Jego kuruce pilnują nas na każdym kroku.

Zaniepokojony Alcott spojrzał szybko na lorda Alastaira, a potem znowu się roześmiał.

– A gdzie oni teraz są, ci wasi kuruce? Miałam nadzieję, że w podziemiach.

– Czekają w ukryciu – mruknęłam najbardziej złowieszczo, jak tylko potrafiłam. – Gotowi uderzyć w każdej chwili. A potrafią wyczyniać ze szpadami i nożami rzeczy, które graniczą z cudem.

Alcott nie dał się jednak zapędzić w kozi róg. Rzucił kilka lekceważących uwag na temat

Rakoczego i jego ludzi, po czym znów pochwalił samego siebie za genialny plan i jeszcze bardziej genialną zmianę planu.

– Obawiam się, że ten nadzwyczaj sprytny hrabia nadaremnie czeka dziś na was i na swojego

Czarnego Lamparta. Nie jesteście ciekawi, jakie mam wobec niego plany?

Gideon wyraźnie stracił jednak zainteresowanie wywodami Alcotta. Milczał. Lord Alastair też najwidoczniej miał dosyć paplaniny Pierwszego Sekretarza. Chciał się wreszcie zabrać do rzeczy.

– Niech ona się oddali – burknął nieuprzejmie, wyciągnął szpadę i wskazał na lady Lavinie.

Oho, zaczyna się zabawa.

– Zawsze myślałem, że jesteś człowiekiem honoru, panie, i pojedynkujesz się tylko z uzbrojonymi przeciwnikami – rzekł Gideon.

– Jestem człowiekiem honoru, ale ty, panie, jesteś demonem. Nie będę się z tobą pojedynkował, tylko cię zarżnę – oznajmił zimno lord Alastair.

Lady Lavinia wydała z siebie zduszony okrzyk przerażenia.

– Nie chciałam tego – szepnęła do Gideona.

Nie, no jasne. Teraz nagle miała skrupuły. Lepiej zemdlej, głupia krowo.

– Wyprowadzić ją, powiedziałem. – Lord Alastair wyjątkowo czytał w moich myślach.

Na próbę świsnął w powietrzu szpada.

– Oczywiście, to nie jest widok dla damy. – Alcott wypchnął Lavinie na korytarz. – Zamknij drzwi i pilnuj, żeby nikt tu nie wszedł.

– Ale...

– Jeszcze nie oddałem ci twoich papierów dłużnych, pani – syknął Alcott. – Jeśli zechcę, jutro przyjdą do twego domu moi służący, a wtedy to już na pewno nie będzie twój dom.

Lavinia nie odezwała się więcej. Alcott zaryglował drzwi, odwrócił się do nas i wyciągnął z kieszeni surduta sztylet, ale raczej delikatny model. Mimo że powinnam była okropnie się bać, strach nie chciał we mnie wstąpić. Pewnie dlatego, że wydawało mi się to zupełnie absurdalne.

Nierzeczywiste. Jak scena z filmu.

Czy nie powinniśmy w tej chwili przeskoczyć z powrotem?

– Ile jeszcze mamy czasu? – szepnęłam do Gideona.

– Za dużo – syknął przez zaciśnięte zęby.

Na twarzy Alcotta pojawiło się radosne podniecenie.

– Ja biorę dziewczynę – powiedział, aż kipiąc żądzą mordy. – Ty załatw chłopaka, panie. Ale bądź ostrożny. Jest przebiegły i zręczny. Lord Alastair jedynie parsknął z lekceważeniem.

– Krew demonów zrosi ziemię – sapnął lord Vader pełen radosnego oczekiwania.

Jego repertuar zdawał się nader ograniczony.

Ponieważ Gideon w dalszym ciągu najwyraźniej igrał z myślą o niedostępnych szablach i koncentrując się na nich, naprężył ciało, rozejrzałam się w poszukiwaniu innej broni. Nie zastanawiając się, chwyciłam jedno z tapicerowanych krzeseł i skierowałam jego delikatne nogi w stronę Alcotta.

Z jakiegoś powodu go to rozbawiło, bo wyszczerzył zęby jeszcze bardziej złowrogo niż przedtem i powoli do mnie podszedł. To było jasne: niezależnie od motywów, jakie nim kierowały, nie będzie mu w tym życiu dane czyste sumienie.

Lord Alastair także się zbliżył.

I wtedy wszystko wydarzyło się jednocześnie.

– Zostań tu! – zawołał do mnie Gideon, przewracając biurko i posyłając je kopniakiem po parkiecie w stronę lorda Alastaira.

Niemal w tej samej chwili chwycił ciężki lichtarz i z całej siły uderzył nim Pierwszego Sekretarza, który wraz z nim rąbnął o podłogę. Gideon nie tracił czasu na sprawdzanie, czy jego cios przyniósł oczekiwany rezultat. Jeszcze gdy lichtarz szybował w powietrzu, dał susa w kierunku kolekcji szabel. Lord Alastair natomiast zrobił wypad, żeby uniknąć uderzenia z sunącym ku niemu biurkiem, ale zamiast powstrzymać Gideona, w kilku krokach znalazł się obok mnie. To wszystko nastąpiło w mgnieniu oka i nim zdążyłam podnieść krzesło i przyrznać nim lordowi Alastairowi w głowę, jego szpada wyskoczyła do przodu.

Ostrze przeszło mi suknię i wniknęło głęboko pod lewym łukiem żebrowym. Zanim dotarło do mnie, co tak naprawdę się stało, lord Alastair wyciągnął broń i z okrzykiem triumfu okrążył

Gideona, wymierzając w niego skapane w mojej krwi ostrze szpady.

Ból dopadł mnie z sekundowym opóźnieniem. Jak marionetka, której przecięto sznurki, osunęłam się na kolana, instynktownie przyciskając ręce do piersi. Usłyszałam, jak Gideon wykrzykuje moje imię, i zobaczyłam, jak chwyta naraz dwie szable ze ściany i wymachuje nimi nad głową niczym samurajski wojownik. Osunęłam się całkiem na podłogę, a moja głowa miękko (w takich sytuacjach peruka bywa całkiem praktyczna) opadła na parkiet.

Ból zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przez moment wpatrywałam się zaskoczona w nicość, a potem uniosłam się w powietrze, lekko i bezcieleśnie pofrunęłam w stronę ozdobionego sztukaterią sufitu. Wokół mnie w świetle świec tańczyły złotawe drobinki kurzu i było prawie tak, jakbym stała się jedną z nich.

Daleko pod sobą widziałam siebie, jak leżę z szeroko otwartymi oczami, próbując złapać oddech.

Na tkaninie mojej sukni powoli rozszerzała się plama krwi. Kolory szybko zniknęły z mojej twarzy, która stała się równie biała jak peruka. Ze zdumieniem patrzyłam, jak moje powieki drżą, a potem się zamykają.

Ale ta część mnie, która unosiła się w powietrzu, mogła nadal wszystko obserwować.

Widziałam Pierwszego Sekretarza leżącego nieruchomo obok świecznika. Miał dużą krwawiącą ranę na skroni.

Widziałam, jak Gideon, pobladły z gniewu, naciera na Alastaira. Lord zrobił unik w kierunku drzwi i odparowywał szpadą uderzenia, ale po kilku sekundach Gideon zdołał zapędzić go do kąta.

Widziałam, z jakim zapamiętaniem się pojedynekowali, choć tu na górze szczęk broni wydawał się nieco przytłumiony.

Lord zrobił wypad i spróbował zanurkować pod lewą ręką Gideona, ale ten przejrzał jego zamiary i niemal w tym samym momencie z całej siły pchnął go w nieosłonięte prawe ramię. Alastair popatrzył z niedowierzaniem, a po chwili jego twarz zniekształcił niemy krzyk. Palce wyprostowały się i szpada z brzękiem uderzyła o podłogę: Gideon przygwoździł ramię lorda do ściany. Tak unieruchomiony lord zaczął – mimo bólu, jaki bez wątplenia odczuwał – miotać wściekle przekleństwa.

Gideon odwrócił się od niego, nie zaszczycając go już ani jednym spojrzeniem, i rzucił się obok mnie na podłogę. To znaczy obok mojego ciała, bo ja, tak jak wcześniej, unosiłam się beużytecznie w powietrzu.

– Gwendolyn! O mój Boże! Gwenny! Proszę, nie! – Przycisnął pięść do miejsca pod moją pierś, gdzie szpada pozostawiła maleńką dziurkę w sukni.

– Za późno! – zagrzemiał lord Vader. – Czy nie widzisz, panie, jak uchodzi z niej życie?

– Ona umrze i nie zmienisz tego, panie! – zawołał ze swego miejsca pod ścianą także lord Alastair, uważając, by nie ruszać przygwożdżoną ręką. Krew spływała, tworząc małą kałużę obok jego stóp.

– Przeszyłem serce demona!

– Zamknij się! – uciszył go Gideon, który teraz położył obie dłonie na mojej ranie i naciskał na nią całym ciężarem swojego ciała. – Nie pozwolę, żeby się

wykrwawiła. Jeśli teraz w porę... – Zrozpaczony przełknął ślinę. – Nie możesz umrzeć, słyszysz, Gwenny?

Moja pierś unosiła się jeszcze i opadała, skórę pokrywały drobniutkie kropelki potu, ale nie można było wykluczyć, że lord Vader i lord Alastair mają rację. W końcu fruwałam w powietrzu jako mieniąca się drobinka pyłu, a moja twarz, tam na dole, nie miała już w sobie ani kropli krwi. Nawet wargi zrobiły się szare.

Łzy popłynęły Gideonowi po policzkach. Wciąż jeszcze z całej siły przyciskał ręce do mojej rany.

– Zostań ze mną, Gwenny, zostań ze mną – szeptał, a ja nagle straciłam wszystko z oczu.

W tej samej chwili poczułam znów pod sobą twardy grunt, tępy ból w brzuchu i cały ciężar mojego ciała. Rzęząc, zaczerpnęłam powietrza i wiedziałam, że na następny oddech nie będę już miała sił.

Chciałam otworzyć oczy, żeby po raz ostatni zobaczyć Gideona, ale nie dałam rady.

– Kocham cię, Gwenny, proszę, nie zostawiaj mnie – powiedział Gideon i to było ostatnie, co usłyszałam, nim wpadłam w otchłań.

Martwe przedmioty wszelkiego rodzaju i materiały mogą być bez problemu przenoszone w czasie, i to w obie strony. Podstawowy warunek: przedmiot w chwili transportu nie może stykać się z nikim i niczym poza przenoszącym go podróżnikiem w czasie.

Do tej pory największym takim przedmiotem był czterometrowej długości stół refektarzowy, przeniesiony przez bliźniaków de Villiers z roku 1805 do roku 1900 i z powrotem (zob. tom TV, rozdział 3., Eksperymenty i badania empiryczne, s. 188). Nie można przenosić roślin ani ich części, jak też stworzeń wszelkiego rodzaju, ponieważ podróż w czasie niszczy lub całkowicie unicestwia ich struktury komórkowe, jak dowiedziono w licznych próbach przy użyciu glonów, rozmaitych sadzonek, pantofelków, stonóg piwnicznych i myszy (zob. także tom

TV rozdział 3., Eksperymenty i badania empiryczne, s. 194). Przenoszenie przedmiotów, jeśli nie odbywa się pod nadzorem lub nie służy celom badawczym, jest surowo zabronione.

Kroniki Strażników

Tom II, Zasady ogólne

Rozdział 10

Wydaje mi się znajoma – usłyszałam czyjś głos. Bez wątpienia był to zblazowany ton Jamesa.

– Oczywiście, że znajoma, ty stary durniu – odpowiedział głos, który mógł należeć wyłącznie do Xemeriusa. – To jest Gwendolyn, tylko bez mundurka i w peruce.

– Nie zezwoliłem ci na odzywanie się do mnie, nieokrzesany kocie!

Tak jak stopniowo pogłaśniane radio, zaczęły do mnie docierać także inne dźwięki i zdenerwowane głosy. W dalszym ciągu – albo znowu – leżałam na plecach. Straszliwy ciężar spadł z mojej piersi.

Czy byłam teraz duchem jak James?

Przy wtórze okropnego dźwięku przecięto mi gorset i rozchyłono materiał.

– Trafił w aortę – usłyszałam zrozpaczony głos Gideona. –Próbowałem zatamować krew, ale... to trwało zbyt długo.

Chłodne dłonie obmacały mój tułów i dotknęły bolącego miejsca pod żebrami.

– To tylko powierzchowna rana – powiedział doktor White z ulgą. – Mój Boże, ale mi napędziłeś stracha!

– Co? To niemożliwe, żeby ona...

– Szpada tylko przecięła skórę. Widzisz? Gorset madame Rossini dobrze się sprawdził. Aorta abdominalis, na miłość boską, Gideonie, czego wy się uczycie na tych studiach? Przez chwilę naprawdę ci uwierzyłem. – Palce doktora White'a nacisnęły moją szyję. – Puls też jest stabilny.

– Czy wszystko z nią w porządku?

– A co dokładnie się stało?

– Jak lord Alastair mógł jej to zrobić?

Głosy pana George'a, Falka de Villiers i pana Whitmana przenikały się nawzajem. Gideona już nie słyszałam. Spróbowałam otworzyć oczy i tym razem poszło całkiem łatwo. Mogłam się nawet bez problemu wyprostować. Wokół mnie widniały znane, pomalowane na kolorowo ściany naszej

Piwinicy Artystycznej, nade mną zaś pochylały się głowy zgromadzonych Strażników. Wszyscy – nawet pan Marley – uśmiechali się.

Tylko Gideon wpatrywał się we mnie tak, jakby nie dowierzał własnym oczom. Jego twarz była trupio blada, a na policzkach widniały ślady łez.

Za nimi stał James, zakrywając sobie oczy chusteczką.

– Powiedz mi, kiedy znowu będę mógł spojrzeć.

– Teraz w żadnym wypadku, bo z miejsca oślepniesz – powiedział Xemerius, siedząc ze skrzyżowanymi nogami u moich stóp. – Spod gorsetu widać jej teraz połowę biustu.

Ups. Miał rację. Zażenowana spróbowałam usiąść i przykryć nagość rozdartymi i pociętymi resztkami cudownej sukni madame Rossini. Doktor White położył mnie łagodnie z powrotem na stół, na którym mnie tu przyniesiono.

– Muszę szybko zdezynfekować i opatrzyć to zadrapanie – powiedział. – Potem dokładnie cię zbadam. Boli cię coś?

Pokręciłam głową i w tej samej chwili wyrwało mi się głośne „auu!”. Straszliwie bolała mnie głowa. Pan George położył mi rękę na ramieniu.

– O mój Boże, Gwendolyn. Trochę nas przestraszyłaś. – Zaśmiał się cicho. – To się nazywa wiarygodne omdlenie. Kiedy Gideon wkroczył tu z tobą na rękach, naprawdę pomyślałem, że ty być może...

– ...nie żyjesz – Xemerius dokończył zdanie, które pan George przerwał zawstydzony. – Szczerze mówiąc, wyglądałaś na dość nieżywą. A chłopak odchodził od zmysłów! Krzyczał coś o zaciskach do żył i bredził niestworzone rzeczy. I płakał. Czego się tak gapisz?

To ostatnie zdanie odnosiło się do Roberta, który zafascynowany wpatrywał się w Xemeriusa.

– Jaki on słodki. Mogę go pogłaskać? – spytał mnie.

– Nie, jeśli nie chcesz stracić ręki, mały – odparł Xemerius. – Wystarczy mi, że ten tam wyperfumowany goguś bez przerwy myli mnie z kotem.

– No nie, wypraszam sobie. Koty nie mają skrzydeł! – zawołał James, wciąż zasłaniając sobie oczy.

– Jesteś kotem z gorączkowych majaków. Zwyródniałym kotem.

– Jeszcze jedno słowo, a cię pożrę – zagroził Xemerius. Gideon odszedł kilka kroków na bok i opadł na krzesło.

Zdjął perukę i wszystkimi palcami przeczesał sobie ciemne loki, a potem ukrył twarz w dłoniach.

– Nie rozumiem – dobiegły mnie niewyraźne słowa spomiędzy jego palców.

Zupełnie tak samo jak ja. Jak to możliwe, że umarłam, a teraz znowu czuję się całkiem dobrze? Czy można sobie coś takiego tylko wmówić? Spojrzałam na ranę, którą opatrywał doktor White. Miał rację, to było tylko zadrapanie. Rana, jaką zadałam sobie nożem do warzyw, była znacznie dłuższa i bardziej bolesna.

Twarcz Gideona wynurzyła się spomiędzy jego dłoni. Jakże zielono błyszcząły jego oczy na tle bladej cery! Przypomniało mi się, jakie były jego ostatnie słowa do mnie, i znowu spróbowałam usiąść, ale doktor White mi w tym przeszkodził.

– Czy ktoś mógłby jej wreszcie zdjąć tę perukę? – odezwał się opryskliwie.

Kilka rąk natychmiast rzuciło się do wyciągania szpilek z mojej fryzury. Poczułam się cudownie, gdy w końcu ściągnięto mi tę ozdobę.

– Ostrożnie, Marley – ostrzegł Falk de Villiers. – Niech pan pamięta o madame Rossini.

– Tak, proszę pana – wydukał Marley, ze strachu omal nie upuszczając peruki. – Madame Rossini.

Pan George wyjął szpilki z mojego koka i delikatnie rozsypał palcami włosy.

– Tak lepiej? – spytał. Owszem, tak było znacznie lepiej.

– Siedziało małe czupiradło na stoliku i nie spadło, suknię i kapelusz miało, wesoło się uśmiechało – powiedział głupkowato Xemerius. – O rany, gdybyś tylko miała kapelusz! To byłby sposób na badhair day, co? Och, tak bardzo się cieszę, że wciąż żyjesz i nie muszę sobie szukać nowego człowieka, że gadam same głupoty. Ty małe czupiradło.

Mały Robert parsknął śmiechem.

– Mogę już spojrzeć? – spytał James, ale nie czekał na odpowiedź. Spojrzał na mnie i zaraz znów zakrył oczy. – Wielkie nieba! To istotnie jest panna Gwendolyn! Wybacz mi, pani, że cię nie rozpoznałem, gdy ten młody dandys niósł cię obok mej niszy. – Westchnął. – Już samo to było wystarczająco

dziwne. Poza tym w tych murach wcale się już nie widzi porządnie ubranych ludzi.

Pan Whitman położył Gideonowi rękę na ramieniu.

– Cóż się dokładnie stało, chłopcze? Zdołałeś przekazać hrabiemu naszą wiadomość? Dał ci instrukcje co do kolejnego spotkania?

– Przynieście mu whisky i zostawcie go na parę minut w spokoju! – warknął doktor White, przyklejając mi na ranie dwa małe plasterki. – Jest w szoku.

– Nie. Nie. Już w porządku – mruknął Gideon.

Rzucił mi jeszcze szybkie spojrzenie, wyjął z kieszeni surduta zapieczętowany list i podał go

Falkowi.

– Chodź. – Pan Whitman pomógł Gideonowi wstać i poprowadził go w kierunku drzwi. – Na górze, w gabinecie dyrektora Gillesa, jest whisky. I kanapa, jeśli będziesz chciał się na chwilę położyć. –

Obejrzał się. – Falk, pójdiesz z nami?

– Ależ oczywiście – odrzekł Falk. – Mam nadzieję, że dobry stary Gilles ma tam dość whisky dla nas wszystkich. – Odwrócił się w stronę pozostałych. – A wy w żadnym razie nie odwoźcie Gwendolyn do domu w tym oplakany stanie, czy to jasne?

– Jasne, proszę pana – zapewnił go pan Marley. – Jasne jak słońce, jeśli mogę to tak sformułować.

Falk przewrócił oczami.

– Może pan – powiedział, a potem razem z panem Whitmanem i Gideonem zniknął za drzwiami.

Pan Bernhard miał wolny wieczór, dlatego to Caroline otworzyła mi drzwi i natychmiast zaczęła paplać bez żadnych kropek i przecinków.

– Charlotta przymierzała kostium elfa na imprezę, jest prześliczny, i pozwoliła mi, żebym wetknęła jej pióra, ale wtedy ciocia Glenda powiedziała, że mam łaskawie umyć ręce, bo na pewno znowu głaskałam jakieś brudne zwierza...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, bo złapałam ją i przytuliłam tak mocno, że nie mogła złapać tchu.

– No, zgnieć ją, spokojnie! – rzucił Xemerius, który z łopotem wleciał za mną do domu. – Twoja mama po prostu urodzi jeszcze jedno dziecko, jak to tutaj się zepsuje.

– Moja słodka, najukochańsza, najdroższa mała siostrzyczko – mruknęłam we włosy Caroline, jednocześnie śmiejąc się i płacząc. – Tak bardzo cię kocham!

– Ja też cię kocham, ale dyszysz mi do ucha. – Caroline ostrożnie się wyswobodziła. – Chodź! Już zaczęliśmy jeść. Na deser jest czarci tort czekoladowy z cukierni Hummingbirda!

– Och, kocham, kocham, kocham czarci tort czekoladowy! –wołałam. –I kocham życie, które przynosi takie piękne rzeczy!

– Ty, nie mogłabyś trochę wyluzować? Można by pomyśleć, że właśnie wracasz z elektrowstrząsów! – Xemerius uśmiechnął się posępnie.

Chciałam obrzucić go karcącym spojrzeniem, ale potrafiłam tylko się uśmiechnąć promiennie do mojego słodkiego, małego, posępnego demona gargulca.

– Ciebie też kocham – powiedziałam.

– O rany – westchnął. – Jakbyś była programem telewizyjnym, to od razu bym cię przełączył.

Caroline popatrzyła na mnie odrobinę zatroskana. Gdy szłyśmy na pierwsze piętro, wzięła mnie za rękę.

– Co się z tobą dzieje, Gwenny? Otarłam łzy z policzka i roześmiałam się.

– Nic, wszystko w najlepszym porządku. Jestem po prostu szczęśliwa. Bo żyję. Bo mam taką wspaniałą rodzinę. Bo ta poręcz jest taka cudownie gładka w dotyku i tak dobrze znana. Bo życie jest takie cudowne. – Gdy przy tych słowach znowu popłynęły mi łzy, zadałam sobie pytanie, czy to, co doktor White rozpuścił mi w wodzie, to na pewno była tylko aspiryna.

Przyczyną tej euforii mógł być po prostu zniewalający fakt, że przeżyłam i nie musiałam teraz wieść żywota drobniutkiej cząsteczki pyłu.

Dlatego przed drzwiami do jadalni podniosłam Caroline i zakręciłam się z nią w kółko. Byłam najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo żyłam, a Gideon powiedział: „Kocham cię”. To ostatnie mogło być oczywiście przedśmiertną halucynacją, tego do końca wołałam nie wykluczać.

Moja siostra pisnęła z rozbawieniem, podczas gdy Xemerius udawał, że ma w ręku pilota i daremnie próbuje przełączyć się na inny program.

– Czy to prawda, co powiedziała Charlotta? – spytała Caroline, kiedy postawiłam ją na podłodze. –

Że pójdziesz na imprezę do Cynthii jako zielony worek na śmieci?

To na moment sprowadziło mnie na ziemię z mojego euforycznego odlotu.

– Cha, cha, cha – zaśmiał się Xemerius z mściwą satysfakcją. –Już to widzę: szczęśliwy zielony worek na śmieci, który wszystkich chciałby objąć i wycalować, bo życie jest takie cudowne.

– Hm, nie, jeśli będę mogła tego uniknąć.

O rany julek, miałam nadzieję, że uda mi się przekonać Leslie, by zostawiła pomysł z nowoczesnymi Marsjanami na inną imprezę. Skoro opowiadała o tym wszystkim naokoło, musiała być zachwycona, a jak Leslie jest czymś zachwycona, bardzo trudno ją od tego odwieść, wiedziałam to z doświadczenia.

Moja rodzina siedziała w komplecie wokół stołu i musiałam mocno się powstrzymać od tego, by ich też nie uszczęśliwić serdecznym uściskiem – mogłabym wycalować nawet ciotkę Glendę i

Charlotte (co zapewne dowodzi, w jak wyjątkowym stanie się znajdowałam). Ponieważ jednak

Xemerius przyglądał mi się ostrzegawczo, zadowoliliam się promiennym powitalnym uśmiechem i po drodze zmierzwiłam tylko włosy Nickowi. Ale kiedy zajęłam swoje miejsce i spojrzałam na talerz, na który mama zdążyła już nałożyć przystawkę, znowu zapomniałam o powściągliwości.

– Tarta ze szparagami! – wykrzyknęłam. – Czyż życie nie jest po prostu cudowne? Jest tyle rzeczy, którymi można się cieszyć, prawda?

– Jeśli jeszcze raz użyjesz słowa „cudowny”, narzygam ci do tej cholernej tarty ze szparagami! – warknął Xemerius.

Uśmiechnęłam się do niego, włożyłam sobie kęs do ust i promieniejąc ze szczęścia, rozejrzałam się wokół.

– Mieliście dobry dzień? – spytałam. Ciocia Maddy odpowiedziała mi uśmiechem.

– No cóż, wydaje się w każdym razie, że ty miałaś całkiem niezły.

Widelec Charlotty, skrzypiąc okropnie, przejechał po talerzu.

Tak – w rezultacie ten dzień naprawdę był całkiem niezły. Mimo że Gideon, Falk i pan Whitman nie pokazali się aż do mojego odjazdu i nie miałam już okazji sprawdzić, czy „kocham cię, Gwenny, proszę, nie zostawiaj mnie” było tylko moim urojeniem, czy też Gideon rzeczywiście to powiedział.

Pozostali Strażnicy bardzo się postarali, by poprawić mój, jak to nazwał Falk de Villiers, „opłakany stan”. Pan Marley chciał mnie nawet własnoręcznie uczesać, wolałam jednak zrobić to sama. Teraz miałam na sobie szkolny mundurek, a moje włosy, porządnie wyszczotkowane, opadały na plecy.

Mama pogładziła mnie po ręce.

– Cieszę się, że już jesteś zdrowa, serduszko.

Ciotka Glenda wymamrotała pod nosem coś, co zabrzmiało jak: „organizm jak u wiejskiej dziewczuchy”.

– No i co tam z tym zielonym workiem na śmieci? – spytała po chwili z fałszywym uśmiechem. – Nie mogę uwierzyć, że ty i twoja przyjaciółka Lassie tak chcecie iść na przyjęcie, które państwo

Dale wydają dla swej córki. Tobias Dale na pewno potraktuje to jako polityczny afront, jest przecież szycią wśród torysów.

– Hę? – odezwałam się.

– Mówi się „proszę” – zrugął mnie Xemerius.

– Glendo, naprawdę mnie zadziwiasz! – Lady Arista mlasnęła językiem. – Żadnej z moich wnuczek nigdy nie przyszło-by coś takiego do głowy. Worek na śmieci! Cóż to za bzdury! – prychnęła.

– Niby tak, ale jeśli się nie ma niczego zielonego, to chyba to lepsze niż nic – powiedziała uszczypliwie Charlotta. – W każdym razie w przypadku Gwen. – Och! – Ciocia Maddy spojrzała na mnie ze współczuciem. – Niech pomyślę. Mam miękki zielony szlafrok frotte, który mogłabym ci pożyczyć.

Charlotta, Nick, Caroline i Xemerius zachichotali, a ja uśmiechnęłam się do cioci Maddy.

– To miło z twojej strony, ciociu, ale Leslie się chyba nie zgodzi. Marsjanin nie może być w szlafroku.

– Sama słyszysz! One myślą o tym całkiem poważnie – sapnęła ciotka Glenda. – Moim zdaniem ta

Lassie ma na Gwendolyn zły wpływ. – Zmarszczyła nos. – Czegóż innego można się spodziewać po dziewczynie z proletariackiej rodziny? Ze też w ogóle przyjmują takich do Saint Lennox. Ja na pewno nie pozwoliłabym mojej córce kolegować się z ta...

– Dość tego, Glendo! – Mama spiorunowała swoją siostrę wściekłym spojrzeniem. – Leslie jest mądrą i dobrze wychowaną dziewczyną i wcale nie pochodzi z proletariackiej rodziny! Jej ojciec jest... jest...

– Inżynierem budowlanym – odpowiedziałam.

– Inżynierem budowlanym, a matka pracuje jako...

– Dietetyczka – uzupełniłam.

– A pies studiował w Goldsmith College – dodał Xeme-rius. – Bardzo szacowna rodzina.

– Nasz kostium nie ma wymowy politycznej – zapewniłam ciotkę Glendę i lady Ariste, które przyglądały mi się z uniesionymi brwiami. – To ma być sztuka. – Co prawda, to byłoby dla Leslie typowe, gdyby całej tej sprawie nadała polityczny ton. Jakby nie wystarczyło, że będziemy wyglądać okropnie. – I to jest impreza Cynthii, a nie jej rodziców, w przeciwnym razie nie odbywałaby się pod takim zielonym hasłem.

– To nie jest śmieszne – orzekła ciotka Glenda. –1 uważam, że to bardziej niż nieuprzejme nie zadać sobie trudu z przebraniem, podczas gdy gospodarze i pozostali goście nie szczędzą wysiłków. Na przykład kostium Charlotty...

– .. .kosztował majątek i leży na niej jak ulał, mówiłaś to już dzisiaj trzydzieści cztery razy – wpadła jej w słowo mama.

– Jesteś po prostu zazdrosna. Zawsze byłaś. Ale ja przynajmniej dbam o dobro swojej córki, w przeciwieństwie do ciebie – syknęła ciotka Glenda. – Tak mało interesujesz się życiem towarzyskim córki, że nawet nie zatroszczysz się o przyzwoity kostium...

– Życiem towarzyskim? – Mama przewróciła oczami. – Nie umiesz tego wyrazić jeszcze bardziej dziwacznie? To jest impreza urodzinowa koleżanki z klasy! Wystarczy, że te biedne dzieci w ogóle muszą się przebierać.

Lady Arista z brzękiem odłożyła sztucce.

– Mój Boże, macie ponad czterdzieści lat, a zachowujecie się jak nastolatki.

Oczywiście, że

Gwendolyn nie pójdzie na przyjęcie w worku na śmieci. A teraz, jeśli mogę prosić, zmieniamy temat.

– Tak, tak, porozmawiajmy znowu o starych, despotycznych smokach – zaproponował Xemerius. –

Albo o kobietach po czterdziestce, które nadal mieszkają z mamą.

– Nie możesz przecież rozkazy... – zaczęła mama, ale kopnęłam ją pod stołem w piszczel i uśmiechnęłam się do niej.

Westchnęła, ale odpowiedziała mi uśmiechem.

– Chodzi tylko o to, że nie mogę się spokojnie przyglądać, jak Gwendolyn rujnuje opinię o naszej ro... – odezwała się ciotka Glenda, lecz lady Arista nie dała jej dokończyć. – Glendo, jeśli się w tej chwili nie zamkniesz, to pójdziesz spać bez kolacji – prychnęła i wszyscy się roześmiali, prócz niej samej i ciotki Glendy, nawet Charlotta.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi.

Przez kilka sekund nikt nie reagował, po prostu jedliśmy dalej, aż nam się przypomniało, że pan

Bernhard ma dziś wolne. Lady Arista westchnęła.

– Byłabyś tak miła, Caroline? Jeśli to pan Turner w związku z tegoroczną dekoracją latarni, powiedz mu, że nie ma mnie w domu. – Odczekała, aż Caroline zniknie, i pokręciła głową. – Ten człowiek mnie wykończy. Powiem tylko tyle: pomarańczowe begonie! Mam nadzieję, że dla takich ludzi przewidziane jest osobne piekło.

– Ja też mam taką nadzieję – poparła ją ciocia Maddy. Minutę później Caroline wróciła.

– To Gollum! – zawołała. – I chce się widzieć z Gwendolyn.

– Gollum? – Mama, Nick i ja powtórzyliśmy to chórem.

Przypadkiem Władca pierścieni był naszym ulubionym filmem, tylko Caroline nie pozwolono go obejrzeć, bo była za mała.

Caroline z zapałem pokiwała głową.

– Tak, czeka na dole. Nick roześmiał się.

– Super, kochanie! Koniecznie muszę go zobaczyć!

– Ja też – dorzucił Xemerius, ale nadal wisiał leniwie na żyrandolu i drapał się po brzuchu.

– Na pewno masz na myśli Gordona – powiedziała Charlotta. – Przyszedł do mnie. Ale jest za wcześnie. Powiedziałam: wpół do dziewiątej.

– Och, jakiś wielbiciel, króliczku? – spytała z zachwytem ciocia Maddy. – Jak cudnie! Może zajmiesz sobie myśli czymś innym.

Charlotta zrobiła obrażoną minę.

– Nie, ciociu Maddy, Gordon to tylko chłopak z mojej klasy, a ja mu pomagam napisać wypracowanie o sygnetach rodowych.

– Ale on powiedział, że przyszedł do Gwendolyn – upierała się Caroline, jednak Charlotta zdążyła już odsunąć ją na bok i wybiegła z pokoju, a moja siostra pospieszyła za nią.

– Może zjeść z nami! – zawołała za nimi ciotka Glenda. – Ona jest zawsze taka chętna do pomocy. –

Odwróciła się do nas. – Nawiasem mówiąc, Gordon Gelderman jest synem Kyle'a Arthura

Geldermana.

– Proszę, proszę – wtrącił Xemerius.

– Ktokolwiek to jest – powiedziała mama.

– Kyle Arthur Gelderman – powtórzyła ciotka Glenda, tym razem akcentując każdą sylabę. – Gigant handlowy! Nic ci to nie mówi? To też dla ciebie typowe. Nie masz pojęcia, w jakim środowisku obraca się twoja córka. Twoje zaangażowanie jako matki doprawdy woła o pomstę do nieba. No, ale cóż, ten chłopiec i tak nie jest zainteresowany Gwendolyn.

Mama westchnęła.

– Glen, wiesz co, naprawdę powinnaś znowu zacząć brać te tabletki na menopauzę.

Brwi lady Aristy niemal zetknęły się pośrodku, tak ponuro je zmarszczyła, i już nabrała powietrza, pewnie po to, by odesłać mamę i ciotkę Glendę do łóżek bez deseru, kiedy wróciła Caroline.

– No i Gollum naprawdę przyszedł do Gwendolyn – oznajmiła triumfalnie.

Wsadziłam sobie właśnie spory kawałek tarty do ust i o mało jej nie wyplułam, kiedy zobaczyłam, że do pokoju wchodzi Gideon, a za nim Charlotta z twarzą zamienioną w kamień.

– Dobry wieczór – przywitał się uprzejmie Gideon. Miał na sobie dżinsy i spraną zieloną koszulę.

Najwyraźniej zdążył w tym czasie wziąć prysznic, bo jego włosy były wilgotne i w nieładzie wiły się wokół twarzy. – Przepraszam bardzo. Naprawdę nie chcę przeszkadzać w kolacji, chciałem się tylko zobaczyć z Gwendolyn.

Przez chwilę wszyscy milczeli. No, może pomijając Xeme-riusa, który wprost pękał ze śmiechu, zwisając z żyrandola. Nie mogłam nic powiedzieć, bo byłam zajęta gorączkowym przełykaniem jedzenia. Nick chichotał, mama spoglądała to na Gideona, to na mnie, ciotce Glendzie znowu wyskoczyły czerwone plamy na szyi, a spojrzenie lady Aristy na Gideona spokojnie mogło się równać spojrzeniu na pomarańczową begonię.

Tylko ciocia Maddy zachowała jakie takie maniery.

– Ależ nie przeszkadza pan – powiedziała przyjaźnie. – Proszę, niech pan usiądzie koło mnie.

Charlotto, podaj jeszcze jedno nakrycie.

– Tak, talerz dla Golluma – szepnął do mnie Nick i wyszczerzył zęby.

Charlotta zignorowała ciocię Maddy i wróciła na swoje miejsce, wciąż ze skamieniałą twarzą.

– To bardzo miłe, dziękuję, ale już jadłem kolację – odrzekł Gideon.

W końcu udało mi się przełknąć kawałek tarty i szybko wstałam od stołu.

– Ja się właściwie już najadłam – oznajmiłam. – Czy nic się nie stanie, jak sobie pójdę? – Najpierw popatrzyłam na mamę, a potem na babcię.

Obie wymieniły dziwne, zgodne spojrzenia i jednocześnie westchnęły, nieskończenie głęboko.

– Oczywiście, że nie – powiedziała mama.

– Ale ciasto czekoladowe – przypomniała mi Caroline.

– Zostawimy Gwendolyn kawałek. – Lady Arista kiwnęła do mnie głową.

Dość sztywno podeszłam do Gideona.

– W pokoju zapanowała martwa cisza – szepnął Xemerius z żyrandola. – Wzrok wszystkich spoczywał na dziewczynie w bluzce w kolorze żółtych sików...

Wrrr, miał rację. Ogarnęła mnie złość, że nie wzięłam wcześniej prysznic i nie przebrałam się – ten kretyński szkolny mundurek był chyba najmniej twarżową rzeczą w mojej garderobie. Ale kto mógł przypuszczać, że dziś wieczorem będę jeszcze miała gościa? I to gościa, przy którym mój wygląd był tak ważny?

– Cześć! – Gideon uśmiechnął się po raz pierwszy, od kiedy wszedł do tego pokoju.

Odpowiedziałam mu speszonym uśmiechem.

– Cześć, Gollum.

Uśmiech Gideona się pogłębił.

– Nawet cienie na ścianach umilkły, gdy tych dwoje spojrzało na siebie tak, jakby właśnie usiedli na pierdzących poduszkach – powiedział Xemerius i sfrunął za nami z żyrandola. – Zabrzmiała romantyczna muzyka skrzypiec, a potem wymknęli się ramie w ramie z pokoju, dziewczyna w bluzce w kolorze żółtych sików i chłopak, który koniecznie powinien pójść do fryzjera. – Pofrunął za nami, ale obok schodów skręcił w lewo. – Mądry i piękny demon Xemerius podążyłby za nimi jako przyzwoitka, gdyby po tak obfitym spektaklu uczuć nie musiał najpierw zaspokoić swego niepohamowanego apetytu! Dziś zeżre pewnie w końcu tego tłustego klarnecistę, który straszył pod numerem 23 i przez cały dzień masakrował Glenna Millera. – Pomachał mi łapą, a potem wyfrunął przez okno na korytarzu.

Gdy dotarliśmy do mojego pokoju, z ulgą stwierdziłam, że na szczęście zabrakło mi czasu, by zniszczyć ten cudowny porządek, jaki zaprowadziła u mnie w srode ciocia Maddy. No dobra, łóżko nie było posłane, a te parę rozrzuconych ciuchów zebrałam dwoma, trzema ruchami ręki i cisnęłam na krzesło, do innych. Potem odwróciłam się do Gideona, który milczał przez całą drogę na górę.

Przypuszczalnie nie pozostało mu nic innego, ponieważ – wciąż jeszcze zmieszana i wytrącona z równowagi – po odfrunięciu Xemeriusa nadawałam

jak karabin maszynowy. Jak nakręcona nawijałam i nawijałam o obrazach, które mijaliśmy. O każdym z około jedenastu tysięcy sztuk.

– To są moi pradziadkowie, nie mam pojęcia, dlaczego kazali namalować się na olejno, przecież istniały już wówczas fotografie. Ten gruby na stołku to mój praprapradziadek Hugh jako mały chłopiec, razem ze swoją siostrą Petronellą i trzema króliczkami. To jest arcyksiężna, której imię akurat wyleciało mi z głowy, niespokrewniona, ale na obrazie ma na sobie kolbę należąca do rodziny Montrose, dlatego może tutaj wisieć. A teraz jesteśmy na drugim piętrze, dlatego na wszystkich obrazach w tym korytarzu możesz podziwiać Charlotte. Ciotka Glenda co kwartał chodzi z nią do fotografa, który rzekomo fotografuje również rodzinę królewską. To jest moje ulubione zdjęcie: Charlotta jako dziesięciolatka z mopsem, któremu śmierdziało z pyska, co trochę widać po Charlotte, nie sądzisz...?

I tak dalej, i tak dalej. To było straszne. Zamilkłam dopiero w swoim pokoju. Ale tylko dlatego, że nie wisiały tu żadne obrazy.

Wyglądziłam kołdrę na łóżku, ukradkiem chowając pod poduszką koszulę nocną z Hello Kitty, po czym odwróciłam się i spojrzałam wyczekująco na Gideona. Teraz wreszcie mógł coś powiedzieć.

Ale nie zrobił tego. Dalej tylko uśmiechał się do mnie, jakby nie wierzył do końca w to, co widzi.

Serce podskoczyło mi w piersi, a potem się zatrzymało. No super! Na luzie przeżyło cios szpada, ale z Gideonem nie potrafiło sobie dać rady. Zwłaszcza wtedy, gdy patrzył tak jak teraz.

– Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierałaś komórki – powiedział w końcu.

– Bateria mi się wyładowała.

Wyzionęła ducha w limuzynie, w samym środku rozmowy z Leslie. Ponieważ Gideon znowu zamilkł, wyciągnęłam komórkę z kieszeni spódnicy i zaczęłam szukać ładowarki. Ciocia Maddy zwinęła ją porządnie i włożyła do szuflady biurka.

Gideon oparł się plecami o drzwi.

– To był dość dziwny dzień, prawda?

Skinęłam głową. Telefon został podłączony. Nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym zrobić, więc przysiadłam na brzegu biurka. – Myślę, że to byt

najstraszniejszy dzień w całym moim życiu – powiedział Gideon. – Kiedy leżałaś tam na ziemi... – Jego głos lekko się załamał.

Odsunął się od drzwi i podszedł do mnie.

Nagle opanowała mnie przemożna potrzeba, by go pocieszyć.

– Przykro mi, że... że napędziłam ci takiego stracha. Ale ja naprawdę myślałam, że będę musiała umrzeć.

– Ja też tak myślałem. – Przełknął ślinę i zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę.

Choć Xemerius dawno już odleciał do swego kłarnecisty, mój mózg bez trudu wypluł jego komentarz: „Jego iskrzące się zielono spojrzenie rozpałiło płomień jej serca pod bluzką w kolorze żółtych sików. Wtulona w jego męską pierś, dała upust łzom”.

O Boże, Gwendolyn! Nie da się jeszcze bardziej histerycznie?

Mocno wczepiłam się w biurko.

– Właściwie powinieneś być lepiej wiedzieć, co się ze mną dzieje – zauważyłam. – W końcu studiujesz medycynę.

– Tak, i właśnie dlatego było dla mnie jasne, że ty... – Stanął naprzeciw mnie i dla odmiany to on zagryzł dolną wargę, co mnie od razu znowu wzruszyło. Powoli podniósł rękę. – Ostrze szpady było w tobie tak głęboko... Rozsunął kciuk i palec wskazujący. – Małe zadrapanie nie przewróciłoby cię na ziemię. I natychmiast zniknęły ci kolory z twarzy i oblał cię zimny pot. Dlatego było dla mnie jasne, że Alastair trafił w duże naczynie krwionośne. Miałaś krwotok wewnętrzny.

Gapiałam się na jego rękę unoszącą się przed moją twarzą.

– Sam widziałeś tę ranę, jest naprawdę niegroźna. – Odchrząknęłam. Jego bliskość coś robiła z moimi strunami głosowymi. – To... to musiało... może to był po prostu szok. No wiesz, wmówiłam sobie, że jestem ciężko ranna, i dlatego wyglądało to tak, jakbym...

– Nie, Gwenny, nie wmówiłaś sobie tego.

– No to jakim cudem została mi tylko taka mała rana? Cofnął rękę i zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem.

– Też tego najpierw nie rozumiałem – odezwał się gwałtownie. – Poczulem taką... ulgę, że żyjesz, że wmówiłem sobie, że na tę sprawę z raną musi być

jakieś logiczne wytłumaczenie. Ale potem, pod prysznicem, nagle mnie oświeciło.

– To chyba jest to – powiedziałam. – Ja się jeszcze nie kąpałam. – Zdjęłam zdrętwiałe palce z blatu biurka i usiadłam na dywanie. Okej, tak było znacznie lepiej. Przynajmniej kolana już nie będą mi się trzęsły.

Oparta plecami o łóżko, podniosłam na niego wzrok.

– Musisz się tak miotać? Wytrąca mnie to z równowagi. To znaczy staje się jeszcze bardziej zdenerwowana, niż i tak jestem.

Gideon ukląkł na dywanie wprost przede mną i położył mi dłoń na ramieniu, i teraz nie potrafiłam go już uważnie słuchać, pochłonięta masą nieistotnych myśli, w rodzaju: „Mam nadzieję, że przynajmniej ładnie pachnę” czy też: „Ojej, nie mogę zapomnieć o oddychaniu”.

– Czy znasz to uczucie, kiedy rozwiązując sudoku, znajdujesz liczbę, dzięki której można wypełnić wszystkie pozostałe pola? – spytał.

Z wahaniem skinęłam głową.

Gideon głaskał mnie, z namysłem mówiąc dalej:

– Już od wielu dni zastanawiam się nad tyloma rzeczami, ale dopiero dziś wieczorem znalazłem... tę jedną magiczną liczbę, rozumiesz? Wciąż od nowa czytałem te papiery, tak wiele razy, że znałem je już prawie na pamięć...

– Jakie papiery? – przerwałam mu. Puścił mnie.

– Papiery, które Paul dostał od lorda Alastaira w zamian za drzewa genealogiczne. Paul mi je dał, i to tego dnia, kiedy rozmawiałaś z hrabią. – Uśmiechnął się krzywo, widząc na mojej twarzy liczne znaki zapytania. – Opowiadałem ci o tym, ale ty za bardzo byłaś zajęta zadawaniem mi dziwnych pytań, a w końcu uciekłaś, zraniona do głębi. Nie mogłem za tobą pójść, bo doktor White upierał się, żeby opatrzyć mi ranę, pamiętasz?

– To było ledwie w poniedziałek, Gideonie.

– Tak, zgadza się. Człowiekowi się wydaje, że to cała wieczność, prawda? Kiedy pozwolono mi wreszcie pójść do domu, dzwoniłem do ciebie co dziesięć minut, żeby ci powiedzieć, że cię... – odchrząknął i znów wziął mnie za rękę – ...żeby ci wszystko wytłumaczyć, ale przez cały czas było zajęte.

– Tak, opowiadałam wtedy Leslie, co z ciebie za podły drań – powiedziałam. – Ale mamy też telefon stacjonarny, wiesz?

Zignorował moją uwagę.

– Między kolejnym wybieraniem numeru zacząłem czytać te papiery. Chodzi o przepowiednie i notatki należące do hrabiego. Dokumenty, których Strażnicy nie znają. Które z pełną premedytacją zataił przed własnymi ludźmi.

Westchnęłam.

– Niech zgadnę. Jeszcze więcej głupkowatych wierszyków. A ty nie zrozumiałeś z nich ani słowa.

Gideon pochylił się.

– Nie, wręcz przeciwnie – powiedział wolno. – To było dość jednoznaczne. Napisano tam, że ktoś musi umrzeć, by kamień filozoficzny osiągnął pełnię swojej mocy. – Spojrzał mi prosto w oczy. – A tym kimś jesteś ty.

– Aha. – Nie zrobiło to na mnie aż takiego wrażenia, jakie pewnie powinno było zrobić. – To znaczy, że to ja jestem ceną, którą trzeba zapłacić.

– Byłem wstrząśnięty, kiedy to przeczytałem. – Gideonowi spadł na twarz kosmyk włosów, ale nawet tego nie zauważył. – Na początku w ogóle nie mogłem w to uwierzyć, ale przepowiednie były jednoznaczne. Gaśnie życie rubina, śmierć rubina wyznacza kres, dwunasta gwiazda blednie i tak dalej, i tak dalej, bez końca. – Zrobił małą pauzę. – Jeszcze bardziej jednoznaczne były zapiski, które hrabia poczynił na marginesie. Jak tylko krąg się zamknie i eliksir odnajdzie swoje przeznaczenie, umrzesz. Jest to napisane niemal dosłownie.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– A jak mam umrzeć? – Mimo woli znowu pomyślałam o zakrwawionym ostrzu szpady lorda

Alastaira. – Czy to też napisano?

Gideon uśmiechnął się lekko.

– No więc przepowiednie są jak zawsze mętne, ale jedna rzecz była co rusz podkreślana. Że ja, czyli diament, lew, numer jedenaście, będę miał z tym coś wspólnego. – Uśmiech zniknął mu z twarzy, a w jego głosie zabrzmiało coś, czego jeszcze nigdy przedtem nie słyszałam. – Że umrzesz przeze mnie. Z miłości.

– Och... Hm... Ale... – zaczęłam się jąkać. – To tylko jakieś wierszyki. Gideon potrząsnął głową.

– Czy nie rozumiesz, że nie mogłem do tego dopuścić, Gwenny? Tylko dlatego dałem się wciągnąć w tę twoją głupią grę i zachowywałem się tak, jakbym cię oszukiwał i igrał z twoimi uczuciami.

Teraz mnie oświeciło.

– Żeby nie wpadła na pomysł, by umrzeć z miłości do ciebie, to następnego dnia zatroszczyłeś się, żebym cię znienawidziła? To było naprawdę... jak by to powiedzieć... rycerskie z twojej strony. –

Nachyliłam się i odgarnęłam mu ten niesforny kosmyk z twarzy. – Naprawdę, bardzo rycerskie.

Gideon uśmiechnął się słabo.

– Uwierz mi, to było najtrudniejsze, co kiedykolwiek uczyniłem.

Teraz, kiedy już zaczęłam, nie mogłam oderwać od niego dłoni. Moje palce wędrowały powoli po twarzy Gideona. Nie zdążył się ogolić, ale ten zarost był w dotyku bardzo sexy.

– Zostańmy przyjaciółmi... to było naprawdę genialne posunięcie – mruknęłam. – Natychmiast cię znienawidziłam.

Gideon westchnął.

– Ale ja wcale tego nie chciałem... naprawdę pragnąłem, żebyśmy byli przyjaciółmi. – Chwycił mnie za rękę i przytrzymał przez chwilę. – A te słowa wprawiły cię w taką wściekłość, że... – Reszta zdania zawisła w powietrzu.

Pochyliłam się jeszcze bardziej i ujęłam jego twarz w dłonie.

– No to może po prostu zapamiętaj sobie na przyszłość – szepnęłam. – Nigdy, przenigdy nie proponuj przyjaźni dziewczynie, z którą się całowałeś.

– Poczekaj, Gwen, to jeszcze nie wszystko, muszę ci jeszcze coś... – zaczął, ale ja nie miałam zamiaru zwlekać. Przytknęłam ostrożnie wargi do jego ust. Gideon odwzajemnił mój pocałunek, najpierw delikatnie i ostrożnie, ale kiedy objęłam go rękami za szyję, pocałunek stał się gwałtowniejszy. Jego lewa dłoń zanurzyła się w moich włosach, a prawa zaczęła gładzić mnie po szyi i powoli wędrowała w dół. Kiedy dotarła do pierwszego od góry guzika bluzki, zadzwoniła moja komórka. Ściszej biorąc, rozległa się tytułowa melodia z Pewnego razu na Dzikim Zachodzie.

Niechętnie odsunęłam się od niego.

– Leslie – powiedziałam, rzuciwszy okiem na wyświetlacz. – Muszę odebrać. Choćby na chwilę, bo będzie się martwić.

Gideon się uśmiechnął.

– Nie bój się. Nie zamierzam rozpuścić się w powietrzu.

– Leslie? Mogę potem oddzwonić? I dziękuję za nowy sygnał, bardzo śmieszne.

Leslie w ogóle mnie nie słuchała.

– Gwen, uważaj, skończyłam Annę Kareninę – wybuchnęła. – I wydaje mi się, że wiem teraz, co hrabia naprawdę zamierza z tym kamieniem filozoficznym.

Kamień filozoficzny mógł mi skoczyć. Przynajmniej w tym momencie.

– Och, to wspaniale. – Spojrzałam na Gideona. – Musimy koniecznie później...

– Nie ma sprawy – powiedziała Leslie. – Już jestem w drodze.

– Naprawdę? Ja...

– No cóż, właściwie już tutaj jestem.

– Gdzie?

– No, tutaj. Stoję u was w korytarzu. A za mną idzie akurat po schodach twoja mama z rodzeństwem. Z tyłu wlecze się twoja cioteczna babka. No, teraz mnie już wyprzedzili i obawiam się, że lada chwila do ciebie zapukają...

Caroline w ogóle nie zadała sobie tego trudu. Bez ceregieli gwałtownie otworzyła drzwi.

– Ciasto czekoladowe dla wszystkich! – zawołała, promieniejąc z radości. A potem odwróciła się do pozostałych. – Widzicie, wcale się nie całują – powiedziała.

Rozdział 11

Ten dzień doprawdy był pełen samych dziwnych rzeczy (najważniejsza jeszcze raz w skrócie: Gideon mnie kocha! Ach, no i oczywiście ta historia ze szpadą i umieraniem), ale wieczorny rodzinny piknik w moim pokoju wydał mi się najdziwniejszy. Zgromadzili się prawie wszyscy ludzie, którzy znaczyli dla mnie najwięcej na świecie – śmiali się i gadali jeden przez drugiego: mama, ciocia Maddy, Nick, Caroline, Leslie... i Gideon! I wszyscy mieli na twarzach czekoladę (ponieważ ciotce Glendzie i Charlottcie przeszedł apetyt, a lady Arista z zasady gardziła słodyczami, mieliśmy cały czekoladowy tort dla siebie). Może to za sprawą tortu między Gideonem i moją rodziną natychmiast zapanowała bliskość, a może to dlatego, że był tak rozluźniony, jakim go nigdy wcześniej nie widziałam. I to mimo iż mama i ciocia Maddy zadawały mu szereg dziwnych, a czasem wręcz przykrych pytań, a Nick w dalszym ciągu uparcie nazywał Gollumem.

Kiedy pochłonęliśmy wszystko co do okruszka, ciocia Maddy wstała, postępując.

– Chyba muszę iść na dół wspomóc Aristę. Pan Turner razem z tym małym wielbicielem Charlotty wdarł się do domu i na pewno wciąż kłóć się o begonie. – Obdarzyła Gideona jednym ze swych różanych uśmiechów z dołączkami. – Wie pan, jak na de Villiersa jest pan naprawdę nadzwyczaj sympatyczny, Gideonie.

Gideon też się podniósł.

– Bardzo dziękuję – odrzekł wesoło i uścisnął rękę cioci Maddy. – Niezwykle miło było panią poznać.

– Uch! – Leslie zdzieliła mnie łokciem w żebra. – Do tego jest dobrze wychowany. Dźwiga tyłek do góry, kiedy dama wstaje. I cóż za słodki tyłek! Szkoda, że to taki drań.

Przewróciłam oczami.

Mama otrzepała okruszki z sukienki i postawiła Caroline i Nicka na nogi.

– Wy dwoje, chodźcie już, czas do łóżka.

– Mamo – odezwał się Nick z wyrzutem. – Jest piątek, a ja mam dwanaście lat.

– Ja też bym jeszcze chętnie została, proszę. – Caroline spojrzała niewinnie na Gideona. – Lubię cię – powiedziała. – Jesteś miły i strasznie przystojny.

– No, naprawdę – szepnęła do mnie Leslie. – Czy on się czasem nie zaczerwienił?

Tak to wyglądało. Ale słodko.

Łokieć Leslie ponownie wylądował w moich żebrach.

– Gapisz się jak cielę na malowane wrota – syknęła.

W tym momencie Xemerius wleciał przez zamknięte okno i wylądował na stole, bekając z zadowoleniem.

– Kiedy mądry i nadzwyczaj piękny demon wrócił pełen nadziei ze swej wyprawy, musiał niestety stwierdzić, że w tym czasie dziewczyna nie straciła ani swojej bluzki w kolorze żółtych sików, ani swej niewinności – zacytował z własnej nienapisanej powieści.

– Zamknij się – wycedziłam niemo w jego stronę.

– Chciałem tylko powiedzieć – rzucił obrażony – że była okazja. W końcu już nie jesteś najmłodsza i kto wie, czy jutro znowu nie będziesz bez reszty nienawidzić tego faceta.

Kiedy ciocia Maddy wyszła, a mama wyprowadziła z pokoju moje rodzeństwo, Gideon zamknął drzwi i spojrzał na nas z uśmiechem.

Leslie podniosła obie ręce.

– O nie, zapomnij. Ja nie pójdę. Mam do omówienia z Gwen ważne sprawy. Ścisłe tajne.

– To ja też nie idę – oznajmił Xemerius, wskoczył na moje łóżko i ułożył się na poduszce.

– Les... wydaje mi się, że ukrywanie czegokolwiek przed Gideonem nie jest już konieczne – powiedziałam. – Myślę, że dobrze byłoby wrzucić całą naszą wiedzę do jednego kotła. – No, całkiem ładnie to ujęłam.

– Tym bardziej że moim zdaniem Google niewiele tu pomoże – wtrącił z drwiną Gideon. – Wybacz,

Leslie, ale pan Whitman pokazał mi ostatnio taki ładny segregator, w którym zebrałaś wszelkie... hm... informacje.

– Że co? – Leslie podparła się pod boki. – A ja właśnie myślałam, że może nie jesteś takim aroganckim dupkiem, jak zawsze mówiła Gwen. Akurat ładny! – Nieco zmieszana zmarszczyła nos.

– Cóż to za chamstwo, że Wiewiórka pokazuje wszystkim mój segregator. To internetowe śledztwo na początku było wszystkim, co miałyśmy, i byłam z niego dumna.

– Tymczasem dowiedziałyśmy się o wiele więcej – wyjaśniłam Gideonowi. – Po pierwsze, Leslie jest genialna, a po drugie, wielokrotnie spotkałam się z moim dziełem...

– Nie ma mowy o tym, żeby wyjawiać mu nasze źródła. – Leslie spiorunowała mnie wzrokiem. – On wciąż jest jednym z nich, Gwen. Nawet jeśli omamił hormonalnie twoje zmysły.

Gideon uśmiechnął się, siadając po turecku na dywanie.

– Okej. W takim razie najpierw ja. – I nie czekając na zgodę Leslie, zaczął raz jeszcze opowiadać o papierach, które dostał od Paula.

W przeciwieństwie do mnie Leslie była więcej niż przerażona, słysząc, że mam umrzeć, jak tylko krąg krwi się zamknie. Pod piegami zrobiła się zupełnie blada.

– Czy mogę zobaczyć te papiery? – spytała.

– Jasne.

Gideon wyciągnął z kieszeni spodni kilka złożonych kartek, parę innych wyjął z kieszeni koszuli.

Papier był pożółkły i mocno poprzecierany na zgięciach, o ile dobrze widziałam.

Leslie patrzyła na niego w osłupieniu.

– I tak po prostu spacerujesz sobie z tym w kieszeniach? To cenne oryginalne dokumenty, a nie... chusteczki do nosa. – Sięgnęła po nie. – Niemal się już rozpadają. Typowy facet! – Ostrożnie rozłożyła kartki. – I jesteś całkowicie pewny, że to nie są falsyfikaty?

Gideon wzruszył ramionami.

– Nie jestem ani grafologiem, ani historykiem. Ale wyglądają dokładnie tak samo jak oryginały przechowywane przez Strażników.

– W odpowiedniej temperaturze i pod szkłem, mogę się założyć – powiedziała Leslie, wciąż z wyrzutem. – Tak jak należy.

– A jak członkowie Sojuszu Florenckiego weszli w ich posiadanie? – spytałam.

Gideon ponownie wzruszył ramionami.

– Zakładam, że przez kradzież. Nie miałem dość czasu, by przekopać się przez Kroniki w poszukiwaniu wskazówek. W ogóle nie miałem dość czasu, by to wszystko posprawdzać. Od wielu dni łączę z tymi papierami. Znam je na pamięć, ale za bardzo po ich lekturze nie zmadrzałem. Prócz tego, co dotyczy tej sprawy.

– W każdym razie nie poleciałeś z tym od razu do Falka i nie pokazałeś mu tego wszystkiego.

– Ale zastanawiałem się, czy to zrobić... – Gideon westchnął. – W tej chwili po prostu już nie wiem, komu mogę ufać.

– Nie ufaj nikomu – szepnęłam, przewracając przy tym teatralnie oczami. – W każdym razie tak surowo nakazała mi mama.

– Twoja mama – mruknął Gideon. – Ciekawe, ile wie o tym wszystkim.

– To znaczy, że kiedy krąg zostanie zamknięty i hrabia będzie miał ten eliksir, Gwendolyn... – Leslie nie zdobyła się na to, by dokończyć.

– .. .umrze – uzupełniłam.

– ...padnie trupem, wyciągnie kopyta, przekreśli się, wyzionie ducha, uda się na wieczny spoczynek, zejdzie, kopnie w kalendarz – podpowiedział senny Xemerius.

– ...zostanie zamordowana! – Leslie dramatycznym gestem chwyciła mnie za rękę. – Bo przecież nie padniesz martwa sama z siebie! – Przejechała ręką po rozczochranych włosach, które i tak sterczały na wszystkie strony. Gideon odchrząknął, chcąc coś wtrącić, ale Leslie nie dała mu dojść do słowa.

– Szczerze mówiąc, przez cały czas miałam złe przeczucia. Już tamte wiersze są straszne... złowieszcze. I zawsze jakoś się mrocznie odnoszą do kruka, rubinu, numeru dwunastego. Poza tym to pasuje do tego, czego ja się dowiedziałam. – Puściła moją rękę i sięgnęła do swojego (nowiutkiego) plecaka, żeby wyjąć Annę Kareninę. – No cóż, właściwie dowiedzieli się tego Lucy i Paul, i twój dziadek... i Giordano.

– Giordano? – powtórzyłam zdumiona.

– Tak! Nie czytałaś jego rozpraw? – Leslie kartkowała książkę. – Strażnicy musieli go przyjąć do łoża, żeby przestał trąbić na prawo i lewo o swoich teoriach.

Zawstydzona pokręciłam głową. Już po pierwszym zdaniu straciłam zainteresowanie pisaniną

Giordana (pomijając sam fakt, że napisał to Giordano, też coś!).

– Obudźcie mnie, jak zrobi się ciekawie – powiedział Xeme-rius i zamknął oczy. – Potrzebuję drzemki na trawienie.

– Nigdy nie traktowano poważnie Giordana jako historyka, wśród Strażników także – wtrącił Gideon. – Opublikował bezładny zbiór wątpliwych ezoterycznych historii, których zwolennicy nazywają hrabiego Wyniesionym, Przeobrażonym, cokolwiek by to miało znaczyć.

– Mogę ci to dokładnie wyjaśnić. – Leslie podetknęła mu Annę Kareninę pod nos, jakby to był dowód rzeczowy. – W swoich badaniach historycznych Giordano natknął się na protokoły inkwizycyjne i listy z szesnastego wieku. Źródła dowodzą, że hrabia de Saint Germain jako bardzo młody człowiek spłodził w czasie jednej ze swych podróży dziecko z pewną hrabiowską córką o imieniu Elisabetta di Madrone, która przebywała w klasztorze. A przy tej okazji – wzięła głęboki wdech – no tak, pewnie przedtem albo potem wszystko jej o sobie opowiedział, prawdopodobnie dlatego, że był jeszcze młody i głupi, a może po prostu czuł się bezpieczny.

– Wszystko, to znaczy co? – zapytałam.

– Bardzo chętnie ujawnił jej wszelkie informacje o swoim pochodzeniu i prawdziwym nazwisku, o umiejętności podróży w czasie i o tym, że jest w posiadaniu bezcennych tajemnic. Tajemnic, które mogą mu umożliwić wyprodukowanie kamienia filozoficznego.

Gideon skinął głową, jakby znał tę historię, ale Leslie nie dała się zmylić.

– Niestety, w szesnastowiecznych Włoszech nie zostało to dobrze przyjęte – mówiła dalej. – Uznano hrabiego za groźnego demona, a ojciec Elisabetty był tak wściekły, że założył Sojusz Florencki i poświęcił resztę życia na tropienie hrabiego i jemu podobnych, tak samo jak wiele pokoleń po nim.

– Zamilkła. – Jak ja do tego doszłam? Boże, moja głowa jest tak wypełniona informacjami, że wydaje mi się, iż w każdej chwili może pęknąć.

– A cóż, u diabła, ma z tym wspólnego Tołstoj? – spytał Gideon, spoglądając z irytacją na książkę spreparowaną przez Lucasa. – Nie gniewaj się, ale naprawdę nie powiedziałaś mi dotąd nic nowego.

Leslie rzuciła mu ponure spojrzenie.

– Za to mnie tak – wtrąciłam pospiesznie. – Ale miałaś wyjaśnić, jakie zamiary ma hrabia wobec kamienia filozoficznego!

– Jasne. – Leslie zmarszczyła czoło. – Chciałam zrobić dłuższy wstęp, bo oczywiście to chwilę trwało, nim potomkowie hrabiego di Madrone spotkali pierwszego podróżnika w czasie, Lancelota de... – Możesz to spokojnie skrócić – wpadł jej w siwo Gideon. – Bo aż tak strasznie dużo czasu to nie mamy. Pojutrze znowu spotykamy się z hrabią, a tymczasem, zgodnie z jego poleceniem, mam załatwić krew Lucy i Paula. Obawiam się, że jeśli mi się to nie uda, hrabia wyciągnie z kapelusza inny plan. – Westchnął. – No więc?

– Ale nie możemy lekceważyć szczegółów. – Leslie również westchnęła i na chwilę schowała twarz w dłoniach. – No dobra. Strażnicy sądzą, że kamień filozoficzny to coś, co w sposób zdecydowany pchnie ludzkość do przodu, ponieważ uleczy ją z wszelkich chorób, prawda?

– Prawda – powiedzieliśmy z Gideonem jednym głosem.

– Ale Lucy i Paul oraz dziadek Gwenny, a także członkowie Sojuszu Florenckiego byli zdania, że to kłamstwo.

Skinęłam głową.

– Poczekaj. – Gideon zmarszczył brwi. – Dziadek Gwenny? Nasz Wielki Mistrz, nim został nim mój wuj Falk?

Znowu skinęłam głową, tym razem z pewnym poczuciem winy. Przyjrzał mi się i nagle najwyraźniej go olśniło.

– Mów dalej, Leslie – powiedział. – Na co się natknęłaś?

– Lucy i Paul uważali, że hrabia chce zdobyć kamień filozoficzny wyłącznie dla siebie. – Leslie przerwała na chwilę, żeby się upewnić, że spijamy słowa z jej ust. – Ponieważ kamień filozoficzny jego i tylko jego ma uczynić nieśmiertelnym.

Gideon i ja milczeliśmy. Jeśli o mnie chodzi, byłam pod wrażeniem odkryć Leslie. Jeśli chodzi o

Gideona, nie wiem. Wyraz jego twarzy nawet w przybliżeniu nie zdradzał, co czuje.

– Hrabia musiał oczywiście wymyślić tę całą bujdę z ratunkiem dla ludzkości, baję, baję, żeby przekonać ludzi do działania na jego rzecz – ciągnęła Leslie. – Raczej nie udałooby mu się zbudować tak potężnej tajnej organizacji, gdyby wyjawiał, co naprawdę zamierza.

– I to wszystko? Chodzi tylko o to, że ten stary przyk boi się śmierci? – spytałam.

Byłam niemal trochę rozczarowana. I temu mają służyć te tajemnice? Po to cały ten trud?

Podczas gdy ja sceptycznie kręciłam głową i zaczynałam w myślach tworzyć zdanie zaczynające się od „ale...”, brwi Gideona jeszcze bardziej się do siebie zbliżyły.

– To by pasowało – mruknął. – Cholera, Leslie ma rację. Pasuje.

– Co pasuje? – spytałam.

Zerwał się i zaczął przemierzać pokój.

– Nie mogę uwierzyć w to, że moja rodzina od wieków ślepo chodziła za nim na sznurku – powiedział. – Że ja ślepo chodziłem za nim na sznurku! – Zatrzymał się przede mną i wziął głęboki wdech. – „Woń czasu wypełni powietrze, jeden z nich tylko otrzyma życie wieczne”. Można się zorientować, jeśli się to dokładnie przeczyta. „Zarazy uleczy i wszelkie cierpienie, pod dwunastogwiazdą wypełni się przyrzeczenie”. Oczywiście! Żeby dać komuś życie wieczne, ta substancja musi przecież leczyć wszelkie choroby. – Potarł czoło i wskazał na postrzępione kartki na dywanie. – A przepowiednie, które hrabia zataił przed Strażnikami, mówią to jeszcze wyraźniej:

„W magicznym kamieniu ukrytej wieczności, w młodości szatach nowej siły tchnienie, będzie mu dana moc nieśmiertelności”. Jakie to proste! Dlaczego już dawno na to nie wpadłem? Byłem tak zafiksowany na tym, że Gwendolyn musi umrzeć i że mógłbym być za to odpowiedzialny, że prawda w ogóle do mnie nie docierała, choć znajdowała się tuż obok.

– No cóż... – Leslie nie mogła się powstrzymać od lekko triumfującego uśmiešku. – Zakładam, że twoje mocne strony dotyczą innych dziedzin. Prawda, Gwenny? A poza tym miałeś co robić – dodała pojednawczym tonem.

Chwyciłam papiery Gideona.

– „Lecz strzeż się! Dwunastej gwiazdy powstanie, ziemskiego czasu zaczniesz odliczanie. Zniknie młodości wieczystej ochrona, dąb wieczny swego żywota dokona. Lecz cel swój osiągnąć orzeł zdoła, gdy się dwunastej gwiazdy blask rozplynie, jeśli z miłości sama los przywoła i w pożodze tej miłości zginie” – czytałam, dukając i próbując zignorować fakt, że przy tych słowach poczułam, jak włoski na rękach stają mi dęba. – No dobra, dwunasta gwiazda to ja, ale cała reszta to dla mnie czarna magia.

– Tu na marginesie jest napisane: „Jak tylko zdobędę eliksir, ona musi umrzeć” – powiedziała Leslie, zaglądając mi przez ramię. – To chyba rozumiesz, co? – Przytuliła mnie mocno. – Nigdy, przenigdy nie wolno ci znaleźć się w pobliżu tego mordercy, czy to jasne? Ten przeklęty krąg krwi nigdy nie może zostać zamknięty, za żadną cenę. – Odsunęła mnie lekko od siebie. – Lucy i Paul zrobili, co mogli, uciekając z chronografem. Głupio tylko, że istnieje jeszcze ten drugi chronograf. – Puściła mnie i spojrzała z wyrzutem na Gideona. – I że jedna z osób w tym pokoju nie miała nic lepszego do roboty, jak tylko napełniać go pilnie krwią wszystkich podróżników w czasie. W tej chwili masz mi tu przysiąc, że ten hrabia nigdy nie będzie miał okazji udusić albo zasztyletować Gwen, albo...

Xemerius poderwał się z głębokiego snu.

– Otruć, zastrzelić, poćwiartować, powiesić, skrócić o głowę, zdeptać na śmierć, utopić, zrzucić z dachu wieżowca! – wołał zachwycony. – O co chodzi?

– „Lecz cel swój osiągnąć orzeł zdoła, gdy się dwunastej gwiazdy blask rozplynie” – rzekł cicho

Gideon. – Ona nie powinna umrzeć.

– Chciałeś powiedzieć: „nie może umrzeć” – poprawiła go Leslie.

– Musi, może, ma, powinna – wyrecytował Xemerius, opuszczając głowę z powrotem na łapy.

Gideon przykucnął naprzeciw nas na podłodze.

– Właśnie to chciałem ci powiedzieć, zanim zaczęliśmy... – Odchrząknął. – Czy mówiłaś już Leslie, że lord Alastair ugodził cię szpadą?

Skinęłam głową.

– Miała cholerne szczęście, że jej tak naprawdę nie trafił – wtrąciła Leslie.

– Lord Alastair jest jednym z najlepszych szermierzy, jakich znam – powiedział Gideon. – I oczywiście naprawdę trafił Gwendolyn. I to mocno. – Dotknął czubkami palców mojej ręki. – Ściśle mówiąc, śmiertelnie.

Leslie próbowała złapać oddech.

– Mnie się to przecież tylko... – mruknęłam i pomyślałam o mojej wycieczce pod sufit i spektakularnym oglądzie sytuacji z góry.

– Nie. – Gideon potrząsnął głową. – To ci się wcale nie zdawało. Nie wiem w ogóle, czy coś takiego może się człowiekowi zdawać. A poza tym ja też tam byłem. – Umilkł, jakby nie mógł mówić dalej, ale zaraz się pozbierał. – Gdy przeskoczyliśmy z powrotem w czasie, nie oddychałaś już przynajmniej od pół minuty, a kiedy dotarłem z tobą do piwnicy, wciąż miałaś niewyczuwalny puls, jestem tego zupełnie pewien. A chwilę później usiadłaś, jakby nic się nie stało.

– Czy to znaczy...? – zaczęła Leslie, wpatrując się we mnie z osłupieniem.

– To znaczy, że Gwenny jest nieśmiertelna – powiedział Gideon i obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

Mogłam się tylko na niego gapić, kompletnie oszołomiona.

Xemerius wyprostował się i niepewnie podrapał po brzuchu. Jego pysk najpierw się otworzył, potem zamknął, lecz zamiast komentarza wypuł na moją poduszkę tylko niewielką stróżkę wody.

– Nieśmiertelna? – Oczy Leslie były szeroko otwarte. – Jak... jak w tym filmie?

Gideon skinął głową.

– Tylko że nie umarłaby nawet wtedy, gdyby ścięto jej głowę. – Wstał, a jego twarz spoważniała. –

Gwendolyn w ogóle nie może umrzeć, chyba że sama odbierze sobie życie. – A potem zadeklamował cichym głosem: – „Jeśli z miłości sama los przywoła i w pochodze tej miłości zginie”.

Kiedy otworzyłam oczy, promienie wschodzącego słońca zalewały mój pokój, unosiły cząsteczki pyłu i zanurzały je w migotliwym różowym blasku. Inaczej niż zwykle, obudziłam się natychmiast.

Ostrożnie pomacałam przez nocną koszulę ranę pod piersią i przejechałam palcem po brzegach strupka. Nieśmiertelna. Na początku nie chciałam uwierzyć w to, co mówił Gideon, po prostu dlatego, że to było absurdalne, a moje życie i tak stanęło na skraju katastrofy z powodu tych wszystkich komplikacji. Mój rozum po prostu bronił się przed zaakceptowaniem tego faktu.

W głębi duszy jednak od razu wiedziałam, że Gideon ma rację: szpada lorda Alastaira mnie zabiła.

Czułam ból i widziałam, jak nędzne resztki mojego życia zwyczajnie ulatują. Wydałam z siebie ostatni dech – ale wciąż żyłam.

Temat nieśmiertelności nie opuścił nas przez resztę wieczora. Po pierwszym szoku Leslie i

Xemerius nie mogli zamilknąć.

– Czy to znaczy, że ona nigdy nie będzie miała zmarszczek?

– A jakby spadł na ciebie teraz ośmiotonowy betonowy blok? Czy musiałabyś dalej żyć rozplaszczona jak znaczek pocztowy?

– A może nie jesteś nieśmiertelna, tylko masz siedem żyć, jak kot?

– A gdyby jej wyłupić oko, toby jej odrosło?

Fakt, że na żadne z tych pytań Gideon nie znał odpowiedzi, nieszczególnie im przeszkadzał. Pewnie pytaliby tak przez całą noc, gdyby nie przyszła mama i nie wysłała Leslie i Gideona do domu.

Niestety, była nieprzejednana.

– Proszę, pamiętaj o tym, że jeszcze wczoraj byłaś chora, Gwendolyn – powiedziała. – Chciałabym, żebyś się wyspała.

Wyspała! Jakby po takim dniu jak dzisiejszy w ogóle dało się o tym myśleć. Było jeszcze tyle do omówienia.

Odprowadziłam Gideona i Leslie na dół, żeby pożegnać się z nimi przed drzwiami. A Leslie, kochana przyjaciółka, od razu zajarzyła i pobiegła kilka kroków w stronę przystanku autobusowego, twierdząc, że pilnie musi do kogoś zadzwonić (usłyszałam, jak mówi: „cześć,

Bertie, zaraz będę w domu"). Xemerius niestety nie był taki taktowny. Zwiesił się głową w dół z daszku nad drzwiami i wyśpiewywał skrzeczącym głosem: „Pod daszkiem stali i się całowali,

Xemerius o tym wiedział, nikomu nie powiedział”.

W końcu niechętnie rozstałam się z Gideonem i wróciłam do swojego pokoju, z mocnym postanowieniem rozmyślania przez całą noc, telefonowania i snucia planów. Ledwie jednak – tylko na chwilę – wyciągnęłam się na łóżku, a już spałam mocno i głęboko. Chyba podobnie było z pozostałymi – na wyświetlaczu nie zobaczyłam rano żadnych nieodebranych połączeń.

Z wyrzutem spojrzałam na Xemeriusa, który zwinięty w kłębek w nogach łóżka przeciąga! się i głośno ziewał.

– Powinieneś był mnie obudzić!

– A co ja jestem, budzik, nieśmiertelna pani?

– Myślałam, że duchy... to znaczy demony... nie potrzebują snu.

– Może i nie potrzebują – odparł Xemerius. – Ale po tak sutym posiłku drzemka na pewno dobrze robi. – Zmarszczył nos. – Podobnie jak tobie dobrze zrobiłby prysznic.

Niestety, miał rację. Ponieważ wszyscy jeszcze spali (w końcu była sobota), mogłam zająć łazienkę na całą wieczność i zużyć ogromne ilości szamponu, żelu pod prysznic, pasty do zębów, mleczka do ciała i kremu przeciwzmarszczkowego mamy.

– Niech zgadnę, życie jest piękne, a ty czujesz się, cha, cha, cha, jak nowo narodzona! – skomentował Xemerius, kiedy uśmiechnęłam się promiennie do swego odbicia w lustrze.

– Właśnie tak! I wiesz co? Nagle zaczęłam patrzeć na życie zupełnie innymi oczami...

Xemerius parsknął.

– Pewnie ci się zdaje, że doznałaś objawienia, ale w rzeczywistości to tylko hormony. Dziś piejesz ze szczęścia, a jutro będziesz kompletnie załamana – powiedział. – Dziewczyno! To się nie skończy przez najbliższe dwadzieścia, trzydzieści lat. A potem gładko wejdiesz w menopauzę. Chociaż... może ty

nie wejdiesz. Nieśmiertelna w kryzysie wieku średniego... to jakoś nie pasuje.

Obdarzyłam go łagodnym uśmiechem.

– Wiesz co, mały ponuraku, ty w ogóle...

Dźwięk komórki przerwał mój wykład. Leslie pytała, o której się spotkamy, żeby posklejać kostiumy Marsjan na imprezę u Cynthii.

Impreza! Nie mogłam uwierzyć, że miała do czegoś takiego głowę.

– Wiesz, Les, zastanawiam się, czy w ogóle tam iść. Tyle się zdarzyło i...

– Musisz iść. I pójdziesz. – Ton Leslie nie dopuszczał sprzeciwu. – Bo ja jeszcze wczoraj załatwiłam nam osoby towarzyszące i byłoby im naprawdę bardzo przykro.

Westchnęłam.

– Mam nadzieję, że nie zaangażowałaś znowu swojego ciapowatego kuzyna i jego pierdzącego przyjaciela, Leslie? – Przez moment miałam przed oczami potworny obraz nadymającego się worka na śmieci. – Ostatnim razem przysięgłaś, że już nigdy tego nie zrobisz. Chyba nie muszę ci przypominać czekoladowych całusków, które...

– Masz mnie za głupią? Nigdy nie popełniam dwa razy tego samego błędu, przecież wiesz! –

Zamilkła na chwilę. – W drodze do autobusu – mówiła dalej, pozornie obojętnym tonem – opowiedziałam Gideonowi o imprezie. I on się po prostu wprosił jako osoba towarzysząca. – Znow krótką pauza. – On i jego młodszy brat. I dlatego nie możesz się teraz wykręcić.

– Les!

Potrafiłam sobie wyobrazić, jak przebiegła ta rozmowa. Leslie była mistrzynią manipulacji.

Prawdopodobnie Gideon w ogóle się nie zorientował, o co chodzi.

– Później mi podziękujesz. – Leslie zachichotała. – Teraz musimy się zastanowić nad kostiumami.

Poprzczepiałam już czułki do zielonego durszlaka, jako kapelusz wygląda super. Jak chcesz, to ci go dam.

Westchnęłam.

– Mój Boże. Naprawdę oczekujesz ode mnie, że na pierwszą oficjalną randkę z Gideonem pójdę w worku na śmieci i z durszlakiem na głowie?

Leslie wahała się tylko przez chwilę.

– To jest sztuka! I to zabawna! I nic nie kosztuje – dodała po chwili. – A poza tym on jest w ciebie tak wkręcony, że będzie mu wszystko jedno.

Widziałam już, że potrzeba tu będzie nieco więcej wyrafinowania.

– No dobra – zgodziłam się pozornie zrezygnowana. – Jeśli koniecznie chcesz, pójdziemy jako

Marsjanie. Jesteś naprawdę spoko. Nawet trochę zazdroszczę, że ci wszystko jedno, czy Raphael uważa, że dziewczyny z czułkami i w sitkach na głowie są sexy. I zupełnie nie dbasz o to, że będziesz skrzypieć podczas tańca, a w dotyku będziesz jak... no właśnie jak worek na śmieci... z lekkim chemicznym zapachem... I że Charlotta w swoim kostiumie elfa będzie przepływać koło nas i robić głupie uwagi...

Leslie milczała dokładnie przez trzy sekundy.

– Tak, naprawdę mi to wi...

– No przecież wiem. Gdyby nie to, zaproponowałabym, żeby madame Rossini nas przebrała.

Pożyczyłaby nam wszystko, co ma zielonego: suknie z filmów z Grace Kelly i Audrey Hepburn.

Albo sukienki do charlestona z lat dwudziestych. Albo stroje balowe z...

– No dobra, dobra – przerwała mi gwałtownie. – Poddałam się już przy Grace Kelly. Zapomnijmy o tych parszywych workach na śmieci. Myślisz, że ta twoja madame Rossini już wstała?

– Jak wyglądam? – Mama okręciła się wokół własnej osi.

Od kiedy odebrała przed południem telefon od pani Jenkins, sekretarki Strażników, z prośbą, by towarzyszyła mi do Tempie, gdy będę udawać się na elapsję, zdażyła się już przebrać trzy razy.

– Bardzo dobrze – odrzekłam, prawie na nią nie patrząc. Limuzyna mogła nadjechać w każdej chwili. Ciekawe, czy

Gideon po mnie przyjedzie? A może będzie czekał w kwaterze głównej? Wczorajszy wieczór skończył się o wiele za szybko. Jest jeszcze tyle rzeczy, które musimy sobie powiedzieć.

– Za pozwoleniem, to niebieskie bardziej mi się podobało –zauważył pan Bernhard, odkurzając ogromną miotłą ramy obrazów w holu.

Mama natychmiast popędziła na górę.

– Ależ ma pan rację, panie Bernhard. To jest za bardzo wymyślne. Zbyt eleganckie jak na sobotnie południe. Będzie sobie jeszcze wyobrażał nie wiadomo co. Że się specjalnie dla niego tak wystroiłam.

Posłałam panu Bernhardowi pełne wyrzutu spojrzenie.

– I czemu pan to zrobił?

– Bo zapytała. – Brązowe oczy mrugnęły do mnie zza swoich okularów, a potem wyjrzał przez okno na korytarzu. –O, przyjechała limuzyna. Czy mam przekazać, że trochę się spóźni? Bo do tego niebieskiego kostiumu nie ma odpowiednich butów.

– Ja to zrobię. – Zarzuciłam torbę na ramię. – Do widzenia, panie Bernhard. I proszę mieć oko na już–pan–wie–kogo.

– Oczywiście, panno Gwendolyn. Już–pani–wie–kto nawet się nie zbliży do już–pani–wie–czego. – Z niemal niedostrzegalnym uśmiechem powrócił do swoich zajęć.

W limuzynie nie było Gideona. Był za to pan Marley, który otworzył mi drzwi. Jego okrągła jak księżyc w pełni twarz była równie zacięta jak przez wszystkie ostatnie dni. Może nawet odrobinę bardziej. Nie zareagował na moje entuzjastyczne: „Jaki piękny wiosenny dzień!”.

– Gdzie jest pani Grace Shepherd? – zapytał zamiast tego. –Mam polecenie, by niezwłocznie dostarczyć ją do Tempie.

– To brzmi tak, jakby chciał ją pan doprowadzić do sędziego śledczego – powiedziałam.

Gdybym wiedziała, jak bliska byłam prawdy, wygłaszając tę uwagę, pewnie nie wsiadłabym do limuzyny w tak znakomitym humorze.

W końcu mama była gotowa, a podróż do Tempie przebiegła szybko jak na londyńskie warunki.

Staliśmy tylko w trzech korkach i już po pięćdziesięciu minutach byliśmy na miejscu, a ja znowu zadawałam sobie pytanie, dlaczego po prostu nie możemy pojechać metrem.

Przed wejściem do kwatery głównej przywitał nas pan George. Zauważyłam, że spogląda poważniej niż zwykle i że jego uśmiech sprawia wrażenie wymuszonego.

– Gwendolyn, pan Marley odprowadzi cię na dół na elapsję. Grace, jest pani oczekiwana w Smoczej Sali.

Mama wzruszyła ramionami, ale wydawała się spięta. Pan Marley wyciągnął czarną jedwabną chustkę.

– Proszę podejść – powiedział. Chwycił mnie za łokieć, ale natychmiast go puścił, widząc moje spojrzenie. – Proszę za mną. Mamy dziś bardzo napięty plan. Już ustawiłem chronograf – wyrecytował przez zaciśnięte wargi, z płomiennie czerwonymi uszami.

Spojrzałam jeszcze na mamę, chcąc dodać jej otuchy, a potem, potykając się, ruszyłam korytarzem za panem Marleyem. Narzucił niesamowite tempo i jak zwykle rozmawiał sam ze sobą. Za najbliższym rogiem wpadłby na Gideona, gdyby ten przytomnie nie zszedł mu z drogi.

– Dzień dobry, Marley – rzucił swobodnie, podczas gdy Marley, porządnie spóźniony, zaprezentował dziwaczny mały podskok. To samo zrobiło moje serce, zwłaszcza że na twarzy Gideona pojawił się uśmiech rozmiarów wschodniej delty Gangesu (co najmniej!). – Cześć, Gwenny, dobrze spałaś? – spytał z czułością.

– A cóż pan tu jeszcze robi na górze? Już dawno powinien pan być u madame Rossini i się ubierać – zagrział pan Marley. – Mamy dziś naprawdę bardzo napięty plan, a operacja czarny turmalin

łamany przez sza... – Niech pan po prostu idzie przodem – powiedział uprzejmie Gideon. – A ja przyjdę z Gwendolyn za parę minut. A potem szybciotko się ubiorę.

– Pan nie może... – zaczął pan Marley, ale nagle ze spojrzenia Gideona znikła wszelka uprzejmość i zrobiło się tak chłodno, że pan Marley wtulił głowę w ramiona. – Tylko proszę nie zapomnieć zawiązać jej oczu – dodał jeszcze, po czym wręczył Gideonowi czarną chustkę i oddalił się pospiesznie długim krokiem.

Gideon, nawet nie czekając, aż zniknie z pola widzenia, przyciągnął mnie do siebie i gwałtownie pocałował w usta.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Cieszyłam się, że nie było tu Xemeriusa, kiedy odszepnęłam: „Ja za tobą też”, objęłam Gideona za szyję i namiętnie oddałam mu pocałunek. Gideon oparł mnie o ścianę i odskoczyliśmy od siebie dopiero wtedy, gdy tuż obok mnie spadł obraz. Bez tchu próbowałam powiesić go z powrotem na ścianie.

Gideon mi pomagał.

– Chciałem wczoraj wieczorem jeszcze do ciebie zadzwonić, ale potem pomyślałem, że twoja mama ma rację: bardzo potrzebowałaś snu.

– No, rzeczywiście potrzebowałam. – Oparłam się znów plecami o ścianę i uśmiechnęłam się do niego. – Słyszałam, że dziś wieczorem idziemy razem na imprezę.

Gideon się roześmiał.

– Tak, randka we czworo, razem z moim młodszym bratem. Raphael był zachwycony, zwłaszcza gdy się dowiedział, że to był pomysł Leslie. – Pogłaskał czubkami palców mój policzek. – Jakoś inaczej wyobrażałem sobie naszą pierwszą randkę. Ale twoja przyjaciółka potrafi być niezwykle przekonująca.

– Czy zdradziła ci też, że to jest impreza kostiumowa? Gideon wzruszył ramionami.

– Mnie już nic nie zdziwi.

Czubki jego palców powędrowały w dół moich policzków aż do szyi.

– Wczoraj wieczorem mieliśmy jeszcze tyle do... eee... omówienia. – Odchrząknął. – Chciałbym się dowiedzieć wszystkiego o twoim dziadku i jak, do licha, zdołałaś się z nim spotkać. Albo raczej kiedy. I o co chodzi z tą książką, którą Leslie bez przerwy wymachiwała, jakby to był święty Graal?

– Och, Anna Karenina. Przyniosłam ci ją, choć Leslie uważa, że powinniśmy się jeszcze z tym wstrzymać, aż będziemy miały całkowitą pewność, że jesteś po naszej stronie. – Zamierzałam sięgnąć do torebki, ale jej nie było. Cmoknęłam poirytowana. – Cholera! Mama, wysiadając, zabrała moją torebkę.

Nagle rozległa się melodia Nice guys finish last. Roześmiałam się.

– Czyżby to był...

– Hm... No. A co nie pasuje? – Gideon wyłowił komórkę z kieszeni spodni.

– Jeśli to Marley, to go... Och! Moja matka – westchnął. – Znalazła internat dla Raphaela i chce, bym go przekonał, żeby tam pojechał. Potem do niej oddzwonię.

Komórka nie przestawała dzwonić.

– Odbierz, a ja w tym czasie szybko skoczę po książkę. Wystartowałam, nie czekając na jego odpowiedź. Pan Marley w piwnicy dostanie szafu, ale nie przejmowałam się tym. Drzwi do Smoczej Sali były lekko uchylone i już z daleka usłyszałam zdenerwowany głos mamy.

– Co to ma być, przesłuchanie? Już przedstawiłam swoje powody: chciałam chronić moją córkę i miałam nadzieję, że to Charlotta odziedziczyła ten gen. Nie mam na ten temat nic więcej do dodania.

– Proszę usiąść z powrotem. – To z całą pewnością powiedział pan Whitman, tonem, jakiego używał wobec niesfornych uczniów.

Szuranie krzesel. Chrząknięcia. Po cichu podkradłam się bliżej.

– Ostrzegaliśmy cię, Grace. – Głos Falka de Villiers był lodowaty.

Mama pewnie gapiła się na swoje buty, zadając sobie pytanie, po cóż, u diabła, tak się trudziła tym ubieraniem. Oparłam się plecami o ścianę tuż obok drzwi, aby lepiej słyszeć.

– Jakże niemądrze było myśleć, że nie dojdziemy do prawdy. – To był ponury głos doktora White'a.

Mama się nie odezwała.

– Wczoraj zrobiliśmy sobie wycieczkę do Cotswolds i złożyliśmy wizytę niejakiej pani Dawn Heller – oznajmił Falk. – To nazwisko coś ci mówi, prawda? Chodzi o położną – mówił dalej, gdy mama nie odpowiedziała – która pomogła Gwendolyn przyjść na świat. Ponieważ całkiem niedawno zapłaciłaś za wynajem jej letniego domku własną kartą kredytową, sądziłem, że będziesz to lepiej pamiętać.

– Na Boga, co zrobiliście tej biednej kobiecie? – wymknęło się mamie.

– Nic, oczywiście! A co pani myślała? – To był pan George.

– Ale najwyraźniej podejrzewała – dodał pan Whitman tonem pełnym sarkazmu – że chcemy przeprowadzić jakieś satanistyczne rytuały. Była strasznie rozhisteryzowana i co chwilę robiła znak krzyża. A kiedy zobaczyła Jake'a, o mało nie zemdląła ze strachu.

– Chciałem jej tylko dać zastrzyk na uspokojenie – burknął doktor White.

– W końcu na tyle doszła do siebie, że mogliśmy z nią przeprowadzić w miarę rozsądną rozmowę. –

To był znowu Falk de Villiers. – Opowiedziała nam niezwykle interesującą historię o owej nocy, kiedy urodziła się Gwendolyn. To brzmiało trochę jak straszna bajka. Dzielna, łatwowierna położna zostaje wezwana do młodej dziewczyny leżącej w bólach porodowych, ukrywającej się w skromnym domku w Durham przed sektą satanistów. Ta straszliwa sekta, która odprawia jakieś rytuały numerologiczne, jest na tropie nie tylko tej dziewczyny, ale także jej dziecka. Położna nie wie dokładnie, co ma się stać z tym niemowlęciem, ale jej wyobraźnia szaleje. Ponieważ ma dobre serce i ponieważ zapłacono jej z góry niemałą kwotę... przy okazji mogłabyś mi zdradzić, skąd miałaś pieniądze, Grace... najpierw pomaga dziecku przyjść na świat, a potem fałszuje świadectwo jego urodzenia. I przysięga, że nikomu nie piśnie o tym ani słowa.

Przez chwilę panowała cisza.

– No i co? – po chwili odezwała się zaczepnie mama. – Przecież już wam to opowiedziałam.

– Tak, na początku też tak myśleliśmy – odrzekł pan Whitman. – A potem skupiliśmy się na paru detalach tej opowieści. Proszę posłuchać. – W 1994 roku miałaś prawie dwadzieścia osiem lat, no, ale dobrze, w oczach położnej mogłaś uchodzić za młodą dziewczynę – ciągnął Falk. – Ale kim była rudowłosa zatroskana siostra przyszłej mamy, o której mówiła pani Heller?

– Ta położna już wtedy była dosyć stara – powiedziała cicho mama. – Teraz prawdopodobnie jest sędziwą staruszką.

– Możliwe. Ale nie miała żadnych problemów z rozpoznaniem tej młodej dziewczyny na zdjęciu – powiedział pan Whitman. – Młodej dziewczyny, która tamtej nocy urodziła córkę.

– To było zdjęcie Lucy.

Słowa Falka były dla mnie jak cios pięścią w żołądek. Podczas gdy w Smoczej Sali zapanowała lodowata cisza, mnie kolana się ugięły i powoli zsunęłam się po ścianie na podłogę.

– To... to pomyłka – usłyszałam w końcu szept mamy.

W korytarzu rozległ się odgłos czyichś kroków, ale nie byłam w stanie odwrócić głowy. Dopiero gdy się nade mną pochylił, zobaczyłam, że to Gideon.

– Co się stało? – wyszeptał, kucając obok mnie na podłodze. Nie mogłam wykrztusić słowa, tylko w milczeniu kręciłam głową.

– Pomyłka, Grace? – rzucił ostro Falk de Villiers. – Ta kobieta z łatwością rozpoznała cię na zdjęciu jako rzekomą starszą siostrę, która przekazała jej kopertę z niewyobrażalnie wysoką sumą pieniędzy. I rozpoznała mężczyznę, który w czasie porodu trzymał Lucy za rękę. Mojego brata! –

Gwendolyn jest dzieckiem Lucy i Paula – dodał, jakbym do tej pory tego nie pojęła.

Wydałam z siebie dziwny pisk. Gideon, zupełnie poblady, wziął mnie za rękę.

Moja mama zaczęła płakać. Tyle że to nie była moja mama.

– To wszystko nie byłoby konieczne, gdybyście dali im spokój – chlipnęła. – Gdybyście ich tak bezlitośnie nie prześladowali.

– Nikt nie wiedział, że Lucy i Paul oczekują dziecka – powiedział gwałtownie Falk.

– Popęlnili kradzież – parsknął doktor White. – Ukradli najcenniejszą własność loży i mieli zamiar zniweczyć to, co przez całe wieki...

– Och, niechże pan zamilknie! – zawołała mama. – Zmusiliście tych młodych ludzi, żeby zostawili swoją ukochaną córkę, zaledwie dwa dni po narodzinach!

To był ten moment, w którym – nie wiem jak – gwałtownie poderwałam się z ziemi. Nie mogłam już tego słuchać ani sekundy dłużej.

– Gwenny! – powiedział z naciskiem Gideon, ale strząsnęłam jego dłonie i popędziłam przed siebie.

– Dokąd biegiesz? – Dogonił mnie po kilku krokach.

– Jak najdalej stąd! – Biegłam jeszcze szybciej. Porcelana w witrynach, które mijaliśmy, cicho pobrzękiwała. Gideon chwycił mnie za rękę.

– Idę z tobą – powiedział. – Nigdzie cię teraz samej nie puszczę.

Gdzieś z tyłu ktoś za nami coś wołał.

– Nie chcę... – chlipnęłam. – Nie chcę z nikim rozmawiać. Gideon mocniej ścisnął moją dłoń.

– Wiem, gdzie przez kilka najbliższych godzin nikt nas nie znajdzie. Chodź tędy!

*Z protokołów inkwizycyjnych ojca dominikanina Gian Piętro Baribiego
Archiwa Biblioteki Uniwersyteckiej w Padwie (rozszyfrowane, przetłumaczone
i opracowane przez doktora M. Giordano)*

27 lipca 1542 roku

Bez mojej wiedzy M. przekonał ojca Dominika z trzeciego zakonu, człowieka o wielce wątpliwej reputacji, do egzorcyzmów szczególnego rodzaju, aby uwolnić jego córkę Elisabettę od rzekomego opętania. Kiedy dotarła do mnie wiadomość o tym bluźnierczym przedsięwzięciu, było już za późno. Choć uzyskałem dostęp do kaplicy, w której odprawiono te haniebne praktyki, nie zdołałem zapobiec podaniu dziewczynie podejrzanych substancji, które sprawiły, że toczyła pianę z ust, wywracała oczami i mówiła niestworzone rzeczy, podczas gdy ojciec Dominik skraplał ją wodą święconą.

W wyniku tego zabiegu, co do którego nie waham się użyć słowa „tortury”, Elisabetta jeszcze tej samej nocy utraciła owoc swego ciała. Przed odjazdem ojciec nie wykazywał żadnego żalu, tylko triumfował z powodu wytrzebienia demona. Wyznanie Elisabetty, złożone pod wpływem tej substancji i bólu, starannie zaprotokołował i spisał jako dowód jej szaleństwa. Uprzejmie odmówiłem przyjęcia odpisu – i bez niego mój raport dla przewodniczącego kongregacji nie spotka się ze zrozumieniem, to pewne. Życzyłbym sobie jedynie, abym moim raportem mógł przyczynić się do tego, by M. popadł u swych protektorów w niełaskę, ale niewielkie robię sobie w tym względzie nadzieje.

Rozdział 12

Pan Marley zmarszczy! czoło, kiedy wpadliśmy do pokoju z chronografem.

– Nie zawiązał pan jej...? – zaczął, ale Gideon nie dał mu skończyć.

– Dziś razem z Gwendolyn poddam się elapsji do 1953 roku – oświadczył.

Pan Marley chwycił się pod boki.

– Nie może pan – odparł. – Potrzebuje pan swego przydziału czasowego na operację czarny turmalin

łamane przez szafir. I o ile pan nie pamięta, odbywa się ona równolegle.

Przed panem Marleyem na stole stał chronograf, a kamienie szlachetne połyskiwały w świetle lampy.

– Zmiana planów – powiedział oschle Gideon i ścisnął mnie za rękę.

– Nic o tym nie wiem! I nie wierzę panu. – Pan Marley skrzywił się poirytowany. – Mój ostatni rozkaz mówi wyraźnie...

– No to niech pan po prostu zadzwoni na górę i się dowie –przerwał mu Gideon i wskazał telefon przy ścianie.

– To właśnie zrobię. – Pan Marley z czerwonymi uszami powlókł się do telefonu.

Gideon puścił mnie i pochylił się nad chronografem, a ja stałam przed drzwiami jak manekin z wystawy. Teraz, kiedy nie musieliśmy już biec, nagle znieruchomiałam jak nienakręco-ny zegar zabawka.

Nawet nie czułam bicia własnego serca. Tak jakbym powoli zamieniała się w kamień.

Właściwie myśli powinny były wirować w mojej głowie, ale tak się nie działo. Nie czułam nic poza tępym bólem.

– Gwenny, wszystko już dla ciebie nastawiłem. Chodź tu. –Gideon nie czekał, aż posłucham jego polecenia, nie zważał też na protest pana Marleya („Proszę to zostawić! To moje zadanie!").

Przyciągnął mnie do siebie, wziął moją bezwładną rękę i ostrożnie włożył palec do przegródki pod rubinem. – Zaraz do ciebie dołączę.

– Nie ma pan zezwolenia, by samowolnie obsługiwać chronograf – upomniał go pan Marley i złapał słuchawkę. – Niezwłocznie zawiadomię pańskiego wuja, że nie przestrzega pan zasad.

Zobaczyłam jeszcze, jak wybiera numer, a potem odpłynęłam w wirze rubinowego światła.

Wylądowałam w całkowitych ciemnościach i mechanicznie, po omacku, zaczęłam posuwać się w tę stronę, gdzie spodziewałam się wyłącznika światła.

– Ja to zrobię – usłyszałam głos Gideona, który bezszelestnie wylądował za mną.

Dwie sekundy później żarówka pod sufitem zamrugała.

– Szybko poszło – mruknęłam. Gideon spojrzał na mnie.

– Ach, Gwenny – odezwał się łagodnie. – Tak mi przykro. Gdy nie poruszyłam się ani nie odpowiedziałam, w dwóch długich krokach już był przy mnie. Objął mnie, przyciągnął moją głowę do swojego ramienia i położył brodę na moich włosach.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął. – Obiecuję ci to. Wszystko znowu będzie dobrze.

Nie wiem, jak długo tak staliśmy. Może to słowa, które powtarzał raz po raz, a może ciepło jego ciała sprawiło, że moje odrętwienie powoli minęło. W każdym razie wydobyłam z siebie szept:

– Moja mama... nie jest moją mamą.

Gideon zaprowadził mnie na zieloną sofę pośrodku pokoju i usiadł koło mnie.

– Szkoda, że tego nie wiedziałem – rzeki z troską. – Mógłbym cię ostrzec. Zimno ci? Szczekasz zębami.

Potrząsnęłam głową, oparłam się o niego i zamknęłam oczy. Przez chwilę pragnęłam, aby czas zatrzymał się w miejscu, tu, w roku 1953, na tej zielonej sofie, gdzie nie było żadnych problemów, żadnych pytań, żadnych kłamstw – był tylko Gideon i jego kojąca bliskość.

Niestety, moje życzenia nie miały zwyczaju się spełniać, jak wskazywały na to gorzkie doświadczenia.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na Gideona.

– Miałeś rację – powiedziałam żałośnie. – To jest prawdopodobnie jedyne miejsce, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. Ale chyba będziesz miał kłopoty!

– Tak, nawet na pewno. – Gideon uśmiechnął się lekko. –Przede wszystkim dlatego, że musiałem... no cóż... dość mało delikatnie powstrzymać Marleya przed wyrwaniem mi chronografu. – Skrzywił się gniewnie. – Operacja czarny turmalin i szafir będzie musiała się odbyć innego dnia, choć teraz miałbym jeszcze więcej pytań do Lucy i Paula i spotkanie z nimi bardzo by się przydało.

Pomyślałam o naszym ostatnim spotkaniu z Lucy i Paułem u lady Tilney i zęby zaczęły mi głośno szcząkać, gdy przypomniałam sobie, jak Lucy na mnie spojrzała i jak wyszeptała moje imię. Mój

Boże, a ja o niczym nie miałam pojęcia.

– Jeśli Lucy i Paul są moimi rodzicami, to czy my jesteśmy spokrewnieni?

Gideon znowu się uśmiechnął.

– To było pierwsze, co przemknęło mi przez głowę – powiedział. – Falk i Paul są moimi dalekimi kuzynami, trzeciego lub czwartego stopnia. Oni pochodzą od jednego, a ja od drugiego z bliźniaków–karneoli.

Zębátky w moim mózgu zaczęły się znowu obracać i zahaczać jedna o drugą. Nagle poczułam w gardle potężną kluczę.

– Tato, zanim zachorował, wieczorami często nam coś śpiewał i grał na gitarze. Uwielbialiśmy to,

Nick i ja – powiedziałam cicho. – Zawsze twierdził, że to po nim odziedziczyłam talent muzyczny. A on w ogóle nie był ze mną spokrewniony. Czarne włosy mam po Paulu. – Przełknęłam ślinę.

Gideon milczał. Na jego twarzy malowało się współczucie.

– Jeśli Lucy nie jest moją kuzynką, tylko moją matką, to moja matka jest... moją cioteczną babką – mówiłam dalej. – A moja babka w rzeczywistości jest moją prababką. I moim dziadkiem nie jest dziadek, tylko wujek Harry! – To ostatnie niemal przelało czarę goryczy. Wybuchnęłam niepowstrzymanym płaczem. – Nie znoszę wujka Harry'ego! Nie chcę, żeby był moim dziadkiem. I nie chcę, żeby Caroline i Nick nie byli moim rodzeństwem. Tak bardzo ich kocham.

Gideon pozwolił mi przez chwilę płakać, a potem zaczął głaskać mnie po włosach i szeptać uspokajająco.

– Hej, już dobrze, Gwenny, to wszystko nie ma znaczenia. Oni przez cały czas są tymi samymi ludźmi, nieważne, jakie łączy was pokrewieństwo!

Ale ja wciąż niepoczyszona cicho chlipałam. Prawie nie zauważyłam, jak Gideon delikatnie przytulił mnie do siebie. Objął mnie i mocno mnie trzymał.

– Powinni byli mi powiedzieć – wykrztusiłam wreszcie. Koszulka Gideona była zupełnie mokra od moich łez. – Mama... powinna mi powiedzieć.

– Może kiedyś by ci powiedziała. Ale postaw się w jej położeniu: kocha cię i dlatego dobrze wiedziała, że prawda cię zrani. Pewnie nie miała serca tego zrobić. – Dłoń Gideona głaskała moje plecy. – To musiało być dla nich wszystkich straszne, a szczególnie dla Lucy i Paula.

Łzy popłynęły mi znowu.

– Ale dlaczego mnie zostawili? Strażnicy nic by mi przecież nie zrobili! Dlaczego po prostu z nimi nie porozmawiali?

Gideon nie odpowiedział od razu.

– Wiem, że próbowali – odrzekł powoli. – Przypuszczalnie wtedy, gdy Lucy się zorientowała, że jest w ciąży, i stało się dla nich jasne, że to ty będziesz rubinem. – Odchrząknął. – Nie mieli wtedy żadnych dowodów na swoje teorie dotyczące hrabiego. Ich opowieści zbywano jako dziecinne próby usprawiedliwienia niedozwolonych podróży w czasie. Można o tym nawet przeczytać w

Kronikach. Przede wszystkim dziadka Marleya strasznie wtedy złościły te ich wymówki. Według jego zapisków Lucy i Paul zhańbili pamięć hrabiego.

– Ale mój... dziadek! – Mój rozum bronił się przed tym, by myśleć o Lucasie jak o kimś innym niż moim dziadku. – Przecież był we wszystko wtajemniczony i na pewno wierzył Lucy i Paulowi.

Dlaczego nie przeszkodził im w ucieczce?

– Nie mam pojęcia. – Gideon wzruszył mokrymi od moich łez ramionami. – Bez dowodów on też nie mógł działać zbyt wiele. Nie chciał przecież narażać swojej pozycji w Kręgu Wewnętrznym. A kto wie, czy mógł ufać wszystkim Strażnikom? Nie możemy wykluczyć, że był w tamtych czasach ktoś, kto znał prawdziwe plany hrabiego.

Ktoś, kto na koniec może nawet zamordował mojego dziadka. Pokręciłam głową. Tego było dla mnie za wiele, ale Gideon jeszcze nie zakończył swojej teorii.

– Niezależnie od tego, co go do tego skłoniło, może twój dziadek popierał pomysł wysłania Lucy i

Paula w przeszłość razem z chronografem.

Przełknęłam ślinę.

– Mogli mnie wziąć ze sobą – powiedziałam. – Przed moimi narodzinami.

– Żeby wydać cię na świat w roku 1912 i wychowywać pod fałszywym nazwiskiem? Tuż przed pierwszą wojną światową? – Pokręcił głową. – A kto by cię wziął, gdyby coś im się stało? Kto by się tobą zajął? – Poglaskał mnie po włosach. – Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak bardzo musi boleć, kiedy człowiek dowiaduje się o czymś takim, Gwen. Ale potrafię zrozumieć Lucy i Paula.

Widzieli w twojej mamie kogoś, kto będzie cię kochał jak własne dziecko i kto cię bezpiecznie wychowa.

Zagryzłam dolną wargę.

– Nie wiem. – Usiadłam wyczerpana. – Ja już w ogóle nic nie wiem. Chciałabym, żeby można było cofnąć czas. – Kilka tygodni temu nie byłam może najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, ale byłam w miarę normalna! Nie podróżniczka w czasie. Nie nieśmiertelna! A już na pewno nie dziecko dwojga... dwojga nastolatków, którzy żyją w 1912 roku. Gideon uśmiechnął się do mnie.

– Spójrz na to z innej strony: jest także kilka zalet. – Ostrożnie przejechał mi kciukiem pod oczami, pewnie po to, żeby zetrzeć ślady tuszu do rzęs. – Moim zdaniem jesteś bardzo odważna. I... kocham cię!

Jego słowa uśmierzyły tępy ból w mojej piersi. Objęłam go za szyję.

– Czy mógłbyś to powiedzieć jeszcze raz? A potem mnie pocałować? Tak żebym zapomniała o całym świecie?

Gideon przenosił wzrok z moich oczu na wargi i z powrotem.

– Mogę spróbować – mruknął.

Wysiłki Gideona zakończyły się sukcesem. Jeśli można to tak ująć. W każdym razie nie miałabym nic przeciwko temu, żeby spędzić resztę dnia, a najlepiej resztę życia w jego ramionach, na tej zielonej sofie w 1953 roku.

Nagle jednak odsunął się trochę, wsparł na łokciu i spojrzał na mnie.

– Myślę, że powinniśmy teraz przestać, w przeciwnym razie za nic nie mogę ręczyć – powiedział nieco zdyszany.

Ja nic nie powiedziałam. Dlaczego miałby się czuć inaczej niż ja? Tylko że ja nie umiałam tak po prostu przestać. Zastanawiałam się, czy nie powinnam być z tego powodu nieco urażona. Ale nie mogłam o tym rozmyślać zbyt długo, bo Gideon rzucił okiem na zegarek i nagle podskoczył jak oparzony. – Och, Gwen! – zawołał. – To już zaraz. Powinnaś coś zrobić z włosami, oni się tam pewnie wszyscy zebrali wokół chronografu i będą się na nas gapić, jak wrócimy.

– O Boże – westchnęłam ze smutkiem. – Ale musimy najpierw ustalić, co dalej.

Gideon zmarszczył czoło.

– Oczywiście będą musieli przesunąć operację, ale może zdołam ich przekonać, żeby wysłali mnie do roku 1912 chociaż na te dwie pozostałe godziny. Naprawdę musimy jak najszybciej porozmawiać z Lucy i Paulem.

– Moglibyśmy odwiedzić ich razem dziś wieczorem – powiedziałam, choć ta wizja przyprawiła mnie o mdłości.

„Miło was poznać, mamó i tato”.

– Zapomnij, Gwen. Już nigdy nie pozwolą ci przeskoczyć razem ze mną do 1912 roku, chyba że hrabia wyraźnie tego zażąda. – Gideon wyciągnął do mnie ręce, pomógł mi wstać i dość niezręcznie próbował wygładzić włosy, które sam mi zmierzwił.

– Och, jak dobrze, że przypadkowo mam w domu chronograf – rzuciłam tak obojętnie, jak tylko umiałam. – Który, nawiasem mówiąc, świetnie działa.

Gideon wlepił we mnie wzrok.

– Co?

– No daj spokój! Przecież wiedziałeś! Jak inaczej mogłabym się spotykać z Lucasem? – Położyłam dłoń na żołądku, który właśnie zaczynał mi się wywracać na drugą stronę.

– Myślałam, że znalazłaś sposób, żeby w trakcie elapsji... –Gideon rozpląnął się na moich oczach w powietrzu.

Poszłam jego śladem kilka sekund później, raz jeszcze przyglądziwszy sobie włosy.

Byłam przekonana, że gdy wrócimy, w pomieszczeniu z chronografem będzie się aż roiło od

Strażników, straszliwie oburzonych samowolnym działaniem Gideona (skrycie oczekiwałam, że w kącie będzie stał pan Marley z podbitym okiem, upierając się, by odprowadzić Gideona w kajdankach), lecz w rzeczywistości było zupełnie cicho.

Obecny był tylko Falk de Villiers... i moja mama. Wyglądała jak kupka nieszczęścia. Siedziała na krześle, łamała sobie palce i patrzyła na mnie zapłakanymi oczami. Tusz do rzęs i resztki cieni do oczu spływały nieregularnymi paskami po jej policzkach.

– O, jesteście – powiedział Falk.

Jego głos, a także wyraz jego twarzy były neutralne, ale nie wykluczałam, że w środku aż gotuje się ze złości. Jego bursztynowe oczy dziwnie błyszcząły. Stojący obok mnie Gideon wyprężył się mimo woli i lekko uniósł podbródek, jakby przygotowywał się na kazanie.

Szybko chwyciłam go za rękę.

– To nie jego wina, to ja nie chciałam sama poddawać się elapsji – wyrzuciłam z siebie. – Gideon nie miał zamiaru...

– Już dobrze, Gwendolyn. – Falk obdarzył mnie zmęczonym uśmiechem. – W tej chwili parę rzeczy nie idzie zgodnie z planem. – Potarł ręką czoło i szybko zerknął na mamę. – Bardzo mi przykro, że słyszałaś naszą rozmowę dziś w południe... że cała ta brutalna prawda spadła na ciebie tak nagle. Z całą pewnością nie chcieliśmy tego. – Znowu spojrzął na mamę. – Tak ważnej rzeczy człowiek powinien dowiadywać się w bardziej delikatny sposób – dodał.

Mama milczała, z trudem powstrzymując łzy. Gideon ścisnął moją dłoń. Falk westchnął.

– Myślę, że wy, Grace i ty, macie sobie mnóstwo do powiedzenia. Najlepiej zostawimy was same.

Przed drzwiami czeka adept, który zaprowadzi was na górę, kiedy będziecie chcieli. Idziesz,

Gideonie?

Gideon z wahaniem puścił moją dłoń i pocałował mnie w policzek.

– Dasz radę, Gwen – szepnął mi do ucha. – A potem pogadamy o tym, co ukryłaś w domu.

Musiałam zebrać wszystkie siły, by nie wczepić się w niego i nie zawołać: „Zostań ze mną, proszę!”.

W milczeniu poczekałam, aż on i Falk wyjdą z pokoju i zamkną za sobą drzwi. Potem odwróciłam się do mamy i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Ale że wpuścili cię do swej największej świątyni, to się dziwię.

Mama wstała – chwiejnie niczym staruszka – i odpowiedziała mi słabym uśmiechem.

– Zawiazali mi oczy. To znaczy ten z twarzą jak księżyc. Miał rozciętą wargę i chyba dlatego tak mocno zacisnął węzeł. Strasznie mnie piekło, ale nie miałam odwagi się poskarżyć.

– Skąd ja to znam. – Było mi tylko umiarkowanie przykro z powodu rozciętej wargi pana Marleya. –

Mamo...

Mama nie pozwoliła mi dokończyć.

– Wiem, że mnie teraz nienawidzisz. I całkowicie cię rozumiem.

– Mamo, ja...

– Tak strasznie mi przykro! Nie powinnam była dopuścić, by to zaszło tak daleko. – Zrobiła krok w moją stronę i wyciągnęła do mnie ręce, by je natychmiast bezradnie opuścić. – Zawsze tak bardzo się bałam tego dnia. Wiedziałam przecież, że kiedyś nastąpi, i im byłaś starsza, tym bardziej się tego bałam. Twój dziadek... zawahała się, a potem wzięła głęboki oddech. – Mój ojciec i ja mieliśmy zamiar powiedzieć ci to razem, kiedy będziesz wystarczająco duża, by zrozumieć i znieść prawdę.

– A więc Lucas o tym wiedział?

– Oczywiście! Ukrył Lucy i Paula w Durham i to był jego pomysł, żebym udawała przed wszystkimi ciążę, by móc zgłosić dziecko, czyli ciebie, jako swoje. Lucy pod moim nazwiskiem chodziła w Durham na badania. – Ona i

Paul mieszkali u nas prawie przez cztery miesiące, a tato w tym czasie tworzy! w połowie Europy fałszywe ślady. To była w gruncie rzeczy doskonała kryjówka. Moją ciążą nikt się nie interesował. Termin porodu miał być w grudniu i w związku z tym dla Strażników i rodziny byłaś zupełnie nieważna. – Mama ominęła mnie wzrokiem i spojrzała na dywan, a oczy jej się zaszkliły. – Do samego końca mieliśmy nadzieję, że wysłanie Lucy i Paula z chronografem w przeszłość nie będzie konieczne. Ale jeden z prywatnych detektywów

Strażników zwrócił uwagę na nasze mieszkanie... – Zadrżała na samo wspomnienie. – Mój ojciec zdążył nas jeszcze w porę ostrzec. Lucy i Paul nie mieli wyboru, musieli uciekać, a ty zostałaś u nas. Maleńkie dziecko ze śmiesznym małym kosmykiem włosów na głowie i ogromnymi niebieskimi oczami. – Teraz łzy popłynęły jej po twarzy. – Przysięgliśmy, że będziemy cię strzec,

Nicolas i ja, i od pierwszej sekundy kochaliśmy cię jak własną córkę.

Nawet tego nie zauważając, znowu zaczęłam płakać. – Mamo... – Wiesz, nigdy nie chcieliśmy mieć dzieci. W rodzinie Nicolasa było tyle chorób, a ja zawsze myślałam, że nie nadaję się na matkę. Ale to się zmieniło, gdy Lucy i Paul powierzyli nam ciebie. – Łzy płynęły jej nieprzerwanie. – Ty... ty uczyniłaś nas takimi szczęśliwymi. Wywróciłaś nasze życie do góry nogami i pokazałaś, jak cudowne są dzieci. Gdyby ciebie nie było, Nick i Caroline z pewnością nigdy nie przyszliby na świat. – Szloch nie pozwolił mamie mówić dalej.

Nie mogłam dłużej wytrzymać i rzuciłam się jej na szyję.

– Wszystko dobrze, mamo – próbowałam powiedzieć, ale wydałam z siebie tylko świszczący szmer.

Jednak mama najwidoczniej to zrozumiała. Objęła mnie bardzo mocno i przez parę chwil nie byliśmy w stanie ani mówić, ani przestać płakać.

Trwało to do momentu, kiedy Xemerius wetknął głowę przez ścianę.

– O, tutaj jesteś. – Przcisnął się cały do pokoju i sfrunął na stół, z którego przyglądał się nam ciekawie. – O rany! Teraz mamy już dwie pokojowe fontanny. Ubiegłoroczny model Nia-gara Falls najwyraźniej był w promocji.

Delikatnie odsunęłam się od mamy.

– Musimy iść, mamó. Masz może chusteczki do nosa?

– Chyba tak. – Poszperała w torebce i podała mi chusteczkę. – Dlaczego nie masz tuszu do rzęs rozmazanego na całej twarzy? – zapytała z lekkim uśmiechem.

Głośno wytarłam nos.

– Obawiam się, że został na koszulce Gideona.

– Wydaje się naprawdę miłym chłopcem. Chociaż muszę cię przed nim ostrzec... Ci de Yilliersowie zawsze tylko wpędzają dziewczyny z rodziny Montrose w kłopoty. – Otworzyła puder-niczkę, spojrzała w lusterko i westchnęła. – O rany, wyglądam jak matka Frankensteina.

– No, tu pomoże już chyba tylko ścierka – powiedział Xe-merius. Zeskoczył ze stołu na skrzynię w kącie i przekrzywił głowę. – Chyba mnie coś ominęło! Nawiasem mówiąc, tam na górze panuje wielki zamęt. Wszędzie ważni ludzie w czarnych garniturach i Marley, ten stary osioł, jakby mu ktoś przyrznął w pysk. I wiesz, Gwendolyn, wszyscy czepiają się twojego miłego chłopca, najwyraźniej wywrócił ich plany do góry nogami. Poza tym doprowadza każdego do białej gorączki, bo przez cały czas idiotycznie się do siebie uśmiecha.

I choć zapewne nie było ku temu żadnego powodu, nagle musiałam zrobić to samo: idiotycznie się do siebie uśmiechnąć. Mama zerknęła na mnie znad puderniczki.

– Wybaczysz mi? – spytała cicho.

– Och, mamó! – Objęłam ją tak mocno, że wypuściła wszystko z rąk. – Przecież tak bardzo cię kocham.

– Ja cię! – westchnął Xemerius. – I tak w koło Macieju. Tu naprawdę jest za dużo wilgoci!

– Tak sobie wyobrażam niebo – powiedziała Leslie i okręciła się wokół własnej osi, aby lepiej poczuć atmosferę rekwizytorni. Jej spojrzenie wędrowało po półkach z butami i trzewikami z wszystkich epok, dalej do kapeluszy, stamtąd do ciągnących się niemal bez końca wieszaków i z powrotem na madame Rossini, która otworzyła nam drzwi do tego raj. –A pani jest dobrym Panem Bogiem!

– Ależ ty jesteś ładna! – Madame Rossini uśmiechnęła się.

– Tak, też tak uważam – wtrącił Raphael.

Gideon rzucił mu rozbawione spojrzenie. Nie wiedziałam, jak po tej całej popołudniowej awanturze zdołał wydebić od Falka zezwolenie (może wuj Gideona był raczej owcą w wilczej skórze niż odwrotnie?), ale otrzymaliśmy – razem z Leslie i Ra-phaelem – oficjalną zgodę na wyszukanie sobie z rekwizytorni Strażników, pod nadzorem madame Rossini, kostiumów na imprezę u Cynthii.

Wczesnym wieczorem spotkaliśmy się przed wejściem, a Leslie była tak przejęta tym, że może wejść do kwatery głównej, że nie mogła ustać spokojnie w miejscu. Choć nie zobaczyła pomieszczeń, które jej opisywałam, i została zaprowadzona tylko przez mało widowiskowy korytarz do rekwizytorni, była w siódmym niebie.

– Widzisz to? – szepnęła do mnie. – Czuć tu zagadki i tajemnice. O Boże, jak ja to kocham.

W rekwizytorni zdawało się, że dostanie apopleksji. W innych okolicznościach z całą pewnością czułabym się tak samo. Do tej pory uważałam samą pracownię madame Rossini za ogrody Edenu, ale to, co było tutaj, przechodziło wszelkie wyobrażenie.

Ale po pierwsze, jeśli chodzi o stroje, trochę mi się już opatrzyły, a po drugie, moja głowa i moje serce były zajęte zupełnie czymś innym.

– Oczywiście to nie ja szyłam te wszystkie stroje, to kolekcja Strażników, założona już dwieście lat temu i nieustannie poszerzana. – Madame Rossini zdjęła z wieszaka lekko pożółkłą koronkową suknię, a ja i Leslie westchnęliśmy z zachwytu. –Wiele spośród historycznych oryginałów wygląda wprawdzie cudownie, ale nie nadają się na obecne podróże w czasie. – Ostrożnie odwiesiła suknię. –

Także kostiumy, które uszyto dla przedostatniego pokolenia, już nie odpowiadają standardom.

– To znaczy, że te piękne stroje tak sobie tu powoli butwieją? – Zdjęta współczuciem Leslie pogłaskała koronkową suknię.

Madame Rossini wzruszyła ramionami.

– To cenny materiał poglądowy, także dla mnie. Ale masz rację, szkoda, że używa się ich tak rzadko. Tym lepiej, że jesteście tu dziś wieczór. Na tym balu będziecie najpiękniejsi, mes petites!

– To nie bal, madame Rossini, to tylko dość nudna impreza.

– Impreza jest zawsze tylko tak nudna, jak nudni są goście – odrzekła madame Rossini.

– Zgadza się, to również moje motto – powiedział Raphael i spojrzał na Leslie. – A jakbyśmy poszli jako Robin Hood i lady Marian? Oni są przecież cali zieloni. – Włożył sobie na głowę damski kapelusz z powiewającym piórkiem. – i wtedy każdy od razu się zorientuje, że jesteśmy razem.

– Hm – mruknęła Leslie.

Madame Rossini obchodziła wieszaki, podśpiewując wesoło.

– Och, jakie to przyjemne! Jakie to miłe! Czworo młodych ludzi i unefete deguisee*. – Czyi może być coś piękniejszego?

– No, ja bym coś znalazł – szepnął Gideon z ustami tuż przy moim uchu. – Posłuchaj, musicie trochę odwrócić jej uwagę, żebym mógł ukraść ciuchy na naszą wycieczkę do 1912 roku. Madame Rossini

– odezwał się głośno. – Ja włożę to zielone z wczoraj, jeśli mogę.

Madame Rossini odwróciła się do nas energicznie. – To zielone z wczoraj? – Podniosła brew.

– On... no, on ma na myśli surdut w kolorze morskiej zieleni ze szmaragdową kłamrą – wyjaśniłam szybko.

– No i wszystkie te bajery do tego. – Gideon uśmiechnął się uprzejmie. – Chyba bardziej zielono już się nie da.

– Bajery! Perły przed wieprze! – Madame Rossini wyrzuciła ręce do góry, ale uśmiechała się przy tym. – A więc dla małego buntownika koniec osiemnastego wieku. No to musimy teraz odpowiednio do tego ubrać łabędzią szyjkę. Ale obawiam się, że nie mam zielonej sukni balowej z tej epoki...

– Epoka jest obojętna, madame Rossini. Te nieuki na imprezie i tak się na tym nie znają.

– Najważniejsze, żeby wyglądała na starą, była długa i bufiasta – dodała Leslie.

– No, skoro tak... – rzuciła niechętnie madame Rossini. Leslie i ja podążyłyśmy za nią przez pokój gorliwie jak małe pieski skuszone kością. Gideon zniknął między wieszakami, natomiast Raphael dalej przymierzał damskie kapelusze.

– Tu jest cudo z połyskującej zielonej jedwabnej tafty i tiulu, Wiedeń, rok 1865 – powiedziała madame Rossini, mrugając do nas. Przez te maleńkie oczy i brak szyi trochę przypominała żółwia. –

Kolorystycznie doskonale pasuje do morskiej zieleni stroju małego buntownika, choć z punktu widzenia stylu ta kombinacja to oczywiście absolutna katastrofa. Jakby Casanovą poszedł na bal z cesarzową Sissi, jeśli wiecie, o co mi chodzi...

– Jak już mówiłam, ci ludzie z dzisiejszej imprezy nie mają pojęcia o takich niuansach – wyjaśniłam i wstrzymałam oddech, gdy madame Rossini zdjęła suknię Sissi z wieszaka: była jak marzenie.

– No, bufiasta jest na pewno. – Leslie się roześmiała. – Jak się w niej raz okręcisz, to pozrucasz wszystko z bufetu.

– Przymierz ją, łabędzia szyjko. Mam do tego odpowiedni diadem. A teraz ty. – Madame Rossini ujęła Leslie pod ramię i skrzyła w następny rząd. – Tu mamy francuską i włoską haute couture z ostatniego stulecia. Wprawdzie zieleni nie była wtedy preferowana w modzie, ale na pewno coś dla ciebie znajdziemy.

Leslie chciała coś powiedzieć, ale zakrztusiła się z emocji, słysząc słowa „haute couture”, i dostała ataku kaszlu.

– Mogę przymierzyć te śmieszne spodnie do kolan? – zawołał z tyłu Raphael.

– Oczywiście! Ale uważaj na guziki.

Ukradkiem rozejrzałam się za Gideonem. Przewiesił już sobie przez ramię kilka sztuk odzieży i uśmiechał się do mnie ponad wieszakami.

Madame Rossini nie zauważyła jego grabieży. Ogromnie szczęśliwa przemierzała dział z haute couture, a Leslie, ciężko oddychając, dreptała za nią.

– A dla la petite pieguski może...

– To! – wpadła jej w słowo Leslie. – Proszę! To jest cudowne!

– Excuse-moi, ma chérie*. Ale to nie jest zielone – zauważyła madame Rossini.

– Ale jest prawie zielone. – Leslie wyglądała na tak rozczarowaną, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

– Nie, to jest lodowo niebieski – powiedziała stanowczo madame Rossini. – Grace Kelly miała ją na sobie, gdy otrzymywała brytyjską nagrodę za Dziewczynę z prowincji. To znaczy oczywiście nie tę suknię, ale to dokładna kopia.

– To najpiękniejsza suknia, jaką kiedykolwiek widziałam – szepnęła Leslie.

– Ma trochę zieleni – spróbowałam ją wesprzeć. – A przynajmniej turkusowi z nutą zieleni. To znaczy jest praktycznie zielona, szczególnie w żółtawym świetle.

– Hm – mruknęła madame Rossini.

Rozejrzałam się za Gideonem, który ukradkiem zmierzał w stronę drzwi.

– I tak nie będzie na mnie pasowała – mruknęła Leslie.

– Myślę, że będzie. – Spojrzenie madame Rossini prześliznęło się po sylwetce Leslie w dół, potem znowu w górę, a potem zamyślane skierowało się w dal. – Wy, młode dziewczyny, macie takie cudowne talie. Zut alors*1 – Nagle się nasrożyła. – Młody człowieku? A ty dokąd z moimi rzeczami? – zawołała.

– Ja... eee... – z przestrawieniem wyjąkał Gideon, który był już prawie przy drzwiach.

Żółw przeistoczył się we wściekłego słonia, który ruszył przed siebie. Znacznie szybciej, niżbym ją o to podejrzewała, madame Rossini znalazła się obok Gideona.

– Cóż to ma znaczyć? – Wyrwała mu ubrania z ręki. – Czyżbyś chciał mnie okraść?

– Nie, oczywiście że nie, madame Rossini. Ja tylko chciałem to... eee... pożyczyć. – Gideon przybrał niezwykle skruszony wyraz twarzy, ale na madame Rossini najwyraźniej to nie podziałało.

Trzymała ubrania przed sobą w górze i przyglądała się im.

– A co z tym zamierzasz zrobić, niemożliwy chłopaku? To nawet nie jest zielone!

Pospieszyłam Gideonowi na pomoc.

– Proszę, niech się pani na nas nie gniewa. Potrzebujemy tych rzeczy na... na wyprawę do 1912 roku. – Zrobiłam krótką pauzę, a potem zdecydowałam się postawić wszystko na jedną kartę. – Na tajną wyprawę, madame Rossini.

– Tajną? Do 1912 roku? – powtórzyła madame Rossini. Przycisnęła do siebie ubrania jak Caroline swoją szydełkową świnkę. – W tych rzeczach? Czy to ma być żart? – Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak wścieklej. – To jest męski garnitur z roku 1932! – powiedziała, z oburzeniem łapiąc oddech przy każdym słowie. – A ta sukienka należała do dziewczyny sprzedającej cygara! Gdybyście tak wyszli na ulicę w 1912 roku, od razu zrobiliby się wielkie zbiegowisko – Podparła się rękami pod boki. – Niczego się ode mnie nie nauczyłeś, młody człowieku? Co ja ciągle powtarzam? O co chodzi w tych kostiumach? O...

– .. .autentyczność – uzupełnił Gideon półgłosem.

– Precisement*\ – Madame Rossini się uśmiechnęła. – Jeśli już chcecie odbyć tajną wyprawę do roku

1912, to na pewno nie w tych ciuchach! Równie dobrze moglibyście wylądować statkiem kosmicznym pośrodku miasta, byłoby tak samo dyskretnie. – Jej oczy błyskały jeszcze gniewnie, gdy patrzyła na mnie i na Gideona, ale tym razem ruszyła z miejsca i odprowadzana naszymi zdumionymi spojrzeniami popłynęła między wieszaki. Chwilę później wróciła z naręczem ubiorów i dziwacznych nakryć głowy. – Bien – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – To powinna być dla was lekcja, żeby nie oszukiwać madame Rossini. – Podetknęła nam ubrania pod nos. Nagle jej usta rozciągnęły się w uśmiechu i zrobiło się tak, jakby słońce przeniknęło przez ciemne, deszczowe chmury. – Ale jeśli dorwę tego małego spiskowca, że nie nosi kapelusza... – Pogroziła

Gideonowi palcem. – Wtedy madame Rossini będzie musiała opowiedzieć pańskiemu wujowi o tej małej wycieczce! Roześmiałam się z ulgą i uściskałam ją serdecznie.

– Ach, pani jest najlepsza na świecie, madame Rossini.

Caroline i Nick siedzieli w szwalni na sofie i byli wyraźnie zaskoczeni, kiedy Gideon i ja wśliznęliśmy się do środka. Na twarzy Caroline pojawił się od razu promienny uśmiech, natomiast

Nick był raczej zmieszany.

– Myślałem, że jesteście na tej imprezie – powiedział mój młodszy brat.

Nie wiedziałam dokładnie, dlaczego jest mu głupio: dlatego, że siedzi razem z młodszą siostrą i ogląda film dla dzieci, czy dlatego, że oboje mają już na sobie piżamy, i to te jasnoniebieskie, które ciocia Maddy podarowała im na Boże Narodzenie. Ich cechą szczególną były kaptury z króliczymi uszami. Uważałam – podobnie jak ciocia Maddy – że są słodkie, ale gdy się ma dwanaście lat, widzi się to pewnie inaczej. Zwłaszcza kiedy pojawiają się niespodziewani goście, a chłopak starszej siostry ma na sobie zabójczą skórzaną kurtkę.

– Charlotta wyszła już pół godziny temu – oświadczył Nick. – Ciotka Glenda skakała wokół niej jak kura, która właśnie zniosła jajo. Brrr, no nie, Gwenny, daj sobie spokój z tym całowaniem, zachowujesz się zupełnie jak mama przed chwilą. Co wy tu w ogóle jeszcze robicie?

– Później pójdziemy na imprezę – powiedział Gideon i usiadł obok niego na sofie.

– Jasna sprawa – rzucił Xemerius, leżąc ociężale na stosie roczników magazynu „Homes &

Gardens”. – Spoko goście zawsze przychodzą na końcu.

Caroline patrzyła na Gideona z zachwytem.

– Poznałeś już Margret? – Wyciągnęła do niego szydełkową świnkę, którą trzymała na kolanach. –

Możesz ją pogłaskać.

Gideon posłusznie pogłaskał Margret po grzbiecie.

– Mięciutka. – Spojrzał w napięciu na ekran. – O, jesteście już tutaj, gdzie wybucha armata z farbami? To moja ulubiona scena.

Nick zerknął na niego nieufnie.

– Znasz film Dzwoneczek!

– Uważam, że wynalazki tej wróżki są naprawdę super – odrzekł Gideon.

– Ja też – zgodził się Xemerius. – Tylko ta fryzura jest trochę... do chrzanu.

Caroline westchnęła z czułością.

– Jesteś taki miły! Będziesz teraz częściej przychodził?

– Obawiam się, że tak – rzucił Xemerius.

– Mam nadzieję, że tak – powiedział Gideon i nasze spojrzenia na chwilę się spotkały.

Nie mogłam powstrzymać westchnienia. Po naszej owocnej wizycie w rekwizytorni Strażników zrobiliśmy jeszcze małą wycieczkę do gabinetu doktora White'a i podczas gdy Gideon zaopatrywał się w rozmaite akcesoria, mnie nagle przyszło coś do głowy.

– Skoro już tu jesteśmy, może mógłbyś wziąć też szczepionkę przeciw ospie.

– Nie martw się. Jesteś zaszczepiona przeciw wszystkim chorobom, na jakie możesz się natknąć w trakcie podróży w czasie – odrzekł Gideon. – Przeciw ospie oczywiście też.

– To nie dla mnie, tylko dla jednego przyjaciela – powiedziałam. – Proszę! Później ci to wyjaśnię.

Gideon uniósł wprawdzie brew, ale bez komentarza otworzył szafkę z lekami doktora White'a i po krótkich poszukiwaniach schował do kieszeni pudełko.

Za to, że nie zadawał żadnych pytań, kochałam go jeszcze bardziej.

– Wyglądasz, jakby zaraz miała ci polecieć ślina z ust – przywołał mnie do rzeczywistości Xemerius.

Z puszek z cukrem stojącej w szafie wyłowiłam klucz.

– Jak długo mama jest już w łazience? – spytałam Nicka i Caroline.

– Najwyżej kwadrans. – Nick wyglądał teraz na znacznie bardziej rozluźnionego. – Była jakaś dziwna dziś wieczorem. Przez cały czas nas obcałowywała i wzdychała. Dopiero jak pan Bernhard przyniósł jej whisky, dała sobie z tym spokój.

– Kwadrans? To powinniśmy mieć dość czasu. Jeśli pojawi się tu wcześniej, niż się spodziewamy, nie mówcie jej, proszę, że jesteśmy na dachu.

– Okej – powiedział Nick, a Xemerius zaintonował swoją głupią piosenkę: „Pod daszkiem stali i się całowali”.

Rzuciłam Gideonowi kpiące spojrzenie.

– Jeśli dasz radę oderwać się od Dzwoneczka, moglibyśmy zaraz zacząć.

– Na szczęście wiem, jak to się skończy. – Gideon chwycił plecak i wstał z miejsca.

– Na razie – szepnęła za nim Caroline.

– Na razie. Zamiast patrzeć, jak się całujecie, lepiej popatrzę sobie jeszcze na wróżki przy pracy – powiedział Xeme-rius. – Ma się coś takiego jak duma demona i nie chciałbym, żeby mnie posądzano o to, że jestem podglądaczem.

Nie zwracając na niego uwagi, wspierałam się po wąskich schodach kominowych i otworzyłam wąż.

Była dość rześka wiosenna noc – doskonały wieczór na wizytę tu na górze i pewnie również na pocałunki. Roztaczał się stąd cudowny widok ponad sąsiednimi domami, a na wschodzie nad dachami lśnił księżyc.

– Gdzie się podziewasz?! – zawołałam cicho w dół.

Z włazu wychyłała kędzierzawa głowa Gideona, a za nią cała jego reszta.

– Mogę teraz zrozumieć, że to twoje ulubione miejsce. – Zdjął plecak i ukląkł obok mnie.

Do tej pory nie zauważyłam, że to miejsce, szczególnie w nocy, naprawdę było romantyczne, z tym morzem migoczących świateł, które zdawało się rozciągać w nieskończoność za pełną zawijasów dekoracją kalenicy. Następnym razem może urządzimy sobie tu piknik, z miękkimi poduszkami i świecami... Gideon mógłby przynieść skrzypce... i miejmy nadzieję, Xeme-rius będzie miał wtedy wolne.

– Czemu się tak uśmiechasz? – spytał Gideon.

– Och, nic takiego, naszły mnie takie głupie myśli.

Gideon komicznie wykrzywił twarz.

– Ach tak? – Uważnie rozejrzał się wokół. – Okej. Powiedziałbym, że przedstawienie może się zacząć.

Skinęłam głową i ostrożnie, po omacku, przedostałam się do kominów. W tym miejscu dach był płaski, ale zaledwie pół metra za kominami zaczynał się spadek, oddzielony tylko metalową kratką sięgającą do kolan. I – nieśmiertelna czy nie – uznałam lot w dół z czwartego piętra za niezbyt pożądaną weekendową zabawę.

Otworzyłam klapkę wentylacyjną w pierwszym z szerokich kominów.

– Dlaczego akurat tutaj, Gwenny? – usłyszałam za sobą pytanie Gideona.

– Charlotta ma lęk wysokości – wyjaśniłam. – Nigdy nie odważyłaby się wejść na dach. – Wyjęłam ciężkie zawiniątko z komina i ostrożnie zważyłam je w rękach.

Gideon zerwał się na równe nogi.

– Tylko go nie upuść – powiedział nerwowo. – Proszę.

– Nie bój się! – Musiałam się roześmiać, taki był przerażony. – Zobacz, potrafię nawet na jednej nodze...

Gideon wydał z siebie coś jakby krótki pisk.

– To nie jest temat do żartów, Gwenny – sapnął. Najwyraźniej te nauki misteriów miały na niego jednak większy wpływ, niż myślałam. Wyjął mi zawiniątko z ręki i przytulił, jakby to było dziecko.

– Czy to jest naprawdę...? – zaczął.

Z tyłu poczułam powiew zimnego powietrza.

– Nieee, ty głupku – zaskrzeczał Xemerius, wytykając głowę przez właz. – To stary ser, a

Gwendolyn przechowuje go tu na górze na wypadek, gdyby w nocy zrobiła się głodna.

Przewróciłam oczami i pokazałam mu, że ma sływać, co ku mojemu zaskoczeniu uczynił.

Zapewne Dzwoneczek był w tym momencie bardziej interesujący.

Tymczasem Gideon postawił chronograf na dachu i zaczął ostrożnie rozwijać materiał.

– Czy wiesz, że Charlotta dzwoniła do nas co dziesięć minut, żeby nas przekonać, że masz ten chronograf? Na koniec nawet Marley był na nią wkurzony.

– Jaka szkoda – powiedziałam. – Ci dwoje są przecież wprost dla siebie stworzeni.

Gideon skinął głową. Potem zdjął ostatnią warstwę materiału i głośno wciągnął powietrze.

Delikatnie pogłaskałam gładko wypolerowane drewno.

– Oto i on.

Gideon milczał przez chwilę. Przez dobrych parę chwil, jeśli mam być szczerą.

– Gideon? – spytałam zaniepokojona.

Leslie błagała mnie, bym poczekała jeszcze parę dni, żeby się upewnić, czy naprawdę można mu ufać, ale ja ją zbyłam.

– Po prostu jej nie wierzyłem – wyszeptał w końcu. – Ani przez sekundę nie wierzyłem Charlotcie. –

Spojrzał na mnie i jego oczy w tym świetle były zupełnie ciemne. – Czy masz świadomość, co by się stało, gdyby ktoś się o tym dowiedział?

Oszczędziłam sobie uwagi, że wie o tym całkiem sporo osób. I może dlatego, że Gideon sprawiał wrażenie tak wytraconego z równowagi, nagle ja też zaczęłam odczuwać strach.

– Naprawdę chcemy to zrobić? – spytałam i poczułam mdłości, które tym razem nie miały nic wspólnego z zapowiedzią podróży w czasie. To, że dziadek wczytał moją krew do chronografu, to była jedna sprawa. Ale to, co zamierzaliśmy zrobić teraz, to była zupełnie inna historia.

Zamknęlibyśmy krąg krwi, a skutki tego mogły być nieprzewidywalne. Mówiąc optymistycznie.

Moja pamięć zrekapitulowała szybko te wszystkie paskudne przepowiednie zawierające słowa

„wieczny” i „cierpienie” i dorzuciła jeszcze kilka szczegółów kończących się słowami „wszeteczny” i „przeznaczenie”. A fakt, że jestem nieśmiertelna, nie był dla mnie najmniejszym pocieszeniem.

Co dziwne, to chyba właśnie moja niepewność wyrwała Gi-deona z odrętwienia.

– Czy chcemy to zrobić? – Pochylił się i dał mi szybkiego całusa w nos. – Serio mnie o to pytasz? – Zdjął kurtkę i wyciągnął z plecaka łupy pochodzące z gabinetu doktora White'a. – Okej, zaczynamy.

Najpierw założył sobie gumową opaskę na prawe ramię i ją ścisnął. Potem ze sterylnej opakowania wyjął strzykawkę i uśmiechnął się do mnie.

– Siostró! – powiedział rozkazującym tonem. – Latarka! Wykrzywiłam twarz.

– Można i tak – odpowiedziałam i poświeciłam mu na zgięcie łokcia. – Typowy student medycyny.

– Czyżbym w twoim głosie słyszał nutkę lekceważenia? – Gideon rzucił mi rozbawione spojrzenie. – A ty jak to zrobiłaś?

– Wzięłam japoński nóż do warzyw – oświadczyłam nieco chełpliwie. – A dziadek zebrał moją krew do filizanki.

– Rozumiem. Stąd ta rana na twoim przegubie – odrzekł bez śladu rozbawienia, po czym wbił sobie igłę w rękę i krew zaczęła spływać do rurki.

– I jesteś pewien, że dokładnie wiesz, co należy zrobić? – spytałam, wskazując brodą chronograf. – To coś ma tyle różnych kłapek i szufladek, łatwo można zakręcić nie tą zębatką.

– Nauka o chronografie to jeden z przedmiotów egzaminacyjnych, gdy zdobywa się stopień adepta, a w moim przypadku to nie było tak dawno temu. – Gideon podał mi strzykawkę z krwią i zdjął sobie opaskę z ramienia.

– Można by się zastanawiać, kiedy miałaś czas oglądać takie dzieła filmowe jak Dzwoneczek.

Gideon potrząsnął głową.

– Myślę, że odrobina respektu by ci nie zaszkodziła. Podaj mi rurkę. A teraz poświeć latarką na chronograf. Tak, tak jest dobrze.

– Możesz spokojnie od czasu do czasu powiedzieć „proszę” i „dziękuję” – zauważyłam, podczas gdy

Gideon zaczął odmierzać krople swojej krwi do chronografu.

W przeciwieństwie do Lucasa ręce w ogóle mu przy tym nie drżały. Może kiedyś będzie z niego dobry chirurg? Zdenerwowana zagryzłam dolną wargę.

– I trzy krople tutaj, pod głową lwa – mruknął Gideon ze skupieniem. – Teraz przekręcić to kółeczko i przesunąć dźwignię. No, gotowe. – Opuścił rurkę, a ja odruchowo wyłączyłam latarkę.

We wnętrzu chronografu naraz zaczęło się obracać kilka kółeczek, coś zatrzeszczało, skrzypnęło i zaszumiało, tak samo jak poprzednio. Potem skrzypienie stało się głośniejsze, a szum się wzmocnił i brzmiało to niemal jak muzyka. Żar uderzył nas po twarzach, a ja wczepiłam się w ramię Gideona, jakby zaraz miał zerwać się wichur, który mógłby zwiać nas z dachu. Ale zamiast tego rozbłyskały po kolei wszystkie kamienie w

chronografie, powietrze drżało i choć na początku mogło się zdawać, że we wnętrzu chronografu szaleje ogień, teraz wokół nas zrobiło się nagle lodowato zimno. Migoczące światło zgasło, a zębatki znowu znieruchomiały. Wszystko trwało nie dłużej niż minutę.

Puściłam Gideona i pogładziłam włoski stojące mi dęba na przedramionach.

– To wszystko?

Gideon wziął głęboki wdech i wyciągnął rękę. Tym razem odrobinę drżała.

– Teraz zobaczymy – powiedział.

Wzięłam jedną z małych buteleczek laboratoryjnych doktora White'a i mu podałam.

– Bądź ostrożny. Jeśli to proszek, podmuch wiatru może go po prostu zwiać.

– To by może nie było najgorsze – mruknął Gideon. Odwrócił się w moją stronę. Oczy mu błyszczały. – Widzisz? Pod dwunastogwiazdą wypełnia się przyrzeczenie.

Miałam w nosie dwunastogwiazdę. Teraz wołałam skupić się na mojej latarce.

– No, dawaj – powiedziałam niecierpliwie, pochyliłam się do przodu, a Gideon wysunął maleńką szufladkę.

Trzeba przyznać, że byłam rozczarowana. Po tych wszystkich tajemnicach i gadaniu o misteriach byłam straszliwie rozczarowana. W szufladce znajdował się nie płyn, jak przewidywała Leslie („na pewno jest czerwony jak krew”, powiedziała z szeroko otwartymi oczami), ani proszek, ani żaden kamień.

To była substancja, która wyglądała jak sól. Jak szlachetna sól, masa drobnutkich opalizujących kryształków.

350

– Szaleństwo – wyszeptałam. – Nie do wiary, że dla tych paru okruchów podejmowano od wieków tak ogromny trud.

Gideon osłonił szufladkę dłonią.

– Najważniejsze, żeby nikt się nie dowiedział, że znaleźliśmy się w posiadaniu tych okruchów – rzekł w napięciu.

Skinęłam głową. Pomijając tych, którzy już o tym wiedzieli.

– Lepiej się pospiesz – syknęłam.

Nagle wyobraziłam sobie, że lady Arista, która, o ile mi było wiadomo, nie bała się nikogo i niczego, a już na pewno wysokości, wygrzebuje się z włazu i wrywa nam buteleczkę.

Gideon najwyraźniej pomyślał coś podobnego, bo zupełnie nieuroczyście nappełnił buteleczkę i szybko ją zamknął. Dopiero gdy schował ją do kieszeni kurtki, wyraźnie odetchnął.

W tym momencie przyszła mi jednak do głowy inna myśl.

– Teraz, gdy chronograf spełnił swoje zadanie, może w ogóle już nie będzie działał – powiedziałam.

– Zobaczmy – odrzekł Gideon i uśmiechnął się do mnie. –A zatem ruszajmy do 1912 roku.

Rozdział 13

O cholera, chyba usiadłem na tym przeklętym kapeluszu –mruknął Gideon.

– Przestań kłać, bo jeszcze sufit spadnie nam na głowę – syknęłam. – A jeśli nie założysz swojego kapelusza, poskarżę się na ciebie madame Rossini.

Xemerius zarechotał. Tym razem sobie nie darował i poszedł razem z nami.

– Kapelusz też niewiele pomoże! Z tą fryzurą wszyscy w roku 1912 wezmą go za grabarza. Mógłby sobie przynajmniej zrobić porządny przedziałek.

Usłyszałam, jak Gideon cicho klnie, tym razem pewnie dlatego, że uderzył się w łokieć. Wcale nie było łatwo przebrać się w konfesjonale i byłam mocno przekonana, że to świętokradztwo, używać takiego miejsca jako przebieralni. Pomijając fakt, że włamanie do kościoła stanowiło z całą pewnością także czyn karalny, nawet jeśli się nic nie ukradło, tylko zamierzało się przeskoczyć do roku 1912. Gideon otworzył boczne drzwi metalowym haczykiem, tak szybko, że nawet nie miałam czasu się zdenerwować.

– Wciórności! – Xemerius z uznaniem gwizdnał przez zęby. – Powinien cię tego nauczyć. We dwoje bylibyśmy niepokonanym zespołem włamywaczy. Wręcz nieśmiertelnie dobrym. Nawiasem mówiąc, był to ten sam kościół, w którym ja i Xe-merius się poznaliśmy i w którym Gideon pierwszy raz mnie pocałował. Nie było czasu, by zatopić się w nostalgicznych wspomnieniach, ale zdawało mi się, że to wszystko wydarzyło się dawno, dawno temu, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie parę dni.

Gideon zastukał z zewnątrz w drzwi konfesjonału.

– Gotowa?

– Nie. Niestety, w mojej sukni nie wynaleziono jeszcze zamka błyskawicznego – powiedziałam, załamana liczbą guzików na plecach, do których mimo najdziwniejszych wygibasów nie byłam w stanie dosięgnąć.

Wysunęłam się z konfesjonału. Czy moje serce przestanie kiedyś szybciej bić na widok Gideona?

Czy kiedyś przy każdym spojrzeniu na niego nie będzie mi się zdawało, jakby mnie coś oślepiło?

Pewnie nie. Miał teraz na sobie naprawdę niepozorny ciemnoszary garnitur, pod spodem kamizelkę i białą koszulę. Ale po prostu świetnie wyglądał w tych ciuchach, jego szerokie...

Xemerius, który huśtał się zwieszony głową w dół z chóru, odchrząknął.

– Mała kózka kiedyś była, bardzo wiernie się gapiała...

– Bardzo ładnie – powiedziałam szybko. – Ponadczasowy strój bossa mafii. Nawiasem mówiąc, krawat jest zawiązany doskonale, madame Rossini byłaby z ciebie dumna. – Wzdychając, znów zajęłam się swoimi guzikami. – O Boże, wynalazca zamka błyskawicznego powinien być już dawno zostać ogłoszony świętym.

Gideon się uśmiechnął.

– Odwróć się i pozwól mi to zrobić – powiedział. – Och... –zająknął się – są ich setki.

Minęło dobrych parę chwil, nim zapiął wszystkie guziczki, choć przyczyną był zapewne fakt, że co drugi guziczek całował mnie w kark. Na pewno sprawiłoby mi to znacznie więcej przyjemności, gdyby Xemerius za każdym razem nie wołał: „Cmok, cmok, mały smok!”.

W końcu byliśmy gotowi. Madame Rossini wyszukała mi zapinaną pod szyję jasnoszarą suknię z koronkowym kołnierzykiem. Spódnica była trochę za długa, więc od razu się o nią potknęłam i wyłożyłabym się jak nic, gdyby Gideon mnie nie przytrzymał.

– Następnym razem to ja włożę garnitur – powiedziałam. Gideon roześmiał się i już się nachylił, żeby znów mnie pocałować.

– Niecee, znowu, tylko nie to! – wrzasnął Xemerius, a ja delikatnie odsunęłam Gideona.

– Nie mamy już czasu – powiedziałam.

A poza tym dwa metry nad naszymi głowami zwisała nietoperzopodobna kreatura i robiła okropne miny. Złym wzrokiem spojrzałam na Xemeriusa.

– No co? – rzucił Xemerius. – Myślałem, że to jest ważna misja, a nie randka. Powinnaś być mi raczej wdzięczna.

– Jeszcze czego! – warknęłam.

W tym czasie Gideon pobiegł na chór i ukląkł przed chronografem. Po dłuższym namyśle ustawiliśmy go pod ołtarzem, bo było mało

prawdopodobne, że ktoś go tam odkryje w czasie naszej nieobecności, no chyba że mają sprzątaczkę, która pracuje w sobotę wieczorem. – Będę trzymał straż – obiecał Xemerius. – Gdyby ktoś przyszedł i chciał to ukraść, to ja go bezlitośnie... eee... opluję.

Gideon wziął mnie za rękę.

– Gotowa, Gwenny?

Spojrzałam mu prosto w oczy i serce odrobinę mi podskoczyło.

– Gotowa, jeśli i ty jesteś gotów – powiedziałam cicho.

Uwagi Xemeriusa (bez wątpienia kaśliwej) już nie usłyszałam, igła wbiła mi się w palec i fala rubinowoczerwonego światła uniosła mnie w dal.

Chwilę później wyprostowałam się. Kościół był opustoszały i równie cichy jak w naszych czasach.

Miałam nadzieję, że zobaczę Xemeriusa na chórze, choć jednocześnie trochę się tego bałam. Pętał się tu bowiem już w 1912 roku.

Gideon wylądował obok mnie i znowu ujął mnie za rękę.

– Chodź, musimy się pospieszyć! Mamy tylko dwie godziny i założę się, że to nie wystarczy nawet na jedną dziesiątą naszych pytań.

– A jeśli nie spotkamy Lucy i Paula u lady Tilney? – zapytałam i z emocji zaczęłam szczękać zębami.

Do tej pory nie potrafiłam myśleć o Lucy i Paulu jako o swoich rodzicach. I skoro rozmowa z mamą była taka trudna, to jaka będzie z nimi – zupełnie obcymi ludźmi?

Lał rzęsisy deszcz.

– No super! – Oddałabym teraz wszystko za jeden z niezbyt twarzowych kapeluszy madame

Rossini. – Nie mogłeś wcześniej sprawdzić prognozy pogody?

– Daj spokój. To tylko letni deszczyk – odrzekł Gideon i pociągnął mnie za sobą.

Nim dotarliśmy do Eaton Place, ten letni deszczyk kompletnie nas przemoczył. I na pewno wzbudzaliśmy zainteresowanie, bo wszyscy ludzie, których spotkaliśmy po drodze, mieli parasole i spoglądali na nas ze współczuciem.

– Jak dobrze, że nie zadawaliśmy sobie trudu z autentycznymi fryzurami – powiedziałam, gdy stanęliśmy przed domem lady Tilney.

Nerwowo przejechałam ręką po włosach, które oblepiły mi głowę. Wciąż szczękałam zębami.

Gideon zadzwonił do drzwi i mocniej ścisnął mnie za rękę.

– Jakoś mi tak nieswojo – wyszeptałam. – Jeszcze mamy czas, żeby po prostu się stąd zmyć. Może lepiej by było najpierw się w spokoju zastanowić, w jakiej kolejności mamy...

– Ćśśś – syknął Gideon. – Wszystko w porządku, Gwenny. Jestem przy tobie.

– Tak, jesteś przy mnie – powiedziałam i powtórzyłam to natychmiast parę razy, jak uspokajającą mantrę. – Jesteś przy mnie, jesteś przy mnie, jesteś przy mnie.

Tak jak ostatnio, drzwi otworzył lokaj w białych rękawiczkach. Zlustrował nas dość wrogo.

– Pan Millhouse, prawda? – Gideon uśmiechnął się uprzejmie. – Czy będzie pan tak miły i zaanonsuje nas lady Tilney? Panna Gwendolyn Shepherd i Gideon de Villiers.

Kamerdyner ociągał się przez chwilę.

– Proszę zaczekać – rzucił i zamknął nam drzwi przed nosem.

– No wiesz, pan Bernhard nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił – powiedziałam z oburzeniem.

– Cóż, pewnie myśli, że znowu masz przy sobie pistolet i chcesz utoczyć krwi jego chlebowodawczyni.

Nie może przecież wiedzieć, że lady Lavinia ukradła ci pistolet, chociaż ja cały czas zadaję sobie pytanie, jak ona to zrobiła. To znaczy co takiego zrobiła, że zupełnie straciłeś czujność. Jeśli jeszcze kiedyś się na nią natknę, zapytam ją o to, choć szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy w ogóle chcę to wiedzieć. Och, a teraz trajkoczę jak karabin maszynowy, zawsze tak jest, kiedy się denerwuję. Nie wydaje mi się, żebym dała radę stanąć z nimi twarzą w twarz. Gideonie, brak mi tchu, ale to może dlatego, że po prostu nie oddycham, chociaż to przecież nic nie szkodzi, bo jestem nieśmiertelna. – W tym momencie mój głos załamał się histerycznie, ale bez żadnej pauzy

mówiłam dalej: – Cofnijmy się lepiej o krok, bo jak drzwi się następnym razem otworzą, to ten Millhouse może cię... Drzwi otworzyły się znowu.

– .. .rąbnać – mruknęłam jeszcze szybko. Gburowaty lokaj wpuścił nas do środka.

– Lady Tilney oczekuje państwa w małym salonie – oznajmił sztywno. – Muszę tylko sprawdzić, czy nie ma pan broni.

– Jeśli to konieczne! – Gideon bez sprzeciwu podniósł ręce i pozwolił Millhouse'owi się obszukać.

– W porządku. Mogą państwo iść – powiedział lokaj.

– A co ze mną? – spytałam zaskoczona.

– Ty jesteś damą, a damy nie noszą broni. – Gideon się uśmiechnął, wziął mnie za rękę i pociągnął w górę po schodach.

– Cóż za lekkomyślność! – Spojrzałam na Millhouse'a, który szedł kilka kroków za nami. – Tylko dlatego, że jestem kobietą, on się mnie nie boi? Niechby sobie obejrzał Tomb Raidę! Mogłabym mieć pod spódnicą bombę atomową i po granacie w każdej miseczce biustonosza. Uważam, że takie postępowanie zasadniczo dyskryminuje kobiety. Gadałabym nadal, i to bez żadnego przecinka ani kropki, mniej więcej do zachodu słońca, lecz u szczytu schodów oczekiwała nas lady Tilney, szczupła i wyprostowana jak świeca. Była niezwykle piękną kobietą i lodowate spojrzenie nie mogło tego zmienić. Odruchowo chciałam uśmiechnąć się do niej, ale zmusiłam kąciki ust, by zawróciły w pół drogi. W roku 1912 lady Tilney była znacznie bardziej surowa niż później, gdy odkryła już, jak przyjemne jest szydełkowanie świnek. Nagle uświadomiłam sobie, że nie tylko nasze fryzury były zupełnie niewyjścio-we, lecz także suknia wisiała na mnie niczym mokry worek.

Mimo woli zadałam sobie pytanie, czy wynaleziono już suszarkę.

– To znowu pan – powiedziała lady Tilney do Gideona głosem równie chłodnym jak jej spojrzenie.

Pod tym względem tylko lady Arista mogła się z nią równać. – Jest pan naprawdę uparty. Chyba zrozumiał pan podczas swej ostatniej wizyty, że nie dam panu mojej krwi.

– Nie jesteśmy tutaj z powodu pani krwi, lady Tilney – odparł Gideon. – Dawno już... – Odchrząknął.

– Chcielibyśmy raz jeszcze porozmawiać z Lucy i Paulem. Tym razem bez... nieporozumień.

– Nieporozumień! – Lady Tilney skrzyżowała ręce na okrytych koronkami piersiach. – Ostatnim razem nie zachował się pan najlepiej, młody człowieku, i wykazał pan przerażającą skłonność do przemocy. Poza tym obecne miejsce pobytu Lucy i Paula nie jest mi znane i nawet w innych okolicznościach nie mogłabym panu pomóc. – Przerwała na chwilę, a jej wzrok spoczął na mnie.

– Myślę jednak, że mogłabym zaaranżować spotkanie. – Jej głos stał się o pół tonu cieplejszy. – Być może tylko z Gwendolyn i oczywiście w innym cza... – Naprawdę nie chcę być nieuprzejmy, ale chyba pani rozumie, że nasz czas jest bardzo ograniczony – wpadł jej w słowo Gideon i pociągnął mnie w górę schodów, a ja i moja suknia kompletnie zmoczyłyśmy kosztowny dywan. – I wiem, że obecnie Lucy i Paul mieszkają u pani, więc niech ich pani po prostu zawoła. Obiecuję, że tym razem będę się zachowywał stosownie.

– To jest... – zaczęła lady Tilney, lecz nagle otworzyły się za nią drzwi i chwilę potem stanęła koło niej młoda szczupła dziewczyna.

Lucy.

Moja matka.

Mocniej ujęłam dłoń Gideona, gapiąc się na Lucy i tym razem chłonąc każdy szczegół jej wyglądu.

Rude włosy, porcelana-nowoblada cera i duże niebieskie oczy wykazywały niezaprzeczone podobieństwo do wszystkich kobiet z rodziny Montrose, ale ja przede wszystkim szukałam wspólnych cech ze mną. Czy to są moje uszy? Czyż nie mam takiego samego małego nosa? A linia brwi – czy nie jest tak bardzo podobna do mojej? Czy kiedy marszczyła czoło, nie robiły się jej takie same śmieszne kreski?

– On ma rację, nie powinniśmy tracić czasu, Margret – powiedziała cicho Lucy. Jej głos drżał lekko i serce mi się ścisnęło. – Czy byłby pan tak dobry i poszedł po Paula, panie Millhouse?

Lady Tilney westchnęła, ale skinęła na Millhouse'a, który spoglądał na nią pytająco.

– Lucy, chciałabym ci przypomnieć, że ostatnim razem Gideon przystawiał ci pistolet do głowy – odezwała się lady Tilney, gdy lokaj minął nas i wszedł piętro wyżej.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedział Gideon. – Z drugiej strony... zmusiły mnie do tego okoliczności. – Spojrzał znacząco na Lucy. – Tymczasem jednak znaleźliśmy się w posiadaniu informacji, które spowodowały zmianę naszej opinii.

Ładnie powiedziane, ja też chyba powinnam dorzucić do tej rozmowy coś górnolotnego. Tylko co?

„Mamo, wiem, kim jesteś – chodź tu i przytul mnie”?

„Lucy, przebaczam ci, że mnie zostawiłaś. Teraz już nikt i nic nas nie rozdzieli”?

Musiałam wydać z siebie jakiś krótki, dziwny dźwięk, który Gideon zupełnie prawidłowo zinterpretował jako wstęp do ataku hysterii. Objął mnie ramieniem i przytrzymał w samą porę, bo moje nogi najwyraźniej nie były już w stanie utrzymać ciężaru ciała.

– Może przejdziemy do salonu? – zaproponowała Lucy. Dobry pomysł. O ile dobrze pamiętam, można tam gdzieś usiąść.

Stolik do herbaty w niewielkim owalnym pokoju nie był tym razem nakryty, ale wszystko wyglądało tak jak ostatnio, pomijając kompozycję kwiatową – z białych róż zmieniła się w ostróżki i lewkonie. W wykuszu okna wychodzącego na ulicę zobaczyłam parę krzeseł i foteli.

– Usiądźcie – powiedziała lady Tilney.

Opadłam na krzesło z perkalową tapicerką, ale inni stali dalej.

Lucy uśmiechnęła się do mnie. Podeszła krok bliżej i wyglądała tak, jakby chciała mnie pogłaskać po włosach. Zerwałam się nerwowo. – Przepraszam, że jesteśmy tacy mokrzy. Niestety, nie wzięliśmy ze sobą parasola – zaczęłam paplać.

Uśmiech Lucy poszerzył się.

– Jak to zawsze mówi lady Arista? Musiałam też się uśmiechnąć.

– Dziecko, nie na moje kosztowne poduszki! – powiedziałyśmy chórem.

Nagle twarz jej się zmieniła. Teraz Lucy wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Powiem, żeby przyniesiono herbatę – powiedziała energicznie lady Tilney i chwyciła niewielki dzwonek. – Herbata miętowa z dużą ilością cukru i gorącym sokiem z cytryny.

– Nie, proszę! – Gideon desperacko pokręcił głową. – Nie możemy na to tracić czasu. Nie wiem, czy wybrałem właściwy moment, ale mam ogromną nadzieję, że z waszego punktu widzenia moje i

Paula spotkanie w roku 1782 już się odbyło.

Lucy, która zdążyła z powrotem wziąć się w garść, powoli skinęła głową, a Gideon odetchnął z ulgą.

– A więc jasne jest dla was, że przekazaliście mi tajne dokumenty hrabiego. Potrzebowaliśmy nieco czasu, aby wszystko zrozumieć, ale teraz wiemy, że kamień filozoficzny nie jest uniwersalnym lekiem dla całej ludzkości, lecz ma jedynie zapewnić nieśmiertelność hrabiemu.

– I że ta nieśmiertelność kończy się wraz z chwilą narodzin Gwendolyn – szepnęła Lucy. – I dlatego będzie próbował ją zabić, jak tylko krag zostanie zamknięty?

Gideon skinął głową, a ja spojrzałam z irytacją. O tym szczególe do tej pory dyskutowaliśmy stanowczo za mało. Ale obecna chwila też nie była odpowiednia, bo mówił już dalej:

– Wam chodziło zawsze tylko o to, by chronić Gwendolyn.

– Widzisz, Lucy, przecież ci mówiłem. – W drzwiach pojawił się Paul.

Miał rękę na temblaku i gdy się zbliżał, spojrzenie jego złotych oczu wędrowało między Gideonem,

Lucy i mną.

Wstrzymałam oddech. Był zaledwie kilka lat starszy ode mnie i w normalnym życiu pomyślałabym, że wygląda świetnie, z tymi kruczoczarnymi włosami, niesamowitymi oczami de Vil-liersów i niewielkim dołkiem w brodzie. Miałam nadzieję, że te bokobrody to nie jego wina, pewnie w tamtych czasach takie się nosiło. Pał sześć bokobrody, on naprawdę nie wyglądał jak mój ojciec ani, prawdę mówiąc, jak czyjkolwiek ojciec.

– A więc czasem warto dać ludziom kredyt zaufania – powiedział i zmierzył Gideona wzrokiem. –

Nawet takiemu małemu draniowi jak on.

– Czasem jednak człowiek ma po prostu tylko niesamowite szczęście – prychnęła Lucy. Odwróciła się do Gideona. – Bardzo ci dziękuję, że uratowałeś Paulowi życie, Gideonie – powiedziała. –

Gdybyś przypadkowo tamtędy nie przechodził, byłby teraz martwy.

– Och, ty zawsze przesadzasz, Lucy. – Paul się skrzywił. – Jakoś bym się z tego wykaraskał.

– No jasne – rzucił Gideon z uśmiechem.

Paul zmarszczył czoło, ale zaraz również się uśmiechnął.

– No dobra, może i nie. Ten Alastair to chytry lis i do tego jeszcze cholernie dobry szermierz. A poza tym było ich trzech. Niech ja go jeszcze kiedyś spotkam...

– To raczej mało prawdopodobne – mruknęłam. – Gideon przyszpilił go w roku 1782 szablą do tapety – wyjaśniłam, gdy Paul spojrzał na mnie pytająco. –1 jeśli Rakoczy w porę go nie znalazł, to pewnie nie przeżył tego wieczora. Lady Tilney opadła na krzesło.

– Przyszpilił go szablą do tapety! – powtórzyła. – Cóż za barbarzyństwo!

– Ten psychopata nie zasłużył na nic innego. – Paul położył rękę na ramieniu Lucy.

– Jasne, że nie – dodał cicho Gideon.

– Ależ mi ulżyło – powiedziała Lucy ze wzrokiem utkwionym w mojej twarzy. – Teraz, kiedy wiecie, że hrabia zamierza zabić Gwendolyn, gdy krag zostanie zamknięty, nigdy to się nie stanie! – Paul chciał coś dorzucić, ale ona nie dała mu dojść do słowa. – Te papiery zapewne pomogą dziadkowi przekonać Strażników, że mieliśmy rację i że hrabiemu nigdy nie chodziło o dobro ludzkości, lecz tylko o siebie. I ci idioci Strażnicy, a przede wszystkim ten dupek Marley, nie będą już mogli zaprzeczać dowodom. Ha! Zhańbiliśmy pamięć hrabiego de Saint Germain, akurat! On nawet nie był prawdziwym hrabią! Był jedynym w swoim rodzaju łajdakiem i ach, czy mówiłam już, jak mi ulżyło, bo ulżyło, i to bardzo! – Zaczerpnęła głęboko powietrza i sprawiała wrażenie, jakby mogła jeszcze tak gadać godzinami, ale wtedy Paul ją objął.

– Widzisz, księżniczko? Wszystko będzie dobrze – szepnął łagodnie i choć właściwie nie było to skierowane do mnie, co dziwne, u mnie przelała się czara łez.

W najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Bo choć tak bardzo się starałam, nie potrafiłam ich powstrzymać.

– Nie będzie – wyrwało mi się i teraz było mi wszystko jedno, co stanie się z poduszkami. Opadłam na pierwsze z brzegu krzesło. – Właśnie, że nie wszystko będzie dobrze. Dziadek nie żyje od sześciu lat i nie może już nam pomóc. Lucy przykucnęła koło mnie.

– Nie płacz – powiedziała bezradnie. Ale sama też płakała. – Kochanie, nie możesz tak strasznie płakać, to źle działa na... – Chlipnęła. – Naprawdę nie żyje? – spytała ze smutkiem. – Serce, prawda?

A cały czas mu powtarzałam, żeby nie podjadał po kryjomu tortu z kremem...

Paul pochylił się nad nami i wyglądał tak, jakby też miał wybuchnąć płaczem.

No super. Jeśli Gideon się do nas przyłączy, będziemy mogli śmiało konkurować z tym letnim deszczem za oknem.

Zapobiegła jednak temu lady Tilney. Wyciągnęła z kieszeni spódnicy dwie chusteczki, podała po jednej Lucy i mnie.

– Na to będzie jeszcze czas, dzieci – powiedziała tonem, który do złudzenia przypominał ton lady

Aristy. – Teraz weźcie się w garść. Musimy się skupić. Kto wie, ile mamy czasu.

Pociągnęłam nosem i roześmiałam się, słysząc, jak Lucy trąbi w chusteczkę. Hm, miejmy nadzieję, że nie odziedziczyłam po niej tego nawyku.

Paul podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Gdy się odwrócił, wyraz jego twarzy był znów neutralny.

– W porządku. Dalej. – Podrapał się w ucho. – A więc Lucas nie może nam już pomóc. Mimo to przekonanie Strażników o egoistycznych zamiarach hrabiego na podstawie tych dokumentów musi być możliwe. – Spojrzał pytająco na Gideona. – A wtedy krąg nigdy nie zostanie zamknięty.

– Upłynie wiele czasu, nim sprawdzą autentyczność dokumentów – odrzekł Gideon. – W tej chwili

Wielkim Mistrzem Łoży jest Falk i być może nawet nam uwierzy. Choć całkiem pewien nie jestem.

Do tej pory nie odważyłem się pokazać papierów nikomu z łoży.

Skinęłam głową. Już na sofie w roku 1953 opowiadał mi o swych podejrzeniach, że wśród

Strażników jest zdrajca.

– Moim zdaniem – zabrałam głos – istnieje możliwość, że w naszych czasach jeden albo nawet kilku

Strażników zna prawdziwe działanie kamienia filozoficznego i plany hrabiego, który pragnie stać się nieśmiertelny. – Próbowałam się skoncentrować na faktach i ku mojemu zdumieniu w tym gąszczu emocji udało mi się to nadspodziewanie dobrze. A może właśnie dzięki nim? – A jeśli dziadek zdemaskował tego zdrajcę? To by wyjaśniało, dlaczego został zamordowany.

– Został zamordowany? – powtórzyła ze zdziwieniem Lucy.

– Nie ma dowodów – odparł Gideon. – Ale wszystko na to wskazuje.

Opowiedziałam mu wcześniej o wizji cioci Maddy i o włamaniu w dniu pogrzebu.

– To znaczy, że do zamknięcia kręgu dążą obie strony – powiedziała z namysłem lady Tilney. – W przeszłości za sznurki pociąga hrabia de Saint Germain, w przyszłości zaś jest jeden lub nawet kilku sojuszników, którzy wspierają jego plany.

Paul uderzył pięścią w oparcie fotela przed sobą.

– A niech to diabli! – wycedził przez zaciśnięte zęby. Lucy uniosła głowę.

– Możecie przecież powiedzieć Strażnikom, że nas nie znaleźliście. Jeśli nasza krew nie zostanie wczytana, to krąg się nie zamknie.

– To nie jest takie proste – odrzekł Gideon. – Strażnicy...

– Wiem, napuścili na nas prywatnych detektywów – przerwała mu lady Tilney. – Panowie de Villiers i ten ważniak Pin-kerton-Smythe... na szczęście uważają się za bardzo sprytnych, mnie zaś, ponieważ jestem kobietą, za bardzo głupią. Nie przyjdzie im jednak do głowy, że prywatni detektywi czasem chętnie zachowują dla siebie informacje, chcąc pomnożyć swe skromne dochody.

– Pozwoliła sobie na triumfujący uśmiech. – Ten układ jest krótkoterminowy, niedługo Lucy i Paul zetrą za sobą wszystkie ślady. Pod innym nazwiskiem zaczną nowe życie i...

– ... przeprowadzą się do mieszkania przy Blandford Street – uzupełnił Gideon i triumfujący uśmiech na twarzy lady Tilney zgasł. – My to wszystko wiemy, a Pinkerton–Smythe'owi kazano zatrzymać

Lucy i Paula w Tempie, aż pobiorę tam od nich krew. Ściśle rzecz biorąc, jutro przed południem otrzyma list ze stosownymi informacjami.

– Jutro? – spytał Paul, który był tak samo zdezorientowany jak ja. – Wtedy nie będzie jeszcze za późno.

– Będzie – sprzeciwił się Gideon. – Bo z mojego punktu widzenia to się stało dawno temu. Przed paroma dniami przekazałem ten list wartownikowi pełniącemu służbę. Wtedy nie miałem jeszcze o niczym pojęcia.

– To się po prostu ukryjemy – powiedziała Lucy.

– Jutro przed południem? – Lady Tilney się skrzywiła. – Zobaczę, co się da zrobić.

– Ja też. – Gideon spojrzał na wielki szafkowy zegar. – Nie wiem jednak, czy to wystarczy. Bo nawet jeśli zdołamy zapobiec aresztowaniu Lucy i Paula przez Strażników, jestem przekonany, że hrabia znajdzie sposób i środki, by osiągnąć swój cel. – Mojej krwi w każdym razie nie dostanie – oświadczyła lady Tilney.

Gideon westchnął.

– Pani krew już dawno mamy, lady Tilney. Odwiedziłem panią w 1916 roku, kiedy musiała się pani w czasie pierwszej wojny światowej poddać w piwnicy elapsji razem z bliźniętami de Villiers. Bez protestu pozwoliła pani pobrać sobie krew. Sam byłem zaskoczony. Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli kiedyś okazję porozmawiać na temat tego wydarzenia.

– Czy tylko mnie, czy wam też się wydaje, jakby ktoś budował wam w mózgu linię metra? – spytał

Paul.

Musiałam się roześmiać.

– Czuje się dokładnie tak samo – zapewniłam go. – To po prostu zbyt wiele informacji, by dało się je przetrawić za jednym zamachem. Do każdej myśli jest przyczepionych dziesięć następnych.

– A to nie wszystko – powiedział Gideon. – Jest jeszcze wiele rzeczy do omówienia. Niestety, za chwilę przeskoczymy z powrotem. Ale wrócimy za pół godziny. To znaczy dla Gwendolyn i dla mnie to będzie jutro rano... jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Nie jarzę tego – mruknął Paul, ale Lucy wyglądała tak, jakby ją właśnie oświeciło.

– Jeśli nie przybyliście tutaj z oficjalną misją od Strażników, to kto was wysłał? – spytała powoli i zbladła. – Albo raczej co?

– My... – zaczęłam, ale Gideon rzucił mi szybkie spojrzenie i niepostrzeżenie pokręcił głową.

– Możemy to zaraz wyjaśnić – odrzekł.

Rzuciłam okiem na zegar.

– Nie – powiedziałam. Gideon uniósł brwi.

– Nie? – spytał.

Wzięłam głęboki wdech. Raptem stwierdziłam, że nie mogę czekać ani sekundy dłużej. Powiem

Lucy i Paulowi prawdę, tu i teraz.

Nagle opuściły mnie nerwy, czułam się tylko nieskończenie zmęczona. Jakbym przebiegła pięćdziesiąt kilometrów i nie spała przez jakieś sto lat. I oddałabym wszystko za to, by Gideon pozwolił lady Tilney zamówić dla nas gorącą miętową herbatę z cytryną i cukrem. Musiałam się jednak obyć bez niej.

Zdecydowanie spojrzałam na Lucy i Paula.

– Muszę wam coś powiedzieć – zaczęłam cicho. – Chyba mamy tyle czasu.

Kiedy brat Cynthii, przebrany za ogrodowego krasnala, otworzył nam drzwi, zdawało nam się, że rozwarły się bramy piekieł. Muzyka była podkreślona na maksa i to nie był ten jej rodzaj, do którego chętnie tańczyli rodzice Cynthii, lecz brzmiało to jak coś pomiędzy house a dubstep.

Dziewczyna z koroną na głowie odepchnęła ogrodowego krasnala na bok i wymiotowała między hortensje przy drzwiach. Miała zielonkawą twarz, ale to mógł być makijaż.

– Touchdown* \ – zawołała, prostując się. – Już się bałam, że nie dobiegnę.

– Och, licealne imprezy – powiedział Gideon. – Ale fajnie.

Gapiałam się w osłupieniu. Coś tu kompletnie nie grało. Staliśmy przed szacownym domostwem rodziny Dale'ów w eleganckim Chelsea. W miejscu, gdzie zwykle mówiło się półgłosem. A więc dlaczego ludzie tańczyli już w holu? I w ogóle dlaczego było ich tak dużo? I skąd się brał ten śmiech? Normalnie na imprezach u Cynthii nikt się nie śmiał, no chyba że od czasu do czasu, zakrywając usta dłonią. I gdyby słowo „nuda” jeszcze nie istniało, na pewno zostałyby wynalezione do określenia panującego u niej nastroju.

– Jesteście zieloni, a więc wchodźcie do środka – zaskrzeczał brat Cynthii i wcisnął mi do ręki szklanke. – Proszę! Zielony koktajl potworów! Bardzo zdrowy! Naturalny sok owocowy, świeże owoce, zielony barwnik spożywczy, ale ekologiczny! I maleńki łyżeczek białego wina. Też ekologicznego, rzecz jasna.

– Wasi rodzice wyjechali na weekend? – spytałam, próbując przepchnąć przez drzwi tony materiału sukni Sissi.

– Co?

Powtórzyłam pytanie dziesięć decybeli głośniej.

– Nie, gdzieś się tutaj kręca. – Wypowiedź ogrodowego krasnala była nieco bełkotliwa. – Pokłócili się, bo tato koniecznie chciał żonglować zielonymi kuleczkami z soi i namawiał wszystkich, żeby go naśladowali. Ten, kto trafi w mamy nakrycie głowy, dostanie nagrodę. Hej, Muriel, a czego ty szukasz w szafie? Toaleta jest tam, po drugiej stronie.

– Okej. Zdecydowanie coś tu nie gra – powiedziałam do Gideona. Musiałam wrzeszczeć, żeby mnie usłyszał. – Zazwyczaj ludzie stoją tu w grupkach sztywni jak brokuły i czekają na północ. I próbują zwać przed rodzicami Cynthii, którzy zmuszają człowieka do zabawnych gier, tyle że są one zabawne tylko dla nich.

Gideon wyjął mi z ręki szklanke i upił łyk.

– Chyba to jest wytłumaczenie – odrzekł z uśmiechem. – Maleńki łyk białego wina? Moim zdaniem połowa tego to wódka. Co najmniej połowa.

No dobra, to tłumaczyło pewne rzeczy. Rzuciłam okiem na parkiet w salonie, gdzie mama Cynthii, przebrana za Statuę Wolności, odstawiała dosyć dziki taniec.

– Poszukamy Leslie i Raphaela i spadamy – powiedziałam. Gideon został staranowany przez strąk papryki.

– Ppp...praszam – mruknęła Sarah, która była zaszyta w środku, ale nagle jej oczy szeroko się otworzyły. – O rany... jesteś prawdziwy? – Zaczęła kontrolnie wiercić palcem w surducie Gideona.

– Sarah, nie widziałaś gdzieś Leslie? – spytałam poirytowana. – Czy jesteś zbyt pijana, żeby ją pamiętać?

– Jestem trzeźwa jak świnia! – zawołała Sara. Tak się zataczała, że upadłaby, gdyby Gideon jej nie podtrzymał. – Udowodnię ci to: w czasie suszy szosa sucha. W czasie suszy szosa sucha. Spróbuj powtórzyć! Nie da się tego powiedzieć po pijaku. Prawda? – Obrzuciła zachwyconym spojrzeniem

Gideona, który wyglądał tak, jakby się świetnie bawił. – Jeśli jesteś wampirem, możesz mnie spokojnie ukąsić.

Przez chwilę kusilo mnie, żeby wyrwać Gideonowi szklankę i jednym haustem wychylić koktajl potworów. To hałaśliwe, kipiące zielone piekło było torturą dla moich starganych nerwów.

Właściwie nie mieliśmy już zamiaru iść na tę imprezę, mimo że miałam piękną suknię księżnej

Sissi. Gdy zdjęliśmy kostiumy z przełomu wieków i wyszliśmy z kościoła, wciąż jeszcze cała się trzęsłam po rozmowie z Lucy i Paulem. Pragnęłam tylko jednego – zagrzebać się w łóżku i wyjść z niego dopiero wtedy, gdy będzie już po wszystkim. Albo przynajmniej (wersję z łóżkiem szybko odrzuciłam jako nierealną) pozwolić mojemu nadwerężonemu mózgowi na rundę uporządkowanych przemyśleń w atmosferze spokoju. Z karteczkami, ramkami i strzałkami w różnych kolorach. Porównanie Paula – z metrem, które ktoś buduje w naszych głowach – bardzo przypadło mi do gustu. Brakowało tylko planu tras.

Leslie przysłała mi cztery SMS-y, w których żądała naszej obecności na imprezie. Zwłaszcza ostatni brzmiał dość alarmująco: „Albo ruszycie wreszcie tyłki i przyjdziecie tutaj, albo za nic już nie ręczę”.

– La! Gwenny! – To był Gordon Gelderman, w swetrze ze sztucznego trawnika. Wlepił wzrok w mój dekolt Sissi i gwizdnął przez zęby. – Zawsze wiedziałem, że pod bluzką masz coś więcej niż tylko dobre serce!

Przewróciłam oczami. Gordon zawsze zachowywał się żenująco, nie umiał inaczej, ale czy Gideon musi się tak idiotycznie uśmiechać?

– Hej, Gordonie! Powiedz trzy razy: w czasie suszy szosa sucha! – wrzasnęła Sarah.

– W czasie suszy sosa ducha, w czasie susy szosza szucha, w czasie szusy sosza szucha! – zawołał bez wahania Gordon. – Dla mnie żaden problem! Hej, Gwenny, próbowałaś już koktajlu? – Nachylił się poufale. – Obawiam się – ryknął mi do ucha – że nie byłem jedyną osobą, która wpadła na pomysł, żeby trochę... hmmm... podrasować ten przepis! Przez chwilę wyobraziłam sobie gości imprezy, jak idą wzdłuż bufetu, rozglądając się ukradkiem, a potem wlewają do koktajlu przeschumowaną wódkę.

– No to co, że ze Szwecji, no to co, że ze Szwecji! Spróbuj to powiedzieć cztery razy! – skandowała

Sarah, zataczając się i klepiąc Gideona po tyłku. – Leslie jest w oranżerii. Urządzili tam karaoke. Ja też tam zaraz pójde, tylko wezmę sobie łyżeczek koktajlu. – Zielony koniuszek filcu nad jej głową kiwał się wesoło. – To naprawdę najlepsza impreza, na jakiej byłam do tej pory.

Gordon parsknął śmiechem.

– No, Cynthia powinna być naprawdę wdzięczna. Po dzisiejszej nocy nikt już nie powie, że imprezy u niej są nudne. To dopiero szczęściara! Do tego serwis cateringowy dostarczył dużo za dużo przekąsek. Każdy z nas mógł jeszcze zadzwonić po paru kumpli. Niektórzy nie są nawet przebrani, o zieleni nie wspomnę!

Znów przewróciłam oczami i energicznie pociągnęłam Gideona przez tłum tańczących wariatów w stronę oranżerii. Gordon poszedł za nami.

– Będziesz dzisiaj śpiewać karaoke, Gwenny? Ostatnim razem byłaś najlepsza. Głosowałbym na ciebie, gdyby Katie nie oblała sobie koszulki wodą. To wyglądało super i dlatego...

– Och, zamknij się, Gordon. – Chciałam się do niego odwrócić, ale w tym momencie zobaczyłam

Charlotte.

Albo kogoś, kto mógł być Charlotta, gdyby nie stał na stole pośrodku oranżerii i nie śpiewał na cały głos do mikrofonu Pa-parazzi Lady Gagi.

– O mój Boże – mruknął Gideon i aż przytrzymał się futryny.

– Readyfor those flashing light... – śpiewała Charlotta.

Na chwilę odebrało mi mowę. Wokół stołu stała cała masa wrzeszczących fanów – bo Charlotta śpiewała całkiem nieźle. Gordon natychmiast rzucił się między nich.

– Rozbieraj się! Rozbieraj! – wrzasnął.

Dostrzegłam Raphaela i Leslie, która wyglądała zachwycająco w tej niemal zielonej sukni Grace

Kelly i odpowiednich lokach w stylu retro – i precyzyjnie się do nich. Gideon został w drzwiach.

– No, nareszcie! – krzyknęła do mnie Leslie i rzuciła mi się na szyję. – Charlotta napiła się koktajlu i coś w nią wstąpiło. Od wpół do dziesiątej opowiada ludziom o tajnym stowarzyszeniu hrabiego de

Saint Germain i o tym, że istnieją podróżnicy w czasie, którzy żyją pośród nas. Próbowaliśmy już wszystkiego, żeby odholować ją do domu, ale za każdym razem wyślizguje się nam jak piskorz.

– Poza tym jest od nas znacznie silniejsza – dodał Raphael, który miał na głowie śmieszny kapelusz, ale wcale nie wyglądał na rozbawionego. – Już zaciągnąłem ją prawie do drzwi, ale mi wykręciła rękę i zagroziła, że złamie mi kark.

– A teraz w dodatku ma mikrofon – rzuciła posępnie Leslie. Spojrzeliśmy na Charlotte, jakby była tykającą bombą zegarową. Trzeba przyznać, że dość ładnie opakowaną.

Caroline nie przesadziła: kostium elfa był naprawdę zachwycający. Żaden prawdziwy elf nie mógł wyglądać piękniej niż Charlotta, której delikatne

ramiona wyłaniały się wdzięcznie z obłoku zielonego tiulu. Miała zarumienione policzki, oczy jej błyszczały, a włosy wiły się lśniąco na plecach, sięgając skrzydeł tak doskonale wykonanych, jakby Charlotta się z nimi urodziła. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle wzniosła się w powietrze i przefrunęła przez oranżerię.

Jej śpiew nie przypominał jednak łagodnej pieśni elfów. Był całkiem podobny do głosu Lady Gagi.

– You know that FU be your Papa–Paparazzi... – zagrzmiała do mikrofonu, a kiedy Gordon znowu wrzasnął: „Rozbieraj się!”, zaczęła wyzywająco ściągać jedną z zielonych rękawiczek, palec po palcu, pomagając sobie przy tym zębami.

– To z filmu – powiedziała Leslie, która, chcąc nie chcąc, patrzyła zafascynowana. – Tylko akurat nie pamiętam z jakiego.

Tłum wiwatował, gdy Gordon chwycił jej rękawiczkę.

– Dalej! – ryknęli wszyscy i Charlotta zajęła się drugą rękawiczką.

Nagle znieruchomiała. Dostrzegła w drzwiach Gideona i jej oczy się zwęziły.

– Patrzcie tylko, kogo my tu mamy! – powiedziała do mikrofonu i przesunęła wzrokiem po twarzach, aż zatrzymała się na mnie. – I moja kuzyneczka też tu jest... oczywiście! Hej, ludzie, wiedzieliście, że w rzeczywistości Gwendolyn jest podróżniczką w czasie? Właściwie to miałam być ja, ale los zrzucił inaczej. A teraz stoję tutaj jak jakaś głupia siostra Kopciuszka.

– Śpiewaj dalej! – wołali jej zdezorientowani fani.

– Rozbieraj się! – wrzasnął Gordon.

Charlotta przekrzywiła głowę i utkwiała w Gideonie płonąco wzrok.

– But I won't stop until that boy is mine? Cha, cha, zapomnij. Tak nisko na pewno nie upadnę. –

Wskazała na Gideona palcem. – On też może podróżować w czasie! – zawołała. – I już wkrótce uleczy ludzkość ze wszystkich chorób. – O cholera – mruknęła Leslie.

– Ktoś musi ją stamtąd zabrać – powiedziałam.

– Ale jak? To terminator! Może moglibyśmy po prostu rzucić w nią czymś ciężkim? – zaproponował

Raphael.

Fani Charlotty najwyraźniej zauważyli, że jej nastrój był jak najdalszy od luzu. Tylko Gordon ryczał dalej: „Rozbieraj się!”.

Spróbowałam nawiązać kontakt wzrokowy z Gideonem, ale on był wpatrzony w Charlotte. Powoli torował sobie drogę do stołu, na którym stała.

Charlotta wzięła głęboki wdech, a mikrofon poniósł jej westchnienie w najdalszy kąt oranżerii.

– My, on i ja, wiemy wszystko o historii. Nauczyliśmy się wspólnie podróżować w czasie.

Powinniście zobaczyć, jak tańczy menueta. Albo jeździ konno. Albo jak fechtuje. Albo gra na fortepianie.

Gideon był już prawie przy niej.

– Jest niesamowicie dobry we wszystkim, co robi. I potrafi wyznać miłość w ośmiu językach – powiedziała rozmarzonym głosem i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, że łzy napływają jej do oczu. – Nie mnie ją wyznał, o nie! On się interesuje tylko moją głupkowatą kuzynką.

Zagryzłam wargi. To wyglądało mi na złamane serce i nikt na świecie nie potrafił jej zrozumieć lepiej niż ja. Kto by pomyślał, że Charlotta w ogóle ma serce? Nagle zapragnęłam, by teoria Leslie na temat serc z marcepanu okazała się prawdziwa. Przy tym moje serce akurat boleśnie się skurczyło i z wysiłkiem powstrzymywałam falę zazdrości, która próbowała mnie zalać.

Gideon wyciągnął rękę do Charlotty.

– Czas iść do domu.

– Buuuu! – zawołał Gordon, wrażliwy niczym snopowiazałka, ale pozostali w napięciu wstrzymali oddech.

– Zostaw mnie – powiedziała Charlotta do Gideona. Odrobinę się chwiała.

– Jeszcze nie skończyłam.

Jednym skokiem Gideon znalazł się koło niej na stole i zabrał jej mikrofon.

– Koniec przedstawienia – oznajmił. – Chodź już, Charlotto, zawiozę cię do domu.

Charlotta prychnęła na niego niczym rozzłoszczona kotka.

– Złamię ci kark, jeśli mnie dotkniesz. Znam krav magę, wiesz przecież.

– Ja też, zapomniałaś? – Znowu wyciągnął do niej rękę. Charlotta po chwili wahania ujęła ją, a nawet pozwoliła się zdjąć ze stołu – zmęczony, pijany elf z trudem trzymał się na nogach.

Gideon objął ją w talii i odwrócił się do mnie. Z jego twarzy nie bardzo dało się wyczytać, co myśli.

– Muszę to szybko załatwić. Wy idźcie z Raphaelem do mnie do domu – rzucił krótko. – Tam się spotkamy.

Przez moment nasze spojrzenia się zetknęły.

– Na razie – powiedział. Skinęłam głową.

– Na razie.

Charlotta nie odezwała się już słowem.

A ja zastanawiałam się, czy Kopciuszek też miał choć odrobinę wyrzutów sumienia, gdy ze swym księciem odjeżdżał na białym koniu w siną dal.

Rozdział 14

I to jest jeszcze jeden powód, żeby trzymać się z dala od alkoholu – westchnęła Leslie. – Możesz nawet stanąć na uszach, ale jak po pijaku narobisz głupot, to i tak na koniec będziesz świecić oczami. W każdym razie nie chciałybym w poniedziałek rano w szkole być w skórze Charlotty.

– Cynthii też nie – dodałam.

Wychodząc, zobaczyliśmy jubilatkę w garderobie obści-skującą się z chłopakiem, który chodził dwie klasy niżej od nas (w tych okolicznościach zrezygnowałam z pożegnania się z Cynthią, tym bardziej że nawet się nie przywitałyśmy).

– Albo w skórze tego biednego gościa, który zwymiotował na dziwaczne żabie buty pani Dale – dorzucił Raphael.

Skręciliśmy w Chelsea Manor Street.

– Charlotta naprawdę dostała świra. – Leslie zatrzymała się przed wystawą sklepu z tkaninami obiciowymi, ale nie po to, by przyjrzeć się ekspozycji, lecz żeby podziwiać własne odbicie w szybie. – Niechętnie to mówię, ale było mi jej naprawdę szkoda.

– Mnie też – powiedziałam cicho.

W końcu dokładnie wiedziałam, jakie to uczucie być zakochaną w Gideonie. I niestety, wiedziałam również, jakie to uczucie, gdy się człowiek publicznie wygłupi. – Przy odrobinie szczęścia do jutra wszystko zapomni. – Ra-phael otworzył drzwi domu z czerwonej cegły.

Znajdował się rzut beretem od domu państwa Dale'ów i dlatego najłatwiej było nam tutaj przebrać się na imprezę u Cynthii.

Byłam zbyt wzburzona moim spotkaniem z Lucy i Paulem w 1912 roku, by się dokładniej rozejrzeć. Zrobiłam to dopiero teraz.

Właściwie zawsze byłam przekonana, że Gideon mieszka w jednym z tych hiperszpanerskich loftów, sto metrów kwadratowych ziejącej pustki, mnóstwo chromu i szkła, a na ścianie płaski telewizor rozmiarów boiska do piłki nożnej. Ale myliłam się. Wąski korytarzyk tuż obok wejścia prowadził do zalanego światłem pokoju, którego przeciwległą ścianę tworzyło wielkie okno.

Boczne ściany zajmowały sięgające do sufitu regały, pełne książek, płyt DVD i segregatorów, a pod oknem stała duża szara sofa z całą masą poduszek.

Serce pokoju tworzył otwarty fortepian, którego dostojność zakłócała jednakże oparta o niego zupełnie nieuroczyście deska do prasowania. Do całego obrazu niezbyt także pasował zawieszony niedbale na pokrywie fortepianu trójgraniasty kapelusz, którego madame Rossini na pewno już szukała, załamując ręce z rozpaczy. Ale cóż – może tak właśnie Gideon wyobrażał sobie własne cztery kąty?

– Czego się napijecie? – spytał Raphael, gospodarz idealny.

– A co macie? – odpowiedziała pytaniem Leslie i nieufnie zajrzała do kuchni, gdzie w zlewozmywaku piętrzyły się naczynia i talerze, pokryte czymś, co przypuszczalnie było kiedyś sosem pomidorowym.

A może to był jakiś medyczny eksperyment potrzebny Gideonowi na studiach?

Raphael otworzył lodówkę.

– Hm. Popatrzmy. Jest mleko, ale termin ważności upłynął w ubiegłą środę. Sok pomarańczowy... ojej, on może się zbrylić? Ten karton dziwnie szeleści. Ale to tutaj wygląda wielce obiecująco, to musi być jakiś rodzaj oranżady wymieszanej z...

– Och, napiję się po prostu wody. – Leslie chciała się rzucić na ogromną szarą sofę, ale w ostatniej sekundzie przypomniała sobie, że suknia Grace Kelly nie nadaje się na taką swobodę, i układnie przysiadła na brzegu. Klapnęłam obok niej z bezbrzeżnie głębokim westchnieniem. – Biedna

Gwenny. – Leslie pogłaskała mnie czule po policzku. – Co za dzień! Pewnie masz wszystkiego dosyć! Pocieszy cię, gdy ci powiem, że w ogóle tego po tobie nie widać?

Wzruszyłam ramionami.

– Troszeczkę.

Raphael wrócił ze szklankami i butelką wody, zmiotł ze stolika przy sofie kilka czasopism i książek, wśród nich ilustrowany tom o mężczyznach w epoce rokoko.

– Czy mogłabyś odsunąć na bok kilka metrów kwadratowych swoich falbanek, żebym też się zmieścił na sofie? – Uśmiechnął się szeroko.

– Och, usiądź po prostu na sukni – powiedziałam, odchyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy.

Leslie poderwała się na nogi.

– Nie ma mowy! Jeszcze coś się zepsuje i więcej nie będziemy już mogli niczego pożyczyć od madame Rossini. Chodź no, wstawaj, wyciągnę cię z tego gorsetu. – Podniosła mnie z sofy i zaczęła wysupływać z sukni Sissi. – A ty, Raphael, patrz teraz łaskawie w inną stronę.

Raphael z impetem położył się na sofie i wlepił wzrok w sufit.

– Tak dobrze?

Kiedy znów miałam na sobie dżinsy i koszulkę i kiedy wypłam kilka łyków wody, poczułam się odrobinę lepiej.

– No to jak było, gdy spotkałaś się z twoimi... to znaczy z Lucy i Paulem? – spytała cicho Leslie, gdy z powrotem usiadłyśmy.

Raphael popatrzył na mnie ze współczuciem.

– Czad, kiedy rodzice są w tym samym wieku co ty. Skinęłam głową.

– Było dość... dziwnie i... wstrząsająco. – A potem opowiedziałam im wszystko, od przywitania nas przez lokaja aż do naszego wyznania, że zamknęliśmy krąg krwi. – Na wiadomość, że znaleźliśmy się w posiadaniu kamienia filozoficznego czy też, jak określił to Xemerius, błyszczącej soli, wszystkim spadły kaptcie. Strasznie się zdenerwowali, a Lucy, jak się denerwuje, gada jeszcze więcej niż ja, nie do wiary, prawda? Przesłali zasypywać nas wymówkami dopiero wtedy, gdy poinformowałam ich, że wiem o... eee... o łączącym nas pokrewieństwie.

Leslie szeroko otworzyła oczy.

– Ico?

– Najpierw zamilkli. A chwilę później wszyscy wybuchnęli płaczem – powiedziałam i zmęczonym gestem potarłam oczy. – Myślę, że tym, co wypłakałam w ostatnich dniach, można by nawodnić afrykańskie pola w czasie suszy.

– Ach, Gwenny. – Leslie bezradnie pogłaskała mnie po ramieniu.

Spróbowałam się uśmiechnąć.

– No, a potem przekazaliśmy im jeszcze radosną wiadomość, że hrabia nie może mnie zabić i nikt nie może, bo jestem nieśmiertelna. Oczywiście nie chcieli w to uwierzyć, ale mieliśmy za mało czasu i nie mogliśmy im tego udowodnić, na przykład każąc Millhouse'owi szybko mnie udusić albo coś w tym stylu. Musieliśmy więc zostawić ich z otwartymi ustami i uciekać, żeby w porę jeszcze dotrzeć do kościoła przed powrotnym przeskokiem w czasie.

– I co będzie teraz?

– Jutro ich znowu odwiedzimy i Gideon przedstawi wtedy genialny plan – powiedziałam. – Niestety, musi go jeszcze dzisiaj w nocy wymyślić. Ale jeśli choć w połowie jest tak padnięty jak ja, to na pewno nie będzie mógł zebrać myśli.

– No tak, ale na to jest kawa. I ja: genialna Leslie Hay. – Leslie obdarzyła mnie zachęcającym uśmiechem. A potem westchnęła. – Ale masz rację, to naprawdę nie jest proste. To wprawdzie cudownie, że macie chronograf i sami możecie podróżować w czasie, ale przecież nie możecie go używać w sposób nieograniczony. Przede wszystkim dlatego, że jutro znowu musicie się spotkać z hrabią i w ten sposób macie do dyspozycji najwyżej dwie godziny z waszego przydziału czasowego.

– He? – jęknęłam. Leslie westchnęła.

– Nie czytałaś Anny Kareniny? Nie wolno poddawać się elapsji więcej niż pięć i pół godziny dziennie, w przeciwnym razie występują skutki uboczne. – Leslie udawała, że nie widzi zachwyconego spojrzenia Raphaela. – Ja nie wiem, co sądzić o tym, że macie ten proszek. On jest... niebezpieczny. Mam nadzieję, że przynajmniej ukryliście go tak, że nikt go nie znajdzie.

O ile wiedziałam, buteleczka wciąż tkwiła w kieszeni skórzanej kurtki Gideona. Ale nie powiedziałam tego Leslie.

– Paul przynajmniej dwadzieścia razy zażądał, żebyśmy go zniszczyli.

– Ten facet nie jest głupi!

– Nie. – Pokręciłam głową. – Gideon uważa, że to może być nasz as w rękawie.

– Czad – mruknął Raphael. – Można by go żartem wystawić na eBayu i sprawdzić, kto weźmie udział w licytacji. Proszek na nieśmiertelność do jednorazowego użycia. Cena wywoławcza jeden funt.

– Poza hrabią nie znam nikogo, kto chciałby być nieśmiertelny – powiedziałam z lekką goryczą. – To musi być straszne: pozostać przy życiu, gdy wszyscy naokoło muszą umrzeć. No więc ja nie chciałabym tego przeżyć! Zanim zostanę na świecie całkiem sama, rzucę się z wysokiego klifu. –

Zdusiłam kolejne westchnienie, które wyrwało mi się na tę myśl. – Sądziecie, że ta moja nieśmiertelność może być efektem jakiegoś błędu genetycznego? W końcu mam w rodzinie nie jednego nosiciela tych genów, lecz aż dwoje!

– Może w tym być nieco prawdy – odrzekła Leslie. – Wraz z tobą krąg się zamyka, w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa.

Przez chwilę, zatopieni w myślach, gapiliśmy się na przeciwległą ścianę. Był tam na tynku wypisany czarnymi literami łaciński cytat.

– Co to właściwie znaczy? – spytała w końcu Leslie. – Nie zapomnij uzupełnić zapasów w lodówce?

– Nie – odparł Raphael. – To cytat z Leonarda da Vinci, a de Villiersowie go ukradli i zrobili z niego rodzinne motto.

– Och, w takim razie w tłumaczeniu brzmi to z pewnością: „Nie jesteśmy bufonami, jesteśmy naprawdę super”. Albo: „Wiemy wszystko i zawsze mamy rację”. – Zachichotałam.

– „Przywiąż swój wóz do gwiazdy” – powiedział Raphael. – Tyle to znaczy. – Odchrząknął. – Mam przynieść coś do pisania i papier? Żeby nam się lepiej myślało? – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. –

To trochę chore, co teraz powiem, ale to naprawdę frajda grać z wami w tę tajemniczą grę.

Leslie usiadła. Powoli na jej twarz wypełzał szeroki uśmiech, a piegi na nosie zaczęły tańczyć.

– Też tak uważam – powiedziała. – To znaczy wiem, że to nie jest zabawa i że to sprawa życia i śmierci, ale jeszcze nigdy nie bawiłam się tak dobrze jak przez kilka ostatnich tygodni. – Rzuciła mi przeproszające spojrzenie. – Wybacz, Gwenny, ale to po prostu jest zupełny odjazd mieć nieśmiertelną przyjaciółkę, która podróżuje w czasie. Chyba nawet większy, niż gdybym sama taka była.

Nie mogłam inaczej, musiałam się roześmiać.

– Na pewno masz rację. Też bym się lepiej bawiła, gdybyśmy się zamieniły rolami.

Gdy Raphael wrócił z papierem i kolorowymi pisakami, Leslie natychmiast zaczęła rysować ramki i strzałki.

– Przede wszystkim sprawa z sojusznikami hrabiego wśród Strażników przyprawia mnie o ból głowy. – Przez chwilę gryzła końcówkę ołówka. – Chociaż to też opiera się tylko na przypuszczeniu, ale wszystko jedno. W gruncie rzeczy to może być każdy, prawda? Minister zdrowia, ten dziwny doktor, miły pan George, pan Whitman, Falk... i ten rudowłosy gbur, jakże on się nazywa?

– Marley – powiedziałam. – Ale wydaje mi się, że to nie jest taki gość.

– Ale jest potomkiem Rakoczego. Wiesz przecież, jak to bywa, to są zawsze ci, których najmniej się podejrzewa.

– Zgadza się – przyznał Raphael. – Ci nieszkodliwi to najczęściej dranie. Przed jąkałami i gburami trzeba się mieć na baczności.

– Ten sojusznik hrabiego, nazwijmy go panem X, może być mordercą dziadka Gwenny. – Leslie z zapalem bazgrała po kartce. – I przypuszczalnie jest tym, który miałby zabić Gwenny, gdy hrabia dostanie już swój eliksir. – Spojrzała na mnie z czułością. – Od kiedy wiem, że jesteś nieśmiertelna, ociupinkę mniej się martwię.

– Nieśmiertelna, ale można ją zranić – wtrącił zamyślony Gideon.

Wzdrygnęliśmy się wszyscy, tak nas przestraszył. Niezauważony wszedł do pokoju i teraz stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o futrynę. Wciąż jeszcze był ubrany w strój z osiemnastego wieku i jak za każdym razem, moje serce wykonało mały, bolesny skok.

– Jak się czuje Charlotta? – spytałam, mając nadzieję, że pytanie zabrzmiało tak neutralnie, jak powinno zabrzmieć.

Gideon ze znużeniem wzruszył ramionami.

– Myślę, że jutro będzie musiała łyknąć parę aspiryn. – Podeszedł bliżej. – Co robicie?

– Plany. – Leslie zakleszczyła czubek języka w kącik ust, znowu coś rysując. – Nie możemy także zapominać o magii kruka – powiedziała bardziej do siebie.

– Gid, jak myślisz, kto spośród Strażników mógłby być tajnym sojusznikiem hrabiego? – Raphael nerwowo obgryzał paznokcie. – Ja podejrzewam wuja Falka. Jak byłem mały, zawsze budził we mnie grozę.

– Bez sensu. – Gideon podszedł do mnie i wycisnął mi na włosach całusa, a potem opadł na wytarty skórzany fotel, oparł łokcie o uda i odgarnął sobie kosmyk z twarzy. – Mnie cały czas chodzi po głowie to, co powiedziała Lucy: że nieśmiertelność hrabiego znika wraz z narodzinami Gwendolyn.

Leslie oderwała się od swoich wykresów i pokiwała głową.

– „Lecz strzeż się! Dwunastej gwiazdy powstanie ziemskiego czasu zaczniesz odliczanie” – zacytowała, a ja się znowu zezłościłam, że te głupie częstochowskie rymy powodują, że po plecach przechodzą mi ciarki. – „Zniknie młodości wieczystej ochrona, dąb wieczny swego żywota dokona”.

– Ty to wszystko znasz na pamięć? – spytał Raphael.

– Nie wszystko. Ale niektóre z tych zwrotek naprawdę wpadają w ucho – odpowiedziała nieco speszona Leslie. Potem zwróciła się do Gideona: – Zinterpretowałam to tak: jeśli hrabia zażyje ten proszek w przeszłości, stanie się nieśmiertelny. Ale tylko do chwili, gdy pojawi się dwunasta gwiazda... hm... to znaczy urodzi się Gwendolyn. Wraz z jej narodzinami sprawa nieśmiertelności staje się nieaktualna. Wieczny dąb dokona żywota, to znaczy, że hrabia z powrotem stanie się śmiertelny. No chyba że zabije Gwendolyn, żeby zatrzymać ten proces. Ale przedtem ona musi sprawić, żeby w ogóle dostał ten eliksir. A jeśli on nie dostanie eliksiru, to nie stanie się nieśmiertelny. Czy ja się wyrażam jasno?

– Tak, w sumie tak. – Pomyślałam o Paulu i o tym metrze w naszych mózgach.

Gideon powoli pokręcił głową.

– A jeśli przez cały czas popełniamy jakiś błąd w myśleniu? – spytał z namysłem. – A jeśli hrabia dawno już dostał ten proszek?

– To niemożliwe, bo krąg krwi w tamtym chronografie nie został zamknięty, a eliksir z tego chronografu znajduje się w bezpiecznym miejscu – wyjaśniła zniecierpliwiona Leslie.

– No, tak – potwierdził Gideon. – Teraz, w tym momencie. Ale tak wcale nie musi zostać. –

Westchnął, widząc nasze osłupiałe spojrzenia. – Pomyślcie tylko: możliwe, że hrabia kiedyś w osiemnastym wieku jakimś sposobem zażył jednak eliksir i stał się nieśmiertelny.

Wszyscy troje wlepiliśmy w niego wzrok. Choć nie bardzo rozumiałam dlaczego, całe ciało pokryło mi się gęsią skórką.

– To by z kolei oznaczało, że w tej chwili prawdopodobnie żyje – ciągnął Gideon, patrząc mi prosto w oczy. – Ze sobą gdzieś tam chodzi i czeka na nas, aż przyniesiemy mu ten eliksir do osiemnastego wieku. A potem znajdzie okazję, żeby cię zabić.

Przez kilka minut panowała cisza.

– Nie powiem – odezwała się w końcu Leslie – że całkiem cię rozumiem, ale nawet jeśli z jakiegoś powodu zmienilibyście plany i dostarczyli hrabiemu eliksir, to on i tak ma maleńki problem. –

Zaśmiała się z satysfakcją. – Nie może zabić Gwenny.

Raphael zakreślił pisakiem na stole niczym bączkiem.

– A poza tym dlaczego mielibyście zmieniać plany, skoro znacie prawdziwe zamiary hrabiego?

Gideon milczał przez chwilę, a jego twarz była niemal pozbawiona wyrazu, gdy wreszcie się odezwał.

– Bo można nas zaszantażować – powiedział.

– Za dziesięć minut zadzwoni budzik – powiedział Xemerius, a ja obudziłam się, bo poczułam na twarzy coś wilgotnego i zimnego.

Wzdychając, naciągnęłam sobie kołdrę na głowę.

– Tobie to się nie dogodzi. Jeszcze wczoraj miałaś pretensje, że cię nie obudziłem. – Xemerius był obrażony.

– Bo wczoraj nie nastawiłam sobie budzika. A poza tym jest naprawdę cholernie wcześnie – burknęłam.

– Trzeba się poświęcić, jeśli się chce szybko uratować świat przed nieśmiertelnym maniakiem – rzucił Xemerius. Usłyszałam, jak z szelestem okrzyk pokój. – Z którym, nawiasem mówiąc, spotkasz się dziś po południu, jeśli o tym zapomniałaś. No, dalej, wylaż z betów!

Udawałam, że jestem martwa. To nie było trudne, bo tak się mniej więcej czułam – pal sześć nieśmiertelność. Ale na Xe-meriusie moje wysiłki najwyraźniej nie zrobiły szczególnego wrażenia.

W doskonałym humorze sfrunął na moje łóżko i zaczął mi skrzeczeć do ucha przeróżne truizmy, na czele z takimi jak: „Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje” i „Wstawaj, szkoda dnia!”.

– Szkoda to jak byk do studni narobi! – powiedziałam, ale w końcu Xemerius dopiął swego.

Wściekła stoczyłam się z łóżka i w efekcie punktualnie

O siódmej stałam na stacji metra w Tempie.

No cóż. Ściśle rzecz biorąc, moja komórka pokazywała siódmą szesnaście, ale tylko dlatego, że ustawiłam w niej zegar trochę do przodu.

– Wyglądasz na tak samo zmęczoną, jak ja się czuję – westchnęła Leslie, która już czekała na umówionym peronie.

O tej porze, zwłaszcza w niedzielę rano, na stacji niewiele się działo, mimo to zadałam sobie pytanie, w jaki sposób Gideon zamierza się stąd przedostać niezauważony do tunelu metra. Na jasno oświetlonych peronach była masa kamer przemysłowych.

Odstawiłam ciężką, wypakowaną po brzegi torbę podróżną

i obrzuciłam złym spojrzeniem Xemeriusa, który jak szalony leciał slalomem między słupami.

– To wina Xemeriusa. Nie pozwolił mi użyć korektora mamy, bo podobno było już za późno.

Oczywiście nia dał mi też wstąpić do Starbucks.

Leslie zaciekawiona przekrzywiła głowę.

– Spałaś w domu?

– No jasne, a gdzież by indziej? – zapytałam nieco poirytowana.

– No cóż, myślałam, że na chwilę przerwaliście snucie planów, kiedy poszliśmy z Raphaelem. –

Podrapała się po nosie. – Tym bardziej że specjalnie długo żegnałam się z Raphaelem, żeby dać wam dość czasu na przenosiny z sofy do sypialni.

Spiorunowałam ją wzrokiem.

– Specjalnie długo? – spytałam przeciągle. – Jakież poświęcenie!

Leslie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– No, wyobraź sobie. – Nawet się przy tym nie zarumieniła. – Ale nie zbaczaj teraz z tematu. Mogłaś powiedzieć mamie, że śpisz u mnie.

Skrzywiłam się.

– Taa, szczerze mówiąc, chętnie bym tak zrobiła. Ale Gideon uparł się, że wezwie mi taksówkę.

Najwyraźniej – dorzuciłam odrobinę nieszczęśliwa – nie jest nawet w połowie tak uwodzicielski, jak myślałam.

– No bo on jest bardzo... eee... odpowiedzialny – pocieszyła mnie Leslie.

– Tak też można to nazwać – odezwał się Xemerius, który właśnie zakończył swój slalom. Ciężko dysząc, usiadł na ziemi. – Albo po prostu nudziarz, anemik, cykor. – Szybko zaczerpną! powietrza. –

Leser, asekurant, tchórz...

Leslie spojrzała na zegarek. Musiała wrzasnąć, żeby przekrzyczeć łoskot właśnie wjeżdżającego na peron pociągu Central Line.

– A podobno nie są takie punktualne. Jest już dwadzieścia po. – Zmierzyła wzrokiem te parę osób, które wysiadły z pociągu. A potem nagle oczy jej rozbłysły. – No, są.

– Obaj wyczekiwani z utęsknieniem księżęta z bajki tego ranka pozostawili swe białe konie w stajni i przyjechali metrem – zadeklamował uroczystym tonem Xemerius. – Na ich widok księżniczkom załśniły oczy i gdy spotkał się ze sobą zmasowany ładunek młodzieńczych hormonów w postaci zakłopotanych całusków na przywitanie i kretyńskich uśmiechów, mądry i niezrównanie piękny demon musiał niestety zwymiotować do kosza na śmieci. Bezwstydnie przesadzał. Żadne z nas nie uśmiechało się kretyńsko. No, może tylko promiennie. I nikt nie był zakłopotany. No dobra, może ja trochę. Bo właśnie mi się przypomniało, jak dziś w nocy Gideon zdjął moje ręce ze swojej szyi i powiedział: „Lepiej zawołam ci taksówkę. To był męczący dzień”. Wydałam się sobie rzepem, którego trzeba wyczesać ze swetra. Najgorsze było to, że właśnie w tym momencie zebrałam się, żeby mu wyznać: „Kocham cię”. Nie chodziło o to, że tego nie wiedział... ale jeszcze nigdy mu tego nie mówiłam. Teraz zaś nie byłam pewna, czy w ogóle chce to usłyszeć.

Gideon pogłaskał mnie szybko po policzku.

– Gwenny, mogę to też załatwić sam. Muszę tylko przechwycić wartownika, który ma służbę, i zabrać mu list.

– Ładne mi tylko – burknęła Leslie.

Dalecy jeszcze od stworzenia genialnego planu, opracowaliśmy jednak wczoraj we czwórkę

„ogólny zarys działania”, jak nazwała to Leslie. W każdym razie musieliśmy raz jeszcze spotkać się z Lucy i Paulem, i to zanim staniemy po południu twarzą w twarz z hrabią. I musieliśmy odzyskać list z informacjami na temat pobytu Lucy i Paula, który Gideon dostarczył w 1912 roku. Pod żadnym pozorem nie mógł wpaść w ręce ówczesnego Wielkiego Mistrza Łoży i bliźniaków de

Villiers. Ponieważ czas, który mogliśmy przeznaczyć na tę tajną podróż w czasie, nie ryzykując szkód fizycznych (czyli zrobienia tego co Xemerius, a mianowicie wymiotowania do kosza na śmieci), ograniczał się do półtorej godziny, nadzwyczaj trudno będzie nam sensownie wykorzystać każdą minutę.

Raphael zupełnie poważnie zaproponował, żeby przesznując chronograf do kwatery głównej

Strażników i stamtąd przeskakiwać w czasie, ale tak zimnej krwi nie miał nawet jego starszy brat.

Jako kontrpropozycję Gideon wyciągnął kilka rulonów z regału z książkami i pomiędzy Anatomii człowieka w 3-D i Układu naczyniowego ludzkiej ręki wyczarował plan podziemnych korytarzy przecinających dzielnicę Tempie. I ten plan był powodem naszego spotkania tutaj, na stacji metra.

– Chcesz to załatwić bez nas? – Zmarszczyłam brwi. – Przecież się umówiliśmy, że wszystko będziemy robić razem.

– No właśnie – poparł mnie Raphael. – Bo inaczej na końcu powiesz, że sam uratowałeś świat.

On i Leslie mieli pilnować chronografu i choć Xemerius z urazą zauważył, że zrobiłby to równie dobrze, pocieszeniem była świadomość, że mogą go

zabrać i uciec, jeśli bylibyśmy zmuszeni przeskoczyć z powrotem w jakimś innym miejscu.

– Poza tym bez nas na pewno schrzaniś całą masę rzeczy. – Leslie spiorunowała Gideona wzrokiem.

– Dobrze już, dobrze, rozumiem. – Wziął swoją podróżną torbę i spojrzał na zegarek. – Uważajcie. O

7.33 przyjedzie następny pociąg. Potem mamy dokładnie cztery minuty na znalezienie pierwszego przejścia, nim nadjedzie kolejny pociąg. Latarki włączamy dopiero wtedy, gdy ja powiem.

– Masz rację – szepnęła do mnie Leslie. – Do tego rozkazującego tonu trzeba się najpierw przyzwyczaić.

– Merde*\ – wyrwało się Raphaelowi z głębi serca. – Mało brakowało.

Mogłam się tylko z nim zgodzić. Światło naszych latarek migotało na wykafelkowanych ścianach i omiało nasze blade twarze. Za nami w tunelu stukotały wagony metra.

Cztery minuty, jak się teraz przekonaliśmy, to był cholernie krótki czas na to, żeby przeleźć przez barierki na końcu peronu, zeskoczyć i wbiec przy torach do tunelu. Potem lecieliśmy zdyszani za

Gideonem jakieś pięćdziesiąt metrów, a następnie zatrzymaliśmy się bezradnie przed metalowymi drzwiami wpuszczonymi w prawą ścianę tunelu i musieliśmy się beczynn timer przyglądać, jak

Gideon strasznie długo wygrzebuje z kieszeni spodni coś w rodzaju wytrycha i bierze się do otwierania zamka. W końcu Leslie, Xemerius i ja zgodnym chórem zaczęliśmy wrzeszczeć: „No dalej, otwieraj, otwieraj”, co zagłuszał nieco łoskot nadjeżdżającego pociągu.

– Na mapie to trochę inaczej wyglądało – powiedział Gideon i rozejrzał się wokół.

Leslie pozbierała się pierwsza. Skierowała strumień światła swojej latarki w ciemność przed nami i oświetliła mur, który zamykał korytarz cztery metry dalej.

– Okej, dobrze idziemy. – Sprawdziła na mapie. – W roku 1912 tego muru jeszcze nie było. Za nim można przejść dalej.

Podczas gdy Gideon ukląkł, rozwinął chronograf i wprowadził dane, ja wyjęłam z torby nasze ciuchy z roku 1912 i zaczęłam zdejmować dzinsy.

– A to co? – Gideon spojrzał na mnie ze zdumieniem. – Chcesz ganiać po tych korytarzach w sukni do ziemi?

– Eeee... pomyślałam... ze względu na autentyczność.

– Chrzanić autentyczność – podsumował Gideon. Xemerius zaklaskał w swoje pazurzaste łapy.

– Tak, chrzanić to! – zawołał z zachwytem. A potem zwrócił się do mnie. – Fatalne maniery zaczynają się udzielać. No, ale w sumie najwyższy czas.

– Ty najpierw, Gwenny – skinął na mnie Gideon. Uklęłam obok chronografu. Dziwnie tak było zniknąć na oczach Leslie i Raphaela, którzy patrzyli na mnie w napięciu, ale stwierdziłam, że nabrałam już pewnej rutyny (pewnie niedługo będę przeskakiwać do ubiegłego wieku po bułeczki).

Gideon wyłądował obok mnie i poświecił latarką. W roku 1912 nie było tu muru, a stożek światła niknął w długim niskim korytarzu.

– Gotowy? – spytałam, uśmiechając się.

– Jeśli ty jesteś gotowa – odpowiedział z uśmiechem. Miałam jednak wątpliwości, czy naprawdę jestem gotowa.

Skoro już tunel metra wywołał we mnie niepokój, to tutaj groziło mi, że będę się wkrótce musiała udać na leczenie ostrych ataków klaustrofobii.

Im dalej się posuwaliśmy, tym niższe i bardziej rozgałęzione stawały się korytarze. Tu i ówdzie schody prowadziły jeszcze dalej w głąb, a raz stanęliśmy przed rumowiskiem i musieliśmy zawrócić. Słysząc było tylko nasze oddechy i cichy odgłos kroków, i od czasu do czasu szelest papieru, gdy Gideon się zatrzymywał i spoglądał na plan. Zdawało mi się jednak, że z różnych stron słyszę szelest i tupot. Pewnie ten labirynt zamieszkiwały całe armie szczurów i – tak sobie fantazjowałam – gdybym była gigantycznym pajakiem, wybrałabym sobie to miejsce na siedzibę rodu i rewir polowań.

– Okej, tu powinna odchodzić odnoga w prawo. – Gideon był bardzo skoncentrowany.

Przysięgłabym, że skręciliśmy już ze czterdziesty raz. Wszystkie korytarze wyglądały niemal identycznie. Nie było żadnych punktów orientacyjnych. I kto w ogóle wiedział, czy ten cholerny plan jest dobry? A jeśli narysował go

jakiś kretyn w rodzaju Marleya? W takim przypadku Gideona i mnie znajdą pewnie w roku 2250 jako szkielety trzymające się za rączki. Och, nie, zapomniałam.

Tylko Gideon będzie szkieletem. Ja natomiast, radosna jak skowronek, będę siedzieć wczepiona w jego kości. Ta wizja nie poprawiła mi humoru.

Gideon zatrzymał się, wzdychając, złożył plan i wetknął go do kieszeni spodni.

– Zgubiliśmy drogę? – Próbowałam zachować spokój. – Może ta mapa to totalny złom. A jeśli nigdy więcej...

– Gwendolyn – przerwał mi niecierpliwie – od tego miejsca znam drogę. To już niedaleko. Chodź.

– Ach, tak?

Zawstydziłam się. Dziś rano byłam naprawdę taką... hm... dziewczynką. Stanowiło dla mnie zagadkę, jak Gideon chce odnaleźć drogę w tym labiryncie.

Cholera! – wdepnęłam w kałużę. Tuż obok niej siedział ciemnobrazowy szczur i błyskał czerwonymi oczami w świetle mojej latarki. Pisnęłam głośno. Zapewne w języku szczurów znaczyło to: „ale jesteś ładny”, bo szczur wyprostował się na tylnych łapkach i przekrzywił łeb.

– Wcale nie jesteś ładny! – syknęłam. – Idź stąd!

– Gdzie ty się podziewasz? – Gideon zdążył już zniknąć za następnym rogiem.

Przełknęłam ślinę i zebrałam całą odwagę, żeby minąć szczura. One chyba nie są takie jak psy, które skaczą do góry i gryzą człowieka w łydkę, co? Na wszelki wypadek oślepiłam zwierzę latarką, dopóki nie doszłam do rogu, gdzie czekał na mnie Gideon. Potem skierowałam strumień światła do przodu i znowu pisnęłam. Na końcu korytarza ujrzałam sylwetkę mężczyzny.

– Tam ktoś jest – syknęłam.

– Cholera! – Gideon chwycił mnie błyskawicznie i pociągnął z powrotem do cienia.

Ale było za późno. Nawet gdybym nie pisnęła, światło latarki i tak by mnie zdradziło.

– Chyba mnie zobaczył – szepnęłam.

– Tak, zobaczył! – rzucił ponuro Gideon. – Bo to jestem ja. Cóż za osioł ze mnie! No idź! Bądź dla mnie miła. – Popchnął mnie, aż wytoczyłam się na korytarz.

– Co do... – szepnęłam, kiedy padło na mnie światło latarki.

– Gwendolyn? – usłyszałam zdumiony głos Gideona.

Ale tym razem dobiegał z przodu. Potrzebowałam jeszcze pół sekundy, by zrozumieć, że weszliśmy w drogę dawnemu ja Gideona, który akurat zamierzał przekazać list Wielkiemu Mistrzowi.

Skierowałam na niego latarkę. O Boże, to on! Zatrzymał się w odległości kilku metrów i patrzył skonsternowany. Przez dwie sekundy oślepialiśmy się wzajemnie latarkami.

– A ty skąd się tutaj wzięłaś? – spytał.

Nie mogłam inaczej, musiałam się do niego uśmiechnąć.

– Hej, to trochę trudno wyjaśnić – powiedziałam, choć najchętniej rzuciłabym: „Hej, nic się nie zmieniłeś!”.

Ten drugi, obecny Gideon wymachiwał rękami za występem muru. – Wyjaśnij mi – zażądało jego wcześniejsze wcielenie. Dzisiejszy Gideon zaczął jeszcze gwałtowniej wymachiwać rękami. Nie rozumiałam, co chciał mi przez to powiedzieć.

– Chwileczkę. – Uśmiechnęłam się uprzejmie do jego młodszej wersji. – Muszę szybko coś wyjaśnić. Zaraz wracam.

Ale najwyraźniej ani starszy, ani młodszy Gideon nie miał ochoty na wyjaśnienia. Podczas gdy młodszy poszedł za mną i chciał mnie złapać za ramię, starszy wcale nie czekał, wyskoczył do przodu i z całej siły rąbnął swoje alter ego latarką w czoło. Młodszy Gideon padł na ziemię jak worek kartofli.

– Zraniłeś go! – Uklęknęłam i z przerażeniem popatrzyłam na krwawiącą ranę.

– Przeżyje. – Starszy Gideon był niewzruszony. – Chodź, musimy iść. Przekazanie już się odbyło, on

– lekko kopnął samego siebie – już wracał, kiedy cię spotkał.

Czule pogłaskałam jego nieprzytomne ja po włosach.

– Sam sobie przyrznąłeś. Pamiętasz jeszcze, jak podle się wtedy wobec mnie zachowałeś?

Gideon uśmiechnął się słabo.

– Tak, pamiętam. I naprawdę mi przykro. Ale kto by się tego spodziewał? A teraz chodź! Zanim ten dureń się ocknie. Już dawno przekazał list. – Wyrzucił z siebie kilka francuskich słów, jak podejrzewałam, soczystych przekleństw, ponieważ tak jak jego brat posłużył się słowem merde, i to parę razy.

– No, no, no, młody człowieku – odezwał się jakiś głos tuż obok nas. – Tylko z tego powodu, że znajdujemy się w kanale, nie wolno bez zahamowań używać kloacznego języka.

Gideon odwrócił się błyskawicznie, ale nie zaatakował przybysza. Może dlatego, że głos brzmiał dobrotliwie i wesoło. Uniosłam latarkę i w jej świetle ukazała się twarz mężczyzny w średnim wieku. Skierowałam promień latarki niżej, by sprawdzić, czy nie trzyma wymierzonego w nas pistoletu. Nie trzymał.

– Jestem doktor Harrison – powiedział, skłaniając się lekko, przy czym jego nieco zdezorientowane spojrzenie błędziło między twarzą Gideona a Gideonem leżącym na ziemi. – I właśnie otrzymałem pański list od naszego adepta pełniącego wartę. – Wyciągnął z marynarki kopertę, na której błyszczała czerwona pieczęć. – Lady Tilney oznajmiła, że list ten nie może w żadnym wypadku wpaść w ręce Wielkiego Mistrza ani innych członków Kręgu Wewnętrznego. Poza mną.

Gideon westchnął i potarł czoło.

– Chcieliśmy zapobiec przekazaniu, ale w tych korytarzach straciliśmy za dużo czasu... a potem, idiota jeden, doprowadziłem jeszcze do spotkania z samym sobą. – Wziął list i wetknął go do kieszeni.

– De Villiers, który przyznaje się do błędu? – Doktor Harrison roześmiał się cicho. – To coś zupełnie nowego. Na szczęście sprawą zajęła się lady Tilney, ja zaś nigdy jeszcze nie widziałem, by jakiś jej plan spalił na panewce. Poza tym każdy sprzeciw byłby całkowicie bezcelowy. – Wskazał na

Gideona leżącego na ziemi. – Potrzeba mu pomocy?

– Nie zaszkodziłoby zdezynfekować ranę i może położyć mu coś miękkiego pod głę... – zaczęłam, ale Gideon wpadł mi w słowo.

– Bzdura! Ma się świetnie.

Nie zważając na moje protesty, odciągnął mnie od leżącej na ziemi postaci.

– Musimy wracać.

Proszę pozdrowić od nas lady Tilney, doktorze Harrison. I proszę jej podziękować w moim imieniu.

– To była dla mnie przyjemność – powiedział doktor Harrison.

Chciał już iść, ale mnie wpadło jeszcze coś do głowy.

– Czy mógłby pan przekazać lady Tilney, żeby się nie wystraszyła, jeśli w przyszłości odwiedzę ją w czasie elapsji?

Doktor Harrison skinął głową.

– Ależ bardzo chętnie. – Skinął nam ręką. – Powodzenia. –I już go nie było.

Chciałam zawołać za nim „do widzenia”, ale Gideon pociągnął mnie już w drugą stronę. Swoje nieprzypadkowe alter ego zostawił w korytarzu.

– Tu się na pewno roi od szczurów – powiedziałam zdjęta współczuciem. – One się przecież garną do krwi.

– Mylisz je z rekinami – odrzekł Gideon. Ale potem zatrzymał się gwałtownie, odwrócił do mnie i wziął mnie w ramiona. – Tak mi przykro – wymruczał w moje włosy. – Byłem takim głupcem!

Zasłużyłem sobie na to, żeby nadgryzł mnie jakiś szczur.

Natychmiast zapomniałam o tym, co nas otaczało (i o wszystkim innym), objęłam go za szyję i zaczęłam całować, najpierw w szyję, w ucho, w skroń, a potem w usta. Przytulił mnie mocno, tylko po to, żeby trzy sekundy później znów mnie odepchnąć.

– Naprawdę nie ma teraz na to czasu, Gwenny – powiedział gniewnie, złapał mnie za rękę i pociągnął do przodu.

Westchnęłam. Wielokrotnie. I bardzo głęboko. Ale Gideon milczał. Dwa korytarze dalej, gdy się zatrzymał! i wyjął mapę, nie wytrzymałam.

– To dlatego, że tak dziwnie się całuję, tak? – spytałam.

– Co? – Gideon w osłupieniu spojrzał na mnie znad mapy.

– Kompletna katastrofa z tym moim całowaniem, prawda? –Próbowałam zdusić histeryczny ton w moim głosie, ale nie do końca mi się udało. – Ja do

tej pory... to znaczy... trzeba przecież czasu i doświadczenia. Z filmów nie da się wszystkiego nauczyć, wiesz? I to mnie boli, kiedy mnie od siebie odsuwasz.

Gideon opuścił mapę i stożek światła jego latarki powędrował na ziemię.

– Gwenny, posłuchaj.

– Wiem, spieszmy się – przerwałam mu. – Ale muszę to z siebie wyrzucić. Wszystko byłoby lepsze od tego odsuwania albo... dzwonienia po taksówkę. Potrafię znieść krytykę. No, w każdym razie uprzejmie sformułowaną.

– Czasami jesteś naprawdę... – Gideon pokręcił głową, potem wziął głęboki wdech. – Kiedy mnie całujesz, Gwendolyn Shepherd – powiedział – jest tak, jakby ktoś usuwał mi ziemię spod nóg. Nie mam pojęcia, jak to robisz ani gdzie się tego nauczyłaś. Jeśli to był film, to koniecznie musimy go razem obejrzeć. – Zamilkł na chwilę. – Chcę przez to powiedzieć: gdy mnie całujesz, nie pragnę już niczego innego, jak tylko czuć cię i trzymać cię w ramionach. Cholera, jestem w tobie tak strasznie zakochany, że czuję się, jakby ktoś mi w środku przewrócił kanister z benzyną i podpalił. Ale w tej chwili nie możemy... musimy zachować przytomność umysłu. Przynajmniej jedno z nas. –

Spojrzenie, jakie mi rzucił, ostatecznie rozwiało moje wątpliwości. – Gwenny, to wszystko mnie przeraża. Bez ciebie moje życie nie miałoby już sensu, bez ciebie... wolałbym umrzeć tu na miejscu, gdyby miało ci się coś stać. Chciałam się do niego uśmiechnąć, lecz nagle poczułam potężną kluchę w gardle.

– Gideon, ja... – zaczęłam, ale on nie dał mi dokończyć.

– Nie chciałbym, żeby... żebyś czuła to samo co ja, Gwenny. Bo hrabia może wykorzystać to uczucie przeciw nam. I wykorzysta!

– Już za późno – szepnęłam. – Kocham cię. I też nie chcę bez ciebie żyć.

Gideon wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać. Chwycił mnie za rękę tak mocno, że o mało mi jej nie zgniótl.

– Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że hrabia nigdy, przenigdy się o tym nie dowie.

– I że w końcu przyjdzie nam do głowy genialny plan – powiedziałam. – A teraz przestań się guzdrać! Musimy się spieszyć.

– Kwadrans i ani minuty więcej – oznajmił Gideon.

Kłęczał obok chronografu na kocu piknikowym, który rozłożyliśmy na łące pośrodku Hyde Parku, nieopodal Serpentine Gallery, z jeziorem i mostem w polu widzenia. Choć zapowiadał się równie cudowny wiosenny dzień jak wczoraj, było jeszcze przeraźliwie zimno, a trawa błyszczała od rosy.

Mijali nas biegacze i spacerowicze z psami. Kilka osób zerknęło z ciekawością na naszą czwórkę.

– Kwadrans to za mało! – powiedziałam, zapinając stelaż ze śmiesznymi poduszkami na biodrach, dzięki któremu moja suknia kołysała się jak okręt wojenny i nie wlokła się po ziemi. To właśnie ten stelaż był przyczyną, dla której dziś rano zamiast szkolnej torby musiałam wziąć wielką torbę podróżną. – A jeśli się spóźni? – Albo w ogóle nie przyjdzie? Tego w skrytości ducha bałam się najbardziej. – W osiemnastym wieku zegarki na pewno nie chodziły tak dokładnie.

– No to będzie miał pecha! – warknął Gideon. – A w ogóle to jest poroniony pomysł. I to akurat dzisiaj!

– Wyjątkowo ma rację – wtrącił leniwie Xemerius. Wskoczył do torby, ułożył głowę na łapach i ziewnął szeroko. – Obudźcie mnie, jak już wrócicie. Dziś rano zdecydowanie za wcześnie wstałem.

Chwilę potem z torby dobiegało miarowe chrapanie.

Leslie ostrożnie włożyła mi suknię przez głowę. To była ta w niebieskie kwiatki, którą miałam na sobie podczas pierwszego spotkania z hrabią i która od tej pory wisiała w mojej szafie.

– Ta sprawa z Jamesem naprawdę mogłaby poczekać. Dla niego to będzie i tak ten sam dzień i ta sama godzina, niezależnie od tego, z jakiego czasu do niego przeskoczysz. – Zaczęła mi zapinać małe haftki na plecach.

– To samo odnosi się chyba do tej historii z przejęciem listu – zauważyłam.
– To też wcale nie musiało się odbyć dzisiaj. Gideon mógł sobie strzelić w papę dopiero we wtorek albo w przyszłym roku w sierpniu, wyszłoby na to samo. Już pomijając fakt, że sprawą zajęła się lady Tilney.

– Zaczyna mi się kręcić w głowie, kiedy urządzacie sobie takie dyskusje – poskarżył się Raphael.

– Chciałem to mieć po prostu z głowy, nim ponownie spotkamy się z Lucy i Paulem – wyjaśnił

Gideon. – Naprawdę tak trudno to zrozumieć?

– A ja chcę mieć z głowy Jamesa – powiedziałam. – Jeśli nam się coś stanie – dorzuciłam dramatycznym głosem – to przynajmniej jemu uratujemy życie.

– Naprawdę chcecie zniknąć i pojawić się przy tych wszystkich ludziach? – spytał Raphael. – Nie sądzicie, że jutro napiszą o tym gazety, a telewizja będzie chciała przeprowadzić z wami wywiad?

– Oj tam, oj tam! – Leslie pokręciła głową. – Jesteśmy wystarczająco daleko od drogi, a was nie będzie tylko przez chwilę. Głupio gapić się będą jedynie psy.

Chrapanie Xemeriusa na chwilę zmieniło częstotliwość chronografu.

– Nie zapomnijcie tylko, że na powrotny przeskok musicie się ustawić dokładnie w tym samym miejscu, w którym wylądowaliście – mówiła dalej Leslie. – Zaznaczcie sobie to miejsce tymi ślicznymi bucikami. – Wcisnęła mi jeden z butów Raphaela do ręki i uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Ale to frajda, naprawdę! Od dziś chcę to robić codziennie!

– Ale ja nie – powiedział Raphael. Spojrzał na swoje skarpetki i zdeprymowany poruszył palcami, a potem znowu podniósł wzrok na drogę. – Nerwy mam w strzępach. Wtedy w metrze byłem święcie przekonany, że ktoś nas śledzi. To byłoby nawet logiczne, że Strażnicy nasłali na nas kogoś, kto łązi za nami krok w krok. A jak ktoś tu przyjdzie, żeby zabrać nam chronograf, to nawet nie będę mógł go porządnie kopnąć, bo jestem w skarpetkach.

– On ma już chyba manię prześladowczą – szepnęła do mnie Leslie.

– Słyszałem to – powiedział Raphael. –1 to nie jest prawda. Ja tylko jestem... ostrożny.

– A ja nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robię. – Gideon zarzucił sobie na ramiona plecak Leslie, w którym schował to, co było potrzebne do podania szczepionki. – To jest złamanie wszystkich dwunastu złotych zasad naraz. Chodź, Gwenny, ty pierwsza.

Uklękłam obok niego i uśmiechnęłam się. Nie chciał włożyć swoich zielonych ciuchów, choć próbowałam mu wytłumaczyć, że w swoim

normalnym ubraniu napędzi Jamesowi stracha. Albo, co gorsza, James nie potraktuje nas poważnie.

– Dziękuję, że robisz to dla mnie – powiedziałam i włożyłam palec do przegródki pod rubinem.

– Dobrze już, dobrze – burknął Gideon.

A potem jego twarz rozmyła mi się przed oczami i gdy znowu zaczęłam widzieć wyraźnie, klęczałam wśród mokrych liści i całej masy kasztanów. Szybko wstałam i położyłam but Raphaela w miejscu, w którym wylądowałam.

Łało jak z cebra i w zasięgu wzroku nie było nikogo poza wiewiórką, która błyskawicznie wdrapała się na koronę drzewa i przyglądała mi się z zaciekawieniem.

Gideon wylądował obok mnie i rozejrzał się dokoła.

– Taaa – odezwał się, wycierając sobie krople deszczu z twarzy. – Powiedziałbym, że to idealna pogoda na przejażdżki konne i na szczepienia.

– Zaczaimy się tam, w tych krzakach – zaproponowałam. Teraz ja wzięłam Gideona za rękę i pociągnęłam go za sobą. Najeżył się.

– Ale tylko na dziesięć minut – fuknął. – Jeśli do tej pory się nie zjawi, wracamy do kapcia Raphaela.

– Tak, tak – zgodziłam się szybko.

Już w tamtych czasach istniał most nad wąskim odcinkiem jeziora, choć wyglądał zupełnie inaczej niż ten, który znałam. Po placu przejechał z turkotem powóz. A z drugiej strony klusem zbliżał się do nas samotny jeździec. Na siwym koniu. A jednak mnie posłuchał.

– To on! – zawołałam i zaczęłam machać rękami jak oszalała. – James! Tu jestem!

– Może postarasz się jeszcze nieco bardziej rzucać w oczy? – parsknął Gideon.

James, w płaszczu z kilkoma falbaniastymi pelerynami i w trójgraniastym kapeluszu, z którego rinda skapywały krople deszczu, zatrzymał konia kilka metrów od nas. Jego spojrzenie powędrowało od moich przemoczonych włosów w dół, aż do rąbka mojej sukni, potem zaś tak samo zlustrował Gideona.

– Handlujesz końmi, panie? – spytał nieufnie, podczas gdy Gideon grzebał w plecaku Leslie.

– Nie, on jest lekarzem – wyjaśniłam. W każdym razie tak jakby. Widziałam, że wzrok Jamesa zatrzymał się na nadruku na plecaku Leslie. Hello Kitty must die. – Och, James, tak się cieszę, że przyszedłeś – wypaliłam. – Przy tej pogodzie i w ogóle. Wczoraj na balu nie wyraziłam się chyba jasno. Chodzi o to, że chcę cię uchronić przed chorobą, którą zarazisz się w przyszłym roku i na którą niestety umrzesz. To ospa, czarna ospa, jak ty to mówisz. Zapomniałam, jak się dokładnie nazywa ta odmiana, którą się zarazisz, ale to nieważne. Dobra wiadomość jest taka, że mamy coś, co cię ocali przed tą chorobą. – Uśmiechnęłam się do niego promiennie. – Musisz tylko zsiąść z konia i podwinąć rękaw, a my ci to damy.

W trakcie mojego monologu oczy Jamesa stawały się coraz większe i większe. Hektor (naprawdę wspaniały siwek) nerwowo zrobił krok w tył.

– To niesłychane – powiedział James. – Każesz mi, pani, przyjść do parku, żeby sprzedać mi jakiś podejrzany lek i jeszcze bardziej podejrzaną historię? A twój towarzysz wygląda zupełnie jak rozbójnik i bandyta! – Odchylił płaszcz, żebyśmy mogli zobaczyć jego szpadę. – Ostrzegam was!

Jestem uzbrojony i potrafię się bronić.

Gideon westchnął.

– Och, James, posłuchaj mnie! – Podeszłam bliżej i chwyciłam Hektora za wodze. – Chcę ci tylko pomóc i niestety, nie mam zbyt wiele czasu! A zatem proszę cię, zsiądź po prostu z konia i zdejmij płaszcz.

– Z całą pewnością tego nie uczynię – odparł z oburzeniem James. – Naszą rozmowę uważam za skończoną. Z drogi, cudaczna dziewczyno! Mam nadzieję, że to było nasze ostatnie spotkanie!

Dalej! – Naprawdę się zamachnął, żeby zdzielić mnie szpicrutą.

Ale nie zdażył, bo Gideon chwycił go i ściągnął z konia.

– Nie mamy czasu na takie gierki! – warknął i wykręcił Jamesowi ręce na plecach.

– Pomocy! – James wił się jak piskorz. – Zbóje! Napad!

– James! To wszystko tylko dla twojego dobra – zapewniłam go, ale on zmierzył mnie takim spojrzeniem, jakbym była diabłem wcielonym. – Ty tego

nie wiesz, ale jesteśmy przyjaciółmi w miejscu, skąd przybywam. I to bardzo dobrymi przyjaciółmi.

– Pomocy! Szaleńcy! Napad! – wołał James, rzucając Hektorowi rozpaczliwe spojrzenia.

Siwek najwyraźniej jednak nie miał ochoty zgrywać Czarnego Księcia. Zamiast rzucić się na nas bohatersko, schylił łeb i zaczął spokojnie skubać trawę. – Nie jestem szalona – próbowałam wyjaśnić Jamesowi. –Ja...

– Po prostu się przymknij i zabierz mu szpadę, zbójcu Gwenny – niecierpliwie wpadł mi w słowo

Gideon. – A potem daj mi lancet i ampułkę z plecaka.

Wzdychając, zrobiłam to, co kazał. Miał rację, oczekiwanie zrozumienia ze strony Jamesa było zupełnie bezcelowe.

– No! – warknął Gideon, otwierając ampułkę zębami. –Ona poderżnie ci gardło, jeśli w ciągu najbliższych dwóch minut choćby się ruszysz, panie. Czy to jasne? I nie waż się znowu wołać o pomoc.

Skierowałam ostrze szpady na gardło Jamesa.

– Ehm, tak szczerze, inaczej to sobie wyobrażałam, James, uwierz mi. Jeśli o mnie chodzi, mógłbyś na wieki straszyć w mojej szkole. – Mój Boże, będzie mi tak bardzo ciebie brakowało. Jeśli się nie mylę, spotykamy się dziś ostatni raz. – Łzy napłynęły mi do oczu.

James wyglądał tak, jakby za chwilę miał oszaleć.

– Możecie wziąć moją sakiewkę, jeśli potrzebujecie pieniędzy, ale darujcie mi życie – wyszeptał.

– Dobrze już, dobrze – powiedział Gideon. – Rozchylił obszerny kołnierz płaszcza i przytknął

Jamesowi do szyi strzykawkę ze szczepionką. James syknął cicho, poczuwszy na skórze ukłucie.

– Czy tego normalnie nie daje się w ramię? – spytałam.

– Normalnie nie wykręcam przy tym nikomu rąk – mruknął Gideon, a James znowu zasyczał.

– Głupie to pożegnanie – powiedziałam, nie mogąc powstrzymać westchnienia. – Wolałabym cię przytulić, zamiast przystawiać ci szpadę do szyi. W szkole byłeś zawsze moim najlepszym przyjacielem. Zaraz po Leslie. –

Pierwsza łza spłynęła mi po policzku. – Bez ciebie nigdy nie pojęłabym różnicy między Waszą Wysokością, Waszą Królewską Mością i Waszą Wielmożnością i...

– Gotowe – oznajmił Gideon i puścił Jamesa, który zatoczył się kilka kroków do tyłu i chwycił za szyję. – Powinno się to właściwie zakleić plastrem, ale bez plastra też może być. Trzeba tylko uważać, żeby nie dostał się tam brud. – Gideon wyjął mi szpadę z ręki. – A teraz wsiadaj, panie, na swego konia i odjedź stąd, nie oglądając się za siebie, rozumiano?

James skinął głową. Jego oczy wciąż jeszcze były wytrzeszczone ze strachu, jakby nie mógł uwierzyć, że już jest po wszystkim.

– Do widzenia – chlipnęłam. – Bywaj, Jamesie Auguście Peregrin Pimplebottom! Byłeś najlepszym duchem, jakiego kiedykolwiek znałam!

Na chwiejnych nogach, dysząc ciężko, James podszedł do konia i zręcznie go dosiadł.

– Szpada będzie leżała pod tym kasztanowcem, jeśli zechcesz ją odzyskać – powiedział jeszcze

Gideon, ale James już ostro spiał konia.

Odprowadzałam ich wzrokiem, aż zniknęli wśród drzew.

– Zadowolona? – spytał Gideon, zbierając nasze manatki. Otarłam łzy z twarzy i uśmiechnęłam się do niego.

– Dziękuję! Fajnie mieć chłopaka studenta medycyny. Gideon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale przysięgam, że to było moje ostatnie szczepienie przeciw ospie! Pacjenci są tacy niewdzięczni.

Rozdział 15

Stary, dodaj gazu! – zawołał Xemerius. – Nadchodzi czas ostatecznej rozgrywki z tym łotrem!

Siedział na moich kolanach, ja zaś siedziałam na fotelu pasażera w minicooperze Gideona przeciskającego się przez wczesno popołudniowe korki na Strandzie.

– Zamknij się – szepnęłam do Xemeriusa. – Jeśli o mnie chodzi, hrabia może sobie poczekać jeszcze całą wieczność.

– Proszę? – Gideon spojrzał na mnie pytająco.

– Nic, nic. – Wyjrzałam przez okno. – Gideonie, powiedz mi, naprawdę myślisz, że to, co nam przyszło do głowy, wystarczy? – Moja poranna euforia znikła i ustąpiła miejsca natrętnemu lękowi, pod którego wpływem trzęsłam się jak osika.

Gideon wzruszył ramionami.

– Tak czy owak, nasz plan jest lepszy niż ten, jak go nazwałeś, ogólny zarys działania z dzisiejszego poranka.

– To nie ja go tak nazwałam, tylko Leslie – sprostowałam.

Przez kilka chwil milczeliśmy, pogrążeni w myślach. Dosłownie czuliśmy jeszcze w kościach nasze spotkanie z Lucy i Paulem. To, że przeskok w czasie mogą być tak męczące, uświadomiłam sobie dopiero wtedy, gdy w drodze powrotnej wpadliśmy w sam środek próby chóru kościelnego i ścigani przez chmarę piszczących siedemnastoletnich sopranistek musieliśmy salwować się ucieczką.

Przynajmniej jednak byliśmy teraz przygotowani na spotkanie z hrabią de Saint Germain. To Lucy naprowadziła nas na ostateczny pomysł i był on również powodem mojego lęku.

– Chłopcze! Jedź jak człowiek! – zaskrzeczał Xemerius i zasłonił sobie pazurami oczy. – Te światła były całkiem, ale to całkiem czerwone!

Gideon dodał gazu i wymusił pierwszeństwo na taksówce, nim skręciliśmy w prawo, w kierunku kwatery głównej Strażników. Chwilę później z piskiem opon zahamował na parkingu. Zwrócił się w moją stronę i położył mi ręce na ramionach.

– Gwendolyn – zaczął z powagą. – Cokolwiek się stanie... Nic więcej nie zdążył powiedzieć. Bo w tej samej chwili ktoś gwałtownie otworzył drzwi z mojej strony. Chciałam już się odwrócić i zjechać tego niemożliwego pana Marleya jak psa, ale to był pan George, który zatroskany pocierał swoją

łysinę.

– Gideon, Gwendolyn, nareszcie! – odezwał się z wyrzutem. – Spóźniliście się ponad godzinę.

– Im późniejszy wieczór, tym piękniejsi goście – zaskrzeczał Xemerius i zeskoczył z moich kolan.

Rzuciłam Gideonowi spojrzenie, westchnęłam i wysiadłam.

– Chodźcie, dzieci – popędził nas pan George i wziął mnie pod rękę. – Wszystko już przygotowane.

Owo „wszystko” to było cudo z kremowych haftów i koronek połączone z aksamitem i brokatem w odcieniu chłodnego złota dla mnie i zdobiony kolorowymi haftami żakiet dla Gideona.

– Czy to są może małpy? – Gideon wlepił wzrok w ubranie, jakby ktoś je oblał kwasem pruskim.

– Ścisłej mówiąc, kapucynki. – Madame Rossini uśmiechnęła się promiennie do Gideona i zapewniła go, że w 1782 roku hafty zwierzęce były ostatnim krzykiem mody.

Zaczęła nam jeszcze opowiadać, ile czasu kosztowało ją wygenerowanie pliku do jej maszyny według oryginalnych wzorców, ale wtedy wkroczył pan George, który czekał przed drzwiami, nerwowo spoglądając na swój złoty zegarek. Nie miałam pojęcia, dlaczego się tak spieszy. Przecież dla hrabiego i tak było bez różnicy, która jest akurat godzina.

– Dziś poddacie się elapsji z archiwum – oznajmił pan George i pospieszył przodem.

Dotąd nie zobaczyliśmy Falka ani pozostałych Strażników, prawdopodobnie siedzieli razem w

Smoczej Sali i pili za złote zasady albo robili to, co zwykle robią Strażnicy.

Tylko pani Jenkins przebiegła przez korytarz z grubym segregatorem (i to w niedzielę!) i pomachała do nas.

– Panie George, jak brzmią instrukcje na dzisiaj? – spytał Gideon. – Czy są jakieś szczegóły, które musimy uwzględnić?

– No cóż, dla hrabiego minęło od balu tyle samo czasu ile dla was, to znaczy dwa dni – objaśnił ochoczo pan George. – Instrukcje z jego listu zbiły nas nieco z tropu. Zgodnie z nimi twoja wizyta u niego, Gideonie, ma trwać zaledwie piętnaście minut, podczas gdy Gwendolyn spędzi z hrabią trzy i pół godziny. Podejrzewamy jednak, że zostaną ci powierzone inne zadania, na których wykonanie będziesz potrzebował swojego przydziału czasu, ponieważ napisał nam jasno, byście przedtem nie poddawali się elapsji. – Zamilkł na chwilę i spojrzał przez okno na kościół Tempie, który było stąd bardzo dobrze widać. – Z jego aluzji nie zdołaliśmy zbyt wiele wyczytać, ale... najwyraźniej hrabia jest pewien, że zamknięcie kręgu krwi wkrótce nastąpi. Mamy być wszyscy w gotowości, tak napisał.

– O rany – powiedział Xemerius.

Ja też pomyślałam „o rany” i rzuciłam Gideonowi szybkie spojrzenie. Wyglądało na to, że hrabia liczył się z niepowodzeniem zaplanowanej właściwie na wczoraj akcji szafir i czarny turmalin. I że od początku miał inny plan.

Być może bardziej genialny niż nasz.

Mój natrętny lęk przerodził się w błądy strach. Wizja przebywania z hrabią sam na sam sprawiła, że na ramionach pojawiła mi się gęsia skórka. Gideon, jakby czytał w moich myślach, zatrzymał się i przyciągnął mnie do siebie, nie zwracając uwagi na pana George'a.

– Wszystko będzie dobrze – szepnął mi do ucha. – Nie zapominaj, że nic nie może ci zrobić. I dopóki tego nie wie, jesteś bezpieczna.

Uczepiłam się go mocno niczym małka kapucynka. Pan George odchrząknął.

– Nawiasem mówiąc, cieszę się, że znowu się lubicie – powiedział. Przez jego twarz przemknął szelmowski uśmiezek. – Ale teraz musimy iść.

– Uważaj na nią, ty barania głowo! – usłyszałam jeszcze wrzask Xemeriusa, a potem znalazłam się już w 1782 roku.

Pierwsze, co zobaczyłam po wylądowaniu, była to twarz Rakoczego w odległości zaledwie pół metra od mojej. Wydałam z siebie cichy krzyk i odskoczyłam do tyłu. Rakoczy też cofnął się wystraszony.

Rozległ się śmiech i choć brzmiał przyjemnie i melodyjnie, włosy stanęły mi dęba.

– Mówiłem ci, Miro, żebyś się odsunął.

Kiedy Gideon wylądował obok mnie, powoli się odwróciłam. Stał tam hrabia de Saint Germain, w prostym ciemnoszarym surducie i jak zawsze w białej peruce. Wspierał się na lasce i przez chwilę sprawiał wrażenie kruchego i starego, bardzo starego.

Zaraz jednak się wyprężył i w blasku świec zobaczyłam, jak jego wargi wykrzywają się w drwiącym uśmieszku.

– Witajcie, moi drodzy. Cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu. I że pełne satysfakcji opowieści Alastaira o śmierci Gwendolyn były tylko fantazją umierającego człowieka. – Podszedł krok bliżej i spojrzał na mnie wyczekująco.

Minęła sekunda i wtedy przyszło mi do głowy, że pewnie spodziewa się reweransu. Pochyliłam się więc w głębokim ukłonie. Kiedy się wyprostowałam, hrabia dawno już przeniósł uwagę na

Gideona.

– Nie będziemy dziś tracić czasu na formalności. Jakież wieści od Wielkiego Mistrza? – spytał.

Gideon wręczył mi zapieczętowany list, który dał nam pan George.

Podczas gdy hrabia łamał pieczęć i czytał list, rozejrzałam się szybko po pokoju. Stało tu biurko, parę krzeseł i foteli. Ustawione wokół otwarte regały były wypchane książkami, zwojami i plikami papierów, a nad kominkiem, tak jak w naszych czasach, wisiał obraz. Ale to nie był portret hrabiego de Saint Germain, lecz urocza martwa natura z książkami, pergaminem, piórem i kałamarzem.

Rakoczy, bez zaproszenia, opadł na krzesło i położył nogi na biurku. Obnażoną szpadę trzymał swobodnie w dłoni, jak zabawkę, z którą nie potrafi się rozstać. Omiotło mnie spojrzenie jego niesamowitych, pozbawionych blasku oczu. Lekceważąco skrzywił usta. Jeśli w ogóle

pamiętał coś z naszego ostatniego spotkania, najwyraźniej nie miał zamiaru przeproszać za swoje zachowanie.

Hrabia zakończył lekturę, zmierzył mnie badawczym wzrokiem i skinął głową.

– Magią kruka obdarzony, G-Dur krąg zamyka, przez dwunastu utworzony. Jakże udało ci się ujść bezwzględnej szpadzie lorda Alastaira? Czy może jemu się to wszystko tylko zdawało?

– Rzeczywiście zranił Gwendolyn – potwierdził Gideon, a ja się zdziwiłam, że jego głos brzmi tak spokojnie i przyjaźnie. – Ale to było tylko niegroźne zadrapanie, naprawdę miała szczęście.

– Przykro mi, że znaleźliście się w takiej sytuacji – powiedział hrabia. – Obiecałem, że nie spadnie wam włos z głowy, a z reguły dotrzymuję obietnic. Lecz mój przyjaciel Miro tamtego wieczoru nieco zaniedbał swoje obowiązki, nieprawdaż, Miro? Co mi po raz kolejny uświadomiło, że czasem za bardzo polegam na innych. Gdyby urocza lady Lavinia do mnie nie przysłała, mój Pierwszy

Sekretarz pewnie ocknąłby się ze swego omdlenia i zwał... a lord Alastair wykrwawiłby się w samotności.

– Ta urocza lady Lavinia najpierw nas zdradziła – wyrwało mi się. – Ona...
Hrabia podniósł rękę.

– Dziecko, ja to wszystko wiem. Alcott miał jeszcze sposobność, by wyznać swoje grzechy.

Rakoczy wybuchnął śmiechem.

– I Alastair miał nam jeszcze wiele do powiedzenia, nawet jeśli pod koniec mówił już trochę niewyraźnie, prawda, Miro? – Hrabia uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Ale porozmawiamy o tym kiedy indziej, dziś nie mamy wiele czasu. – Podniósł list. – Teraz, gdy prawdziwe pochodzenie

Gwendolyn zostało wyjaśnione, przekonanie jej rodziców, by dali krew, nie powinno być trudne.

Mam nadzieję, że dokładnie przestrzegaliście wszystkich moich zaleceń.

Gideon skinął głową. Jego twarz była blada z napięcia. Stara! się nie patrzeć na mnie. A przecież do tej pory wszystko szło tak, jak sobie to wyobrażaliśmy. W każdym razie z grubsza.

– Operacja czarny turmalin i szafir odbędzie się jeszcze dziś. Jeśli ten zegar na ścianie dobrze chodzi, za kilka minut przeskoczę z powrotem do 2011 roku. Wszystko jest przygotowane, by stamtąd odnaleźć Paula i Lucy.

– Świetnie – powiedział z zadowoleniem hrabia, wyjął z kieszeni surduta kopertę i podał ją

Gideonowi. – Tu wyjaśniłem w zarysach mój plan. Żaden spośród moich Strażników w przyszłości nie powinien wpaść na pomysł, by wejść ci w drogę.

Podszedł do kominka i przez chwilę w zamyśleniu wpatrywał się w ogień. Potem się odwrócił. Jego oczy rzucały iskry sponad orlego nosa i nagle cały pokój wydał się wypełniony jego obecnością.

Podniósł ramiona.

– Dziś jeszcze spełnią się wszystkie przepowiednie. Dziś jeszcze ludzkości będzie dany lek o nieznaney dotąd sile działania! – zawołał, po czym zamilkł i spojrzął na nas w oczekiwaniu na aplauz.

Zastanawiałam się przez sekundę, czy nie wydusić z siebie pełnego podziwu „o ja cię!” albo

„super!”, ale akurat niezbyt wysoko oceniałam swój kunszt aktorski. Gideon tylko przyglądał mu się bez słowa. Rakoczy zaś był na tyle bezczelny, by w tej uroczystej chwili lekko beknać. Hrabia cmoknął poirytowany.

– No więc – dodał przeciągle – jak sędzę, wszystko już zostało powiedziane. – Podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu. Z trudem się powstrzymałam, żeby jej nie strząsnąć jak kiedyś tarantuli. – My oboje, drogie dziecko, czymś sobie zajmiemy ten czas, prawda? – Czułam, jakby mnie oblepiał swym głosem. – Na pewno rozumiesz, że będziesz musiała dotrzymać mi towarzystwa dłużej niż ten młodzieniec.

Skinęłam głową, zadając sobie jednocześnie pytanie, czy hrabia nie zrewidował tymczasem swojej opinii o kobietach. Jeśli zakładał, że wszystko rozumiem, to chyba nie mogłam być aż tak głupia, prawda?

– W końcu nasz młody Gideon – ciągnął hrabia władcym tonem – musi wiarygodnie przekonać czarny turmalin i jego szafir, że ich córka umrze, jeśli natychmiast nie dadzą mu swojej krwi. –

Roześmiał się cicho i zwrócił się do Gideona. – Możesz spokojnie nieco podkoloryzować, opowiadając im o słabości Rakoczego do krwi dziewic i o

transylwańskim obyczaju wyrywania serca z piersi żywego człowieka, lecz jestem przekonany, że to nie będzie konieczne. Tak jak oceniam tych młodych głupców, na pewno zaraz dadzą swoją krew.

Rozległ się szczekliwy śmiech Rakoczego.

– Ludzi można tak łatwo zmanipulować, nieprawdaż? – dodał hrabia i też się roześmiał.

– Ale... nie zrobisz Gwendolyn nic złego, panie? – spytał Gideon lekko drżącym głosem, nadal nie patrząc na mnie.

Hrabia się uśmiechnął.

– A cóż ty sobie wyobrażasz, mój drogi chłopcze! Włos jej z głowy nie spadnie. Będzie tylko przez chwilę moją zakładniczką. Do momentu, aż wrócisz z 1912 roku z krwią i przeskoczysz z powrotem do roku 2011. – Jego głos stał się donośniejszy. – I te święte mury zadrżą, gdy spotka się bractwo i będzie mogło się odbyć zamknięcie kręgu krwi. – Westchnął. – Ach, tak bym chciał uczestniczyć w tej magicznej chwili. Będziesz mi musiał wszystko dokładnie opowiedzieć.

Tere-fere. Bajuj, bajuj. Zorientowałam się, że mimo woli zacisnęłam zęby. Aż mnie szczęki zaboląły.

Tymczasem hrabia podszedł do Gideona, tak blisko, że czubki ich nosów niemal się zetknęły.

Gideonowi nawet nie drgnęła powieka. Hrabia podniósł wskazujący palec.

– Twoim zadaniem będzie niezwłocznie dostarczyć mi eliksir, który znajdziecie pod dwunastogwiazdą. – Chwycił Gideona za ramiona i spojrzał mu w oczy. – Niezwłocznie.

Gideon skinął głową.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego chcesz, panie, żeby dostarczyć eliksir do tego roku – powiedział.

– Czy w naszych czasach nie bardziej przydałby się ludzkości?

– Mądre, filozoficzne pytanie. – Hrabia uśmiechnął się i puścił Gideona. – I cieszę się, że je zadałeś.

Ale teraz nie ma czasu na takie rozmowy. Chętnie przedstawię ci moje złożone plany, gdy zadanie zostanie wykonane. A do tej pory musisz mi po prostu zaufać.

O mało głośno się nie roześmiałam. Naprawdę, o mało. Spróbowałam sięgnąć na siebie spojrzenie

Gideona, lecz choć byłam pewna, że to zauważył, uparcie omijał mnie wzrokiem. Patrzył na zegar, którego wskazówki bezlitośnie przesuwały się do przodu.

– Jeszcze jedna sprawa: Lucy i Paul mają do dyspozycji własny chronograf – powiedział Gideon. –

Mogą próbować cię tu odnaleźć, panie, dziś albo i wcześniej... i zapobiec temu wszystkiemu,

łącznie z przekazaniem eliksiru.

– No cóż, chyba zrozumiałaś już na tyle zasadę ciągłości, by wiedzieć, że do tej pory nie udało im się zniweczyć moich planów, w przeciwnym razie byśmy tu nie siedzieli, prawda? – Uśmiechnął się.

– A na najbliższe godziny, zanim eliksir znajdzie się w moim posiadaniu, podjąłem oczywiście wyjątkowe środki ostrożności. Rakoczy i jego ludzie zabijają każdego, kto bez zezwolenia ośmieli się do nas zbliżyć.

Gideon skinął głową i położył sobie rękę na brzuchu.

– Już czas – powiedział i nasze spojrzenia wreszcie się spotkały. – Wkrótce wrócę z eliksirem.

– Jestem przekonany, że mistrzowsko poradzisz sobie z tym zadaniem, mój chłopcze – odrzekł radośnie hrabia. – Szczęśliwej drogi. A my z Gwendolyn umilimy sobie czas oczekiwania szklaneczką portwajnu.

Wpatrywałam się w Gideona, próbując przekazać mu wzrokiem całą swoją miłość, ale po chwili on zniknął. Najchętniej wybuchłabym płaczem, ale znowu zacisnęłam zęby i zmusiłam się, żeby pomyśleć o Lucy.

Wcześniej w salonie lady Tilney, przy herbacie i kanapkach, wałkowaliśmy to ciągle od nowa.

Wiedziałam, że musimy pobić hrabiego jego własną bronią, jeśli chcemy go pokonać raz na zawsze.

I zdawało się to całkiem łatwe, w każdym razie jeśli przypuszczenia Lucy miałyby się potwierdzić.

Rzuciła je tak po prostu i najpierw ją zbyliśmy, ale potem Gideon pierwszy się z nią zgodził.

– Tak – powiedział. – Możliwe, że masz rację. Krażył po pokoju jak tygrys po klatce.

– Załóżmy, że zrobimy to, co powiedział hrabia, i damy Gideonowi naszą krew – odezwała się Lucy.

– Wtedy będzie mógł zamknąć krąg krwi drugiego chronografu i przekazać eliksir hrabiemu, który ponownie stanie się nieśmiertelny.

– Co właściwie jest powodem, dla którego od lat bronimy się przed tym jak przed zarazą, prawda? – wtrącił Paul.

Lucy uniosła dłoń.

– Chwila. Daj nam się przynajmniej zastanowić.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam dokładnie, do czego zmierza, lecz gdzieś tam z tyłu głowy zrodził mi się cichutki znak zapytania, który stopniowo zmienił się w wielki wykrzyknik.

– Hrabia zyska nieśmiertelność, i to do chwili moich narodzin.

– Słusznie – przytaknął Gideon. Zatrzymał się. – Co znaczy tyle, że lekko jak lania skacze po historii całego świata. I to nawet w naszych czasach.

Paul zmarszczył brwi.

– Uważacie, że...

– Tak, uważamy, że hrabia ogląda sobie ten cały dramat na żywo i w kolorze. – Lucy przerwała na chwilę. – I przypuszczam, że ma miejsce w pierwszym rzędzie.

– Krąg Wewnętrzny – powiedziałam, a pozostali skinęli głowami. – Krąg Wewnętrzny. Hrabia jest jednym ze Strażników.

Teraz spojrzałam hrabiemu w twarz. Kim był? Zegar nad kominkiem cicho tykał. Potrwa jeszcze całą wieczność, nim przeskoczę z powrotem.

Hrabia wskazał mi fotel, a gdy usiadłam, nalał do dwóch szklaneczek ciemnoczerwonego wina i jedną z nich podał mnie. Potem zajął miejsce na fotelu naprzeciw i podniósł szklankę, by wznieść toast. – Na zdrowie, Gwendolyn! Nawiasem mówiąc, dziś mijają dwa tygodnie, jak się poznaliśmy, w każdym razie z mojej perspektywy. Moje pierwsze wrażenia ze spotkania z tobą nie były niestety najlepsze. Ale dziś jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

No jasne. Wypiłam łyk wina.

– Przy naszym pierwszym spotkaniu – powiedziałam – omal mnie nie udusiłeś, panie. – Upiłam jeszcze łyk. – Myślałam wtedy, że potrafisz czytać w myślach – wyrwało mi się dość odważnie. –

Ale najwyraźniej się myliłam.

Hrabia zaśmiał się z satysfakcją.

– No cóż, na pewno jestem w stanie zarejestrować dominujące kierunki myśli. Ale moje umiejętności to nie żadne czary. W gruncie rzeczy każdy mógłby się tego nauczyć. Ostatnim razem opowiadałem ci o moich wizytach w Azji i o tym, jak poznałem tam mądrości i umiejętności tybetańskich mnichów.

Zgadza się. A ja ostatnim razem niezbyt uważnie go słuchałam. Teraz przysłuchiwanie się jego słowom również przychodziło mi z trudem. Nagle stały się dziwnie zniekształcone, raz długie, to znów brzmiały tak, jakby je ktoś śpiewał.

– Co, do... – mruknęłam.

Przed oczami pojawiła mi się różowa mgła, która nie znikwała mimo mrugania.

Hrabia przerwał wykład.

– Niedobrze ci, tak? A teraz zrobiło ci się całkiem sucho w ustach, prawda?

Tak! Skąd on to wiedział? Dlaczego jego głos był taki metaliczny? Gapiłam się na niego przez tę dziwną różową mgłę.

– Nie bój się, moja mała – powiedział. – To zaraz minie. Rakoczy obiecał mi, że nie będzie cię bolało. Zaśniesz, nim zaczną się skurcze. I przy odrobinie szczęścia nie obudzisz się, dopóki nie będzie po wszystkim.

Usłyszałam śmiech Rakoczego. Brzmiał jak te dźwięki, które puszczają z taśmy w gabinecie strachów.

– Dlaczego... – Próbowałam mówić, lecz moje wargi naraz zupełnie znieruchomiały.

– Nie bierz tego do siebie – powiedział zimno hrabia. – Ale żeby zrealizować swoje plany, muszę cię niestety zabić. Tak chciała opatrznosc.

Usiłowałam nie zamykać oczu, ale mi się nie udało. Broda opadła mi na pierś, potem głowa przechyliła się na bok i w końcu oczy mi się zamknęły. Pochłonęła mnie ciemność.

Gdy się ocknęłam, przeszło mi przez myśl, że być może tym razem rzeczywiście umarłam.

Właściwie nie wyobrażałam sobie aniołów jako małych nagich chłopców, którzy nie mieli nic więcej do zaprezentowania niż głupkowate uśmiešky i tłuste ciała, tak jak te tutaj egzemplarze z harfami. Nawiasem mówiąc, były jedynie wymalowane na suficie. Z powrotem zamknęłam oczy.

Gardło miałam tak suche, że niemal nie mogłam przełknąć śliny. Leżałam na czymś twardym i czułam się tak nieskończenie wyczerpana, jakbym już nigdy nie miała się poruszyć.

Gdzieś za lewym uchem usłyszałam nucenie. To był motyw żałobny ze Zmierzchu bogów, ulubionej opery lady Aristy. Ten głos, który śpiewał to z niestosowną figlarnością, wydał mi się dziwnie znajomy, ale nie potrafiłam go skojarzyć z konkretną osobą. Nie mogłam też zobaczyć, do kogo należał, bo po prostu nie potrafiłam otworzyć oczu. – Jake, Jake – odezwał się głos. – Nie przyszłoby mi do głowy, że to akurat ty wpadniesz na mój trop. Ale nawet twoje medyczne mądrości już tutaj nie pomogą. – Głos zaśmiał się cicho. – Bo gdy się obudzisz, będę już dawno za siódmą górą, za siódmą rzeką. W Brazylii o tej porze roku jest całkiem przyjemnie, powinieneś to wiedzieć. Mieszkałam tam od 1940 roku. Argentyna i Chile także mają wiele do zaoferowania. –

Głos zamilkł na chwilę, aby zagwizdać kilka taktów z Wagnera. – Ciągnie mnie z powrotem do

Ameryki Południowej. Nawiasem mówiąc, Brazylia ma najlepszych na świecie chirurgów plastycznych. Uwolnili mnie od tych uciążliwie opadających powiek, haczykowatego nosa i cofniętego podbródka. I dlatego na szczęście niezbyt przypominam własny portret.

Zaswędziało mnie w odrętwiałych rękach i nogach. Zdołałam się jednak opanować. Chyba byłoby dla mnie lepiej, gdybym się nie poruszyła.

Głos zaśmiał się.

– Nawet gdyby ktoś mnie tu w łoży rozpoznał – mówił dalej – założę się, że żaden z was nie miałby na tyle rozumu, by wyciągnąć właściwe wnioski. Abstrahując od tego nieznośnego Lucasa

Montrose'a. Niewiele brakowało, a by mnie zdemaskował... Och, Jake, nawet ty się nie zorientowałeś, że to nie był zawał serca, lecz zadziałały perfidne metody Marleya seniora. Wy, ludzie, widzicie tylko to, co chcecie zobaczyć.

– Jesteś podłym, głupim człowiekiem – zapiszczał gdzieś za mną wystraszony głos. Mały Robert! –

Skrzywdziłeś mojego tatę! – Poczulałam chłodny powiew. – Co zrobiłeś Gwendolyn?

No właśnie, co? Oto jest pytanie! I dlaczego nie słyhać Gideona?

Rozległ się szczepek otwieranego zamka walizki.

– Zawsze gotów, by służyć sprawie Strażników, koń by się uśmieł. – Pełne lekceważenia parsknięcie. – Tak jakby ludzkość naprawdę na to zasłużyła! W każdym razie nie będziesz już mógł pomóc Gwendolyn. – Głos przemieszczał się po sali w górę i w dół i powoli zaczynało mi świtać, do kogo należy, choć nadal nie mogłam w to uwierzyć. – Jest martwa jak te szczury w laboratorium, które kroileś. – Głos zaśmiał się cicho. – Nawiasem mówiąc, to jest porównanie, a nie przenośnia.

Otworzyłam oczy i podniosłam głowę.

– Ale oczywiście można by go użyć jako symbolu, nieprawdaż, panie Whitman? – spytałam i natychmiast pożałowałam, że się ujawniłam.

Ani śladu Gideona! Tylko na podłodze leżał nieprzytomny doktor White, tuż obok mnie, z twarzą szarą jak popiół. Mały Robert kucał zatroskany przy jego głowie.

– Gwendolyn.

Trzeba przyznać panu Whitmanowi, że nie wrzasnął ze strachu. Ani nie okazał zdenerwowania. Stał pod portretem hrabiego de Saint Germain, z dłonią na rączce walizki na kółkach z przytroczonym laptopem, i gapił się na mnie. Miał na sobie elegancki szary płaszcz i jedwabny szal. Okulary przeciwsłoneczne nasunął sobie na włosy, jak jakiś Brad Pitt na plaży. Nie był ani trochę podobny do hrabiego na portrecie.

Usiadłam z największą godnością, na jaką było mnie stać (bufiasta suknia nieco utrudniała sprawę), i spostrzegłam, że leżę na biurku.

Pan Whitman cmoknął, spojrział na zegarek i puścił rączkę walizki. – Cóż, bardzo to irytujące – powiedział.

Nie potrafiłam powstrzymać złośliwego uśmiechu.

– Nieprawdaż? – wycodziłam.

Podszedł bliżej i z kieszeni płaszcza wyczarował mały czarny pistolet.

– Jak to się mogło stać? Czyżby Rakoczy przyrządził nie dość silny napój?

Pokręciłam głową.

Pan Whitman zmarszczył czoło i wymierzył pistolet w moją pierś.

Chciałam się roześmiać, ale wyszło z tego jedynie zalęknione parsknięcie.

– Chce pan spróbować po raz kolejny? – spytałam mimo to, usiłując odważnie spojrzeć mu w oczy. –

Czy pojął pan wreszcie, że nie może mi pan nic zrobić?

Ha! Nasz plan się powiódł, i to jeszcze jak. Gdyby tylko zjawił się Gideon, na pewno poczułabym się znacznie lepiej.

Pan Whitman potarł gładko wygolony podbródek, przyglądając mi się w zamyśleniu. Potem schował pistolet.

– Nie – odparł swoim łagodnym tonem zaufanego nauczyciela i nagle dostrzegłam w nim coś ze starego hrabiego. – To by chyba było bezcelowe. – Znowu cmoknął. – Gdzieś popełniłem błąd w myśleniu. Magia kruka... Cóż za niesprawiedliwość, że włożono ci nieśmiertelność już do kołyski.

Właśnie tobie. Ale to ma sens... w tobie zbiegają się obie linie... – mówił do siebie.

Doktor White westchnął cicho. Spojrzałam na niego, ale jego twarz w dalszym ciągu była szara jak popiół. Mały Robert zerwał się na równe nogi.

– Uważaj, Gwendolyn – powiedział zalęknionym głosem. – Ten podły człowiek na pewno ma złe zamiary.

Też się tego obawiałam. Ale jakie?

– „Jeśli z miłości sama los przywoła, i w pożodze tej miłości zginie” – zacytował cicho pan

Whitman. – Dlaczego od razu tego nie pojąłem? No cóż, jeszcze nie jest za późno. – Zrobił parę kroków w moją stronę, wyjął z kieszeni małe srebrne pudełko i położył obok mnie na stole.

– Czy to tabaka? – spytałam zdezorientowana. Zaczynałam mieć nieprzyjemne przeczucia, jeśli chodzi o nasz plan. Coś tu szło nie tak, i to bardzo.

– Oczywiście w tej chwili trudno ci to zrozumieć – powiedział hrabia de Saint Germain, wcześniej znany jako pan Whitman, i westchnął. – To małe pudełko zawiera trzy kapsułki z cyjankiem i wyjaśniłbym ci, po co je przy sobie noszę, ale mój samolot odlatuje za dwie i pół godziny i czas mnie trochę nagli. W innych okolicznościach mogłabyś się także rzucić pod pociąg metra albo skoczyć z wieżowca. Ale w gruncie rzeczy cyjanek to najbardziej humanitarna metoda. Po prostu weźmiesz kapsułkę i ją rozgryziesz. Skutek natychmiastowy. Otwórz pudełko!

Zrobiło mi się ciężko na sercu.

– Pan by chciał, żebym się... żebym odebrała sobie życie?

– Otóż to. – Poglądził czule swój pistolet. – Bo inaczej nie da się ciebie zabić. I żeby, tak to ujmijmy, wesprzeć nieco twoją postawę w tej sprawie, zastrzelę twojego przyjaciela Gideona, jak tylko się tu pojawi. Spojrzał na zegarek. – To będzie mniej więcej za pięć minut. A więc jeśli chcesz uratować mu życie, musisz natychmiast wziąć kapsułkę. Ale możesz też poczekać, aż będzie tu przed tobą leżał martwy. Jak wskazuje doświadczenie, jest to bardzo silna motywacja, pomyśl choćby o

Romeo i Julii...

– Jesteś taki zły! – zawołał mały Robert i wybuchnął płaczem. Próbowałam dodać mu otuchy uśmiechem, ale poniosłam żalosalną porażkę. Najchętniej usiadłabym razem z nim i płakała.

– Panie Whitman... – zaczęłam.

– Preferuję tytuł hrabiowski – oznajmił pogodnie.

– Proszę... pan nie może... – Głos mi się załamał.

– Ale dlaczego ty nie chcesz tego zrozumieć, głupie dziecko? – Westchnął. – Uwierz mi, tęskniłam wyczekiwałam tego dnia. Chciałbym wreszcie wrócić do swojego prawdziwego życia. Nauczyciel w liceum Saint Lennox! Ze wszystkich profesji, jakie uprawiałem przez te dwieście trzydzieści lat, ta była najgorsza. Przez całe stulecia żyłem na szczytach władzy. Jadałem kolacje z prezydentami, z szejkami naftowymi, z królami. Choć dzisiaj nie mają już

takiej rangi. A tutaj musiałem uczyć jakieś małe, tępe dzieciaki i do tego piąć się we własnej łozy od nowicjusza aż do Kręgu

Wewnętrzznego. Wszystkie te lata od twoich narodzin były dla mnie straszne. Nie dlatego, że moje ciało zaczęło się starzeć i stopniowo wykazywało lekkie ślady rozpadu –w tym miejscu uśmiechnął się zarozumiale – lecz dlatego, że... można mnie było zranić. Przez całe stulecia żyłem bez strachu.

Maszerowałem przez pola bitwy pod gradem kul, narażałem się na wszelkie niebezpieczeństwa, wiedząc, że nic nie może mi się stać. A teraz? Byle wirus mógłby mnie ukatrupić, każdy przeklęty autobus przejechać, pierwsza lepsza cegła spaść na głowę.

W tym momencie usłyszałam hałas i przez ścianę wleciał z impetem Xemerius. Wylądował na biurku tuż obok mnie.

– Gdzie są ci przekłeci Strażnicy? – zawołałam do niego, nie dbając o to, że hrabia mnie słyszy.

Ale on najwyraźniej wziął to pytanie do siebie.

– Nie mogą ci teraz pomóc – powiedział.

– On niestety ma rację. – Zdenerwowany Xemerius zatrzepotał skrzydłami.

– Te głupki razem z

Gideonem zamknęły krąg krwi. Potem pan Kevin Dressman wziął fajtlapę Marleya jako zakładnika i grożąc pistoletem, zmusił Strażników, żeby przeszli do pokoju z chronografem. Są tam teraz zamknięci i głośno lamentują.

Hrabia potrząsnął głową.

– Nie, to nie było dla mnie życie. I musi się to wreszcie skończyć. Cóż taka mała dziewczynka jak ty może zaoferować światu? Ja zaś mam jeszcze wiele planów. Wielkich planów...

– Odwróć jego uwagę! – zawołał Xemerius. – Po prostu odwróć jego uwagę, obojętnie jak.

– A jak właściwie przez cały ten czas poddawał się pan elapsji? – spytałam szybko. – To chyba musiało być strasznie nieprzyjemne, tak w niekontrolowany sposób przeskakiwać w czasie.

Roześmiał się.

– Elapsji? Phi! Naturalny czas mojego życia się skończył. W chwili, w której miałbym umrzeć, skończyło się to uciążliwe skakanie w czasie.

– A mój dziadek? Czy jego też pan zabił? I ukradł jego pamiętniki?

Teraz do oczu napłynęły mi Izy. Biedny dziadek. Tak niewiele brakowało, żeby zdemaskował cały ten spisek. Hrabia skinał głową. – Przebiegłego Lucasa Montrose'a musieliśmy uciszyć. Zajął się tym Marley senior. Potomkowie barona Rakoczego służyli mi wiernie przez całe wieki, tylko ostatni członek tego rodu mnie rozczarował. Ten pedantyczny rudy marzyciel nie odziedziczył niczego z ducha czarnego lamparta. – Znowu spojrzał na zegarek, a potem wyczekująco popatrzył na fotele po drugiej stronie. – No, to już za chwilę, Julio. Najwyraźniej chcesz ujrzeć swego Romea leżącego w kałuży krwi. Odbezpieczył pistolet. – Naprawdę szkoda. Lubilem tego chłopca. Na pewno miał potencjał.

– Proszę – wyszeptałam ostatni raz, ale w tym momencie Gideon, lekko pochylony, wylądował obok drzwi.

Nawet nie miał czasu, żeby się całkiem wyprostować, kiedy pan Whitman strzelił. I jeszcze raz. I jeszcze, i jeszcze, aż wystrzelał cały magazynek.

Kule z ogłuszającym hukiem przeleciały przez pokój, trafiając Gideona w pierś i w brzuch.

Spojrzenie jego szeroko otwartych zielonych oczu błądziło po pokoju, aż trafiło na mnie.

Wykrzyknęłam jego imię.

Jak w zwolnionym tempie osunął się po drzwiach, zostawiając szeroki krwawy ślad. Potem, dziwacznie powykręcany, znieruchomiał na podłodze.

– Gideon! Nie! – Krzycząc, rzuciłam się na ziemię obok niego i objęłam bezwładne ciało.

– Obożebożeboże! – zawołał Xemerius i wypluł wodę. – Proszę cię, powiedz mi, że to jest część waszego planu. W każdym razie on na pewno nie ma kamizelki kuloodpornej. O Boże! Tyle krwi!

Miał rację. Krew Gideona była wszędzie i rąbek mojej sukni nasiąkł nią niczym gąbka. Mały

Robert z płaczem przykucnął w rogu, zasłaniając sobie twarz rękami.

– Co pan zrobił? – wyszeptałam.

– To, co musiałem. I czemu najwyraźniej nie chciałaś zapobiec. – Pan Whitman odłożył pistolet na biurko i podsunął mi pudełko z kapsułkami. Jego twarz lekko poczerwieniała i oddychał szybciej niż zwykle. – Nie powinnaś już dłużej zwlekać! Chcesz żyć w poczuciu winy? Chcesz w ogóle żyć bez niego?

– Nie rób tego! – wrzasnęła Xemerius i wypluł wodę na twarz doktora White'a.

Powoli pokręciłam głową.

– A więc bądź tak dobra i nie wystawiaj dalej mojej cierpliwości na próbę – powiedział pan

Whitman i po raz pierwszy usłyszałam, jak przestaje panować nad swoim głosem, który nie był teraz ani łagodny, ani ironiczny, lecz brzmiał trochę histerycznie. – Bo jeśli każesz mi dłużej czekać, będę ci musiał dać jeszcze więcej powodów, żebyś zakończyła swoje życie. Pozabijam wszystkich po kolei: twoją mamę, twoją uciążliwą przyjaciółkę Leslie, twojego brata, twoją śliczną małą siostrzyczkę... wierz mi! Nie oszczędzę nikogo.

Drżącymi rękami wzięłam pudełko. Kątem oka zobaczyłam, że doktor White z wysiłkiem dźwiga się na biurku. Był cały mokry.

Na szczęście pan Whitman patrzył tylko na mnie.

– Grzeczna dziewczynka – powiedział. – Może nawet jeszcze zdążę na samolot. W Brazylii...

Ale nie zdążył mi wyjaśnić, co będzie robił w Brazylii, ponieważ doktor White uderzył go kolbą pistoletu w potylicę. Rozległ się okropny huk, a potem pan Whitman upadł na podłogę jak ścięty dąb.

– Tak! – krzyknął Xemerius. – Tak jest dobrze! Pokaż temu draniowi, że stary doktor ma jeszcze trochę ikry!

Ten wysiłek był jednak dla doktora White'a zbyt duży. Spojrzawszy przerażony na tę masę krwi, z cichym westchnieniem padł na podłogę obok pana Whitmana.

A więc tylko Xemerius, mały Robert i ja byliśmy świadkami tego, jak Gideon nagle zakaszłał i usiadł. Jego twarz była wciąż trupio blada, ale oczy napęłniły się żywym blaskiem. Powoli rozjaśniały się uśmiechem.

– Już po wszystkim? – spytał.

– Szczwany lis! – powiedział Xemerius, którego nagle niemal zamurowało ze zdumienia. – A temu jak się to udało?

– Tak, Gideonie, to już koniec. – Rzuciłam mu się w ramiona, nie zważając na jego rany. – To był pan Whitman i w głowie mi się nie mieści, jak mogliśmy go nie poznać.

– Pan Whitman?

Skinęłam głową i przytuliłam się do niego mocniej.

– Tak się bałam, że mógłbyś tego nie zrobić. Bo pan Whitman słusznie się domyślił, że bez ciebie nie chcę żyć.

– Kocham cię, Gwenny! – Gideon objął mnie tak mocno, że niemal zabrakło mi tchu. – Oczywiście, że to zrobiłem. Pod kontrolą Lucy i Paula. Rozpuścili mi to coś w szklance wody i zmusili, abym wypił do ostatniej kropli.

– Teraz kumam! – zawołał Xemerius. – A więc to był wasz genialny plan! Gideon zżarł kamień filozoficzny i teraz też jest nieśmiertelny. Niezłe, w przeciwnym razie Gwenny mogłaby się czuć nieco samotna. Mały Robert odjął ręce od twarzy i patrzył na nas szeroko otwartymi oczami.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie – powiedziałam do niego. Jaka szkoda, że nie ma jeszcze terapeutów dla duchów po przejściach. To jest luka na rynku, nad którą warto by się zastanowić. –

Twój ojciec dojdzie do siebie. To bohater!

– Z kim ty rozmawiasz? – zdziwił się Gideon.

– Z pewnym odważnym przyjacielem. Uśmiechnęłam się do Roberta. Odpowiedział mi niepewnym uśmiechem.

– Och, och, on chyba odzyskuje formę – wtrącił Xemerius. Gideon puścił mnie, wstał i spojrzał z góry na pana Whitmana.

– Będę go chyba musiał związać – powiedział z westchnieniem. –1 doktorowi White'owi opatrzyć rany.

– No, a potem wypuścić tamtych z pomieszczenia z chronografem – dodałam. – Tylko musimy się najpierw zastanowić, co im powiemy.

– Przedtem muszę cię koniecznie pocałować. Gideon wziął mnie w ramiona, a Xemerius westchnął.

– No nie! Przecież macie na to całą wieczność!

W poniedziałek w szkole wszystko było jak dawniej. No, prawie wszystko.

Mimo wiosennego ciepła Cynthia miała na szyi zawiązany gruby szal. Pospiesznie przeszła przez hol, nie rozglądając się na boki.

Gordon Gelderman szedł za nią krok w krok.

– No, daj już spokój, Cynthia! – burczał. – Przepraszam. Ale przecież nie możesz się na mnie wiecznie gniewać. A poza tym nie byłem jedyny, który... eee... chciał trochę urozmaicić twoją imprezę. – Dobrze widziałem, jak chłopak z Madison Gardner też wlał butelkę wódki do koktajlu.

A Sarah w końcu się przyznała, że ta zielona galaretka w dziewięćdziesięciu procentach składała się z agrestowej nalewki jej babci.

– Daj mi spokój! – warknęła Cynthia, próbując zignorować grupkę chichoczących ósmoklasistów, którzy pokazywali ją palcami. – Zrobiłeś ze mnie pośmiewisko całej szkoły! Nigdy ci tego nie wybaczę!

– A ja, kretyn, przepuściłem taką imprezę – westchnął Xe-merius.

Zajął miejsce na popiersiu Williama Szekspira, któremu od czasu „godnego pożałowania drobnego wypadku” (jak się wyraził dyrektor Gilles, kiedy ojciec Gordona przekazał hojną darowiznę na remont sali gimnastycznej, bo przedtem mówił o umyślnej dewastacji dóbr kultury) brakowało kawałka nosa.

– Cyn, przecież to głupota! – pisnął Gordon. Mutacja chyba nigdy mu się nie skończy. – Nikogo nie interesuje, że się obści-skiwałaś z tym czternastolatkiem, malinki za tydzień ci znikną, a w gruncie rzeczy to jest bardzo se... auu! – Płaska dłoń Cynthii z głośnym kłaśnięciem wylądowała na policzku Gordona. – To bolało!

– Biedna Cynthia – wyszeptałam. – Jak się jeszcze dowie, że jej ubóstwiany pan Whitman zwolnił się z pracy, będzie zdruzgotana.

– No, dziwnie będzie bez Wiewiórki. Może się nawet zdarzyć, że teraz angielski i historia zaczną nam sprawiać przyjemność. – Leslie wzięła mnie pod rękę i pociągnęła w stronę schodów. – Ale chciałabym być sprawiedliwa. Nie znosiłam go – kobieca intuicja, można powiedzieć – ale jego lekcje nie były wcale takie złe.

– Nic dziwnego, przecież widział to wszystko na żywo. – Xe-merius leciał za nami z łopotem.

Gdy szłyśmy na górę, poczułam narastający smutek.

– Pozory mylą – powiedziała Leslie. – Teraz wiemy, że to przysłowie jest prawdziwe. Życzę mu, żeby zgnił w kazamatach Strażników. O, Cynthia z rykiem leci do toalety! – Zaśmiała się. – Ktoś powinien opowiedzieć jej o Charlocie, na pewno od razu poczułaby się lepiej. A gdzie właściwie jest twoja kuzynka? – Leslie rozejrzała się.

– U onkologa! – wyjaśniłam. – Próbowaliśmy delikatnie wytłumaczyć ciotce Glendzie, jakie są powody mdłości Charlotty, zielonego odcienia jej twarzy, fatalnego humoru i okropnego bólu głowy, ale zjawisko kaca jest całkowicie obce ciotce Glendzie, a już na pewno jeśli miałoby dotyczyć jej idealnej córki. Jest święcie przekonana, że Charlotta ma białaczkę. Albo guza mózgu.

Dziś rano nie uwierzyła też w cudowne ozdrowienie, i to mimo iż ciocia Maddy dyskretnie podsunęła jej broszurę o obchodzeniu się z nastolatkami w wieku dojrzewania i o alkoholu.

Leslie zachichotała.

– Wiem, to jest naprawdę wstrętne, ale chyba można mieć czasem trochę mściwej satysfakcji, nie tworząc sobie od razu zlej karmy, no nie? Tylko troszkę. I tylko dzisiaj. Od jutra będziemy znowu miłe dla Charlotty, prawda? Może byśmy ją skojarzyły z moim kuzynem?

– Jeśli chcesz trafić do piekła, zrób to. – Wyciągnęłam szyję, żeby ponad głowami uczniów rzucić okiem na niszę Jamesa, i choć niczego innego się nie spodziewałam, poczułam w sercu ukłucie.

Leslie ścisnęła moją dłoń.

– Nie ma go, prawda? Pokręciłam głową.

– To chyba znaczy, że plan się powiódł. Gideon będzie kiedyś dobrym lekarzem.

– Chyba nie ryczysz z powodu tego snobistycznego fajansia-rza? – Xemerius fiknął ponad moją głowę koziółka. – Dzięki tobie mógł wieść długi i spełniony żywot, w trakcie którego bez wątpienia doprowadził całą masę ludzi do białej gorączki.

– Tak, wiem – powiedziałam, wycierając dłonią nos. Leslie podała mi chusteczkę. A potem zobaczyła Raphaela i pomachała do niego.

– Ale masz jeszcze mnie! Do końca twego życia wiecznego – powiedział Xemerius, obdarzając mnie pocałunkiem. – Jestem znacznie bardziej cool. I bardziej groźny. I bardziej przydatny. I będę jeszcze wtedy, gdy za dwieście czy trzysta lat twój nieśmiertelny chłopak się rozmyśli i poszuka sobie nowej dziewczyny. Jestem najwierniejszym, najpiękniejszym i najmądrzejszym towarzyszem, jakiego można sobie wymarzyć.

– Tak, wiem – powtórzyłam, idąc dalej i obserwując, jak Raphael i Leslie witają się ze sobą, to znaczy obowiązkowymi dwoma całusami w policzki, co Raphael sprzedał nam jako typowe francuskie przywitanie.

Jakoś im się udało zderzyć się przy tym głowami. Xemerius bezczelnie wyszczerzył zęby.

– Ale jeśli czujesz się samotna: może byś sobie sprawiła kota?

– Może później – powiedziałam. – Jak już nie będę mieszkać w domu i o ile będziesz się zachowywał przyzwo... – Zamilkłam.

Przede mną, wprost ze ściany gabinetu pani Counter, zmaterializowała się mroczna postać. Z wyświechtanej peleryny wystawała chuda szyja, a na niej głowa, z której spoglądały na mnie czarne, przepelnione nienawiścią oczy hrabiego di Madrone alias lorda Vadera.

Zaraz też zaczął charczeć.

– Ach, więc tu cię znajduję, demonie o szafirowych oczach! Niespokojnie przemierzałem stulecia, wszędzie szukając ciebie i podobnych tobie, gdyż przysiągłem wam śmierć, a Madrone nigdy nie łamie danego słowa.

– To twój kumpel? – spytał Xemerius, podczas gdy ja z przerażenia stanęłam jak skamieniała.

– Grrrr! – zacharczał duch, wyszarpnął miecz z pochwy i wymachując nim, zbliżył się do mnie. –

Twoja krew zrosi ziemię, demonie! Przeszyją cię miecze świętego Sojuszu Florenckiego...

Przymierzył się do ciosu, którym odrąbałby mi rękę, gdyby to nie był miecz ducha. Ale i tak się wzdrygnęłam.

– Hej, hej, hej, kolego, nie rób tutaj zadymy – powiedział Xemerius i wylądował wprost przed moimi stopami. – Najwyraźniej nie masz bladego

pojęcia o demonach. Ta tutaj to człowiek, chociaż dość dziwny – i twój śmieszny miecz ducha nic nie może jej zrobić. Jeśli chcesz zabijać demony, możesz spróbować szczęścia ze mną.

Lord Vader przez chwilę patrzył na mnie poirytowany.

– Nie odstąpię tej diabelskiej kreatury ani na krok, póki nie wypełnię swojego zadania. Będę przeklinał każdy jej oddech! Westchnęłam. Cóż za okropna wizja. Już widziałam, jak przez resztę mojego życia lord Vader kręci się wokół mnie i wygłasza swoje zabójcze hasła. Oblewałabym wszystkie egzaminy, gdyby mi bez przerwy charczał do ucha... zepsułby mi bal absolwentów i moje wesele, i...

Xemerius najwyraźniej miał podobne myśli. Spojrzał na mnie dobrotliwie.

– Mogę go zezreć? Uśmiechnęłam się do niego.

– Skoro mnie tak grzecznie pytasz, jak mogłabym powiedzieć „nie”?

Wyciąg z londyńskiego pisma towarzyskiego

„Lady Daburys Journal”

24 kwietnia 1785 roku

Lord i lady Pimplebottom w tę niedzielę powiadomili o zaręczynach ich najstarszego syna Jamesa

Pimplebottoma z panną Amelią, najstarszą córką wicehrabiego Mountbattona, co jednak nikogo nie zaskoczyło, ponieważ obserwatorzy już od kilku miesięcy informują o zażyłości między obojgiem i jeśli wierzyć pogłoskom, ostatnio widziano ich na balu u Claridge'ów (o którym pisaliśmy), jak w ogrodzie trzymają się za ręce. James Pimplebottom, który wyróżnia się wśród – niestety zbyt mało licznego – grona zamożnych panów w wieku odpowiednim do małżeństwa ujmującą powierzchownością i nienagannymi manierami, jest prócz tego doskonałym jeźdźcem i szermierzem. Jego przyszła małżonka charakteryzuje się natomiast wyśmienitym gustem, jeśli chodzi o ubiór, i chwalebna skłonnością do dobroczynności. Zaślubiny tej pary odbędą się w lipcu w wiejskiej posiadłości państwa Pimplebottom.

Epilog

14 stycznia 1919 roku

– Bardzo ładnie, moja droga. Te dyskretne barwy tworzą miejsce eleganckie, a jednocześnie przytulne. Oplacało się sprowadzić materiał na zasłony z Włoch, nie sądzisz? – Lady Tilney przemaszerowała przez salon, lustrując wszystko wokół.

Teraz podeszła do szerokiego kominka i ustawiła prosto fotografie w srebrnych ramkach. Lucy obawiała się, że mogłaby przejechać palcem w rękawiczce po gzymsie i czynić jej potem wyrzuty, że nie dość surowo nadzoruje pokojówkę. Bo to akurat była prawda.

– No cóż, muszę przyznać, że ten pokój jest bardzo stylowy – mówiła dalej lady Tilney. – Salon to przecież wizytówka domu. Tu zaś widać na pierwszy rzut oka: pani tego domu ma gust.

Paul wymienił z Lucy rozbawione spojrzenia i obdarzył lady Tilney jednym ze swych niedźwiedzich uścisków.

– Ach, Margret – powiedział ze śmiechem. – Nie udawaj teraz, że to dzieło Lucy. Przecież osobiście wyszukałaś każdą lampę i każdą poduszkę. Już nie mówiąc o tym, jak zjechałaś tapicerów. A my nawet nie możemy się zrewanżować pomocą przy montażu regału z Ikei.

Lady Tilney zmarszczyła czoło. – Przepraszam, mały wtręt. – Paul schylił się i dorzucił do ognia jeszcze jedno bukowe polano.

– Tylko ten okropny bohomaz rujnuje cały efekt mojej kompozycji! – Lady Tilney wskazała na malowidło zdobiące przeciwległą ścianę. – Czy nie moglibyście tego przynajmniej przewiesić do innego...

– To autentyczny Modigliani, Margret – wyjaśnił cierpliwie Paul. – Za sto lat będzie wart majątek.

Lucy piszczała przez pół godziny, kiedy znalazła go w Paryżu.

– Wcale nie. Najwyżej minutę – sprostowała Lucy. – W każdym razie to zabezpiecza przyszłość naszych dzieci i dzieci naszych dzieci. To i ten Chagall, który wisi przy schodach.

– Tak jakby wam to było potrzebne – powiedziała lady Tilney. – Twoja książka, Paul, na pewno zostanie bestsellerem i wiem, że Secret Service płaci

wam naprawdę imponującą pensję. Która jest oczywiście odpowiednia, biorąc pod uwagę to, co robicie. – Pokręciła głową. – Nie popieram tego, że Lucy wykonuje taki niebezpieczny zawód. Już nie mogę się doczekać, kiedy stanie się trochę bardziej domatorką. Co, dzięki Bogu, nastąpi.

– A ja ze swojej strony już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wynajdą centralne ogrzewanie. – Lucy, trzęsąc się z zimna, opadła na jeden z foteli obok kominka. – Już nie mówiąc o innych rzeczach. – Będą tu za dziesięć minut – rzuciła nerwowo. – Luisa mogłaby powoli zacząć nakrywać stół. – Spojrzała na Paula. – Jak myślisz, jak Gwendolyn zareaguje na wiadomość, że będzie miała rodzeństwo? To chyba musi być dziwne uczucie. – Poglaskała się po lekko wypukłym brzuchu. – Kiedy nasze dziecko będzie miało dzieci, one zdążą się zestarzeć, nim Gwenny w ogóle się urodzi.

Może będzie zazdrosna? W końcu zostawiliśmy ją jako niemowlę i kiedy teraz zobaczy...

– Na pewno się ucieszy – wpadł jej w słowo Paul. Położył Lucy dłoń na ramieniu i czule ucałował ją w policzek. – Gwendolyn jest tak samo wielkodusznym i dobrym człowiekiem jak ty. I Grace. – Odchrząknął, żeby zamaskować swoje nagłe wzruszenie. – Znacznie bardziej boję się chwili, w której Gwendolyn i ten mały drań oznajmią mi, że zostanę dziadkiem – dodał. – Mam nadzieję, że poczekają jeszcze kilka lat.

– Przepraszam! – W drzwiach pojawiła się pokojówka. – Zapomniałam! Czy mam nakryć w jadalni, czy tutaj, pani Bernhard?

Nim Lucy zdążyła odpowiedzieć, lady Tilney już z oburzeniem wzięła głęboki wdech.

– Po pierwsze, proszę pukać – odezwała się surowo. – Po drugie, proszę czekać, aż powiem „wejść”.

Po trzecie, nie wolno pokazywać się państwu z rozczochranymi włosami. A po czwarte, nie mówi się pan i pani Bernhard, tylko ma'am i sir.

– Tak, ma'am – powiedziała nieśmiało pokojówka. – To ja pójdę po ciasto.

Lucy popatrzyła za nią z westchnieniem.

– Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do tego nazwiska.

KONIEC

Za wspólną lekturę dziękuje sa-sza. (<http://chomikuj.pl/sa-sza>)